
NOWELLE
OSTOJA
Nakładem księgarni TEODORA PAPROCKIEGO i S^KI w Warszawie.

Aniuśce
na Gwiazdkę
1889 r.

NOWELLE.

OSTOJA.

NOWELLE.

MIŁOŚĆ BABUNI. — ZŁY DUCH. — ZŁOTA RYBKA. — SCYZORYK. — LIST. — Z KRAINY DUCHÓW. — Z MOICH STRON. — NOWA ŁÓDŹ.

Z przedmową

D-ra Piotra Chmielowskiego.

WARSZAWA.
NAKŁADEM KSIĘGARNI
Teodora Paprockiego i S-ki.
41. Nowy-Świat 41.

1890.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 1 Мая 1889 года.

Druk Emila Skiwskiego, Warszawa, Chmielna № 1530 (26 nowy).

Często się zdarza widzieć w książkach francuzkich przedmowy do dzieł żyjących autorów, napisane przez któregoś z ich kolegów. Forma tych przedmów jest jedynie nowością, nie zaś rzecz sama. Już bowiem w XVI wieku, nietylko we Francyi, ale wszędzie w Europie, a więc i u nas, znajdowały się takie wstępy, wierszem i prozą często przez kilku z rzędu autorów kreślone. Miały one wprawdzie wyłącznie pochwalny charakter, ale spełniały też inne zadanie: objaśniały czytelnika na samym początku dzieła o jego zawartości i znaczeniu.

Z biegiem czasu wyszło to ze zwyczaju; dopiero pośmiertne wydania zaopatrywane bywały w życiorysy i oceny dzieł zmarłego. Dziś wracamy powoli, w zmienionéj formie, do przykładu, jaki nam zostawili poprzednicy w literaturze.

Jednych to dziwi, innych gorszy. Ale czy słusznie?

Jeżeli sprawozdania i rozbiory dzieł, pojawiające się w czasopismach, mają za zadanie wskazanie zalet i wad, czyli innemi słowy wartości danego utworu,—jeżeli zatém mają dopomódz czytelnikowi do wyrobienia sobie opinii o nim,—to dlaczegóżby nie mogła spełnić tegoż samego przedmowa, nastrajając odpowiednio czytelnika przy wstępie do dzieła?...

Oczywiście nie może to słowo wstępne być wyczerpującą recenzyą, nie może wdawać się w szczegóły, ale ujęcie znamiennych cech talentu autora i należyte ich oświetlenie powinno tu stanowić główny składowy pierwiastek.

W téj myśli kreślę słów kilka o talencie Ostoi.

Talent to przedewszystkiém skupiony w sobie do wysokiego, jeżeli nie do najwyższego stopnia, i dlatego nie tak łatwo dający się ocenić przez zwykłych przeciętnych czytelników, którzy lubią, żeby im rzecz każda była dokładnie, drobiazgowo opowiedziana, a nawet wytłumaczone jéj znaczenie rozumowe, moralne czy estetyczne, którzy lubią szczegółowe uwagi i wywnętrzenia się autora, nie chcąc podejmować pracy domyślania się, zgadywania, zgłębiania. Czytając pisma Ostoi, trzeba mieć umysł czujny i nie tracić nic z tego, co było powiedzianém, gdyż nic w nich niéma zbytecznego, nic, coby się dało opuścić bez szkody dla pojęcia całości. Ostoja jest skąpa w słowa; maluje człowieka, położenie, myśl, uczucie, zdaniami obmyślanemi starannie a ujętemi w wyrazy jaknajzwięźléj; rozwlekłości i gadatliwości, znamionują-

céj pospolicie utwory pióra kobiecego, niéma w niéj ani śladu. Refleksyj osobistych o położeniu osób wprowadzonych na scenę, zdań moralnych, mających kierować uczuciem czytelnika, deklamacyjnych uniesień, któreby akcentowały grozę sytuacyi, lub wskazywały heroizm cierpienia, unika umyślnie, bo chce wykluczyć, o ile się da, mieszanie się autora do treści, ażeby sama ta treść przemówiła do rozumu lub serca. Ze wszystkich naszych autorek jest ona najbardziéj *przedmiotową* (objektywną).

Potrzeba pewnego wyrobienia umysłu i serca, ażeby taki przedmiotowy sposób twórczości należycie odczuć i zrozumiéć. Kto słyszy tylko dźwięki trąb, dla tego piana, a témbardziéj pianissima, będą zupełnie stracone. Kto nie przeszedł walk wewnętrznych, kto nie zaznał cierpień dolegliwych, ale w ciszy przechodzących, ten nie potrafi pojąć tragiki duchowéj.

W pismach Ostoi uczucie przedstawia się zawsze w formie nadzwyczaj skoncentrowanéj i dlatego pospolitemu spostrzegaczowi wydać się może chłodném. Ponieważ z natury swego talentu Ostoja nigdy nie wybucha pełnią frazesu, dla tych więc, którzy frazes tylko rozumieją, niéma tu odpowiedniéj karmi uczuciowéj. A jednakże śmiało powiedziéć można, iż wśród naszéj bieżącéj literatury mało się znajdzie utworów, coby w tak wysokim stopniu, jak u Ostoi, przedstawiały potęgę cierpień serca, które się z cierpieniami swemi kryje, nie chcąc szyderstwa ściągnąć na siebie... I w tym względzie Ostoja może najdobitniéj wyraziła w utworach arty-

stycznych dzisiejszy stan nastroju sercowego. Oskarżamy zazwyczaj nasz wiek o brak uczucia. Zdaje się, całkiem niesłusznie. Zmieniło się tylko jego uzewnętrznienie. Niewątpliwie, pewne strony, pewne objawy uczuciowości zabija wyższy rozwój umysłowy, ale bynajmniéj nie niszczy samego uczucia, wysubtelnia je owszem i pogłębia. Dzisiejsi uczuciowi ludzie nie popadają w deklamacye sentymentalne, ani podnoszą wykrzyków romantycznych; czują głęboko, ale rzadko swe uczucia wypowiadają, kryją się z niemi, by zimny powiew obojętności nie zwiększył jeszcze rozgoryczenia, albo nie zatruł szczęścia. Uśmiech przez łzy jest dziś może częstszym niż kiedykolwiek, tylko że te łzy nie płyną po policzkach,—są połykane. Takie stłumione w sobie a nieraz do siły tragicznéj wznoszące się uczucia umie Ostoja przedstawiać najlepiéj, nieraz można powiedziéć: genialnie.

Najczęstszym tematem opowiadań Ostoi bywa życie biednych i nieszczęśliwych. Autorka przejęła się ich dolą serdecznie, cierpienia ich „wchłonęła w pierś swą magnetycznie," poznała dokładnie, co im dolega, co ich przygniata, co szczęście im zakłóca, co ich pragnieniem śmierci' nicości przejmuje. Uśmiech radosny pojawia się u niéj rzadko; ludzi zadowolonych z życia prawie niéma. Taki charakter pism był powodem, iż zarzucono autorce pesymizm. Zarzut ten dziś do niejednego zastosowano pisarza, boć większość ich obecnie w Europie mniéj lub więcéj pesymistycznym kolorytem powleka swe twory, nie mówiąc o tych, co z zasady są pesymistami. Do naszéj

autorki wszelako charakterystyka ta nie przypada w zupełności. Prawda, że większość jéj pism ma tło ciemne, ponure; prawda, że w nich występują ludzie smutni, przygnębieni, nieszczęśliwi; skutkiem to jest najprzód położenia, w jakiém się społeczeństwo znajduje, a powtóre rodzaju talentu, chwytającego najdokładniéj te strony życia, których wyrazem cierpienie. Ale Ostoja nie sądzi bynajmniéj, iżby na świecie żyli sami egoiści, kierujący się jedynie i wyłącznie zasadą interesu osobistego; w jéj utworach pojawiają się, rzadko co prawda, lecz bądźcobądź pojawiają się ludzie, poświęcający się dla innych, dający nieraz swe życie w ofierze. Te barwniejsze promyki rozjaśniają jak błyskawice ciemne tło obrazu i chronią go od monotonii.

Ostoja znajduje się w świetnych początkach swego nowelistycznego zawodu; z czasem zakres jéj spostrzeżeń niewątpliwie się rozszerzy i obejmie rozleglejsze zagadnienia społeczne. Czy pozostanie przy obecnéj, zwięzłéj formie noweli i obrazków, czy téż zabierze się do powieści,—zawsze mamy prawo spodziewać się coraz głębszych, coraz staranniéj obrobionych, słowem coraz piękniejszych utworów. Zasób talentu—obfity, a życie nauczy go spożytkować jaknajlepiéj, z jaknajwiększym pożytkiem dla literatury.

Warszawa, 5 września 1889.

Piotr Chmielowski.

MIŁOŚĆ BABUNI.

Mąż mój nieboszczyk był straszny raptus, pasyonat, gwałtownik. Ze słowami się nie rachował, z kijem mniéj jeszcze. Bóg jeden wie, ilu ten człowiek w życiu swém ubił; a ilu chciał ubić, to i sam Pan Bóg nie przeliczy. Od gwałtownego słowa nie wstrzymałaby go kara śmierci—taką miał dziwną naturę, z ognia i prochu złożoną. Drżałam dawniéj na sam dźwięk jego głosu, modliłam się do wszelkich świętych o spokój i opamiętanie, chociaż wiedziałam, że ze złą kobietą dyabeł poradzi, ze złym mężem ani piekło, ani niebo rady nie da. Zresztą złym nie był, sprzeciwiania się tylko, hardości znieść nie mógł, na punkcie wielkości rodu swego był pomieszany, a w sąsiedztwie miał siebie za najważniejszą figurę. Wprawdzie na dziesięć mil dokoła żadnego dworu nie było; błota, jeziora, lasy, wiadomo, jak w Pińszczyźnie za dawnych czasów, ptactwa, zwierząt różnych podostatkiem, reszta właśni chłopi; panował wśród tego otoczenia niby król jaki. Kiedy krzyknął na ganku, ryby w jeziorach truchlały, ptaki przestawały śpiewać, kto wie, może nie-

dźwiedź drżał w swoim barłogu. Tak mi się przynajmniéj zdawało, w pierwszych latach szczególnie; późniéj oswoiłam się, jakbym się oswoiła z piorunami, gdyby mi po kilka codziennie koło uszu trzaskało. W pierwszych latach jednak byłam prawdziwém trusiątkiem. Wobec służby, rezydentek i rezydentów głowę nosiłam wysoko, wobec męża nawet nie spuszczałam z tonu; miał téż dla mnie estymę należną; ożenił się z prawdziwego afektu, więc i życia zatruwać nie chciał; w złości hamował się czasami, sapał tylko i mruczał, niby zwierz w klatce, z ukosa na mnie zerkając. A gdy go złość strasznie już za gardło ścisnęła, wybiegał na ganek, na dwór, pod stajnie, i tam już chwalił Boga po swojemu. To téż strwożyłam się strasznie, prawie zdrętwiałam w ów dzień pamiętny, kiedy siedząc za krosienkami w swojéj sypialni, usłyszałam, jak biegł przez cały szereg pokojów, drzwiami za sobą trzaskając, stukał buciskami i klął kogoś od stu par dyabłów, tysiącami batogów szafował. — No, koniec świata, albo może białonóżka zdechła! — pomyślałam wystraszona; igła wypadła mi z ręki. Chociaż serce trzepotało się w piersiach, a nogi drżały, wstałam z krzesła wyprostowana, niby spokojna, brwi nawet ściągnęłam gniewnie, widząc, jak szarpnął za klamkę i drzwi z trzaskiem otworzył, niby w stajni. Język mi skołowaciał, ale duma rodowa zaczęła chodzić po kościach: do żadnéj Kandybianki nikt jeszcze z takim hałasem nie wpadał! On téż, spostrzegłszy się, ochłonął nieco, przy drzwiach stanął, czerwony, sapiący, drżał i oczami krwią zabiegłemi mierzył mię od stóp do głowy. Nigdy pięknym nie był, w téj chwili jednak, Boże odpuść, wyglądał jak potępieniec! Kosmyki włosów

sterczały na skroniach, z łysiny pot spływał na nos, na policzki, z pod rozpiętéj koszuli widniała czerwona szyja i nagie, gwałtownie falujące piersi; z wielkiego gniewu do słowa przyjść nie mógł, połykał ślinę i zaciskał potężne pięści.

— Jegomość — szepnęłam niby z delikatności, w istocie zaś głosu mi brakło, — jegomość strasznie wzburzony!

— Panie mój!—ryknął, tłumiąc gniew—tu pies wściekły oszalałby z gniewu, cóż dopiero zwykły człowiek! Słuchaj jéjmość!

Przysiadł na krzesełku u drzwi i znowu powstał.

— Słuchaj jéjmość, dziś wyjeżdżam, wrócę jutro wieczorem, rozumiesz?... Żeby mi do tego czasu malarza w domu nie było! Zabiję go, zmiażdżę, na kawałki posiekam i srokom oddam, jeśli ten psubrat jeszcze mi w drogę wlezie choć na minutę! Włóczęga, Barabasz, hajdamaka jakiś! lu...dzi... mnie... buntuje!... Czart go strzegł... byłbym go w téj chwili do piekła odprawił, żebym przy robocie znalazł! Nauczyłbym kanalię! Jéjmość sama się z nim rozmów; kaplicy nie skończył, ale dyabeł go bierz, sprowadzę innego! dziś jeszcze każ go psami wyszczuć. Urwis! Słyszane rzeczy! Onegdaj Jaśko stajenny powiada do ekonoma, że jest taki dobry jak i każdy inny we dworze, bo malarz mówił, że tu wszyscy biedni i ciemni! Dziś w smolarni robotnicy podobne banialuki gadają, chleba krzyczą, kartofli, o głodzie pracować nie chcą, leżą w lesie jak barany, żaden do roboty iść nie chce, dopóki ciepłéj strawy nie dostaną! A wszystkiego ten Barabasz narobił: snuje się między nimi o świcie, o zmroku, w każdéj porze, przemawia, zapytuje, kiwa głową jak nad

umarłymi! Sam widziałem! Ha! że ja go żywcem wypuścić muszę!

Mówił coś jeszcze o chłopach, o porządku, krzyczał, harmiderował, wypluwając co chwila imię malarza z największą nienawiścią. Rzucał się przytém po pokoju jak postrzelony niedźwiedź. Dopiero gdy wybiegł, ocknęłam się ze zdziwienia, żal i strach mię ogarnął. Wyprawię go jakkolwiek, powiem całą prawdę... Pójdzie w świat, zkąd przyszedł... W romanse nie wierzyłam, wiary małżeńskiéj dochowywałam święcie, a jednak jakieś głupie łzy stanęły mi w oczach, gdy o całéj téj sprawie rozmyślałam w cichości. Pracował u nas od trzech miesięcy, oswoił się już trochę, utył i poweselał; myślałam, że do jesieni odkarmię go jeszcze lepiéj, że wyjeżdżając, zabierze zapas zdrowia, sił i trochę nowéj bielizny, którą przygotowywać zaczęłam.

Ładny to był chłopak, ale nie o tém chciałam mówić; wielu ładniejszych widziałam żywych i na obrazach, a żaden tak bardzo w oko mi nie wpadł, chociaż w pierwszéj chwili pewną byłam, że jest waryatem. Pamiętam, tego dnia, kiedy przyjechał, stałam na ganku, na tym samym ganku, prawie na tém samém miejscu, gdzie dziś siedzę; wówczas wyglądałam trochę lepiéj; mówią, że za młodu nawet dyabeł jest ładny, cóż dopiero dyablice, raczéj kobiety,—prawie wszystkie bywają nieszpetne. Było to na początku wiosny; śnieg spłynął już zupełnie, za stodołą, za stajniami i oborą widniało czarne pole, gdzieniegdzie tylko między zagonami szarzały pasy brudnego lodu. Na dziedzińcu zieleniała trawa wkoło klombu i przy budynkach, pomimo to wiosną nie pachniało. Ranek był mglisty, szary; na całym świecie ranki takie bywają

tylko w późnéj jesieni, na pińskich błotach zdarzają się w każdéj porze roku. Dziś jest trochę inaczéj—błota osuszono, ludziska w braku czegoś lepszego chociaż słońce oglądać mogą. Dawniéj mgła biaława wisiała w powietrzu od świtu do nocy, a gdy słonko przekradło się przypadkiem, albo wiatr ciepły rozwiał mgliste chmury, wówczas, jak okiem zajrzéć, widniała woda, poprzerywana tatarakiem, rąbkami czarnéj ziemi, albo łąką kępiastą, porosłą olszniakiem; zieloność przytém martwa, żółtawa, kawałka porządnéj trawy nie widać. Słowem, smutno patrzéć. Kiedym tu przyjechała z mężem po ślubie, myślałam, że zamrę z tęsknoty. Z ganku, z okien widać tylko błotnistą równinę: za dworem—kępy, porosłe ostrą trawą, las gęsty nieprzebyty, w którym téż wśród spróchniałych dębów, powywracanych brzóz i olsz drzemały błotniste jeziorka. O mało nie wyłam z żalu i tęsknoty. Wkrótce przywykłam; mgła, wilgoć, pochmurne niebo i ten spokój, przerywany krzykiem czajki, albo słabym, ginącym w przestrzeni głosem ludzkim, tworzyły razem dziwnie harmonijne otoczenie, w którém, jeśli się człek nie powiesi odrazu, żyje potém, drętwiejąc z dnia na dzień. Nieraz tylko dziwiłam się w duchu, jakim cudem na tych trzęsawiskach stoi nasz dom murowany z facyatą od frontu, murowane budynki, olbrzymi lamus z cegły i kamieni? Przychodziło mi na myśl, że z czasem to wszystko się usunie i zniknie pod wodą, jak owe domy i kościoły w bajkach; a że zwykle na takich tajemniczych jeziorach pływa jakiś przedmiot po dawnych mieszkańcach, pewną byłam, że będzie nim peruka mego męża, którą nosił w wielkie uroczystości. Otóż w ów ranek pamiętny, szary, mglisty i chłodny, ze dwustu chło-

pów stało przed gankiem, oczekując na mego męża, który miał tego ranka wrócić z miasteczka. Wszyscy prawie bosi, niektórzy tylko w łapciach dziurawych, od których sznury okręcały nogi do kolan, w koszulach rozpiętych na piersiach, kożuchy obrócone sierścią na wierzch zarzucili na ramiona, wszyscy bez czapek; kołtunowate włosy zwieszały się na czoło, spadały nad uszami, nadając głowie formę kudłatéj czapki. Głowy pochylone, ręce obwisłe, stali tak już od godziny jeden koło drugiego, ściśnięci w półkole, nieruchomi, milczący, akurat jak te krzaki olszyny wyrosłe na błotach. W lasach urządzano smolarnię, zwołano ich tedy całą gromadę, żeby wybrać młodszych i silniejszych. Nigdy jeszcze nie widziałam ich tak dużo naraz; przyglądałam się przez okno i żal mi się zrobiło nóg bosych, krzepnących w błocie. Mąż może wcale nie wróci, a w jego nieobecności ja jedna miałam prawo zmienić wydany rozkaz; wyszłam tedy na ganek. Zdaleka już zasłyszałam pluskanie na błotnistéj grobli, rżenie koni i turkot kół, ciągnących się zwolna; wkrótce w bramie ukazały się łby końskie, furman i dwie pańskie figury; wracał tedy z gościem. W tak straszną bezdroż chyba tylko urzędnik w interesie przyjechać może. Pomimo ciekawości, w mgnieniu oka przebiegłam myślą zadysponowany obiad. Wszystko w porządku; w razie potrzeby każę zabić indyka. Zaledwo jednak bryczka stanęła przed gankiem, zmiarkowałam, że gość nie był z tego rodzaju, dla których się ptactwo zabija: miał na sobie wyszarzany kubraczek, obszyty popielatym barankiem, takąż czapczynę, ręce wsunął w rękawy, żeby nie zziębły; gdy wyskoczył z bryczki, spostrzegłam, że był wysoki, zgrabny, a pomimo bla-

déj, zmizerowanéj twarzy, mógłby się nazwać pięknym chłopakiem, gdyby nie oczy, waryackie jakieś, wystraszone jak u zadławionego; wpatrzył się w chłopów zdumiony, jakby pierwszy raz w życiu naród boży widział. Podczas gdy mąż mój, suwając nogami, poszedł w głąb sieni, ja obrzuciłam raz jeszcze wzrokiem malarza; właśnie odwrócił głowę od chłopów, spojrzeliśmy na siebie. Straszne miał oczy—dzikie, przerażone, jakby w téj chwili śmierć własną spostrzegł.

Przelękniona, cofnęłam się do sieni, „jakieś grobowe „oh!" doleciało mi do uszu, nie był to jednak wykrzyknik zmęczonego podróżnego, który prostuje nogi i krzyże po długiéj, męczącéj podróży; było to raczéj głuche westchnienie stu przyduszonych piersi. Pierwsze wrażenie niezbyt miłe; prawie pewną byłam, że na dopełnienie mego domowego spokoju przybył mi jeszcze waryat na kilka miesięcy. Kazałam go pomieścić w pokoju na facyatce i tam mu podać obiad, pod pozorem, że może zechce wypocząć po drodze. Siedząc w jadalni, słyszałam, jak chodził szybko w swoim pokoju, a chociaż zanoszono mu każdą potrawę, nie jadł zapewne, bo chodzenie nie ustawało ani na chwilę. Parę razy mimowoli spojrzałam na sufit, a jednocześnie dwie rezydentki, siedzące naprzeciw mnie u stołu, szturgnęły się łokciami. Obie miały czyste kołnierzyki i skonfudowane miny; podżyłe pannice czyhały widocznie na nową znajomość; zapewne do obiadu położyły już parę pasyansów, każda na swoją dolę, mówiąc przytém koronkę do Przemienienia na intencyę swego stanu.

Obie gorliwie pragnęły wyjść za mąż, a każdy nieżonaty mechanik, pisarz, dzierżawca lub rządca figu-

rował w postaci króla karowego, kierowego, treflowego przez cały dzień na stole w panieńskim pokoju. Jeśli przypadkiem, zajrzawszy do panien, znajdowałam na stole rozłożone karty z królem na środku, zgarniały je natychmiast, albo, skonfudowane, oznajmiały, że to na intencyę proboszcza kabałę kładą, czy dobrodziéj prędko z choroby się podniesie i czy prędko ze mszą św. do naszéj kaplicy przyjedzie. Wiedziałam, o jakiego proboszcza tu chodzi, kościołem zaś było puste staropanieńskie serce, w którém żadne bóstwo mieszkać nie chciało. Cha, cha! oj miałam ja dość kłopotu z temi rezydentkami przez całe życie. Rzadko którą za mąż wydać zdołałam; najczęściéj musiałam zjadać zcukrowane konfitury, wypijać spleśniałe soki, które mi te dobrodziéjki, gniewne na świat cały, psuły, smażąc niedbale. W dodatku ogadywały mię, jak mogły; według nich, byłam harda, sztywna i skąpa, cały dwór w garści trzymałam i — zażywałam tabakę, chociaż ostatniéj przywary nauczyłam się dopiero w podeszłym wieku, gdy mąż mój został prezesem izby kryminalnéj w Mińsku.

Wszystkie te dalekie kuzynki, sieroty z porządnych rodzin, chrześniaczki, bratanki, którym dawałam schronienie i opiekę na czas jakiś, miały jakoby osładzać moją samotność, dopomagać w gospodarstwie; w istocie ja jedna o wszystkich myśléć musiałam, znosić kaprysy, fantazye i za to wszystko uchodzić za Heroda, sknerę pierwszorzędną; niektóre opowiadały, że do mleka, wydawanego dla czeladzi, kazałam wody dolewać.

Tak to mię czerniły te ptaszynki-sierotki i kuzyneczki. O cnotę moją dbały częstokroć więcéj, niż o swoją własną, a jeślibym przez płochość czy przez

nierozwagę chciała wpaść np. w czyjeś ramiona, każda z nich uprzedziłaby mię chętnie, byle tylko mój honor ocalić. Miały więc i dobrą stronę te moje rezydentki. To téż nazajutrz, gdy przy rannéj kawie mąż oznajmił, że malarz najprzód mój portret wymaluje, a potém dopiero weźmie się do obrazów w kaplicy, obie rezydentki spojrzały na siebie znacząco. W ich myślach zapewne byłam już zgubioną— sam na sam z malarzem codzień przez parę godzin! Żadna z nich nie wytrzymałaby tak ciężkiéj próby bez pomocy bożéj, chociaż obie o lat dziesięć były starsze ode mnie. Naraz zaczęły mi doradzać, jak się mam ubrać, jak uczesać, żeby i pięknie i poważnie wyglądać, jak przystało na zamożną obywatelkę, mającą dwór murowany i kilkaset sztuk bydła w oborze. Miałam tedy objuczyć się wszelkiemi klejnotami, przywdziać suknię jedwabną, kwiecistą jak ornat, a figurę przykryć szalem tureckim, który na owe czasy kosztował sześćdziesiąt dukatów, akurat tyle, co dziesięć wykarmionych wieprzów, obliczając na gospodarską monetę. W bawialni miałam już kilka kobiecych portretów, udekorowanych we wszelkie rodzinne kosztowności; była to matka, babka i ciotki mego męża; wśród nich matka moja, ładna, wytworna dama, w wysokiéj, upudrowanéj fryzurze, wygorsowana należycie, z perłami we włosach i różą w malutkiéj rączce, wyglądała jak kwiatek egzotyczny obok bujnego warzywa w ekonomskim ogródku. Do szanownych, suto przybranych sędzin i podsędkowych z pińskich błot należéć nie chciałam; między mną i moją matką leżała fortuna, zrujnowana na zbytki i bale; pozostałe szczątki nie pozwoliły mi się wykierować na tak wykwintnie ele-

gancką damę. Byłam sobie tém, czém byłam—jedną z pięciu córek niegdyś zamożnego domu. Mąż mój pokochał mię za to, żem wprawnie robiła pończochę; zostawszy panią licznego dworu, musiałam z obowiązku i potrzeby rozwinąć w sobie zamiłowania gospodarskie. Doglądałam tedy przędziwa w garderobie, a chociaż od brudnych kożuchów i grubych spódnic prządek było tam i brudno i cuchnąco, przesiadywałam nieraz całemi godzinami, gdyż bez dozoru połowy roboty nie zrobiłyby; gderałam téż nieraz, bo za pańszczyźnianych czasów głodem tylko i rygorem stał porządek; głodu u nas nie było, ale rygor utrzymywać musiałam. W apteczce, w śpiżarniach rezydentki i ochmistrzynie tylko nieład robiły, okradałyby może, gdyby nie regestra, które sama akuratnie prowadziłam. Od rana tedy do nocy byłam gospodynią i jaką jeszcze! Od sędzin jednak i podsędkowych wyróżniałam się powierzchownością, odziedziczoną po matce; każda stara myśli, że była ładną za młodu, otóż i ja tak myślę, a przynajmniéj pewna byłam tego wówczas, ubierając się do malowania.

Rezydentki odprawiłam wraz z bogatemi strojami; do gładko uczesanych włosów wpięłam bukiecik świeżych fijołków, takiż bukiecik przypięłam na piersiach do popielatego stanika, a przez cały czas myślałam o tém tylko, jak się wydam malarzowi: czy odrazu pozna we mnie kobietę, co wybornie urządza wędlinę i przez jeden wieczór może zrobić parę wełnianych skarpetek, czy téż przyjmie mię za wielką panią, któréj pokojówka nakłada pończochy, a garderobiana zawiązuje spódniczki? Bardzo byłam ciekawa, jakie téż na nim zrobię wrażenie. Wiedziałam od męża, że cho-

ciaż wygląda nieosobliwie, jednak jest człekiem bywałym, uczył się za granicą... nie ważna tam wprawdzie nauka, gdyż poszedł po nią pieszo, z tłómoczkiem na plecach, ale zawsze bywał między ludźmi; wyprawili go ztamtąd jakoby, bo się rozpił; inni mówią, że spiskował we Włoszech przeciw cesarzowi chińskiemu! Słowem, był trochę awanturnikiem, bywalcem, młodym i jakby smutnym; wszystko to, razem wzięte, wśród pińskich błot mogło zawrócić głowę... rezydentkom; ja miałam męża, który mię co wieczór całował w czoło na dobronoc, a w rękę, dziękując za obiad; wobec téj czułości niewdzięczną byłabym, poświęcając innemu chociaż odrobinę próżnych myśli. Jako gospodyni, musiałam jednak myśléć o gościu, a szatan obrał właśnie tę drogę, żeby trafić do mego serca.

Malowanie miało się odbywać w narożnym pokoju o czterech oknach, najjaśniejszym z całego mieszkania. Dnia tego słońce zajrzało do wszystkich okien naraz, na dworze wietrzyk wiosenny poruszał obnażonemi gałęziami; kazałam tedy rozwiesić wszystką wędlinę dla przewietrzenia, a sama poszłam do sali, gdzie na mnie czekał już malarz. Na moje uprzejme powitanie skłonił się w milczeniu i, nie patrząc na mnie wcale, kazał usiąść na przygotowaném krześle. W téjże chwili usłyszałam cichutkie stąpanie za drzwiami, klamka poruszyła się zlekka — obie rezydentki były tedy przy dziurce od klucza, biedaczki dusiły się zapewne, żeby nie sapnąć głośniéj. A malarz, obrócony do mnie plecami, wciąż ustawiał stalugi, maczał kredkę w ustach, próbował na płótnie i znowu do ust podnosił. Żeby na moje powitanie odpowiedział choć jedném słowem, choć wejrzeniem przynajmniéj, zaraz zaczęłabym roz-

mowę; wobec milczenia czułam się onieśmieloną, nadrabiałam wprawdzie rezonem i wciąż głowę to w prawo, to w lewo zwracałam, w pierwszéj chwili jednak nie mogłam odzyskać zwykłéj swobody. Może nocleg miał zły? może mu do kawy śmietanki nie dali?—przemknęło po głowie; odtąd postanowiłam więcéj się o niego troszczyć; blade, zapadłe policzki chłopaka mogłyby wzbudzić litość nawet w starszém sercu niż moje.

Już miałam go zapytać, jak noc przepędził, kiedy, urządziwszy należycie przybory, zwrócił się do mnie. Odstąpił kilka kroków, brwi ściągnął i mierzył mię badawczo od stóp do głowy; wrażenia ani śladu, z taką samą miną patrzyłby zapewne na łysą głowę mego męża. Poskoczył, schwyciwszy mię za ramię, na przód pochylił, znowu się cofnął i patrzył; nakoniec za brodę mię ujął, obrócił głowę profilem, podjął do góry, zaglądał z boku, wprost, mruczał coś przytém, wywijając kredką, trzymaną w ręku. Zapewne były to manewry czysto malarskie, nie podobały mi się jednak. Dla mnie nawet proboszcz w kościele zachowywał pewne względy, a kropiąc lud wodą święconą, zwykle mój świeży kapelusz omijał; ten zaś malarzyk traktował mię jak najzwyczajniejszą modelkę! w potrzebie możeby nawet za ucho pociągnął! Pewną byłam, że dotąd malował tylko starych księży i łysych prezesów; nawet dziwném mi się wydało, jak mogłam myśléć o jakiémś wrażeniu. Widocznie był nizkiego pochodzenia, świadczyły o tém duże ręce, nogi, maniery dziwne, które ładnéj kobiety od brzydkiéj odróżnić nie dozwalały. Być może nawet, że się upijał; kto wie, może i teraz nawet nie był zupełnie trzeźwym? Mój mąż, wioząc tę

osobliwość aż z miasta, mógł też wybrać coś lepszego; przez cały miesiąc przesiadywać po parę godzin z bandytą, z gburem, który, biorąc za brodę, nie raczy nawet przeprosić — a te głupie rezydentki wciąż przy drzwiach stoją—w ciszy wyraźnie słyszałam ich stłumiony oddech.

Dopiero gdy mnie dostatecznie wymusztrował, raczył zwrócić uwagę na ubranie, na twarz może... złagodniał, uśmiechnął się... wyprzystojniał w jednéj chwili— nic tak nie szpeci mężczyzny, jak obojętność, z jaką na nas patrzy. Tego oczy i zęby były wcale ładne — nie mogłam dostrzedz tych wdzięków, gdy miał najeżoną minę.

— Fijołki w popielatych włosach... wybornie!

Obrzucił okiem dziedziniec, błotniste pola, widniejące przez okna, i znowu na mnie spojrzał. Teraz pewną byłam dobrego wrażenia; jakkolwiek z nizkiego rodu, jako artysta musiał mieć gust i znać się na pięknie; zresztą, kto wie, może i ród nie był nizki — mój mąż marszałkowicz, a ręce i nogi miał większe niż jego.

— Bukiet w staniku można przypiąć niżéj — rzekł,—zresztą wszystko dobrze... doskonale.

Patrzył na mnie coraz więcéj zdziwiony.

— Niech się pani uśmiechnie, spojrzy na mnie... długo, żeby wzrok nabrał spokoju i pewności... ot tak!

Musiałam patrzéć uśmiechnięta, jak zalotnica! Żebyż przynajmniéj mąż mój nie wszedł na tę chwilę!

— Z uśmiechem źle, spróbujmy powagi... zresztą trudno o piękniejszą całość; sądzę, że portret wyjdzie dobrze.

Tą dobrocią rozbroił mię ostatecznie. Teraz, zabierając się do kreślenia pierwszych szkiców, poruszał

się z wdziękiem, zręcznie, swobodnie, a chociaż milczał, twarz wyrażała uprzejmie ożywienie,—musiał przypadkiem może obracać się w porządném towarzystwie. Zresztą, co mi tam do jego przeszłości; teraz jest naszym gościem, winnam mu względy i uprzejmość. To też gdy posiedzenie miało się ku końcowi, przemówiłam do niego z dobrocią:

— Waćpan zapewne się nudzi sam jeden w pokoju? Wczoraj, po drodze, nie chciałam waćpana turbować, więc teraz proszę uprzejmie w wolnych chwilach po pracy do nas zaglądać. Po obiedzie grywamy w karty, czasami moje panny śpiewają przy klawicymbale; nieosobliwa to wesołość, ale zawsze lepiéj, niż w samotności siedziéć.

Czułam, że się rumienię, że słowa wychodzą nieskładnie; radabym przemówić serdeczniéj i zbyt uprzejmą być nie chcę.

— Dziękuję — odrzekł,—nie znam okolicy, chcę skorzystać z czasu, zapoznać się z ludem, z krajobrazem, dziękuję pani.

Akurat takim stylem zapisywałam gospodarskie rachunki.

— Chodzić teraz trudno, mamy tylko jednę drogę przez groblę; błoto straszne, konie z trudnością ją przebywają.

— Jednak ludzie chodzą; wczoraj do dwustu ludzi widziałem tu przed gankiem.

— Chłopi!

— A, przepraszam! Od wczoraj jestem na wsi, nie umiem jeszcze przedmiotów nazywać właściwém imieniem.

Zpochmurniałam: udałam, że nie rozumiem przymówki; widocznie żałował chłopów, nic w tém złego nie widziałam.

— Jeśli waćpan koniecznie chcesz spacerować, każ sobie siodłać konia; pieszo mi nie chodź, obuwia szkoda, a na zdrowie niedobrze nogi zbytecznie zamaczać. Przedewszystkiém bądź u nas jak w domu, bez ceremonii; a jeśli zatęsknisz do ludzi, przechadzki, i chłopi dokuczą, przychodź do nas, zawsze ci radzi będziemy. Kart może nie lubisz? mamy szachy, domino, do partyi zawsze się ktoś znajdzie. Nie chciałabym, żebyś się u nas znudził, a cały dzień przecież malować trudno.

Podałam mu rękę; trzymał przez chwilę, jakby nie wiedział, co z nią zrobić, w końcu podniósł zwolna do ust i pocałował; ja téż pocałowałam go w czoło. Odtąd byliśmy dobrymi przyjaciółmi. Zdarzało się, że do malowania przychodził nieraz chmurny, przygnębiony, w zabłoconych butach, do roboty zabierał się zwolna i długiemi chwilami spoglądał przez okno w pole, gdzie pod lasem czerniało kilkanaście chat nizkich, niby kupki czarnoziemu. Odwróciwszy oczy od okna, spoglądał na mnie ponuro, jakby z żalem.

— Czy pani tu nie duszno?—zapytywał—dobrze, swobodnie żyjesz pani, jak ptaszę, trzepocząc się między śpiżarnią, salonem i sypialnią?

— Ależ gdzie tam! do salonu nieraz przez cały tydzień nie zaglądam, do sypialni w dzień prawie nie wchodzę. Teraz, na wiosnę, roboty dużo w ogrodach, w polu; bielenie płótna i nici, z ptactwem kłopotu mam dużo.

I tak z kolei wyliczałam mu wszystko, co się robi w téj porze w dobrze zagospodarowanym domu. Słuchał niby, to jest patrzył mi w oczy ołowianym wzrokiem.

— Bierzmy się do pracy — odpowiadał zwykle spokojnym, zupełnie innym głosem, i już do końca posiedzenia nie mówił do mnie ani słowa.

— Nudzi się!—powtarzałam zdziwiona.—Wiosna na dworze, ptaki wszystkie wróciły, co godzinę słychać nowy głos starego znajomego; rośnie wszystko, rozwija się, zielenieje; nawet bydło i owce, wracając z pola, podskakują jak opętane, a on się nudzi!

Gdy myślałam o tém, w pamięci, w sercu, które do śmierci bywa głupie u kobiety, rodziły się dawniejsze wspomnienia; i ja nudziłam się tu kiedyś, dawniéj, dopóki w głowie majaczyły panieńskie zachcianki. Wspomnienia uczyniły mnie pobłażliwszą dla malarza,— spoglądałam na niego z coraz większém współczuciem. Podczas malowania w pokoju panowała cisza; muchy tylko, ogrzane słońcem, odżyły gromadnie, obsiadły okna, sufit, pełzały po podłodze; słońce ogrzewało mi zwykle plecy i szyję; rozkoszne ciepło orzeźwiało z początku, w końcu ogarniało mię dziwne lenistwo, potrzebowałam przeciągać się jak kotka, zdrzemnąć trochę. Teraz dopiero zrozumiałam, dlaczego kobiety, pieląc, albo żnąc w polu, zasypiają między zagonami jak nieżywe — to słońce tak je do snu kołysze. Ziewałam ukradkiem, ile razy malarz obrócił się do mnie plecami. Żebym mogła wówczas robić pończochę, uchroniłoby mię to od wielu pokus. Bezczynna, musiałam się przyglądać malarzowi z profilu; nos miał cienki, czoło wysokie, oczy głęboko osadzone; w oczach téż najwię-

céj było widać znudzenia czy tęsknoty. Czasami zdawało mi się, że znałam kogoś podobnego; w myślach przeglądałam wszystkich swoich krewnych i znajomych,—chwała Bogu, każdy z nich wyglądał zdrowo, rumiano; byli między nimi zatłuści i zaczerwieni,—bladych i chudych ani na nasienie; widziałam go chyba we śnie, albo w głupiém panieńskiém marzeniu. W młodości marzyłam nieraz o awanturach miłosnych, w których sama byłam bohaterką. Ileż to razy, idąc do lasu po grzyby, po jagody, pewną byłam, że spotka mię królewicz, albo pan znakomity, pokocha odrazu i za żonę pojmie! Lada szelest w krzakach, wiewiórka poskoczy, zając przebiegnie: to on!—myślę strwożona, drżę zlekka jak głupia trusia, oczy mam spuszczone i czekam tylko, kiedy z za dębu usłyszę głos męzki: „a dokąd śpieszysz, nadobna dziewico?” Pewną byłam, że w te słowa powinien do mnie przemówić. Gdy szelest ucichnie, oglądam się dokoła — drzewa stoją, jak stały, a tylko wpośród gęstych liści jagody kaliny śmieją się z mojéj głupoty. „Nie dziś, to jutro”—pocieszałam siebie, wracając markotna do domu. Czasami, dla odmiany, roiłam, że jakiś wędrowiec ubogi, ale piękny, wysmukły, długowłosy, zakocha się we mnie śmiertelnie. Nieznany, bez koligacyi, bez majątku, o rękę pretendować nie śmie, więc schnie z miłości, a ja go leczę ziołami różnemi na poty i na wzmocnienie, płaczemy razem nieszczęśliwi kochankowie, rozdzieleni okrutném prawem losu.

Marząc tak, spłakałam się nieraz jak na pogrzebie; szlochałam, o mało mi serce nie pękło z żalu; uciekałam wówczas gdzieś na koniec ogrodu, a jeśli przypadkiem która z sióstr, spostrzegłszy zapuchłe oczy

i nos czerwony, wypytywała troskliwie o powód smutku, kłamałam naprędce jakąś chorobę, ból żołądka najczęściéj. Kładli mię do łóżka, poili ziółkami, a ja, przymknąwszy oczy, marzyłam daléj, że z miłości umieram i że mój chudy długowłosy umarł dziś rano. Łkałam przytém, jakby mię naprawdę choleryczne kurcze porywały. Mąż mój nieboszczyk do królewicza podobnym nie był, do romantycznego wędrowca mniéj jeszcze; to téż jak kamień grobowy przypieczętował wszystkie moje marzenia.

W pierwszym roku po ślubie roiłam czasami, spoglądając na olbrzymie jastrzębie, unoszące się w ciemnych chmurach; ot, głupia, myślałam ni z tego, ni z owego, że to myśli moje smutne w postaci tych czarnych ptaków uleciały gdzieś pod niebo. „Więc ani rycerz, ani wędrowiec... nikt już!—powtarzałam nieraz—chociaż ta okolica samotna, lesista, jakby umyślnie stworzona jest dla tajemniczych wędrowców.” Spluwałam na marne myśli i coraz częściéj odmawiałam modlitwę do Świętéj Zenobii, patronki wiernych małżonek.

Z początku, przez machinalną jakąś ostrożność, otrząsałam się ze śmiesznych, dawno zapomnianych myśli, pomimo że malarz coraz więcéj przypominał mi „wędrowca;” siedząc przed stalugami, umyślnie obliczałam, ile owiec dziś ostrzyżono, ile kurcząt wyszło, czy wystarczy mąki na chleb, zanim świeżą z młyna przywiozą. Nawet nogą stukałam niecierpliwie, ile razy wątek pożytecznych myśli zerwał się nagle. Wówczas malarz zapytywał mię, nie przestając szkicować:

— Nudzi się pani? Jeszcze dni kilka, potém sam już poradzę; zapewne w gospodarstwie robota pilna, pani żałuje czasu?

— Maluj waćpan bez pośpiechu, mam się kim wyręczać. A nogą poruszam z przyzwyczajenia: dawniéj często na kołowrotku przędłam.

Uśmiechał się.

— Nigdy jeszcze nie widziałem tak szczeréj kobiety, jak pani—powiada, ani się domyślając, że w téj właśnie chwili skłamałam z pewną miną.

Kilka dni już tylko!... Wcale mnie to nie pocieszyło. Malowanie było dość zabawne, chociaż malarz milczał, a ja téż niewiele gadałam. Każdego dnia czekałam, że mi coś powie niezwykłego... że przypomni się dawnéj znajomości; serce drgało jak przestraszone. „Święty Boże, co się ze mną dzieje!—powtarzałam w duchu, — słabość dziwna jakaś... trzeba zacząć pić krwawnik z centuryą.” Pobladłam trochę. Chociaż to był fałsz wierutny; nigdy zdrowszą, szczęśliwszą nie byłam. Ogród, łąki, błota nawet wyglądały jaśniéj, weseléj tego roku; każdego dnia raniutko, kiedy otwierałam okno, a świeże, wonne powietrze oblało mię całą, łzy miałam w oczach ze szczęścia, jakbym dopiero dziś na świat przyszła. Pięknie tu, rozkosznie, wesoło, a dawniéj patrzéć nie umiałam. Wszystkie dary boże mają swą piękną stronę. A gdy wśród myśli dziękczynnych mąż mój mi się przypomniał, spluwałam niechcący, chociaż i on był darem bożym. Nie widywałam go zresztą po całych dniach; w lesie pędzono smołę, karczowano pasiekę, kilkuset ludzi pracowało od świtu do nocy; sterczał więc w tém mrowisku, często nawet obiad zaniedbując; a gdy wracał wieczorem, gderał na mnie, że do lasu nie zajrzę, fabryką się nie cieszę, że wogóle jestem obojętną na dobro i dobytek. Malarza mi przytém za przykład stawiał:

— Obcym jest—powiada,—a codzień o świcie albo o zmroku do lasu zagląda; wypytuje się, na robotę zważa. Kat go tam wie, po co nos wścibia w cudze sprawy; widocznie człek ciekawy jest, może i pilny nawet. Żebym wiedział, że nie złodziéj i niefolgujący, dozorcą bym go nad robotami uczynił; płacę dałbym uczciwą i ordynaryę ekonomską, a więcéjby zarobił, niż na tém malowaniu ślamazarném. Jéjmość tam z nim pogadaj, ale wprzód wymacaj należycie, jakiego usposobienia, jakich myśli jest; jeśli hajdamaka jaki, to już go wolę zdaleka trzymać; cudzego człeka do chłopów dopuszczać nie warto; czart sam nieraz takiego piwa nawarzyć nie potrafi, jak włóczęga niegodny. Wybadaj go jéjmość chytrze, po babsku; przy dobréj woli wy umiecie z dyabłem w zawody chodzić.

Głaskał mię przytém pod brodę ręką, cuchnącą smołą. Zamiast modlitwy, to moje umartwienie ofiarowałam Świętéj Zenobii. Z malarzem zaś od jutra postanowiłam zacząć dłuższą rozmowę, a że twarz miewał coraz smutniejszą, o tęsknotę go serdeczną podejrzewać zaczęłam.

— Waćpan markotnie wygląda — rzekłam raz, kiedy zmęczony położył kredkę na chwilę i zacierał ręce.—Masz waćpan matkę, rodzeństwo? Prawie cały miesiąc widuję waćpana, a dotąd jeszcze nie wiem nic o nim. To mi się pierwszy raz przytrafiło. Zwykle człek, wchodzący do mego domu, już dla mnie obcym być przestaje; chcę go znać, nie przez ciekawość, bo chociaż kobietą jestem, wady téj nie posiadam, ale przez ludzkość; z dobrym znajomym żyć łatwiéj, w strapieniu łatwiéj mu do duszy serdecznem słowem trafić. Otóż i waćpan powiedz szczerze, możeś dawno wiado-

mości od swoich nie miał, może listów czekasz? Teraz, chociaż czas pilny, konie i ludzie w robocie, chłopaka stajennego na pocztę poszlę po wiadomość, albo z waszym listem. Powiedz, proszę, a miny takiéj nie trzymaj, bo mnie często aż w sercu kole, gdy na waćpana patrzę.

Słuchał, patrzył na mnie dobrém, łagodném okiem; pokręcił głową zwolna.

— Nie mam rodziny—odrzekł,—nikogo nawet z dalszych krewnych nie mam.

Akurat jak mój chudy, długowłosy wędrowiec. Mimowoli poprawiłam narcyz we włosach. Sierota biedny, niech mu przynajmniéj świat boży miléj się wydaje.

— Więc tak sam jeden, ani żywego ducha z rodziny, krewnych? To być nie może.

— Biedak ma więcéj braci, niżby sam chciał—mówił jakby do siebie;—każdy nędzarz, idący przez życie o suchym chlebie, to mu brat, więcéj nawet, towarzysz, współpracownik na jedném polu mozolnéj pracy; każdy, co myśli, czuje i cierpi, próbuje walczyć według sił i możności, to téż mu brat, towarzysz, któremu pierwéj czy późniéj rękę podać trzeba przy wspólnéj robocie.

— To po chrześciańsku—rzekłam.—Widocznie miałeś waćpan pobożną matkę.

Skrzywił się ironicznie, jakby nietylko w Boga, ale i w dyabła nie wierzył. Nie zdziwiłam się wcale. Młody był; chodząc po świecie, nałapał myśli różnych, więc i o wierze swoje przekonanie miał. Proboszcza rzecz nawracać; ja chciałam rozweselić go trochę, pocieszyć w razie zmartwienia.

Widząc, że coraz chętniéj z nim rozmawiam, opowiadał o swoich przechadzkach do wioski, o chatach ciemnych i brudnych, słabych dzieciach, o chłopach wycieńczonych pracą; zapalał się przytém oburzony, jakby raptem z nieba na ziemię spadł i najzwyczajniejsze sprawy po raz pierwszy oglądał.

My, kobiety, zawsze lepiéj znamy życie, niż mężczyźni, chociaż ich królewskie moście zagarnęli sobie najwyższą instancyę we wszelkich sprawach, a spoglądając z góry na wszystko, widzą albo wierzchołki tylko, albo bardzo wybitne, grube rysy. Dla świętego spokoju z mężem nigdy o chłopach nie rozmawiałam, rozumiałam jednak, że nie wszystko, co jest, być powinno. Wydając z apteki lekarstwa, wiedziałam, ile ludzi marnie ginie na kołtun, żółtaczkę, na osłabienie i zbyteczną robotę przedewszystkiém; dzieci szczególnie, chude, na krzywych nogach, z dużemi brzuchami, wyglądały nędznie, jakby z połową duszy na świat przyszły. Jeśliby u nas takie cielęta rodzić się zaczęły, przez parę lat zmarniałaby cała obora. To téż przy każdéj gospodarskiéj robocie pamiętałam o nich, i czy wieprzowinę na zimę urządzałam, czy mąkę i krupy z młyna do śpichrzów przyjmowałam, zawsze część pewną, chociaż niewielką, „dla drobiazgu” odkładać zwykłam; taki już był zwyczaj u ś. p. babki mojéj. Przed malarzem nie miałam potrzeby o tém wspominać; on zaś, widząc, że słucham w milczeniu rzeczy, które umiem na pamięć, pewno myślał, że serce mam niegodne i biedzie ludzkiéj nie współczuję.

Wiedziałam teraz, zkąd przychodzi z rana spocony, w zabłoconych butach; z wieczora téż, ledwo słońce zajdzie, chłopi do chat wrócą, zdaleka widzę już, jak

sadzi przez płoty, przez łąkę, przeskakując z kępy na kępę, ku wiosce pod lasem, albo do drugiéj za groblę. Bodajby gdzie na trzęsawisko nie natrafił, zginie marnie—myślałam nieraz; w roku zeszłym para wołów zginęła tym sposobem. Wracał pieszo, wśród szaréj nocy letniéj poznawałam go z ganku po dużym słomianym kapeluszu, a gdy wchodził na dziedziniec, usuwałam się do pokoju. Nie dobrowolnie, Bóg widział, nieraz z żalem nawet, ale tak należało. Rezydentki zdarłyby sobie języki nazajutrz, opowiadając wszystkim pod sekretem o mojéj hańbie; w garderobie dziewczęta szeptałyby, wykrzywiając się złośliwie za memi plecami. W nocy na ganku chyba ze starym proboszczem można byłoby posiedzieć bezkarnie, ale któżby tam siedział z proboszczem! Rezydentki i bez tego coraz żałośniéj wspominały o markotnéj twarzy malarza, domyślając się, że pewnie zakochanym być musi.

— Waćpannom zawsze kochanie w głowie. Panny po trzydziestu latach tylko swego świętego patrona kochać winny i tylko o miłości Boga rozprawiać—moralizowałam, jak należało pani domu i wiernéj małżonce.—Markotny! Człek, który świętych pańskich malować zamierza, dom boży przystraja, musi przecież poważniéj wyglądać, niż lada frant, co się do dziewcząt w garderobie zaleca. Przymilać się do niego nie radzę, bo to i czas i praca stracone; mówił, że dla staropanieństwa pożałowanie i respekt ma wielki, ale nic więcéj; małżonki dla siebie w innéj sferze szukać zamyśla, to jest wśród młodych i ładnych.

Czy uwierzyły—nie wiem; odtąd jakoś mniéj na niego zwracały uwagi, zostawiając nam przeto więcéj

swobody, gdyśmy się spotkali przypadkiem w ogrodzie lub na ganku.

Portret był już prawie skończony; malarz przez cały dzień pracował w kaplicy, widywaliśmy się tedy coraz rzadziéj, gdyż nawet na obiad do nas nie przychodził, spostrzegłszy, że mąż mój parę razy widoczną mu niechęć okazał. Widział go nieraz, jak w niedzielę nad jeziorem wśród gromady chłopskiéj dziatwy siedział, książki im jakieś i obrazki pokazując; widział przytém, jak w lesie albo za parkanem dworskim z najemnikami rozmawiał, a ci, jak tylko spostrzegli go na drodze, kłaniali się jak dobrzy znajomi; szturgając się łokciami, szeptali o czémś między sobą. Chłopi lgnęli do niego; nawet służba dworska, dość harda zwykle, ustępowała mu z drogi, witała uprzejmie. Nieboszczyk, z natury podejrzliwy, przytém głuchy na jedno ucho, cichéj rozmowy znieść nie mógł, w szeptach domyślał się knowań i spisków, a z samotnych spacerów malarza najgorsze wnioski robił.

— Człek nieraz, nie szukając, biedę znajdzie— pomrukiwał do mnie, niby grzmot przed burzą;—wioząc go, sądziłem, że wiozę biedę z pokorą, tymczasem...

— Omyliłeś się jegomość tylko przez połowę.

— Żebym się nie zaangażował względem kaplicy, świętych obrazów... kto wie!

— Świętym należy dotrzymywać słowa, chociaż nie wszyscy ze szlachty pochodzą.

— Jéjmości zawsze żarty się trzymają. A ja powiadam, że chłopomanów więcéj jeszcze niż chłopów się lękam.

— Jegomość nikogo się nie obawia; po co czmucić ludzi zajęczym skromem, którego w jegomości ani za grosz niéma?

— Masz jéjmość słuszność. Czasami i kobietom zdarzy się prawdę głęboką wyrzeknąć.

— Kandybianki mają prawdę w herbie.

— A jak taki herb wygląda?

— Ma pięć wieków i dotąd szczury go nie zjadły.

Odchodził udobruchany; lubił, gdy chwalono jego nieustraszony hazard, a ród Kandybów w mojéj osobie szanował coraz więcéj. Moją herbową tarczą osłaniałam trochę malarza; usiłując oddalić burzę, stawałam zwykle po stronie tego biedaka; nie chciałam, żeby go wyprawiono przed czasem. Należało go ostrzedz, żeby się mężowi nie narażał bez potrzeby, z chłopami się nie bratał, a przynajmniéj, żeby to robił ostrożniéj jakoś. Hardy jest, więc z uwagami trzeba przystępować ostrożnie; delikatnie i misternie zarazem miałam przemówić do niego; zawczasu układając przemowę, stawałam na ganku o zachodzie słońca, kiedy zwykł przez dziedziniec na spacer wychodzić. Rezydentki podlewały w téj porze kwiatki na klombach, dziewczęta przynosiły im wodę cebrami, ruch koło domu rozmowie naszéj odejmował wszelką tajemniczość. Chcąc wykazać, że wcale nie czekam na malarza, odwracałam się plecami do bramy, a tak manewrowałam, żeby fałdy białego szlafroczka było widać zdaleka. Słuch miałam doskonały—nieraz przez dwa pokoje słyszałam, jak szczury biegały w śpiżarni—otóż i kroki malarza rozróżniałam wybornie; nie patrząc, wiedziałam, czy idzie pod stajnię, za bramę, albo ku gankowi — biały szlafroczek prawie zawsze był magnetycznym sztanda-

rem. Przychodził zmęczony, siadał na stopniach ganku, o parę kroków od moich nóg; zdjąwszy kapelusz, odgarniał ręką włosy z czoła. Wówczas to chciałam mu szepnąć:

— Waćpan biedy sobie napytasz; jeśli gwałtem wałęsać się chcesz, ruszaj z fuzyą na polowanie niby. Chłop, jak grzyb, wszędzie go spotkasz, po co do fabryki albo po chatach łazić. Z mężem moim żartów niéma; on w kij swój więcéj wierzy, niż we wszelkie prawo boskie i ludzkie.

Mądre to były słowa, serdeczne, należało je wymówić w porę; nie miałam odwagi. W łagodnéj napozór twarzy malarza było tyle hajdamackiéj dumy, że po wysłuchaniu najpewniéj wziąłby kij, tłómok i za godzinę byłby już może na granicy naszych posiadłości. A kaplica? a święte obrazy? a... ja? Bóg łaskaw wybaczy, jeśli wówczas myślałam więcéj o sobie, niż o jego chwale. Milczeliśmy tedy oboje, spoglądając na uwijające się wkoło klombów kobiety. Dopiero gdy zciemniało, ruch ustał, a dokoła rozpoczynała się gwarna cisza wieczorna, pytałam od niechcenia:

— Słyszysz waćpan, jak bąk krzyczy? — szeptałam, niby lękając się spłoszyć ptaka, który gdzieś tam o pół wiorsty dokazywał po swojemu.

Wsłuchiwaliśmy się przez chwilę w koncert żab, błotnych ptaków, którym wtórowała wilga w lesie i puszczyk w starych lipach w ogrodzie. Malarz odurzony mrużył oczy.

— To życie!—szeptał—wspaniałe, swobodne życie natury!

I znowu milczał: widocznie żaby i ptaki mówiły mu o czémś, czego ja zrozumiéć nie mogłam. Ziół tylko

i obyczajów ptaków nie znał; czytał o tém, ale z książek nikt jeszcze natury nie zrozumiał; to téż mu wiele ciekawych rzeczy naopowiadałam.

Dziewczęciem będąc młodém, co ranka niemal, z siostrami, ze sługą do lasu po grzyby, po jagody biegałam—było więc dość czasu podpatrzéć każdego ptaka w gęstych liściach. Znałam cały ten świat, od sikory do jastrzębia. Głosy ich odróżniałam stokroć lepiéj, niż nuty na klawicymbale, a nieraz sama, przyczaiwszy się w krzaku leszczyny, nawoływałam sójki, makolągwy, pliszki, wilgi tak doskonale, że głupie leciały na mój głos gromadnie; usiadłszy na gałązce przy mojéj głowie, kręciły się, szczebiocząc, oglądając się na wszystkie strony. Ja spoglądałam na nie z pośród liści, a napatrzywszy się dowoli, wyskakiwałam z ukrycia, śmiejąc się jak opętana. Były to jedyne istoty, które zwodziłam za młodu; w naszéj okolicy kawalerów brakowało, to téż mając lat osiemnaście, wyszłam za czterdziestoletniego dziada!

Zioła wszelkie znałam lepiéj, niż aptekarz; wśród trawników, na łące, w ogrodzie uczyłam się chodzić, a jeśli nos miałam zgrabny przez całe życie, zawdzięczam temu, że zawsze na miękką trawę padałam; wówczas to już zaczynałam odróżniać praktycznie smak, zapach i kształt przeróżnych roślin, a nazwy tak mi jakoś do mózgu przyrosły, jakbym je znała przed urodzeniem

Opowiadałam więc malarzowi o zaczarowaném państwie naszych lasów, które znałam jak własny kwiatowy ogródek. Słuchał; nie spostrzegłam nawet, kiedy wstał i stanął obok mnie przy słupie, ramieniem prawie mego ramienia dotykając. Przed oczami miałam dwie sosny z jednego pnia wyrosłe, orliki, macie-

rzankę, cząbry i ślazy przeróżne, — cały świat roślin, tulących się ku sobie, i może dzięki temu to ramię obok ramienia przypominało mi tylko niezłomne prawo natury... wraz z również niezłomną siłą zniszczenia... w osobie mego męża, który punkt o dziewiątéj siedział w jadalni przy stole, plecami odwrócony do drzwi otwartych na ganek i zajadał zsiadłe mleko, soląc każdą łyżkę zosobna. Było to hasło do odwrotu; malarz zbiegł ze stopni i znikł w ciemności, ja zaś... do kolacyi nie miałam apetytu, a idąc spać, wypijałam filiżankę gorzkich ziółek na sen i... uspokojenie.

Przez czas swego pobytu malarz należał do osobliwości w naszym dworze. Jeśli się zdarzyli ważni goście—jak marszałek, prałat i tym podobne figury,—po zwiedzeniu stajni, gdzie stały wówczas dwie Sanguszkówny, Ogińska i dwie Arabki czystéj krwi, zwiedzano cielętniki, a potém zaglądano do malarza. Przez drogę gość, zasapany już trochę, gryzł cygaro i pytał półgębkiem:

— Więc maluje? Czy zdolny? Młody? Gdzie się uczył? Kosztowny?

O nazwisko nie pytano; mąż mój zapewne sam o niém zapomniał, mnie zaś ono wcale nie było potrzebne: przy ludziach nazywałam malarza „waćpanem,” w myślach—po imieniu. Gość, chociaż znakomity, niewiele pojmował w malarstwie,—ale, stanąwszy w kaplicy przed stalugami, uwag nie szczędził: dla jednych tło obrazu było zaciemne, święty zajasny, dla drugich naodwrót. Prałat zgorszył się czarnemi oczami Matki Boskiéj, gdyż gustował w niebieskich—upodobanie to znaném było w całéj okolicy.

Malarz uwag nie słuchał, podczas wizyt usuwał się na stronę i stawał zdala w otwartém oknie. Goście mierzyli go wzrokiem od stóp do głowy i widocznie niebardzo im się podobał; wracając z kaplicy, pytali:

— Zarozumialec? Łajdemuś? Pędziwiatr?

Mój nieboszczyk tylko ręką machnął, gryzł się w język, żeby nie wybuchnąć; wolał już mówić o ogierach i cielętach.

Kaplica tymczasem stawała się coraz piękniejszą. Dawniéj była to lodownia, postawiona na wzgórzu, ocieniona dokoła staremi lipami; w końcu, gdy i tu woda na wiosnę podpływać zaczęła, zasypano piwnicę, a murowany budynek nieboszczyk na kaplicę przerobić zamyślił. Otynkowano na nowo, zrobiono w dwóch ścianach cztery długie, wązkie okna, nad ołtarzem okienko z kolorowych szybek. Przywykłam widzióć w tym budynku szereg hładyszów, ponakrywanych deseczkami, pieczenie cielęce i inne mięsiwo, ułożone na słomianych matach,—więc jakoś odrazu ani szacunku, ani poczucia świętości dla przybytku tego nabrać nie mogłam, pomimo że na świeżo pokrytym dachu widniał już krzyż żelazny rzeźbiony.

Raz tylko, w dzień upalny w południe, wracając z folwarku do domu przez ogród, znużona, mimowoli prawie skierowałam się w stronę dawniejszéj lodowni. Wśród zielonych gałęzi kapliczka wyglądała jak nowa, przez otwarte drzwi widniała podłoga, ułożona równiutko z czerwonéj cegły, ściany i sufit bialutki, przez otwarte okna ze szmerem gęstych liści dolatywał zapach lip kwitnących. Malarza nie było. Wśród chłodnéj, wonnéj ciszy kilkanaście pszczół brzęczało pod sufitem, przelatując z jednego okna na drugie. Na sta-

lugach, odsuniętych na środek kaplicy, stał wykończony obraz Matki Bożéj — wkoło niego sześcioro dziatwy z folwarku. Chłopcy i dziewczęta boso, w grubych koszulach, rozpiętych na piersiach, obrócone do drzwi plecami, nie słyszeli, gdy weszłam; z wyciągniętemi główkami ku obrazowi szeptali coś między sobą tajemniczo. Pewną byłam, że palcami świeżych farb dotykają; już miałam spłoszyć łaskawych znawców i jak niepysznych na dwór wyprosić, gdy spostrzegłam, że ręce trzymali za plecami, a ciekawość ich i uwaga pilna wcale nie na obraz były zwrócone. Zbliżyłam się tedy cichutko. Na stalugach u stóp obrazu spostrzegłam długą, równą deseczkę, na niéj czarną farbą namalowane duże drukowane litery: „Matka Boża, opiekunka dzieci.” Malcy pochyleni wymawiali literę za literą zcicha, zdławionym głosem, jakby się pszczół i szelestu liści lękali; stałam tak za gromadką, na jasne główki i chude rączęta spoglądając; jakieś miłe uczucie obudziło się w duszy. A kiedy po długiéj chwili spostrzegłam malarza we drzwiach, ścisnęłam mu rękę serdecznie.

— Jesteś waćpan uczciwym człowiekiem — rzekłam.

Zanim się obejrzałam, dziatwy już nie było—frunęły przez okna kanalie.

Odtąd malarz poweselał jakoś; przy spotkaniu pierwszy do mnie rękę wyciągał i ściskał dłoń moją, jak dłoń dobrego przyjaciela. Rada byłam téj poufałości, całowałam go w czoło, a rezydentkom przykazałam, żeby miały pilne baczenie na jego bieliznę i skarpetki; wówczas to przyszło mi na myśl, żeby mu uszyć trochę nowéj bielizny z najpiękniejszego domowego płótna. Tymczasem

zaś, chcąc mu zrobić satysfakcyę, pozwoliłam wybrać ze skrzyni na strychu kilkanaście starych książek z pieśniami świętemi; resztę zamknęłam, sądząc, że się przyda może, gdy dziatwę podczas zimy każę czytać uczyć. Nie mówiłam o tém z malarzem, żeby nie sądził, że myśli jego zbytecznie do serca biorę, ale tylko do którėjś rezydentki rzekłam, że na zimę staremu klucznikowi łaskawy chleb dać trzeba będzie, gdyż głuchy jest i nogami ledwo włóczy; żeby lenistwem Boga nie obrażał, z rana będzie wydawał owies dla cieląt, w południe zaś dziatwę folwarczną trochę czytać pouczy; będą przy tém pierze darły—zawsze z parę poduszek przybędzie do wiosny.

W godzinę potém malarz już wiedział o wszystkiém. Kiedy te sikory miały czas latać do niego—nie wiem, dość, że plotki wszelkie roznosiły w mgnieniu oka—taki już miały talent w językach.

Wieczorem przemówił do mnie na ganku:

— Dobry pani powzięła zamiar, trzeba było dawno to zrobić.

Zaczerwieniłam się, upokorzona pobłażliwą pochwałą. Chciałam odpowiedziéć hardo, język się splątał.

— Waćpanu tę myśl zawdzięczam — rzekłam cicho, jak na spowiedzi, a w duszy rogata duma oburzała się na tę pokorę; kraśniałam ze wstydu przed sobą.

— Radjestem, że mój przykład podziałał na panią.

Głupi, roi mu się, że bez niego nie potrafiłabym. Podniosłam głowę hardo; usta tymczasem gadały zupełnie co innego.

— Dziatwa kiedyś za waćpana modlić się będzie.

— Niechaj wprzód dla siebie lepszą dolę wymodli.

Odszedł i dobrze zrobił; w dłuższéj gawędzie niechybnie zwyciężyłaby mię ta ślamazarna słabość, którą czułam zwykle, patrząc na ciemne kędziory i smutne oczy malarza.

A jednak, wbrew zwyczajowi, nie wyłajałam żadnéj rezydentki za zrobioną plotkę; owszem, gdy przed nocą weszła do mego pokoju ta, którą posądzałam— drugą wówczas bolały zęby,—podarowałam jéj nowiutką szalową chusteczkę, przypominając, że dziś jakoby przypadały jéj urodziny. Pannisko dnia urodzin lękało się więcéj, niż grzechu; rada z chusteczki, gotowa była ją zwrócić, byle oddalić nawet przypomnienie złowrogiéj chwili.

— Za miesiąc zaledwo kończę lat dwadzieścia osiem—odrzekła.

Dziesięć lat już ten sam rok kończyła.

— Nic nie szkodzi, zatrzymaj waćpanna chusteczkę; za miesiąc mogę zapomnieć.

Przez całą noc zapewne suszyła mózg, rozmyślając, za co właściwie dostała podarek. Oh, bo to były dyplomatki nielada! Najmniejsza zmiana w codziennném życiu dawała im dużo do myślenia. Nieraz przez cały tydzień sprzeczały się, dlaczego mój mąż zawiązał chustkę na szyję, gdy zwykle bez niéj się obchodził. Spoglądały przytém na siebie dwuznacznie, z złośliwym uśmiechem. Chociaż tego człowieka wróg nawet o złe myśli posądzić nie mógł. Elegantem nigdy nie był, nawet za kawalerskich czasów; po ożenieniu się tak skapcaniał, że go gwałtem prawie zmuszałam do włożenia czystéj koszuli raz na tydzień; na rezydentki spoglądał wówczas chyba, gdy się która zakrztusiła przy obiedzie; w spokojną porę nie widział ich wcale.

Zły duch czy wprawa dopomogły rozwiązać zagadkę; odtąd kręciła się jak fryga między dworem i kaplicą, donosząc, ile razy malarz kichnął; zapewne i jemu o mnie również ciekawe wieści komunikowała. Dowiedziałam się tedy, że gwiżdże jak „anioł," śpiewa jak „archanioł," wogóle jest zadowolony, wesoły, a chociaż do rozmowy niechętny, przyznał, że pierwszy raz w życiu czuje się tak szczerze zadowolonym ze swojego pobytu i otoczenia.

Może ta sroka paplała, byle paplać,—słuchając jednak, stłumiłam oddech, a gdy odeszła, zaśmiałam się, twarz rękami zakrywszy, jakby się tych ścian wstydząc, co moją radość widziały. Nikt we dworze nie dbał o niego, dla wszystkich był on zwykłym, trochę lepiéj od innych ubranym rzemieślnikiem, dla którego jadło i płaca miały być dostateczném wynagrodzeniem; ja jedna zrozumiałam, że duszę miał wielką, któréj w jedném ciele zaciasno, dzieli się więc nią z najbiedniejszymi. Że... że trochę raptus może, trochę zapaleniec, ale uczciwy przytém, o sobie nie myśli, spokój własny, dolę swoją poświęcić gotów—gołąbek ten mój jedyny. A gdy rozmyślałam, stare łzy, te... panieńskie, z dawniejszych czasów, do oczu się cisnęły, tylko już nie żaden „wędrowiec," ale zupełnie inny, prawdziwy bohater w myślach stawał.

Wszystko, co niezwykłe, lgnęło mi do duszy; żebym była mężczyzną, kto wie, zostałabym może awanturnikiem. Skazana na pilnowanie domu, kluczy z rąk nie wypuszczałam, ale całéj myśli w śpiżarce zamknąć nie mogłam. Rozum jego jako téż wcale piękne malowanie odrazu wzbudziły we mnie ten rodzaj szacun-

ku, co to zmusza do bardzo uprzejmego uśmiechu i chętnéj rozmowy.

Cnotliwy jest—myślałam nieraz,—uszanowanie dla kobiet zna, w rękę całuje mię spokojnie, jak ciotkę albo babunię—tak być powinno. Kobieta może widziéć w mężczyźnie tylko przyjaciela, mężczyzna w przyjaciółce nawet widzi tylko kobietę—taką już Bóg im dał naturę dziwną. Grzecznością, spokojem rozbrajał mię ostatecznie; przeciw śmielszemu spojrzeniu miałabym kodeks zwyczajów i moralności, przedewszystkiém zaś najwyższe zdziwienie, połączone z ciekawością, którą ludzie niesłusznie dumą kobiecą przezwali; wobec skromnego, uczciwego młodziana czułam się tak bezpieczną, jak święci pańscy wśród płomieni; dziwiłam się tylko, że na nudy, na samotność tylko pomiędzy chłopami, pomiędzy ich dziatwą rozrywki szuka, zamiast w przyzwoitém kółku wesoło na rozmowie czas przepędzić.

Cieszyłam się przytém, że, uczciwą małżonką będąc, na obojętność malarza uwagi zwracać nie potrzebuję, boć wierność i cnotę w tak wielkim szacunku mam, że mię żadna pokusa z prawéj drogi sprowadzić nie zdoła. Pycha straszna zaczęła napełniać mą duszę; żebym się wówczas spowiadać musiała, same cnoty, przymioty znakomite tylko wyznaćbym mogła, grzechu żadnego w całéj osobie swojéj dopatrzéć nie mogłam.

Dopiero gdy te sikory jedna za drugą od malarza do mnie przybiegać zaczęły z opowieściami, bałamutnemi nad wyraz, wciąż o tém prawiąc, jak o mnie znienacka zapytuje, portret mój niby dla wykończenia wciąż przy sobie na stalugach trzyma, każdego mego kroku jest świadomy, jakby mnie wciąż w myślach

i przed oczyma miał, a gdy niespodzianie głos mój posłyszy, rumieni się jak piwonia i od najpilniejszéj roboty głowę odwraca, strzelając na wszystkie strony oczyma niby zwierz osaczony, — dopiero wówczas pomyślałam: człowiekiem jest przecież, zatwardziałym w cnocie pozostać nie mógł. Nie wiem, czy mu Bóg przebaczy, ale ja przebaczam z całéj duszy, chociażby naprawdę sentyment do mnie powziął. W suchéj wierzbie albo w rezydentce zakochać się przecież nie mógł!

I coraz większą baczność zwracałam na jego kroki—bez celu, ot tak, żeby się przekonać, czy w istocie duszę ciężkim grzechem obciąża, cudzéj własności pożądając. A rezydentkom raz na zawsze przykazałam, żeby mi o żadnych bredniach pisnąć nie śmiały, przyrzekając solennie za pierwsze marne słowo obiedwie wraz z kuferkami do klasztoru panien Bernardynek odesłać, ażeby tam w milczeniu i umartwieniu za grzechy swoich języków odpokutowały; zamilkły téż odrazu, wiedząc, że ze mną żartów niéma; dopiero mogłam bez przeszkody zwracać baczność na czynności malarza, z silném postanowieniem, że jeśli co złego zauważę, to... eh, dziś już nie pamiętam, co postanowiłam!

Dostrzegłam zaraz pierwszego dnia parę niepotrzebnych manewrów; gwoździk, który z ręki upuściłam, złapał ukradkiem i cały dzień w kieszonce od kamizelki nosił; wieczorem zaś, gdy siedział na stopniach ganku przy kolumnie, o którą się oparłam, nieznacznie fałdy mego szlafroczka koło ust czy koło nosa przesuwał — w ciemności wieczornéj dobrze rozejrzéć nie mogłam.

— Źle jest!—pomyślałam, nie mogąc się zdobyć ani na gniew, ani na oburzenie—czekajmy daléj!

Tymczasem w duszy mojéj rodziła się dziwna skrucha, upokorzenie przed tym młodzianem, który, będąc istotnym afektem przejęty, dość mocy nad sobą ma, żeby i spokój i godność zachować, nigdy spojrzeniem jedném nie obrazić mojéj kobiecéj godności,—podczas gdy ja stokrotnie kusiłam go kwiatami we włosach, koronkowym kołnierzykiem, nogą nawet, tak, nogą, obutą w niebieski dymkowy bucik i ażurową pończochę; nogę tę wysuwałam zwykle z pod sukni, chociaż do malowania wcale potrzebną nie była.

Widział to zapewne, może nawet domyślał się więcéj, niż było w istocie, pomimo to stał niezachwiany w cnocie, ukradkiem tylko upuszczane kwiatki zbierając. Słabą niewiastę miał przed sobą, w któréj próżność i duma miejsce cnoty zajęły; rozumiał to, więc i za siebie i za nią w cnotę się uzbroił, ten... wagabundus, którego w pierwszéj chwili do domu waryatów odprawić chciałam.

— Basta!—rzekłam.—Jako ślub święty odegnał wszelkie marzenia o wędrowcach i królewiczach, tak dziś upokorzenie i skrucha niech złe myśli w dobre przemienią; fortele zalotne na bok odłożę, gawęd niepotrzebnych zaniecham.

Ażeby święte obowiązki wciąż przed oczyma miéć, tegoż dnia rozpoczęłam włóczkową czapeczkę dla męża, zamierzając skończyć ją przed sierpniem, kiedy to muchy najwięcéj jego łysinę turbowały. Ale kiedy kobieta strzela, dyabeł kule nosi!

Właśnie, tak cnotliwie rozmyślając, do jadalni wchodziłam dla rozdzielenia podwieczorku, kiedy

w drugich drzwiach ukazał się malarz, prosząc, żebym do kaplicy szła obraz, który wykończał, obejrzéć.

Przemawiał spokojnie, jak zwykle, bledszy trochę, więcéj zmęczony, czoło ręką pocierał, spoglądał mi w oczy uważnie. Od wzroku tego krew mi uderzyła do głowy, nogi zadrżały; może umyślnie prosić przyszedł, żeby ze mną sam na sam chwilę przepędzić, schylić się razem nad malowaniem, popatrzéć, jak wesoło śmieję się i rozmawiam?

Myśl ta błysnęła mi w mózgu odrazu; pokręciłam głową na znak, że nie pójdę; stałam oparta o drzwi, bezwładna, jak ołowiana. Tylko we śnie bywa czasami tak ciężko, jeśli człek śpi nawznak, albo zbyt sutą spożyje kolacyę; a chociaż czułam, że patrzy na mnie, ani oczu, ani głowy podnieść nie mogłam.

Odszedł w milczeniu, a gdy znikł za drzwiami, ocknęłam się niby ze snu ciężkiego.

— Masz dyable tabaki! — pomyślałam. — Nigdy jeszcze tak głupio nie przedstawiłam się nikomu! Jeśli jest domyślny... Na szczęście, mężczyźni rzadko domyślni bywają. W każdym razie dobrze, że nie poszłam.

Późniéj nieraz wracałam myślą do téj chwili i uśmiechałam się złośliwie nad swoją ślamazarnością; wówczas jednak zdawało mi się, że Bóg mię od ciężkiéj choroby zachował, że teraz, kiedy poznałam swoją słabość, roztropniejszą i ostrożniejszą będę.

Aż tu w parę dni potém musiałam go z domu wyprawić.

W pierwszéj chwili po odjeździe męża siedziałam jak odurzona, potém, chociaż otrzeźwiałam, myśli zebrać nie mogłam.

— Co mu powiem? Kiedy? natychmiast, czy jutro?

Wykrętów, fortelów żadnych używać nie chciałam, prawdę powiedziéć należało; a jeśli przytém wymknie się słowo współczucia — wzrok, to już koniec; dotąd przecież byłam wstrzemięźliwszą od niejednéj świętéj.

Ochłonęłam, uspokoiłam się, a przeszedłszy do jadalni, kazałam prosić do siebie malarza. Przez okno widziałam, jak szedł śpiesznie, palcami czuprynę na tył odrzucał, a drugą ręką kołnierz wkoło szyi poprawiał; gryząc usta, uśmiechał się nieznacznie. Kto wie, może i on marzył o zaczarowanéj księżniczce? Bieda, praca, serce tkliwe potrzebowało osłody; może pierwszy raz spotkał kobietę, co go dobrém słowem za serce ujęła. Rozkochać biedaka najłatwiéj,—trochę serdecznego ciepła, a wnet w duszy szczęście rostki poczuwać zaczyna. Żałowałam go szczerze. Napróżno zaciskałam pięście, chcąc całą siłę naprężyć; drżało coś w piersiach,—bałam się, że pewności, spokoju w głosie miéć nie będę.

— Mąż mój na waćpana strasznie zawzięty—rzekłam, gdy stanął przede mną zarumieniony, z błyszczącemi oczyma.

W mgnieniu oka twarz mu zbladła, ściągnął brwi.

— Za tych chłopów, za robotników wszystko. Waćpan dobrém swém sercem wiele sobie szkody przynosisz.

Machnął ręką.

— A więc wymawia mi robotę i życzy, żebym poszedł na cztery wiatry? Za parę dni skończę i odejdę.

— Niech to waćpana nie obraża... każdy swego interesu pilnować musi; robotnik dotąd dobry, dokąd mu głowy nikt nie zawraca; pracuje w spokoju, a jeśli niezbyt szczęśliwy, o lepszéj doli przynajmniéj pojęcia nie ma, krnąbrności się nie uczy.

— Pani cudze słowa powtarza — rzekł, jakby mi w duszy czytał.—Pociechę tę mam, żem czasu nie zmarnował.

— Urazy do nas nie chowaj, za wytłumaczonych miéj, jeśli w czém dogodzić nie zdołaliśmy. Mąż mój raptus, ze wszech stron cenił waćpana, rad był z jego roboty nad wyraz, a tylko uniósł się w krewkości; przebacz mu, jeśli możesz; boję się, żeby część urazy do męża na mnie nie spadła, chociaż Bóg świadkiem, że dobra wam życzę.

Milczał, ślinę połykał, parę razy poruszył ustami, ale się wstrzymał.

— Więc dziś już odejść mam? — rzekł jakby nie swoim głosem.

Wolałabym wszystkie swoje kury czubate skazać na śmierć męczeńską, aniżeli wygłosić termin odjazdu. Milczałam tedy, skubiąc koronki przy rękawach; krew uderzała w skronie, dłonie pałały; przy daleko mniejszéj gorączce chorym zwykle synopizma stawiać każę. Spojrzałam na delikwenta.

— Mąż mój wraca jutro wieczorem—rzekłam,— nie śpiesz waćpan; tymczasem wszystko do drogi przygotować każę.

Miałam silną pokusę podać mu rękę drżącą, rozpaloną, z któréj i bez doktora temperaturę krwi zmierzyć można było; wyratowała mię nietyle powaga ko-

biety, ile owe ziółka gorzkie, które pijałam codziennie bez cukru.

— Do jutra robotę skończę—rzekł.—Skończę!—zaśmiał się szydersko i wybiegł.

Pewną byłam, że spłata jakąś farsę. Myśl ta jak gwóźdź utkwiła w mózgu; widząc, że od roboty nie odchodzi, chciałam zajrzéć do kaplicy,—zaniechałam jednak przez wzgląd na słabość niewieścią.

Nazajutrz o świcie był już przy stalugach i przez cały dzień nie wyjrzał na świat boży. Przyszykowałam mu wiktuałów przeróżnych sporo, od szynki, kurcząt, wódki, aż do konfitur i śliwek suszonych na rożenkach. Człek skromny parę miesięcy mógłby żyć tém, nie zaznawszy głodu. O zmierzchu znowu mię napadła trwożliwa gorączka. Bryka zaprzężona stała pod stajnią, a malarz się nie pokazywał; przypomniéć nie miałam odwagi, a mąż w każdéj chwili mógł nadjechać. Chodziłam po domu jak nieprzytomna, wyglądając różnemi oknami na drogę i do ogrodu. Gdy tak strwożona przysiadłam na sofie, polecając całą sprawę w ręce boże, wbiegł malarz z kluczem w ręku.

— Skończyłem — rzekł,—klucz pani wręczam—schwycił mię za rękę.— Byłem szczęśliwy—szepnął,—dziękuję, wspomnij czasami o szaleńcu!

Może tam mówił coś jeszcze, nie pamiętam, jak téż nie pamiętam, czy mu odpowiadałam. Centurya i krwawnik zbawienne zioła, ale używałam ich od niedawna, serce zaś tkliwe miałam od urodzenia. Zapewne musiałam mu coś powiedziéć czulszego, niżby wypadało, bo gdy odszedł, na rękach—tak, zdaje mi się, że tylko na rękach—czułam ślady gorących pocałunków.

Przed gankiem rozległ się turkot—mąż przyjechał. Malarz nie chciał koni, wiktuałów, nic, pieszo wywędrować zamierzył; spotkają się może? Nie czułam ani żalu, ani trwogi, spokojna siła owładnęła umysł, ściskałam klucz w ręku, nasłuchując. Mąż chodził po sąsiednim pokoju stękający, zasapany, spytał o coś lokaja i zamilkł. Nad sufitem słyszałam téż kroki powolne, to przyśpieszone; zapewne tłómoczek układał. Śledziłam ruchy obydwóch: kiedy tamten na górze podchodził ku oknu, ten tu ku drzwiom się zbliżał, to znów jak zmówieni oddalali się w przeciwne strony. W takt ich ruchów uderzało mi serce; chwilami zdawało się, że kroki na górze cichną, wówczas i serce bić przestawało; tłumiłam oddech—dom, świat cały znikł z przed oczów. Szmer jakiś, stuk na górze... otwierałam oczy, bojąc się odetchnąć... Ucichło nareszcie. Napróżno wytężałam słuch, wpatrzona w sufit—cisza. Sen skończony—należało wrócić do rozsądnego życia.

Nazajutrz raniutko byłam już w kaplicy. Słońce zaglądało wesoło do bialutkiéj świątyni, na czysto umiecionéj podłodze kilka wiązek tataraku rzucone tu i owdzie. Naprzeciw drzwi stał obraz wykończony: Chrystus, rozdzielający chleb zgłodniałéj rzeszy. Spoglądałam zdumiona; chude, wynędzniałe twarze, wklęsłe piersi, sterczące ramiona—to żywcem schwycone z natury, to akuratne portrety robotników ze smolarni, każda twarz znajoma, ubiór trochę inny, jeśli w ubiorze nędzarzy wielka rozmaitość być może. A Chrystus, Boże odpuść, ale z oczu smutnie łagodnych, z wyniosłego czoła, pociągłych, bladawych policzków bardzo mi malarza przypominał.

— Jeśli to podobieństwo spostrzeże mąż,—pomyślałam, jak piorunem rażona, — obraz zniszczy, gotów zburzyć całą świątynię w gniewnéj przypadłości.

Nie dostrzegł jednak; kazał tylko wymyć i wykadzić pokój, w którym mieszkał „włóczęga,” imienia jego nigdy nie wspominał, a jeśli czasami zasłyszał je ze strony, mruczał gniewnie i brwi ściągał.

Natomiast chłopstwo dziwnie się garnęło do tego obrazu. Z początku może tylko nowe malowanie ciekawość i zachwyt wzbudzało, przyglądali mu się podczas nabożeństwa z uwagą wielką, po chłopsku, t. j. oczy i usta otwierając szeroko, i tak sobie w nim upodobali, że wianków, kwiatów, ziół różnych znosili mnóstwo w każdą niedzielę i święto; cuda mu nawet przypisywać zaczęli, zapewne dlatego, że widząc na obrazie osób rozmaitych dużo, za świętych je mieli i w gromadną protekcyę więcéj niż pojedyńczych wierzyli.

O malarzu, gdy znikł bez wieści, téż baśnie po wioskach krążyć zaczęły. Nazywano go aniołem bożym, świętym Antonim, co często w ludzkiéj osobie na pociechę biednych po świecie chodzi; starzy tylko śmieli się z tych baśni, mówiąc, że był sobie pan dobry i tyle.

Dopiero gdy woda podmyła kaplicę, ściany runęły niespodzianie, niszcząc wszystko z kretesem,— o obrazie, o malarzu zapomniano powoli; teraz chyba staruszka jakaś bajkę o „łaskawym panie” opowiada czasami, jak ja wam dziś o śnie złotym mojéj młodości opowiedziałam.

ZŁY DUCH.

OBRAZEK.

I.

Tego dnia wszystko ożyło w wiosce. Przed każdą stodołą mężczyźni, baby i dzieci roztrząsali wilgotne siano, snopy owsa i żyta rozstawiali na słońcu, ruszali się żwawo, chwytali jedno, po drugie biegli, jakby z dziesięć robót naraz zrobić chcieli. Kobiety drżącemi od pośpiechu rękami rozwieszały na płotach uprane szmaty, długie kawałki płótna, kożuchy i siermięgi; wpadały do chat, a każda wynosiła na podwórze wiązki kopru, lnu, konopi, ustawiała pomiędzy kołkami w płocie; troskliwsze nawet dzieci w kołyskach wyciągały z izby na słonko, na samo słonko, gdzie ani źdźbła cienia, ani najlżejszéj chmurki nie widać. Wypędzono w pole chore i zdrowe bydło; z chat powysuwali się staruszkowie schorzali, przysiedli na kłodach wzdłuż płotów, grzeli się, oddychając słonecznem powietrzem, które nawet w ich piersiach skrzepłą duszę zbudziło. W ogródku, przy chacie Jakóba, wśród żółtych gwoździków, georginij, zwarzonych przymrozkiem, przybitych do ziemi kilkotygodniowa słotą, stał chory wyrostek, bosy, w ojcowskim kożuchu na

ramionach. Wczoraj już mu gromnicę dawano, dziś wylazł z chaty jakby nie o swoich siłach. Przytulił się do płotu, dzwonił zębami, zgasłém okiem spoglądał na strzechy słonkiem oblane, chwytał powietrze, za każdym powiewem wiatru krztusił się, kaszlał, coraz mocniéj za płot trzymał, jakby się bał, żeby go wiatr nie uniósł, nie cisnął do izby, w któréj śmierć czyhała na niego ze wszystkich ciemnych, okopconych kątów. Mógłby sobie nawet nieboszczyk wstać z grobu i przejść się po słońcu w ulicy, ludziska nie zwróciliby na niego uwagi — tak bardzo dręczyło każdego widmo głodu, przyczajone za porosłemi snopami żyta, pszenicy, jęczmienia, kryjące się w kopach nawpół zgniłych kartofli.

Deszcz miał już zatopić wioskę, podmył stare chaty, pozalewał dziurawe obory; przez kilka tygodni bydło stało w wodzie, a ludzie schli z żalu, ze strachu, z bezsilności, co duszę wygryza. Nad Niemnem piaszczysty brzeg rozmiękł, usunął się, unosząc kilka płotów i odrobinę różnego warzywa; czekali, kiedy przyjdzie koléj na chaty, rzędem wzdłuż brzegu stojące, spodziewali się nawet skończenia świata. Tymczasem młodzi i starzy spali po całych dniach; przebudziwszy się, wychodzili przed wrota, żeby raz jeszcze spojrzéć na niebo ołowiane, na ziemię błotem pokrytą, na zczerniałe od deszczu płoty i budynki, na sąsiada zresztą, co stojąc przed swemi wrotami, rozglądał się po mokrym świecie zaspanemi oczyma. Najstarsi przez cały wiek swój tyle nie przespali, co w to lato dziwne. W izbach duszno było, jak w arce podczas potopu; oprócz śpiących ludzi, w dni ulewy, przebywały tam wszystkie kozy, prosięta, na noc do sieni zabierano krowy i owce;—

wszystko to osowiałe, senne, jedząc i drzemiąc, wyczekiwało upragnionéj pogody. W końcu zaczął padać deszcz zwykły, bez ulewy, potém z wiatrem; wicher szalał, ciskając spienioną falą aż na brzeg wysoki, zrywał przemokłe strzechy, wywracał płoty spróchniałe, chat tylko nie poruszył, gdyż były napełnione zbyt ciężkiém powietrzem. Ludzie sypiali już tylko do południa, potém wyglądali przez drzwi, przez okna, miarkowali, nadsłuchiwali, aż w końcu doczekali się pogody jesiennéj, świeżéj, tak przezroczystéj, że nawet ci, którym oczy od snu zapuchły, słonko boże wśród błękitnego nieba dostrzedz potrafili.

Zawrzało jak w ulu: wszystkie roboty zaległy. Na łąkach osuszonych z większego, na polu zczerniałą nacią kartofli pokrytém roili się ludziska słońcem odegrzani. Około południa podążyli tam nawet staruszkowie, aby własnemi oczami raz jeszcze spojrzéć na siano zmarniałe, na przegniłe kartofle, aby tegoroczną klęskę z dawniejszemi porównać i, raz jeszcze wspominając swoje lepsze czasy, na dzisiejsze gorsze wyrzekać.

Wioska opustoszała. Każdy, przechodząc koło ostatniéj chaty nad rzeką, dziwił się, że nawet stary Czmiel z izby wylazł, na przyzbie usiadł, twarzą do słonka zwrócony, wodził wzrokiem po pustém podwórku, osowiałe oczy ku wrotom zwracał, kręcił głową na prawo, na lewo, jakby pierwszy raz świat boży ujrzał. Łysy dziad z siwą brodą, suchy, z wklęsłemi skroniami, podobny był do świętych w obrazach, tylko siermięgę miał łataną, a obok, na przyzbie, drewnianą konewkę z wodą i kawał chleba solą posypany, żeby

w samotności, zanim synowie i synowe z pola wrócą, z głodu nie umarł.

— Ho! I Ewkę do roboty popędzili—mówiły baby, spoglądając na puste podwórko, na drzwi chaty kołkiem zatknięte.

Pilno im było, biegły zasapane, a jednak koło téj chaty zatrzymywały się chwilę; odszedłszy, oglądały się na nią ciekawym, niespokojnym wzrokiem; jedna nawet na podwórko wbiegła, w okienko zajrzała do obórki, na ogródek okiem rzuciła.

— Ani żywego ducha! — krzyknęła, dopędzając sąsiadki na drodze.

Stary przeprowadził ją wzrokiem; wzruszył nieznacznie ramionami; dziwił się może, że baba skacze jak koza, a on ledwo o kiju z izby wylazł, w nogach mocy żadnéj nie czuje i choć już całe lato chory, dotąd jakoś ani sił, ani zdrowia doczekać się nie może. Dziś za to znacznie zdrowszy... lżejszy, nawet dziwnie lekki jakiś... Żeby sił trochę... poszedłby z innymi na pole, na łąkę... z kijem, z groźbą... po dawniejszemu. Bez jego dozoru strasznie źle idzie... Eh, nie chce nawet myśléć o tém, co przeżył, co widział przez ostatnie lata... Niech ich tam Bóg sądzi... Wypędziliby go może z chaty na żebraninę, żeby nie trochę grosza, zebranego w lepszych czasach, kiedy to jeszcze on sam wszystkich ich w garści trzymał. Teraz jeszcze, kiedy myśli o tém, skostniałe palce zaciskają się mimowoli. Grosz ten chowa... ho, ho! Węszą koło niego, śledzą, szukają, ale nie znajdą!... Oni tam może na setki, na tysiące liczą?... Niech liczą, nie przybędzie, ani ubędzie od tego... Niech tam bajki gadają o jego bogactwie! On tylko jeden wie prawdę... Wie przytém, że żadna ręka

ludzka krzywdy mu nie zrobi. W chudobie téj swojéj chował pieniążek cieniutki, zczerniały... od żebraka dostał go za parę kwaszonych ogórków... Żebrak miał go po sławnym złodzieju, który dwory i kościoły okradał, a zawsze uchodził szczęśliwie, aż raz, kąpiąc się, pieniądz z odzieżą na brzegu zostawił. Złowili go wówczas i nagiego do kozy zabrali. O pieniądz starali się potém panowie, proboszcze i żydy, ale żebrak nikomu oddać nie chciał, nosił go zwykle przy sobie—i chociaż po lasach, po wąwozach sam jeden w nocy i w dzień chodził, nie obdarli go nigdy, nie okradli nawet wówczas, gdy oprócz kija i dziurawéj siermięgi miewał w torbie szczyptę soli i pełną tabakierę tabaki. Czmiel od czasu, jak ten talizman posiadł, worek z pieniędzmi ukrywał jeszcze staranniéj. Dawniéj skarby te widywali czasem synowie, gdy pieniądze na podatki albo na inne koszta wyjmował, teraz on sam zapominał czasami, gdzie schował... W końcu jednę kryjówkę obrał akuratną, a gdy sąsiedzi żartowali, że skarby w ziemi trzyma, nie zaprzeczał, umyślnie, żeby nie pytali daremnie. W chorobie już parę razy chciał starszemu synowi oddać, ale jak tylko o tém pomyślał, zdrowiał jakoś, sił nabierał, czuł, że jeszcze pożyje rok, drugi, a może i więcéj... A jak raz chudobę z rąk odda, poważanie straci. Teraz poją go od czasu do czasu herbatą z pieprzem, ugotowaną w garnczku tłuszczem przesiąkłym, jadło akuratnie na piec podają. Potém, kto wie, zmarłby z głodu może... Niech sobie myślą, że im setki srebrnych rubli zostawi. Ho! żeby miał tyle, jak gadają, dawnoby już chatę i ziemię kupił dla Piotra... dla najmłodszego... Maksym i Franek chatę i ziemię, jako matczyną, zabiorą, a ten biedak jak palec na

świecie zostanie. Z ubogiéj dziewki urodził się... Czmiel ją do saméj śmierci w chacie dochował; silna była, koścista, do ostatniego dnia życia pracowała jak wół roboczy... Skonała w samo południe na wiosnę, w taki jasny, cichy dzień jak dziś... Głosu jéj nigdy nie słyszał, czasami tylko do żywiołki, do kur przemawiała... przed śmiercią rozgadała się jakoś...

— Nie krzywdź Piotrka—rzekła,—pożałuj sierotę! Jeszcze coś mówić chciała, ale głosu czy słów nie stało; pocałowała go w rękę, jakby za swoją ciężką dolę dziękując. On sam otarł jéj z twarzy ostatnie dwie łzy, jakie na tym bożym świecie wypłakała. Nigdy już potém nie miał takiéj cichéj, pracowitéj dziewki. Krzyż na jéj mogile postawił duży, czarny, między dwoma sosnami; wioskowy stolarz wypisał na nim: „Marcynko Panno, módl się za nami gorzszkiemi grzesznikami!” Napróżno sąsiedzi dowodzili mu, że zmarła nazywała się Agatą i nie była panną; stolarz potrafił ich przekonać, że każde imię również święte, a na tamtym świecie nikt panny od mężatki nie odróżni. Napis został; Czmiel, ile razy koło mogił przechodził, zawsze patrzył w tę stronę... Miał tam gdzieś i żonkę... prawdziwą—ale ta zmarła tak dawno... że już nawet zapomniał, gdzie leży!... I chłopcem jéj więcéj się niż starszymi synami zajmował, sporego malca czasami na rękach nosił, kiedy z pola wracając, spotkał go w ulicy albo pod płotem gdzieśkolwiek. Krzywdzić go nie pozwalał—karmił jak mógł i cieszył się w duszy, że chłop rósł zdrowo, silny był, czerwony i tylko trochę głupowaty... Kiedy przejeżdżając, gdzieś chatę porządną ujrzał, z ogrodem, z kawałkiem ziemi, zawsze sobie myślał, że taką dla Piotra kupi. Parę razy nawet targo-

wał, wypytywał się, ale gdy do kupna przyszło — ociągał się jakoś, odkładał... rachował... Przynosił mu z pola młode zające, ptaszki, kije, których chłopak używał tymczasem zamiast konia; gdy do cudzego ogrodu lazł po marchew, po rzepę lub wiśnie, konia tego u płotu zostawiał; szedł w szkodę bezpiecznie, ufny w pomoc ojca, który zawsze w porę nadbiegł. Sąsiedzi przepowiadali, że na złodzieja wyrośnie,—wyrósł tylko na silnego, barczystego parobka, milczał i pracował, jak niegdyś jego matka. Maksymowa szyła mu coraz szersze koszule, a w całéj wiosce nie było roślejszego chłopa, zgarbił się bez pory, ciągle w ziemię patrzył; wówczas tylko, gdy sam z ojcem został w izbie lub na dworze, podnosił głowę, zwracał na niego jasne, nieśmiałe oczy, jakby zapytywał w milczeniu: co ze mną będzie, tatulu? Stary chmurzył się, czasem nawet z izby wychodził, drapał się za uchem markotny, sam nie wiedział, co tu robić. Pieniądze miał niby... jakie tam zresztą pieniądze! Szczypta potu krwawego, pracy ciężkiéj... kiedy pomyślał, że ma je oddać, ból w sercu uczuwał, w złość wpadał, w pole szedł do roboty, żeby złe myśli odpędzić. Darował mu stary kożuch, ślepą kobyłę obiecał; Piotr, jakby tego nie słyszał, nie podziękował nawet, tylko coraz częściéj zatrzymywał na nim lękliwe spojrzenie.

— Nie bój się! Kogo Pan Bóg stworzy, tego nie umorzy—mówił stary, żeby mu dodać otuchy i cierpliwości.

Piotr milczał, sapał głośno i spoglądał z podełba w prawo, to w lewo.

— Potém może... gdzieś... jakkolwiek... trzeba będzie... ot... tak... eh, boża wola we wszystkiém!

Piotr zaczerwieniony nadstawiał uszu, tłumił oddech, o mało się nie dusił, wyczekując łaskawszego słowa, ale stary urywał, jąkał się, machnął ręką i odchodził; nie chciał obiecywać zawczasu, majaczył sam przed sobą, chciał i bał się, wyczekiwał z roku na rok, aż zasłabł nareszcie. Wtedy dopiero przypomniał sobie, że w razie jego śmierci chłopak na poniewierkę pójdzie; w ciężkiéj niemocy ciągle o tém myślał, chciał nawet z sąsiadami pogadać... do słowa jakoś przyjść nie mógł. Musiałby pieniądze z kryjówki wydostać, pokazać, odliczyć,—wolał poczekać jeszcze trochę... aż raptem w cieplejsze dni odżył jakoś... dziś ozdrowiał zupełnie, bólu żadnego nie czuł; słaby był tylko... senny, jakoś dziwnie ciężały.

— Na przyszłą wiosnę, da Bóg doczekać... to już kupię... co będzie, to będzie; niech tam gadają, czy nie gadają... a ja kupię chatę... ziemię—powtarzał jak przez sen.

Słonko zatrzymało się nad samą chatą, od godziny już paliło go w czaszkę, ogrzewało od stóp do głowy. Zsunął kożuch z ramion, nogi wyciągnął, poruszył zwolna ramionami, skostniała dusza odegrzała się w piersiach, sen morzył; mrużył oczy. Zdało mu się naraz, że coś go podnosi, że płynie sobie w błękitném powietrzu... Wioskę, okolicę widział jak na dłoni... Pola słońcem oblane, siny Niemen w piaszczystych, powyrywanych brzegach, ciemnym lasem porosłych... Nigdy jeszcze nie było mu tak jasno w oczach—każde źdźbło trawy w żółtém ściernisku dostrzegał wyraźnie. Łąki, pola, lasy, jakie kiedy w życiu widział, stały teraz przed nim... Mięszały się różnie—w kwadraty, w pasy długie, wyciągnięte het aż tam, gdzie niebo z ziemią się łączy. Patrzył i napatrzéć się nie mógł,

usta otwierał, powietrze ciepłe chwytał, koło uszu roje pszczół brzęczały, szum drzew daleki, plusk fali odurzał go, ogłuszał; wszystko, co słyszał kiedyś zosobna, teraz zebrało się razem, silniejsze tylko, wyraźniejsze, jakby na świecie całym on był sam jeden, i sam jeden patrzył i słuchał za wszystkich. Aż pot na czoło wystąpił, oddech ugrzązł w gardle.

— Oj Bożeż mój mileńki!—jęknął i otworzył oczy.

Wiatr powiał od pola; słonko zasunęło się za strzechę, cień chaty równym pasem sięgał do środka podwórka; nogi skrzepły... chłód obejmował kolana, zdrętwiał jakoś, zesztywniał, powieki ciążyły, a przed oczami snuła się jakby mgła biaława: wioskę widział niby przez obłok, kłęby mgły słały się po ściernisku... ze wszech stron wiał chłód przenikliwy; stary skostniał, w piersiał tylko czuł palenie... w oczach szkliły się jakby łzy zastygłe... chatę swoją widział stojącą na uboczu, nad samém urwiskiem, nizką, zczerniałą, ze strzechą mchem porosłą, z pod węgłów spróchniałych piaszczysty brzeg usuwał się powoli, grudki piasku staczały się jedna po drugiéj ku rzece... Zacisnął powieki; czuł, jak go coś ciągnie do ziemi, widział jakby swoją polankę pod lasem, zoraną, zabronowaną akuratnie, przerzniętą miedzą zieloną... Spadał ku niéj zwolna, bez strachu, uśmiechał się nawet. Tyle razy leżał na téj miedzy, wyczekując w południe, nim trochę woły podpasą się orką zmęczone.

Słońce zachodziło, na podwórku cień zapadł, strzechy tylko i drzewa złociły się jeszcze w ostatnich promieniach. Koło wrót otwartych przechodzili ludziska z kosami na ramieniu, baby z pustemi dzbankami, dreptały dzieciaki konno na kiju i pieszo. A każdy,

przechodząc, w podwórko, na przyzbę i na starego spojrzał. Siedział plecami o ścianę oparty, z głową pochyloną, dłonie na kolanach złożył, drzemał, czy osłabł ostatecznie. Ten i ów, przechodząc, „pochwalonym" go witał, pastuchowa krzyknęła, żeby wrota otworzył dla bydła, poszła dalej, a stary ani drgnął. Krowy same sobie głową i bokiem wrota odsunęły, przeszły obie jedna za drugą, obejrzały się na niego, stanęły przy drzwiach obórki; gromadka owiec szarych i białych napełniła dziedzińczyk; tłocząc się, trzęsły zesztywniałe kolana starego; ruch i wrzawa zapanowały w wiosce, tuman złotawego kurzu pędził przez środek ulicy, za bydłem wrócili i ludzie. Maksym z Frankiem przeszli przez podwórko — jeden do chaty, drugi do stodoły; kobiety owce i świnie do chlewu zapędzać zaczęły, na starego nikt nie spojrzał. Dopiero gdy Maksymowa ze skopkiem pod krową usiadła, obejrzała się na niego przez ramię.

— Idźcie już do chaty—rzekła,—a to was znowu febra schwyci.

— I duszę wytrzęsie!—podchwyciła Ewka, siadając pod drugą krową.

Zajęte robotą, odwróciły się plecami do niego; tymczasem Piotr z kosą na podwórko wszedł, od wrót już wpatrzył się w ojca, stanął przed nim, patrzył długą chwilę, nie mogąc zmiarkować, czy on śpi... czy może... Stał z kosą na ramieniu, z wyciągniętą szyją... stłumił oddech... coś strasznego przemknęło przez głowę. Stary siedział jak żywy—pod siwym zarostem, pod włosami spadającemi na czoło, twarzy prawie nie widzi. Piotr w twarz nie patrzył, słuchał tylko, i słyszał, jak jego własne serce stukało w piersiach, krew uderzała wskro-

niach; podniósł brwi, wzrok natężył, ale ani najlżejszego drgnienia dostrzedz nie mógł. Obejrzał się zwolna na kobiety, znowu na starego spojrzał... Zmrok zapadł, chłodna rosa pachniała w powietrzu; w podwórku, otoczoném z dwóch stron chatą i obórką, było już prawie ciemno. Piotr stał jeszcze chwilę,—potém, stąpając ostrożnie, do chaty poszedł. Wiedział już wszystko, ale jeszcze sam sobie nie wierzył. Z sieni raz jeszcze obejrzał się na niego, kosę w kącie ustawił, opuścił ręce... przysłonił się do ściany, odrętwiał z żalu i ze strachu. Nie chciał, nie mógł o tém mówić pierwszy... Zdawało mu się, że jak przemilczy... może to jeszcze przemieni się jakoś. Stał w ciemnym kącie zaczajony, kolana drżały, łza za łzą spływała po twarzy. Słyszał, że go Maksym woła ze stodoły, wiedział, że przed nocą mieli jeszcze snopy żyta z toku uprzątnąć, żeby miejsce na siano oczyścić, ale z kąta ruszyć się nie mógł, wpatrzył się w ziemię i czekał... Z izby dolatywał zapach gotowanych kartofli... przypomniał sobie naraz, jak dziś na łące, kiedy trochę zamarudził przy jedzeniu, Ewka nazwała go „wołem,” „psim synem,” kopnęła nogą w garnek z mlekiem, chleb psu rzuciła i poleciała jak szalona, wiedźma przeklęta!... On ją kiedyś nauczy.. kiedyś... kto wie, co teraz z nim samym zrobią... Oni tu teraz gospodarze... pany wszechmocne... Kobiety weszły ze skopkami, drzwi do izby otworzyły szeroko; ogień z komina oświecił sień, bose nogi stojącego w kącie Piotra; majstrował coś niby koło kosy, szmatą kij okręcał, a ręce drżały, żal za gardło dusił, febra go trzęsła z niepokoju... a nuż nieprawda?... raz jeszcze przekonać się nie śmiał... ryknąłby tam z żalu... Ej, niech lepiéj oni... oni tu gospodarze... a on syn tylko... i to...

jaki tam syn jeszcze! Maksym i Franek weszli razem, za nimi wpadli do sieni malcy, ciągnąc za rękę Juziuka Frankowéj—z izby buchnęła para od kartofli i krupniku, „gospodarze" do stołu zasiedli.

— A gdzież stary? Stasiek! po dziadula! A co to wy szelmy sami pierwsi do miski przypadli! — huknął Maksym i chłopca swego za kark ku drzwiom popchnął. Piotr aż przysiadł na ziemi, w uszach zadzwoniło. Słyszał przeraźliwy krzyk Staśka... widział, jak wszyscy jedni za drugimi wybiegli na dwór, jak ze strachu czy z pośpiechu Maksymowa z zapaloném łuczywem z izby wyleciała... Słyszał urywane słowa podziwu, przerażenia, piskliwy płacz dzieci... Ale z miejsca wstać nie mógł—ściskało go w żołądku, skurczył się we dwoje, głowę w ramiona wsunął.

— Boże mileńki... Bożeż mój mileńki!—szeptał, przełykając ślinę; oczy przymykał; nawet ciekawość go nie brała, żeby pójść spojrzéć w martwą twarz ojca, żeby zobaczyć, czy jeszcze podobny do siebie. Nie mógł, osłabł jakoś... Wielki, barczysty, z czerwoną twarzą i ogromnemi wąsami chłop osłabł, zniedołężniał jak dziecko, tulił głowę do ściany, a po twarzy łzy dziecinne coraz częściéj spływały!...

Uspokoili się w izbie, starego na łóżku złożyli. Wówczas Maksym raz i drugi przez sień przeszedł, po kątach się obejrzał trochę zafrasowany.

— Chodź do chaty—szepnął, ujrzawszy Piotra; za ramię go wziął, postał przy nim chwilę, coś jeszcze powiedziéć chciał, ale nie mógł na razie. — No, chodź, cóż tam, ot, wiadomo... każdemu tak będzie...—Zamilkł, głowę odwrócił. Piotr sam nie wiedział dlaczego pocałował go w rękę.—Ch...o...dź—powtórzył Maksym; rę-

kawem przesunął po oczach i weszli razem do izby, za stół usiedli; Maksym podsunął mu miskę z jadłem, chleba z bochna odkrajał; sam łokieć na stole oparł, twarz w dłoniach ukrył, siedział i milczał. Piotr jadł; od ciepłéj strawy cieplej się zrobiło w piersiach i w żołądku, od dobrych słów Maksyma dziwnie jakoś łechtało koło serca. Łzy wciąż jeszcze spływały do miski, mięszały się z krupnikiem, ale w głowie już szum ustał. W piersiach odżyła otucha i siła—onby teraz dla Maksyma w ogień poszedł, pracowałby dla niego od świtu do nocy, ot, za chleb tylko, za łyżkę strawy, dobraby jego pilnował — on możeby nawet i ukradł dla niego, a cóż? ot ukradłby, gdyby trzeba było... Zawsze lubił go i słuchał, a teraz... Teraz to już i myśli nie stało do wyrażenia nieujętych wybuchów wdzięczności, podniecanéj żalem, trwogą i niepokojem. Jedząc, zerkał na niego z pod oka, łyżkę po łyżce pochłaniał, misę opróżnił, chleb odkrajany zjadł akuratnie, wykazując tu na razie swoje posłuszeństwo, gotowość do usług; spotniał przytém, zaczerwienił się jeszcze więcéj.... Czuł, że za plecami, w okopconym kącie na łóżku leży stary, białą płachtą przykryty; spostrzegł go, przechodząc przez izbę, i teraz czuł go wciąż koło siebie... żałował jeszcze i w twarz jego jeszcze spojrzéć nie chciał, ale już o Maksymie więcéj myślał niż o nim.

Chata opróżniła się tymczasem. Franek poszedł deski na trumnę gotować, malcy chrapali na piecu; Maksymowa tylko, krzątając się koło czystéj odzieży, wyjmując ze skrzyni bieliznę i siermięgę, co chwila nos fartuchem wycierała.

— Chodźmy, on tam jeden nie poradzi — rzekł Maksym. Wstał zwolna, Piotr poszedł za nim; w progu

obejrzeli się obaj na łóżko. W sieni spotkali Ewkę Przez cały wieczór latała jak opętana, z izby na dwór, na strych po drabinie łaziła, kręciła się po izbie, zaczerwieniona jak w gorączce. Sześć lat już była za mężem, a wyglądała jak dziewczyna—szczupła, smagława, z wielkiemi siwemi oczami, brwi i włosy miała czarne, twarz drobną i bardzo białe zęby. Gryzła wargi, rzucała oczyma na wszystkie strony; w czerwonéj spódnicy, w bialutkiéj koszuli i niebieskich paciorkach na szyi, odbijała jaskrawo na tle okopconych ścian izby.

— Czy wy tak do nocy tuptać będziecie? — spytała zasapana, przebiegając wzrokiem od Maksymowéj do łóżka, do skrzyni i kubłów; paliło ją w piersiach, dłonie i podeszwy swędziły, poruszała plecami niecierpliwie.

— Ja posiedzę... przy nim, zaraz od Jakóba przyjdę... połóżcie się...

Maksymowa, pochylona nad skrzynią, spojrzała na nią przez ramię.

— Pilnowała ja jego za życia, to i po śmierci popilnuję—odrzekła zwolna.

Ewka przysiadła na ławie, w drżących palcach kręciła rąbek fartucha.

— To i ja z wami posiedzę—syknęła przez zęby.

Kręciła się na ławie, bosemi stopami szorowała po ziemi; w końcu porwała wiadro i wodę żłopać zaczęła, odpoczęła chwilkę i znowu piła jak koń zmęczony, Maksymowéj z oka nie spuszczając. Wiadro na ziemię cisnęła, kopcącą lampkę ze stołu schwyciła.

— Ja wam poświecę—rzekła,—pociemku zamiast spodni włożycie staremu swoją spódnicę!—zaśmiała się,

pokazując białe zęby od ucha do ucha. Maksymowa splunęła, wzruszyła ramionami, spojrzała trwożliwie na białą płachtę na łóżku, z pod któréj na jednym końcu widniało czoło przysłonięte siwemi włosami, na drugim wyglądały bose skrzepłe nogi.

Nazajutrz z rana stary był już na cmentarzu. Sąsiedzi prosto z pogrzebu w pole do roboty poszli. Franek, Piotr i Maksym, tym samym wozem, na którym trumnę przywieźli, na łąkę o kilka wiorst po siano pojechali. Siedzieli plecami zwróceni do siebie; Piotr, stojąc, zacinał konia. Jechali brzegiem rzeki, słońce dogrzewało jak latem, na ściernisku gdzieniegdzie błyszczały jeszcze krople nocnéj rosy. Wjeżdżając na górę piaszczystą, zwolnili kroku; Piotr obejrzał się— cmentarz na brzegu sosnowego lasu widział jak na dłoni: wśród rzadkich sosen kilkanaście krzywych krzyżów, kilkanaście mogił zrzadka trawką porosłych; promienie słońca przekradały się przez gałęzie u góry między równe pnie wysmukłe, oświecały nową, żółtym piaskiem usypaną mogiłę.

— Ot... gdzie stary... leży!—pomyślał Piotr, spoglądając przez ramię, podczas gdy konie szły zwolna pod górę. Maksym powiedział mu wczoraj jeszcze, że z pieniędzy trzecią część dostanie, że go nie skrzywdzą, oddadzą mu nawet starą siermięgę, czapkę i tabakierę, o butach tylko nie wspomniał; nie mówił téż, ile pieniędzy zostało, bo sam nie wiedział; Piotr pewny był, że dostanie może sto, a może dwieście rubli. Uspokoił się, poweselał, spojrzawszy raz jeszcze z góry na las, ciągnący się długim pasem wzdłuż brzegu, na kilkanaście piaszczystych pagórków wśród sosen.

— Ot gdzie stary leży!...—powtórzył z doskonałą rezygnacyą.

Stanęli na chwilę przed karczmą; otynkowana, wybielona, zwrócona frontem ku rzece, wyglądała jak dwór albo plebania, z gankiem o czterech murowanych słupach; po jednéj stronie, gdzie było mieszkanie Szmula, w oknach widniały szydełkowe firanki, fuksye i geranium w doniczkach; Szmul stał na ganku w spodniach, w rozpiętéj kamizelce, w pantoflach włóczkowych na bosych nogach. Od czasu, jak trzy córki za mąż wydał, a sam ożenił się powtórnie z młodą, ładną dziewczyną, rozpaniał jakoś, spoważniał i z chłopami wdawać się nie lubił, do szynkowéj izby nawet rzadko wychodził, interes prowadziła żonka, on tylko dla pewnych religijnych obrządków okazywał dotąd szczególniejszy szacunek. Jeśli kumowie, z chrzcin wracając, wstąpili do karczmy, każdemu darmo po kieliszku wódki dawał, chrześniaka téż częstował kilku kroplami, żeby odrazu poznał, co jest dobrego na świecie! Dla państwa młodych też same okazywał względy; na pogrzeby zaś i dla swatów dawał taką wódkę, że ludziska po jednéj, po drugiéj kwaterce pogrzebu od wesela odróżnić nie umieli. Jechali téż do niego z własnéj i z obcéj parafii, nieraz parę mil drogi nakładali, żeby Szmulowi chrześniaka pokazać, poczęstunek wypić i dziecko dobrą wódką bezpłatnie napoić. Wesela zatrzymywały się tu akuratnie, choć na chwilkę, a zostawały nieraz do nocy albo i do rana. Szmul kredytował chętnie, a że przy rachunku ustępował zwykle parę dziesiątek, woleli pić u niego na kredyt, niż u innych za pieniądze.

— Głupi ludzie — mawiał z niedbałym uśmiechem przy wszelkich kwestyach pieniężnych, — czy to mnie wasz grosz potrzebny, czy ja z was żyję? Ot, wielki zarobek! Z chłopa, jak z kozła: ani mleka, ani mięsa! Karczma, to żaden interes; żeby ja to miał, co do niéj dokładam, dawnoby już z głodu umarł! No, co tam gadać!... ja waszéj krzywdy nie żądam.

Chłopi, słuchając, kręcili głowami z niedowierzaniem, ten i ów czasem „Judaszem" nazwał, wogóle jednak mieli pewien szacunek dla jego atłasowego chałata, dla srebrnego zegarka, flegmatyczny spokój imponował im trochę. Raz tylko znany pijak Hawryłko ukradł mu blaszaną kwartę, schował do wozu, i wracając do chaty, przez całą drogę, dla uspokojenia sumienia, pijanym głosem powtarzał:

— Ot! bestya! Chrystusa ukrzyżował... i żyje!... Grzesznik przeklęty... a po świecie bożym chodzi i śmierci na niego niéma!

Kwartę zgubił w drodze, potém przez cały miesiąc nie śmiał jakoś oczu w karczmie pokazać; gdy wrócił, Szmul przyjął marnotrawnego syna z biblijną łaskawością, poczęstował wódką na mahorkę nalaną; rozpaliło go jak ogniem, pił potém przez cztery dni, aż w końcu trzeba go było z karczmy wyrzucić.

— Jaki z ciebie gospodarz — perorował Szmul na piąty dzień, — przepił buty i siermięgę! To wstyd! Mnie nawet wstyd, co takie gospodarze w mojéj karczmie piją! Zapłać za wódkę, a ja buty i siermięgę darmo oddam... mnie ona niepotrzebna! Ja, chwała Bogu, chłopskiéj odzieży nie nosił i nosić nie będę.

Mówiąc, przechadzał się poważnym krokiem, z rękami za plecy założonemi; od bogatszych przyjmo-

wał czasem szczyptę tabaki, rozmawiał z nimi, ale nie spoufalał się zbytecznie; najbogatszych nawet nazywał w oczy „mużykami,” ile razy, pogadawszy w karczmie o tém, o owém, wychodzili trzeźwi, po jednéj zaledwo kwaterce. Z Maksymem miał rachunki dawne i bardzo zawikłane. Chłop, myśląc o nim, czuł smoktanie pod sercem, słabość dziwną, jakby naraz wszystką krew utracił. Unikał go, w ostatnich miesiącach nie zaglądał do karczmy; Szmul tylko przez sąsiadów dowiadywał się o tego „złodzieja,” „paskudnika,” groził mu i zapowiadał, że swego nie daruje.

— Ja tam o te pieniądze nie dbam, niech on moją krzywdę na doktora wyda!... Ale mnie serce boli, że teraz i gospodarskim synom wierzyć nie można. Nu, ja sobie myślę, że ja to na biednych oddał!

Maksymowi aż iskry w oczach błyskały, gdy tego słuchał; sto razy już chciał zdusić żyda i zawsze do przyszłego razu odkładał, ale długu nie płacił. Spotkawszy go, głowę spuszczał, w ziemię patrzył, przesuwał się jak złodziéj, a w duszy klął żyda, dziwił się, że go czart dotąd nie schwycił. Wolałby już turbacyę wszelką, natrętne dopominanie się, niż tę moralno-żydowską wspaniałomyślność, za którą będzie musiał gotówką z procentami zapłacić.

Podjeżdżając pod karczmę, zdaleka gdy żyda spostrzegł, splunął, fajkę pykał daléj, a w piersiach głos zamarł z zadowolenia, że nareszcie psu temu pieniądze w oczy rzuci.

Siedząc na wozie, plecami do karczmy zwrócony, krzyknął na niego przez ramię:

— Hej ty, kręciel, a ile tam na mnie nakręcił? Niech czort tobie zliczyć pomoże!... bo ja jutro zapła-

cę... Dość już w twoich łapach siedział! Bodaj ty przepadł!—mruknął pod nosem, pykając fajkę.

Szmul udał, że nie słyszy; z rękami w kieszeni patrzył na rzekę pomarszczoną zlekka, połyskującą na słońcu. Przywykł do pogróżek i wymyślań, nieraz sam nawet wywoływał je dość zręcznie,—od próżnéj gawędy skóra nie boli, a potém łatwiéj interes kończyć. Bywało nieraz, że chłop, wygadawszy co na myśl przyszło, dodawał zakwestyonowaną dziesiątkę albo i dwudziestkę.

Szmul chował naddatek z olimpijskim spokojem i myślał w duchu:

— No, ten zna się na grzeczności przynajmniéj.

Maksyma ta obojętność drażniła; chciał jeszcze raz żyda „kręcielem" nazwać, zmiarkował jednak, że nie warto, milczał, brwi ściągnął i splunął. Czekali na Maksymowę; z cmentarza po chleb i po mleko do chaty zaszła; krótszą drogą, przez pola, miała ich przed karczmą napędzić.

— Jak asan pieniądze przyniesie, to i zliczymy rachunek. Na co tu czort?—odrzekł Szmul z żartobliwą powagą.—Może tam u was jaki parobek jest? Ot kupiec z wiciną stanął, daléj płynąć nie może, człowiek zachorował; popytajcie się, może który pójdzie? On sprawiedliwy kupiec, dobrze płaci, nu, i wam gościńca da.

— A niech on sam zębami ciągnie! — mruknął Maksym, dziwnie jakoś przeciw żydom rozjątrzony.

Naprzeciw, przy lewym brzegu, stała wielka barka zczerniała; kawał szarego płótna, przedstawiający żagle, zwieszał się na wysokim drągu, do którego uwiązano kilka lin grubych, zakończonych parcianemi pasami. Nizka, szeroka, szczelnie gontami kryta, wy-

glądała jak żółw olbrzymi, czerniejący na niebieskawych wodach; w jednym i drugim końcu widniały zwoje lin, deski, obręcze, klepki, puste worki z czarnemi napisami zrzucone na kupę, kilka kożuchów futrem na wierzch wywróconych; na zrębie suszyła się uprana koszula i para płóciennych spodni. Nowiutka łódź, biało i niebiesko malowana, uwiązana na węzłowatym postrzępionym sznurze, kołysała się zlekka, poruszana spokojną falą. Obok barki, na brzegu, pod piaszczystém urwiskiem, kilku ludzi wygrzewało się na słońcu; leżeli na brzuchach, z podniesionemi głowami, gadali coś między sobą, głuche echo niosło ku karczmie urywane odgłosy. Franek przyglądał się im, stojąc na brzegu, ręką oczy przysłonił i patrzył na osmoloną barkę, to na łódź ładną, leciuchną, z leżącemi wewnątrz nowemi wiosłami. Odciąłby ją chętnie... taka łódka... ho, ho!— pokręcił głową w niemym zachwycie.

— A ten chory gdzie?—spytał żyda, wracając od brzegu do wozu.

Szmul wskazał głową na zarośla przy karczmie.

— Licho wie, co jemu stało się; chłop zdrów, silny, przystał w drodze, daléj iść nie chce.

Pod krzakiem jałowca na trawie siedział bosy parobek w koszuli, w płóciennych spodniach, opasany szerokim skórzanym pasem; kolana rękami objął, rudą głowę wsunął w ramiona, usta otworzył i patrzył apatycznie przed siebie. Obok niego stała blaszana kwarta rdzą pokryta i leżały dwie cebule.

— On od twojéj wódki do jutra zdechnie—rzekł Franek;—cudzy człowiek, nie wie jeszcze, że ty ludzi trujesz.

— Oj, jaki Franek mądry! nu, czemu was z wojska żołnierzem puścili, kiedy wy jeneralski rozum macie?

— A gdzież ty, żydzie, takich młodych jenerałów widział? Rozumu swego ja u ciebie nie przepiję! Nie bój się! Niedoczekanie twoje! Dalibóg, struł! — powtórzył, wpatrując się w siedzącego nieruchomie chłopa.

Podszedł zwolna ku niemu, Szmul przeprowadził go szyderskim wzrokiem.

Franek widział, jak w słonecznéj przestrzeni, od strony wioski, Maksymowa dreptała śpiesznie wpoprzek zagonów, niosąc garnki w obu rękach; czasu do stracenia nie było; stanął przed nieznajomym, obrzucił go wzrokiem. Pomimo piegów i ogorzelizny, chłop wyglądał blado, pod ociężałemi powiekami kryły się niebieskie, znużone oczy; brodę na kolanach oparł, patrzał w las na przeciwnym brzegu.

— Z daleka? — spytał Franek.

Chory tylko brwi rude podniósł i milczał; nogi miał czarne, zeschłém błotem pokryte, zamiast paznokci, na palcach plamy krwi, z piaskiem zmięszanéj.

Frankowi aż w sercu ukłuło, gdy na te poranione nogi spojrzał; obok niego na trawie leżała granatowa kamizelka z błyszczącemi guzikami, malowana porcelanowa fajka i zawiniątko w czerwonéj chustce, z którego wyglądały szklane, niebieskie paciorki.

— Długo ciągnęli? — spytał znowu, wskazując głową na barkę.

Chory zrobił głową ruch niewyraźny, jakby muchy opędzał; spojrzał z ukosa na zakurzone buty Franka, brwi ściągnął, najeżył się i milczał.

— Pewno nie tutejszy!—pomyślał Franek—Niemiec może? A że, będąc w wojsku, nauczył się tego i owego, między innemi rzeczami i kilka niemieckich wyrazów umiał, ręce w kieszenie wsunął, nogę po żołniersku odstawił, uśmiechnięty, mrugnął okiem sam do siebie.

— *Ferfluchter, a brod, a wasser?* — spytał, szczerząc zęby.

Miało to znaczyć: Niemcze, może chcesz jeść? Ale chory i na to odpowiedział ponurém milczeniem.

Franek ramionami zżymnął, poszedł do wozu, gdzie już Maksymowa ustawiła garnki i sama obok męża usiadła.

Chory przeprowadził go wzrokiem, popatrzył na całą gromadę, na wóz, na konie bardzo chude, zapracowane, a gdy Piotr, stojąc na wozie, zaciął je biczyskiem, targnął lejce, na piaszczystą drogę zwrócił:

— Durny chłop!—mruknął chory, splunął i patrzał, jak ślina z krwią zmięszana zwolna w suchy piasek wsiąkała.

W chacie pozostała tylko Ewka; bosa, w podkasanéj za kolana spódnicy, rękawy koszuli zakasała za łokcie, czerwoną chustkę zawiązała mocno na włosach, zasapana, z wypiekami na twarzy, uwijała się po izbie. Łóżko starego na podwórko wyniosła, siennik, kołdrę, szmaty różne na płocie porozwieszała, obejrzawszy wprzód każdą starannie; z siennika słomę wytrzęsła i długi czas przebierała w niéj, przeglądając każdą garść z osobna; do izby wpadła, kubeł dnem do góry przewróciła; oprócz staréj kamizelki, wełnianych rękawiczek o jednym palcu, wysypało się z niego drobiazgów różnych sporo: sznurki cienkie i grubsze, rze-

mienie, guziki, bobu i fasoli ziarna odwieczne, zeschłe kłosy pszenicy, czerwony czepek w żółte kwiatki, podgarnirowany tiulem, jeszcze po pierwszéj żonce pamiątka! Ewka rwała, gniotła, odrzucała na bok i znowu chwytała, macając, kręcąc na wszystkie strony, pochylona przebierała na ziemi każdą szmatkę drżącemi rękami; krew napłynęła do głowy, żyły nabrzmiały na szyi, wyprostowała się zasapana, spojrzała ponuro po izbie; na progu, w drzwiach otwartych do sieni, siedział kot czarny z podwiniętym ogonem, patrzał na nią zielonemi ślepiami. Ewka zacisnęła zęby, schyliła się śpiesznie po polano, kot zemknął, cisnęła za nim polanem do pustéj sieni.

— Zgiń ty! przepadnij!—syknęła.

Przez chwilę stała jak odurzona. Czarny, nieznany kot w pustéj chacie, podczas gdy tak gorliwie przetrząsała rzeczy nieboszczyka, przeraził ją trochę; splunęła raz, drugi, a serce w piersiach biło jak młotem. Ochłonąwszy, zabrała się znowu do roboty, gorączka ją paliła, odsunęła stół, ławy, tapczan z pościelą, co już prawie do ziemi przyrósł, z miejsca poruszyła; wzdłuż ścian dokoła izby suwała się jak opętana, próbując bosemi nogami, czy gdzie na miękką glinę, na ślad jamy lub dziury nie natrafi; macała ściany, pod piec wlazła, w komin nawet zajrzała, na piecu cegły drapała, próbując, czy któréj wyjąć nie można, zeskoczyła na ziemię i znowu do szmat się rzuciła. Z pod tapczanu baryłkę z dziegciem słomą zatkniętą wysunęła, worki, łapcie, garnki z pierzem wyrzucała na środek z coraz większym pośpiechem. W uszach dzwoniło, co chwila przerywała robotę, słuchała.... Ktoś przeszedł koło chaty, wiatr drzwi w sieni poruszył, zaszeleściło coś

pod piecem... i znowu wszystko ucichło—smugi światła słały się po ziemi, świerszcz brzęczał w śmieciach przy progu. Rzucała się do roboty. Już każdą szmatę z dziesięć razy miała w drżących od pośpiechu rękach, nie wiedząc za co chwytać, gdzie jeszcze szukać i patrzéć. Zadyszana, przysiadła na tapczanie wśród kupy rupieci... opuściła ręce; koszula przylgnęła do spotniałych pleców, pot błyszczał na czole... Sapała ciężko, przełykając kurzem przesiąkłe powietrze. Jeszcze cały dzień miała przed sobą. Oni aż wieczorem wrócą... Strych, strzechę, świeron przetrzęsie, pazurami ziemię drzéć będzie... a znaléźć musi! Wiedziała, że stary chował gdzieś pieniądze, przez sześć lat czatowała na niego. On to rozumiał, przeczuwał raczéj... wystrzegał się... pilnował chaty przedewszystkiém, jak stary wilk pilnuje łożyska, w którém kilka kości schował na głodną godzinę. Pewną była, że ukrył gdzieś w chacie. Ale gdzie? Spróchniałe ściany przy ziemi białą pleśnią pokryte, okopcony pułap, komin, podłogę gliną ubitą, wszystko już obejrzała, omacała, wszędzie węszyła, ocierając się o każdy kąt, drapiąc w szczelinach, nadsłuchując... Strzecha jeszcze została odwieczna, mchem porosła—za każdą krokwią mogła być kryjówka... Spojrzawszy na skrzynię w kącie przy piecu, skrzywiła się pogardliwie—stary był chytry... umiał chować! Duża kłódka wisiała przy skrzyni, odemknęłaby ją jedném uderzeniem siekiery... Wzruszyła ramionami na samą myśl podobnéj kryjówki! Wczoraj już, świecąc Maksymowéj, prześwidrowała wzrokiem każdy drobiazg! Zamka nie poruszy! Niech dla tych wołów zostanie! Ona lepszéj kryjówki poszuka. A jeżeli i ona nic nie znajdzie?... Odrętwiała na samo to przypuszczenie,

stłumiła oddech, przez chwilę siedziała jak martwa. Ucieknie, utopi się, ale dłużéj w téj chacie przeklętéj nie wytrzyma! Sześć lat żyła jak na uwięzi... dłużéj tak żyć nie chce! Zerwała się, setny już raz może schwyciła poduszkę, szarpnęła, pierze rozleciały się po izbie, pokryły rozrzucone na podłodze rupiecie.

II.

Kiedy szła za mąż, baby i dziewczęta krakały jak wrony, dziwiąc się i zazdroszcząc, że do najbogatszéj chaty idzie. Ona wówczas już wzruszała ramionami na to swoje szczęście. Stu innych wolałaby, niż jednego Franka; chudy był wówczas, z krzywemi nogami, bez wąsów nawet! Niedawno bydło z chłopcami pasał, a teraz przechwalał się, że ją rozumu nauczy, dotąd bić będzie, aż do roboty przyzwyczai jak należy! Śmiała się, słuchając; dyabeł uciekłby od tego śmiechu, a Franek nie uciekał! Z biedy poszła za niego; głód prześladował ją od dzieciństwa, jak gdyby w głodny rok na świat przyszła! Strasznie głupią miała matkę; dziś jeszcze, kiedy ją wspomni, wzrusza ramionami pogardliwie. Wysoka, z czarnemi oczami, młodą jeszcze będąc, chodziła w łachmanach jak żebraczka! Pisarz w ich wiosce chciał ją do siebie za gospodynię wziąć... Nie poszła!

— Dość jednego grzechu!—mówiła—teraz pokutować trzeba... Boga przepraszać.

Pisarz znalazł inną, czerwoną, hożą, panowała u niego jak we własnym domu! Ewka nieraz widziała ją w różowéj spódnicy, w niebieskiéj fularowéj chustce, karmiącą kury ziarnem, albo siekającą zielsko dla wieprzów; pierścionki miała, kolczyki, siadywała sobie całemi godzinami w otwartém oknie, przy samowarze, piła herbatę, cukrem przegryzając! Utyła, wypiękniała, chłopi przed nią czapki zdejmowali, kury, jaja, orzechy znosili! W najpilniejsze czasy, kiedy inne baby od świtu do nocy przy żniwie potem się oblewały, ona siedziała sobie na ganku, wygrzewała się na słońcu, gryzła orzechy, albo pisarskiego psa grzebieniem czesała!

Chuda, czarna Ewka w poszarpanéj spódniczce, w brudnéj, rozpiętéj na piersiach koszuli, zaczajona w krzaku, przyglądała się téj rozkoszy, pożerała wzrokiem wszelkie oznaki pisarskiego dostatku. Duży, błyszczący samowar miał dla niéj prawie takiż urok powagi, jak sam pisarz! Dreszcz ją przebiegał, oskoma dręczyła na widok jadła różnego, na samą woń pieczywa i smażonego mięsa. Poruszała nozdrzami, przełykała ślinę i, jak lunatyczka, bezwiednie prawie przysuwała się coraz bliżéj do pisarskiego domu. Z za węgła szła wzdłuż ściany aż pod ganek, stawała w kącie skurczona, nieśmiała... Siwe oczy latały na wszystkie strony; chude, jak u małpy, palce kurczyły się nerwowo! Skrzętna gospodyni na ganku nic nie zostawiała, w najlepszym razie znajdowały się na ławce strąki grochu, ogryzione jabłko, albo resztki chleba z masłem, którego pies nie dojadł. Sama za to dawała jéj czasem kawałek cukru, sera, odgotowane mięso. Ewka chowała śpiesznie zdobycz za pazuchę i, nie oglądając się, uciekała przez płoty, przez zagony, do staréj kuźni,

gdzie matka jéj kąt miała, w izbie malutkiéj jak skrzynia, obrosłéj z zewnątrz pokrzywą i łopianem, ciemnéj i zimnéj jak psiarnia. W izbie téj zamykała ją czasami, na robotę wychodząc, zostawiwszy trochę zimnych, odgotowanych kartofli, chleba kawałek i garnek pierza do skubania. Koło okienka świergoliły wróble, przez szczeliny w ścianach przekradały się cienkie smugi słonecznego światła, z pod węgłów spróchniałych wyglądała trawa; zielone jaszczurki, ogrzane słońcem, wsuwały główki, rozglądały się po ciemnéj izbie, znikały szeleszcząc w gęstych liściach. Ewka poszła za ich przykładem: zjadła, co było do zjedzenia, wyśliznęła się z izby, wyłamawszy kawałek spróchniałéj deski. Głodne psy odtąd na krótko zakradały się tą drogą do ich chaty, po chwili wyłaziły również głodne jak weszły. Ewka na żer szła, niszcząc po drodze wszystko, co się dało! Najadłszy się jabłek, gruszek, jarzyn wszelkich, resztę łapała chciwie w fartuch, za koszulę, czaiła się za płoty, chyłkiem przechodziła przez las konopi, obładowana łupem, padała, biegnąc przez pole po zagonach, w końcu, dopadłszy do izby, ukrywała zdobycz w pokrzywy, przysłaniała zielskiem i trawą; odpocząwszy chwilę, zasapana biegła daléj po orzechy, po jagody, po grzyby różne.

Choroba jakaś ją trawiła, zęby swiędziły na widok jadła w jakiéjbądź formie; zdaleka już węszyła zapach gotowanéj strawy, smażonéj słoniny, z błyszczącemi oczami biegła w tę stronę, serce biło gwałtownie, stawała przy drzwiach, czekała, oglądała się, nadsłuchiwała... W izbie jedli; czasami pies w zębach kość wynosił, ogryzał u jéj stóp bosych kość ciepłą jeszcze, wilgotną, z resztkami żył żółtawych. Ewka przełykała

ślinę, aż w gardle bolało, ocierała się plecami o ściany izby, z nogi na nogę przestępowała, ale wejść do izby nie śmiała; rozjątrzona, zaciskała zęby; schwyciwszy kość psu, biegła z nią w pole, oglądając się co chwila; gdy pies nadbiegał, ciskała ją w krzaki, w warzywo między zagony, śmiała się pískliwym śmiechem, widząc, jak skrzywdzony, zbity z tropu pies stawał, węszył i wracał do chaty ze łbem spuszczonym...

Ona to odkradała pastuchom z torby ser, chleb i kwaszone ogórki. Przez długi czas oskarżano o to samego dyabła—tak zręcznie, przyczaiwszy się, umiała wymacać przez płótno każdy kęs jadła; upatrzywszy stosowną chwilę, wsuwała do torby chudą, małą rękę; dziad nie zdołał jeszcze głowy odwrócić, a ona była już ze zdobyczą w najgęstszéj leszczynie nad strumieniem, jadła chciwie, spoglądając dokoła między gęstemi liśćmi.

W leszczynie téj cienistéj, podesłanéj miękką trawą, usianą białą i różową dzięcieliną, w największy upał nawet panował wonny chłodek; ptactwo różne zlatywało się tu gromadnie, obsiadało gałązki, kryło się w gąszczy; od gwaru, świergotania, szczebiotu, drgały liście, drgało wonne, błękitnawe powietrze. Tu, w południe, parobcy, zostawiwszy woły w polu, przychodzili wyciągnąć się w trawie nad strumieniem; tu dziewczęta i młode kobiety z wioski prały zwykle bieliznę na dwóch wielkich kamieniach, stojąc po kolana w przezroczystéj, zcicha szemrzącéj wodzie. Siwe oczy Ewki zerkały na nich z pomiędzy gęstych liści. Stała tam jednak tylko dokąd nie pochłonęła ostatniego kawałka. Nieraz, podczas najdrażliwszéj sceny, odchodziła, wzruszając ramionami obojętnie. Gdy ją

tam matka spotkała przypadkiem, pędziła do chaty, perorując po drodze o Bogu, o cnocie, biła w kark pięścią, popychała przed sobą chudą, głodną dziewczynę, zalewając się łzami nad jéj próżniactwem i hardością.

— Bodaj tę cnotę dyabli wzięli!—mruczała Ewka.

Od szybkiego ruchu głód znowu jéj dokuczać zaczynał; zerkała w prawo, w lewo, a dostrzegłszy płot nizki, rzucała się nagle w tę stronę i, jak ryba w wodzie, znikała w konopiach, w szerokich liściach brukwi i buraków; tylko potrącone gdzieniegdzie maki i kopry świadczyły o obranym przez nią kierunku.

Matka patrzyła osłupiała... w dziewczynie téj złe jakieś siedziało... Wiedziała o tém dawno, w końcu jednak i sąsiadki mówić o tém zaczęły. U każdéj prawie wyjadała warzywo, wykradała suszące się sery w koszach, w końcu zaczęła śledzić kury... W wiosce krążyły już wieści, że sekretnie podbiera jaja... Stare baby, co już niejedno na świecie widziały, zaczęły przebąkiwać, że ona może i krowy w polu wydaja... Szkodny pies nie miał tylu wrogów co ona! Zaledwo weszła w ulicę—z sieni, z za płotów wychylały się głowy w czerwonych, w białych lub brudnych chustkach, syczały na nią zdaleka, psy i dziatwa wybiegały na jéj spotkanie, dopędzały, wyskakiwały z podwórków z prawéj i lewéj strony... Na szczęście, chudą była jak chart, miała długie i cienkie nogi,—rozpędziwszy się, dziatwę zostawiała daleko; psy tylko dotrzymywały placu; dopędziwszy, targały zębami za starą spódniczkę, chwytały za łydki, nieraz do krwi ugryzły w bose, zabłocone pięty. Wrzawa ta i niebezpieczeństwo podniecały w niéj ducha, hartowały odwagę; widząc ślady krwi na piasku, wzruszała ramionami; po każdéj takiéj

przeprawie jadła z większym apetytem, albo szła spać strasznie głodna i śniła, że ma cały bochen świeżutkiego chleba, lecz zanim skosztować zdołała, budziła się raptem na słomie, w pustéj izbie... i płakała z głodu gorzkiemi łzami!

Na służbie, gdy została niańką u ekonomowéj, jadała codzień ciepłą strawę w kuchni, dostawała czasami kęs jakiś ze stołu, natomiast codzień w nieméj bezczynności spoglądać musiała na prawdziwie ekonomski apetyt i dostatek! Woń tłustych, posilnych potraw snuła się za nią; w dwóch dusznych, nizkich izbach pachniało twarogiem, okrasą, na stołach przy oknach suszył się naprzemian mak, kasza, mąki różne, po kątach przy piecu i za drzwiami wisiały suszone grzyby, jabłka i gruszki; gdy słońce przez okno ogrzało ten ład i dobytek, powietrze w izbie stawało się odurzające! Muchy latały zwolna, jak pijane. Ewce głowa ciężyła—uspokoiła się jakoś, spoważniała; dano jéj czerwoną spódnicę i wyblakłą niebieską chusteczkę, którą mogła przykryć koszulę dziurawą na plecach.

W kilka lat, gdy wyrosła na szczupłą, smagławą dziewczynę, kucharz chciał jéj kupić pierwsze trzewiki. Na wszelkie zaloty wzruszała ramionami obojętnie, głodną teraz bywała rzadko; a że dzieci u ekonoma przybywały każdego roku, przez całą wiosnę i lato wraz z dzieckiem wygrzewała się na słońcu, drzemała, gdy sen zmorzył, i tylko w porze śniadania i obiadu uczuwała dawny niepokój i energię. Mówili o niéj, że jest trochę leniwa, ale porządna dziewczyna—i na to wzruszała ramionami! Inne dziewczęta dostawały wstążki, paciorki, wracały czasami pijane z jarmarków, ale w kieszeniach miały pierniki i groszowe cukierki.

Ona w swojéj czerwonéj spódnicy, krótkiéj i wyblakłéj, w siwéj koszuli, łatanéj na plecach białym perkalem, patrzała na to wszystko z pod czoła, zaciskała zęby...

Dawnoby już rzuciła służbę, gdzie ją prawie tylko za chleb i przyodziewek trzymano, lecz bała się, żeby znowu między chłopstwo na głód i ciężką pracę się nie dostać. Przytém jeden z parobków, Andrzej, powiedział jéj raz na zawsze, że się z nią ożeni, jeżeli będzie uczciwą dziewczyną; w przeciwnym razie kości jéj połamie, kamień do szyi uwiąże i na rzekę puści. Obiecywał to spokojnie, grubym, ochrypłym głosem, kija nawet przy sobie nie miał; uwierzyła jednak, przeczuła raczéj, że on obietnicy dotrzyma. Lękała się go trochę, była żwawszą i pracowitszą, gdy na nią patrzył; kilka razy nawet, gdy w święto do stajni zajrzała, stawała przy drzwiach zdziwiona, jakby onieśmielona. Podczas gdy inni parobcy wałęsali się z kąta w kąt, spali na słomie, albo grali przed kuchnią w stare, zasmolone karty, on, siedząc na kulu słomy pod żłobem, czytał!.. Elementarz na kolanach rozłożył, palcem po literach wodził i bąkał niezrozumiałe jakieś sylaby, czerwony, zasapany jak przy ciężkiéj robocie, rękę w rude kudły zasuwał, drapał się za uchem, wzdychał—ale czytał! Ujrzawszy we drzwiach dziewczynę, elementarz śpiesznie za koszulę chował.

— No i czego przyszła?—wołał zaczerwieniony—ruszaj do dziecka! ot, po stajniach jeszcze wałęsać się zacznie!...

Odwracał od niéj głowę, patrzał z podełba w ciemny kąt stajni—wstydził się swojéj uczoności, nie chciał, żeby ludzie gadali, że on nie taki jak inni.

— Ot dureń!—szeptała Ewka, drepcząc od stajni ku dworowi.

Dopędzał ją czasami; szedł obok, z rękami w kieszeniach spodni, z pochyloną na piersi głową; buty miał zawsze porządne, bieliznę czystą i całą, mówił niewiele, z rozwagą i zawsze w ziemię patrzał. We dworze szanowali go wszyscy. Nie upijał się, nie kradł, silny był, pracowity, tylko hardy. Ekonom, zanim do niego słowo przemówił, namyślał się, rozważał i często odszedł z tém, z czém przyszedł, bojąc się hardéj odpowiedzi.

— Ty, Ewka, domu pilnuj — mówił łagodniéj, idąc z nią ku dworowi,—złych języków strzeż się. Człowiek... tego... no, wiadomo... każdy człowiek powinien dbać o ludzi.

Chciałby to jaśniéj wytłumaczyć—nie umiał, słów brakło; czuł tylko, że duszę oddałby za tę szczupłą, czarniawą dziewczynę z siwemi oczami, ze złym, ale jakby mądrym uśmiechem... czuł zarazem, że zdusiłby każdego, ktoby jéj chociaż jednym palcem śmiał dotknąć! Ożeniłby się z nią choć dziś, ale kiedy bał się; widział, jak inni parobcy z dziećmi, z żonkami włóczyli się ze służby na służbę, ciągnąc za sobą na wozie złamany stołek, skrzynię bez zamka, kolebkę łozową, w któréj jedno albo dwoje małych piszczało! Ile razy, koło czworaka przechodząc, spostrzegł brudne, opuszczone maleństwo, pełzające po kamieniach, szturgane przez świnie, skubane przez gęsi i kozy,—stawał i patrzał—bronić nawet nie miał ochoty.

— Niech marnieje, niech zdechnie wprzód, nim od ziemi odrośnie; lepsza śmierć, niż psie życie!—spluwał i odchodził.

— Durny chłop!—szeptało mu coś w duszy. Brwi ściągał, patrzył w ziemię i czasami przez kilka dni do nikogo słowa nie przemówił.

— Żeń się ze mną — powtarzała nieraz Ewka, patrząc mu w twarz siwemi oczyma. Uśmiechało jéj się życie parobkowéj: spałaby wówczas długo, gotowałaby co chciała i tylko z łaski poszłaby czasami podoić dworskie krowy, albo wypléć warzywo.

— Poczekaj, może potém lepiéj będzie — odpowiadał.

Wzruszała ramionami na to nieokreślone „potém;" jéj i teraz źle nie było; żeby jeszcze miała nową odzież i nie potrzebowała prać pieluszek, byłaby zupełnie szczęśliwa.

— Może ziemi kawałek, chatę własną... dostanę... ot, wtedy....

Zamyślał się na te słowa, przymykał oczy... gęsta czupryna spadała na czoło, nastawiał rude wąsy. Barczysty, ponury, imponował jéj siłą i powagą.

— A ty, Ewka, ekonomskiego cukru nie kradnij—perorował nawpół surowo, nawpół po przyjacielsku; — znalazł ja, idąc za tobą, kawałek i psom rzucił; co słuszne, to słuszne, a co kradzione, to wstyd i grzech. Gospodynią ty u mnie będziesz, żonką, to i duszy poczciwie pilnować musisz... Na co nam cukier i to cudzy, byle własny chleb był. Na ten raz przebaczę, na drugi... wybiję, dalibóg! Choć mnie samego serce boli, że ty dobrego słowa słuchać nie chcesz.

— Ot dureń! tfu! niech go choroba!—powtarzała Ewka w duszy, ochłonąwszy nieco z wrażenia powagi i spokoju.—Chleb ja mam! a cukru kto mi da, jeśli sama nie wezmę?

Czekała, co daléj będzie; on zaś z roku na rok odkładał; stawał się coraz bardziéj milczący, czasami w gniew wpadał, brewerye wyprawiał; ekonom zapowiedział w końcu, że go odprawi.

— Sam pójdę! dość już tu swego potu zmarnował! Świat szeroki, głód i robotę wszędzie znajdę— odrzekł hardo.

Ekonom bał się, żeby w złości nie podpalił gumna ze zbożem, albo krów nie potruł; milczał tedy do czasu, kazał go nawet pilnować zdaleka.

— Pójdę w świat — mówił Andrzej do Ewki.— Teraz taki czas nastał, że kto rozum ma, w świat idzie... za morze, albo za Dunaj pójdę.

Chmurzył się, mówiąc o tém; zerkał z pod oka na pola, falującém żytem porosłe, na łąkę, wśród któréj drzemało jeziorko pleśnią pokryte, błotniste, przepełnione żabami. W monotonnéj, ubogiéj okolicy nie było na czém wzroku zatrzymać; Andrzej rozglądał się jednak, a im dłużéj patrzył, tém ciszéj powtarzał:

— Pójdę w świat!

Czasem i wcale nie powtarzał. Wracał do roboty i przez kilka dni jak wół pracował zawzięcie, do krwawego potu. Ekonom dawał mu za to wieczorem kieliszek wódki i o wydaleniu nie wspominał. Myśl wędrówki wzrastała stopniowo.

— Co ja tu wypracuję?—powtarzał przed Ewką, która słuchała z szeroko otwartemi oczyma i od czasu do czasu wzruszała nieznacznie ramionami.—Za młodu parobkiem będę, na starość pastuchem! Ludzie na świecie, słyszę, wzbogacają się odrazu... ten tak, ten owak grosz zarobi, ziemię kupi... i pracuje na swojém. Pójdę w świat! Ty, Ewka, mego psa pilnuj, niech

o mnie tu choć jedna dusza pamięta. Za rok, za drugi wrócę... Ja tam wielkich rzeczy nie szukam: trochę zarobię, trochę pożyczę, chatę po leśniku kupim i dosyć!

Słuchała, a w piersiach drgał zły śmiech; oglądała się po podwórku, żeby mu w oczy nie patrzéć.

— Dokąd on pójdzie?... a!... ot nie widzieli na świecie durnia!—powtarzała w duszy.

Powiedziéć tego głośno nie śmiała; wyglądał coraz posępniéj, opuścił się, postarzał, zbierał zwolna manatki, chodził jak odurzony, czasem nawet jeść zapominał, w końcu zabrał resztę należności od ekonoma.

— Jutro już pójdę — mówił do Ewki ostatniego wieczoru.

Siedział pod wierzbą za stajnią, kolana rękami objął i nasłuchiwał, jak za ścianą konie obrok chrupały, łowił uchem głuchy, nieujęty szmer jesiennego powietrza, szelest liści wierzbowych... Stłumił oddech, na razie więcéj mówić nie mógł... Ewka, oparta ramieniem o drzewo, kręciła w palcach rąbek fartucha; miała już wówczas swoje projekta... czekała tego „jutra.”

— W Poniemuniu las rąbią, po rublu za dzień żyd płaci... pójdę, potém może co lepszego trafi się... trzeba będzie po świecie poszukać — mówił jak senny, równym, monotonnym głosem.

Zamilkł; od błotnistego jeziorka powiało chłodną wilgocią; poruszył nozdrzami, powoli, jak lunatyk, zwrócił głowę w tę stronę; niemoc go ogarniała, zasnąłby tak pod wierzbą i spałby do dnia sądnego!

Ewka poruszyła się niecierpliwie, odejść nie śmiała; chociaż nie wybił jéj ani razu, bała się jego żelaznych pięści, grubego głosu, bała się nawet tych

brwi rudych, najeżonych jak u zbója. Przestąpiła z nogi na nogę i westchnęła ze złości. Spojrzał na nią; szczupła, bosa dziewczyna w staréj spódniczynie, z głową do pnia wierzby przysłoniętą, wyglądała smutnie... tego wieczoru cały świat jakoś smutnie wyglądał — na niebie snuły się szare chmury, chłodnawy deszczyk prószyć zaczynał.

— Nie bieduj, wrócę! rok nie wiek! Będziesz poczciwa... nie pożałujesz! Zgubisz duszę, to i ja ciebie zgubię! Powiedział raz, że ty dla mnie sądzona, to już tak być musi! Nikt doli swojéj nie przemieni. Ja od rodu na baby nie patrzył, a ciebie umiłował, od krzywdy, od poniewierki bronił, tak i ty, Ewka, pilnuj się... Głowę skręcę, żeby ja tak zdrów był! Ty wiesz, że ja nie pies, darmo szczekać nie lubię!

Złagodniał trochę, wziął ją za rękę, potrzymał chwilę i puścił.

— No, bywaj zdrowa, jutro o świcie już mnie tu nie stanie. Szelma Piotrek będzie teraz łysego poił! kat on na konie; miłosierdzia żadnego nie ma; ha, niech katuje! Nie moje konie, nie moje biedowanie.

Splunął, sięgnął do kieszeni po lulkę; nim zapalił, Ewka była już w połowie podwórka; spojrzał za nią; w zmroku wieczornym widział jéj bielejące plecy, widział, jak szła coraz prędzéj, znikła za domem. Opuścił ręce, o lulce zapomniał, postał jeszcze czas jakiś i powlókł się ociężałym krokiem na ostatni nocleg do stajni.

W rok potém Ewka była już żonką Franka. W pierwszych czasach chodziła jak odurzona, sama nie wiedziała, czy to sen, czy jawa ciężka, dusząca, stokroć gorsza od służby we dworze, od głodnych dni dziecin-

nych, bez pracy, na swobodzie! Odrazu do najcięższéj roboty ją zaprzęgli, od świtu do nocy chwilki jednéj swobodnéj nie miała!

W nizkiéj, okopconéj chałupie stary ojciec, wysoki, jak zbój obrosły, śledził ją wzrokiem z pod brwi najeżonych; do roboty pędzał, przysiąść nie pozwalał; sam, jak wół, wciąż jeszcze w jarzmie chodził, w każdy kąt zazierał, a jéj pilnował więcéj niż wszystkich. Pod ziemię skryłaby się od niego, a tu nawet za płotem, w konopiach skryć się nie mogła. Zaledwo na chwilkę przysiądzie, odurzoną głowę rękami ściśnie i kości na słońcu prostować zacznie — stary z za płota wyłazi, dolną wargą rusza, sapie, sękatym kijem po ziemi stukając. Ewka zrywa się, przez płot, przez zagony do roboty wraca, klnie w duszy dolę swoją, chatę i męża przeklina, ale milczy i robi. Robota jéj kiepska, do niczego porządnie wziąć się nie umie — ze strachu, ze złości wszystko z rąk pada. Stary od pierwszego dnia nazwał ją darmozjadem, zapowiedział, że z chaty wypędzi; Franek uspokoił go trochę, obiecując, że sam na niéj ze dwa kije połamie i rozumu nauczy.

Maksymowa dziwiła się, ramionami wzruszała; dała jéj swoją koszulę, spódnicę, czystą, białą chustkę na głowę, i obiecała, że pracować nauczy; jeden tylko Maksym nic nie mówił, patrzał na nią z pod oka i milczał. Ewka przeczuła w nim sprzymierzeńca, a gdy sam na sam zostali w polu czy w chacie, uśmiechała się do niego i zaglądała w twarz siwemi oczyma. Odwracał się zwykle, odchodził, czasem nawet splunął jak na grzeszną pokusę!

W chacie dobra wszelkiego podostatkiem: sześć krów, wieprze, owce, stado gęsi, kur bez liku, w świer-

nie zboże od kilku lat leży, płótno, sukno, kożuchy. Oczom swoim nie wierzyła, na cały ten dostatek patrząc,—dziwiła się, do każdéj rzeczy dotykała z osobna; wszedłszy do świerna, stawała na środku, rozglądała się po ścianach, zawieszonych siermięgami, uprzężą, workami z kaszą, z mąką, słoniną i wieprzowiną wędzoną.

— Ot! bogacze! a! — powtarzała, wodząc oczami dokoła.

Przez cały rok nie potrafiłaby zjeść wszystkiego. Na razie nawet, nasycona wonią dostatku, straciła apetyt. Po kilku dniach żarłoctwo odżyło w niéj znowu, podniecane widokiem jadła, z którego czerpano bardzo ostrożnie, oszczędnie, jak gdyby na sto lat wystarczyć musiało. Ewka oczy otwierała szeroko, na ustach jéj zastygał okrzyk złości, oburzenia na widok chudo okraszonych kartofli, postnego krupniku, podczas gdy w świernie pleśniała wieprzowina, słoninę myszy jadły.

— Dla złodziei dobytek chowacie—burknęła raz do Maksymowéj, łzy miała w oczach, w sercu wrzał gniew sprawiedliwy.

Maksymowa popatrzyła na nią spokojnie... na razie nie zrozumiała nawet, o co chodzi; cały wiek swój tak żyli, nikt jeszcze z głodu nie umarł, nikomu na myśl nie przyszło lepszéj strawy żądać. Człek święta od dnia powszedniego odróżnićby nie potrafił, gdyby codzień akuratnie mięso i okrasę jadał.

— Nie kradniemy nigdy i nas, chwała Bogu, nie okradali—odrzekła.

Zmiarkowała jednak odrazu naturę Ewki, klucz od świerna zawsze za pazuchą nosiła, na noc pod sien-

nik kładła; jak dawniéj, tak i teraz sama wszystkiego doglądała, Ewkę tylko do posług, do roboty używając.

— Ubogą sierotę do gospodarskiéj chaty przyjęli, szanuj dobrą dolę, od pracy nie uciekaj! Ciężko z początku, cóż robić! Matka rodzona dziecko bije, nim rozumu nauczy, a tobie tu krzywdy tymczasem niéma. Ojca starego szanuj, mądry on, sprawiedliwy, a że pomruczy czasami, na to stary... Komu do grobu bliżéj, temu z drogi ustępować trzeba, tak już na świecie sam Pan Bóg postanowił — mawiała, wiedząc, że Frankowa rzuca się nieraz po izbie jak dzika kotka, świat i ludzi przeklina, albo siedzi na ławie jak skamieniała, usta gryzie i w ciemne kąty z pod czoła spoziera.

— Żeby wasze całe bogactwo czort wziął, wy w biedzie żyliby tak samo, jak dziś w dostatku żyjecie — rzekła, coraz bardziéj rozjątrzona spokojném, pracowitém, niezmiernie skąpém życiem.

— A żyliby!—odrzekła Maksymowa.

— Bodajże was wszyskich nie stało, woły przeklęte!—syknęła zaczerwieniona i wyskoczyła z izby.

W wiosce nie znała nikogo; Franek wziął ją z pod miasteczka, z obcéj strony; tu jakby ludzie insi: przyglądali się jéj z początku, a potém i patrzéć na nią przestali... oswoili się jak z nowym koniem, albo z nową krową na targu kupioną. Zaczepiała baby, zaglądała do chat, próbowała skarżyć się, narzekać—słuchali w milczeniu.

— Głupia, bo młoda; pożyje, zmądrzeje — mówiły o niéj stare kobiety.

— Wiedźmę do wioski przywiózł — powtarzali mężczyźni młodsi i starsi, przeprowadzając ją wzrokiem, ile razy przez wioskę biegła.

Dusiła się w chacie, wieczorem szczególnie, gdy stary chrapał na piecu, Maksymowa krzątała się po izbie, a Franek, Piotr i Maksym siedzieli rozparci za stołem nad resztkami wieczerzy. Wybiegała przed wrota, przygładziwszy uprzednio włosy nad czołem; po drodze poprawiała na sobie koszulę i fartuch, uśmiechała się do myśli różnych. Koło wrót przechodzili gospodarze i parobcy,—nie patrzyli na nią, albo mruknęli „pochwalony" i szli swoją drogą; zaczepiała ich sama, ale zaledwo śmiać się i rozmawiać zaczęła, Maksymowa wołała na nią, że spać pora, że ogień w izbie gasi; nie doczekawszy się, wychodziła sama z założonemi rękami, zbliżała się wolnym krokiem do wrót, stawała między nią i parobkiem, zaledwo rozbawionym, jakby podochoconym trochę, spoglądała na niego, na nią.

— Wstyd tobie, Ewka, na ulicy zęby szczerzyć; czy ty dziewczyna!—upominała po macierzyńsku.—Pacierz zmów i spać idź. Jutro przed słonkiem do żniwa pójdziemy, stary cztery morgi we dworze zajął.

Ewka udawała, że nie słyszy, obracała się do niéj plecami; ale Maksymowa nie odchodziła, powtarzając; „Wstyd tobie Ewka"—ciągała ją za spódnicę, za rękaw od koszuli, zmuszała w końcu do odwrotu; po drodze wypowiadała jeszcze parę uwag, na które Ewka pluła, wzruszając ramionami z oburzeniem.

— Ucieknę, dalibóg, ucieknę!—szeptała zdławionym głosem, spoglądając z nad brzegu rzeki, z pola na chatę nizką, zczerniałą, na dwa stogi słomy, ster-

czące przy stodółce, jak dwa pomniki pracy i dostatku.—Niech im czort służy! za co ja mam tu duszę gubić, młodość marnować? Czy mi życie nie miłe? Oj, Boże mileńki, za co ty mię tak pokarał! Wolałabym ja ziemię czarną gryźć, w ciemnéj mogiłce leżéć, niż w téj chacie przeklętéj, w pracy ciężkiéj, śmierci wyglądać!

Rozmyślała tak nieraz całemi godzinami, ukryta za urwiskiem nad rzeką; lada szelest dreszczem ją przejmował, oglądała się, czy z za krzaków nie wyjrzy stary z sękatym kijem, czy Franek albo Maksymowa nie idą aż tu, żeby ją do wiecznie nieskończonéj roboty zapędzić. Z krzaków wylatywał szary ptaszek jakiś, spłoszony szelestem, krążył nad brzegiem, w cichém, letniém powietrzu, spuszczał się zwolna ku ziemi i znikał w zaroślach. Uspokojona Ewka opierała się plecami o piaszczyste urwisko, grzała nogi w rozpalonym piasku, przeciągała się jak kotka, mrużąc oczy. Wieczorem napadną na nią, stary zaniemieje ze złości, kijem tylko w ziemię stukać będzie, ślepie wytrzeszczy, zapluje sobie brodę, bełkocąc przekleństwa! Franek, według zwyczaju, raz jeszcze powtórzy, że już do pół śmierci zbije, Maksymowa pokiwa głową jak nad umarłą. To cóż? oswoiła się już z tém wszystkiém, z robotą tylko oswoić się nie mogła.

Ziemi mieli mało, całą gromadą na zarobki chodzili, a każdy grosz stary im z rąk wydzierał, oglądał, rachował, drżącemi rękami na wszystkie strony obracał, do skórzanego woreczka zsypywał i za pazuchę chował; zamyślał się potém, stał jak słup w podwórku, albo przed drzwiami chaty, liczył coś, miarkował, brwi ściągał, znać jeszcze miarki nie dobrał, a może już wątpić zaczynał, czy dobrać zdoła. Kiwał głową zwolna,

wzdychał, wpatrzony gasnącemi ślepiami w tę ziemię czarną, którą przez tyle lat krwawym potem polewał. Synowie przechodzili koło niego ostrożnie, mówili ciszéj, jakby się bali, żeby starego z ciężkich myśli nie zbudzić.

Ewka śmiała się w duszy z tych wołów roboczych, którzy mu swoją krwawicę dobrowolnie oddawali, nie zostawiwszy sobie ani jednego grosza na tabakę. Oho, ona taka głupia nie będzie. Prędzéj stary śmierć swoją ujrzy, niż jeden szeląg z jéj zarobku. Kiedy pierwsze dziewięć złotych we dworze za żniwo dostała, wracając z Maksymową, rozmyślała po drodze, że w niedzielę kupi sobie za te pieniądze trzewiki, fartuch, albo różowego perkalu na kaftan; — na wspomnienie o starym wzruszała ramionami z lekceważeniem. Nie zabije jéj przecież, od żywéj zaś nie dostanie ani grosza! Mogłaby przysiądz na własną duszę! Czekał już na nie; zaledwo weszły na podwórko, wstał z przyźby, wyprostował się, wyższy był jakiś tego wieczoru, ramiona podniósł i wyciągnął kościstą rękę po pieniądze. Ewce zimno się zrobiło koło serca, odwaga zastygła w piersiach; patrzała z przerażeniem, jak Maksymowa oddała mu cały zarobek, on jéj dziesiątkę dwojakami na dłoni zostawił. Dzieci młodsze wymierały jéj jedno po drugiém, stary umyślnie kilka groszy zostawił, żeby w niedzielę żebrakom pod kościołem rozdała. Maksymowa ścisnęła w dłoni pieniądze, pięścią łzy otarła i podreptała do chaty; stary rękę do Ewki wyciągnął, spojrzał jéj w twarz z podełba. Sama nie wiedziała, kiedy i jak oddała mu co do grosza!

A gdy z pieniędzmi powlókł się do chaty, ona o mało nie ryknęła z wściekłości. Tego wieczoru pier-

wszy raz wybiła swego męża. Umyślnie po to wyleciała za nim z izby po wieczerzy. W wiosce już było cicho, wszystkie gwiazdy wysypały się na niebie, Ewka zerknęła w prawo, w lewo, poskoczyła do Franka, który, nachylony koło wozu, zepsute koło zdejmował, urznęła go pięścią raz, drugi, cofnęła się z zaciśniętemi zębami, drżąc ze złości,—czekała, kiedy on jéj kark skręci! Wyprostował się, patrzył na nią, jak gdyby własnym plecom nie wierzył.

— To ty, znaczy się, mnie wybiła?—spytał.

— A wybiła! No, tak cóż? ot wybiła, a ręce nie uschły! Codzień bić będę, bo ty mnie tu na zgubę, na śmierć przywiózł! Bo ty mnie na poniewierkę oddał. Nie wyrobnica ja, ale żonka i gospodyni, a grosza przy duszy nie mamy, dobra nie używam... z głodu mrę... własną krwawicę temu... temu... odda... łam!

Głos urwał się w piersiach, zacisnęła pięści, wciąż wyczekując, kiedy téż on ją bić zacznie.

— Wiedźma ty, a nie żonka!— odrzekł, głos tłumiąc, przez ramię na oświetlone okienka spojrzał.—Ja ciebie z dobrego serca wziął, i choć ty mnie już do żywego dojadła, wszystko czekał, że poprawisz się, pomądrzejesz. Ale kiedy ty taka, to i ja... teraz inszy będę.

Zaśmiała się, poskoczyła ku niemu z pięściami.

— Cóż ty mi zrobisz? Z chaty wypędzisz? Oj, oj, wielka bieda! Niech was wszystkich razem z chatą jasny piorun spali! Żyła ja bez was, i daléj bez was żyć potrafię.

— Co ja zrobię? Już ja wiem, co zrobię! — odrzekł, widocznie zakłopotany.

— Co? nu, co? gadaj! — syczała przez zaciśnięte zęby, wpatrując się mu w oczy.—Nie zabijesz, nie uto-

pisz... ani twój rozum, ani twoje siły do tego! Cóż zrobisz? Ot i zgłupiał, gadać zapomniał. Cielę ty łyse! krowę tobie jeszcze ssać trzeba było, ale nie żonkę do chaty przywozić.

— Hm, *baczyli oczy szto kuplali, płaczcie, choć powyłaźcie!*—mruknął Franek, pochylił się nad wozem; Ewka aż drgała ze złości. Żeby ją zbił, żeby na całą noc zamknął w chlewie, wraz z bydłem, poodgryzałaby może sobie palce, podkopałaby się może i uciekła, jak dawniéj ze staréj izby przy kuźni, ale wiedziałaby, że ma męża nie gorszego od innych. Ten spokojny mazgaj, bez wąsów, w oczach jéj mniéj był wart od ostatniego pastucha.

— Andrzejku, mój mileńki, gdzież ty powędrował?—zawołała naraz, dając wolę wzburzonemu sercu.— Ha, zobaczę, poprawisz się ty, to może i ja dla ciebie łaskawsza będę—dodała, ochłonąwszy nagle;—nie poprawisz się, dalibóg, żeby mię tak święta ziemia nosiła, codzień bić będę! Dość nacierpiała się ja z wami, krzywdy i poniewierkę znosiła! Nauczę ja was teraz rozumu!

Splunęła, poskoczyła do sieni. Franek majstrował daléj, miarkując, czy lepiéj nowe koło wziąć, czy może jeszcze z tém, rozczepioném, jutro po żyto jechać?

— Bodaj ono przepadło!—mruczał, drapiąc się za uchem; na wóz, to na koło spoglądał. Wtém żonkę sobie przypomniał.—Wiedźma!...—szepnął.—Rozsechło się. Stało na słońcu, taj rozsechło, a tu i nowego przymiarkować akuratnie nie można.

Wóz, koło, zżęte w polu żyto pochłaniało go w zupełności; dopiero kiedy robotę uporządkował,

upewnił się, że wóz przez jutro wytrzyma, wrócił myślą do żonki, znacznie spokojniejszy, pobłażliwy, prawie zadowolony z jéj energii i rozumu.

— E, taka baba jak inna! Poprawi się, jak kija spróbuje! Mądra! wie, że ze mną dobrocią wszystko zrobi, obiecuje, że będzie dla mnie lepsza! Boi się! Wie, że jak w złość wpadnę, to jéj na bożym świecie nie stanie! Siłę straszną mam, ale mam i pomiarkowanie!

Na dowód „pomiarkowania" tego wieczoru już do chaty nie wchodził; na noc został z Piotrem przy koniach, nazajutrz i dni następnych żonki trochę unikał; jak tylko głos podniosła, wysuwał się z izby, „żeby sobie krwi nie psuć daremném gadaniem."

W jesieni poszedł do wojska. Stary odwiózł go sam do miasteczka, przedtém jednak szukał czegoś na strychu, a gdy po ich odjeździe Ewka na strych wlazła, między jedną a drugą krokwią, tam, gdzie strzecha była prawie nową, w słomie podłużny otwór spostrzegła. Jednę, potém drugą rękę zasunęła po łokieć, kościstemi palcami chwytała mech wilgotny, przegniłą słomę, macając na prawo, na lewo, przedarła strzechę na wylot. Ręce do krwi poszarpała,—odchodząc, naprawiła dziurę z większego, stary jednak poznał. Pierwszego zaraz dnia po powrocie sam nowy kul słomy na strych zaciągnął i dziurę załatał akuratnie; potém dopiero legł na piecu i przez kilka dni leżał jak bez ducha; zlazł starszy o lat dziesięć, zgarbiony, milczący, Frankową czapkę i rękawice do swego kubła schował; a ile razy, w pierwszych dniach, do obiadu i do wieczerzy zasiadł, na synów spojrzał, spuszczał głowę,

łza za łzą spływała, zatrzymując się na siwym, krótko przystrzyżonym zaroście.

W chacie zrobiło się jeszcze nudniéj. Maksym i Piotr po całych dniach piłowali deski u szynkarza; Maksymowa z Ewką len tarły, warzywo na zimę przygotowywały; a że jesień była chłodna i dżdżysta, z izby, z ciemnéj sieni na świat boży wyjrzéć nie było można. Maksymowa przytém stękała jéj wciąż nad głową żałośną pociechę, ubolewała nad dolą smutną, nad samotném życiem „sołdatki," bojaźni bożéj, skromności uczyła. Słowa mądre czynem popierała: niosąc obiad mężowi i bratu, kładła do dzbanka jedyny kawał stęchłéj wieprzowiny, zbierała dla nich okrasę z wierzchu.

— Nam, babom, niewiele trzeba! byle z głodu nie umrzéć—mówiła, zostawiając w garnku wodnisty krupnik i okraszoną kaszę; — oni pracują ciężko, to i zjeść lepiéj muszą. — Dosypywała im nawet więcéj soli z dobrego serca, trochę pieprzu brała do papierka i biegła z jadłem, zabrawszy wszystkie klucze od świerna, skrzyni i kubłów.

Ewka cierpiała to wszystko do czasu; po głowie jéj snuły się coraz mędrsze myśli. Roiła sobie, że odszuka skarb starego, co do grosza wykradnie i umknie z tém w świat, jak niegdyś z pełnym fartuchem niedojrzałych jabłek do swojéj izby zmykała.

Świat ten różnie się jéj przedstawiał: najczęściéj było to wielkie miasto, niezmiernie do jedynego, jakie znała, miasteczka podobne; pełno żydowskich kramików z jadłem przeróżném, z perkalami w żółte i czerwone kwiaty, z tłumem ludzi na ulicach, szeregami domów i kościołów, niezmiernie znów do Szmulowskiéj karczmy i parafialnego kościołka podobnych. W mie-

ście tém ubrałaby się od stóp do głowy w krasną odzież, kolczyki kupiłaby sobie, a może nawet... kapelusz i parasolkę! Wtedyby żyła!... — oh, jakby żyła rozkosznie, od rana do nocy między ludźmi różnymi, wśród śmiechu, w gwarze jak na kiermaszu. Oglądaliby się za nią, że tak... sama jedna. To cóż? Niechby się oglądali. Czy to dla niéj nowina!? Głodu by się nie bała, odzieży różnéj miałaby pełną skrzynię; niechby wówczas wszyscy ludzie w psy się zmienili, niechby szczekali na nią różnemi głosy,—śmiałaby się z nich i żyłaby sobie jak pani! Życia tego może byłoby niewiele—rok, drugi, póki pieniędzy by stało..! ale do wioski nie wróciłaby już nigdy! Wolałaby służbę w wielkim domu, u bogatych państwa, gdzie sług dużo, roboty mało, jedzenie pańskie, wesołość!... a w sadach owoce różne, jagody—rozkosz taka, że koty i psy śmietanką karmią. W kramnéj odzieży i w kolczykach do dworu takiego dostałaby się z łatwością, prosiliby ją nawet, parokonną furmankę przysłaliby po nią, a ona z wielką zieloną skrzynią, z ogromnym węzłem pościeli przed dwór by zajechała, lokaje, kucharz, furman, przez okno by wyjrzeli, a każden, głową kręcąc, dziwiłby się: ho, ho, jaka „bohatyrka" ta nowa pokojówka!—gadaliby między sobą, podczas gdy ona w różowéj spódnicy, w czarnym wełnianym kaftaniku i w złotych kolczykach siedziałaby w garderobie nad miską jajecznicy, nad mięsem smażoném, któreby chlebem białym z masłem zagryzała!

— Oh, Boże mileńki!—wyrwało się z ust spieczonych, podczas gdy zaczerwieniona, z błyszczącemi oczyma, snuła w myślach te drażniące zamiary. Sama w chacie zawalonéj burakami, marchwią, brukwią

i kapustą, złamanym nożem oskrobywała z piasku burak za burakiem, rzucała machinalnie do kadzi kapustą napełnionéj; chwytając naprzemian marchew, to brukiew, w roztargnieniu nóż do kadzi rzuciła. Zerwała się z ławy, szukała wkoło siebie, pod stołem, między warzywem... nóż zniknął jak zaczarowany. Czort może z rąk jéj wychwycił! W téj staréj, spróchniałéj chacie musi on być gdziekolwiek... może na piecu śpiącego starego pilnuje!... Wyskoczyła z izby, drzwi zatrzasnęła za sobą; na dworze, gdy ją chłód owiał, wzruszyła ramionami według swego zwyczaju.

— Ot, głupia! Gdzież te czorty? kto ich widział? gadają, byle gadać! ludzi straszą, żeby do złego ochotę stracili! Spotkałaby ja jego gdziekolwiek, dawniéj, kiedy za malinami po moczarach, po błotach, zaroślach i przepaściach chodziła! Węże, żmije różne widziała, ale czorta... nie spotkała nigdzie! Bo jego i na świecie niéma! co tam gadać!—Ochłonęła, lżéj się jéj zrobiło na duszy.

— Ale nóż schwycił! — szepnęło coś nad samém uchem.

Obejrzała się na sień prosto, splunęła przez ramię i już do izby wracać nie miała ochoty.

Poszła za ogród, nad rzekę; tam Maksym płot naprawiał, siekierą nowe kołki w ziemię wbijał, wydając przy każdém uderzeniu głuchy jęk z szerokich, zdrowych piersi. Ewka przeszła koło niego, stanęła o kilka kroków, twarzą do rzeki zwrócona. Od czasu, jak Franka zabrali, stawała tak nieraz nad rzeką lub przed wrotami, nikt jéj do roboty nie pędził, bo i roboty pilnéj już nie było, i żałowali ją trochę. Maksym, który dawniéj słowa do niéj nie przemówił, teraz po-

magał krowy zapędzać, wrota otwierał, gdy z pełnemi wiadrami na podwórko wchodziła; raz nawet zapytał, czy nie widziała, w którą stronę Piotr konie na nocleg popędził. Odtąd gadali z sobą coraz częściéj przed wrotami, albo stojąc naprzeciw siebie we drzwiach chaty. Rozmownym nie był, fajki z ust nie wyjmował i tylko półgębkiem, patrząc w ziemię, rozmawiał z ludźmi, jakby od niechcenia. Od czasu, jak go miano na „starszynę" obrać, spoważniał ostatecznie. Trzymał się sztywnie, brwi marszczył; idąc przez wioskę, z fajką w zębach, przechylał się niedbale z boku na bok i tylko obok poważnych gospodarzy stawał, słuchał ich gawędy, kiwał głową od czasu do czasu i... odchodził, pykając fajkę w milczeniu. W chacie téż prawie tylko ze starym rozmawiał; zgadzali się z sobą doskonale: stary każde jego słowo, to nawet, którego nie dosłyszał, skinieniem głowy potwierdzał; obaj palili kapuściane liście zamiast tytuniu, obaj nie lubili mówić o swoich pieniądzach, stary ani jedném słowem nie zdradził, ile ma w zapasie z ogólnego zarobku. Maksym o pieniądzach, wziętych za żonką, nigdy nie wspominał, chował je na dnie skrzyni, w szmacie tak brudnéj, że najuboższy złodziéj nie sięgnąłby po nią w ostatecznéj nawet potrzebie. Zaufanie u ludzi posiadał wielkie: on to odwoził podatki, umawiał się ze dworem o paszę i prawie wszystkie dzieci w wiosce do chrztu woził. „Starszyną" jednak dotąd nie został, chociaż sprawił sobie kamizelkę i spodnie z czarnego sukna, a na wybory pojechał parą koni, w zielonéj kałamaszce. Gdy wrócił po niefortunnych wyborach, stał się jeszcze poważniejszym, bo nawet nie zatrzymywał się obok rozmawiających sąsiadów w ulicy.

W wiosce na razie nie chciano wierzyć, że nie jest „starszyną.” Gospodarze wrócili trochę pod humorem—nie pamiętali, kogo właściwie wybrano,—kobiety zaś tak bardzo przywykły szanować powagę, małomówność i spokojny charakter Maksyma, że o innym „starszynie” słuchać nie chciały. Prawie każda była jego kumą, prawie każda spodziewała się od niego pomocy w sprawach rodzinnych i sąsiedzkich. Posypały się naraz prośby i skargi. W spokojnéj dotąd wiosce zawrzało, zawichrzyło się jakoś. Kilka kobiet skarżyło się na mężów, pod sekretem, ze łzami zaklinając się na duszę, na dzieci, gotowe mu były pokazać jeszcze zeszłoroczne sińce na plecach i na rękach, gotowe były zwołać pół wioski na świadków, jako mężowie ich są zbóje, hajdamaki, dobytek marnują, krzywdzą je i poniewierają! Schylając się do kolan Maksyma, całując go po rękach, błagały o ratunek, o pomoc. Nie chciały jednak kary dla mężów,—każdy z nich bowiem, pomimo złego charakteru, nałogu, czy téż brzydkich przywyknień, „dobry” był, „ludzki,” „spokojny,” a tylko czasami „z pośpiechu” żonkę poniewierał, w chacie burdy wyprawiał, zadłużał się u ludzi, albo żonki ostatni grosz zabierał! „Starszyna” powinien to jakoś załatwić, załagodzić, nie mówiąc nic mężowi, nie perorując żonki, bo oni sami dość rozumu mają, wiedzą, jak żyć trzeba,—nie wchodząc nawet do chaty, powinien zgodę, jedność i miłość przywrócić. Na to on „starszyna!“ Wyspowiadały się przecież jak przed księdzem z tego, co było, i z tego, czego nie było. Niech teraz ratuje! Zapłakane, zbiedzone, wypowiedziawszy swoje troski, stały, wyczekując owego czarodziejskiego słowa, które, jak cudowny talizman, miało je od staréj

niedoli uleczyć. Napróżno Maksym wmawiał im, że nie jest „starszyną,“ że dawniejszy nadal pozostał, on zaś może aż za trzy lata obrany zostanie. Nie wierzyły. Wchodząc na podwórko bowiem, zdało im się, że czują zapach pieczonego prosiaka, w sieni zaś spostrzegły baryłkę wódki słomą zatkaną. Zbytków takich nie robi się bez ważnych powodów. Maksym jest „starszyną,“ ale pomódz im nie chce, bo—jak każdy chłop—za chłopami ciągnie, babami poniewiera, bo znów zły, że do niego z próżnemi rękami przyszły. Któż go tam wie! Dawniéj był sprawiedliwy, cudzego nie żądał; teraz, gdy starszyną został... może ludzi ssać zacznie! Schylały się tedy do kolan, za ręce chwytały, z jęczącém błaganiem spoglądały mu w oczy lękliwie. Z sąsiada, z kuma, stał się dla nich naraz jakąś ważną, uroczystą osobą! Głupsze zapomniały się tak dalece, że o swéj nędzy, o biedzie wielkiéj mówić zaczęły, chociaż on wiedział o dniu urodzin każdéj ich krowy, każdego konia i wieprza, parę razy sam od nich pożyczał pieniędzy. Wszystkie mówiły do niego „królu,” „panoczku,” dziwiły się nawet w duszy, jak mogły tę ważną osobę wczoraj jeszcze „Maksymem” nazywać!

Stokroć dokuczliwsze były skargi o zamianę, kradzież i tym podobne nadużycia. Każda niemal kura w wiosce została zakwestyonowaną, o ładniejsze okazy spierało się naraz trzy i cztery baby. Odnowiły się dawno zaniechane spory o kawałki płótna zamienione w blechu, o garnki, miotły i wszelkie inne narzędzia rodzinnego żywota. Dotąd nigdy jeszcze w wiosce nie mieli „starszyny;” między gospodarzami nawet byli tacy, którzy pół wieku przeżywszy, ani razu nie gadali ze „starszyną,” nie rozumieli jego znaczenia, władzy,

nie pojmowali, po co on żyje na świecie. Tytuł, przywileje, nadewszystko zaś stosunki, podnosiły go nad poziom zwykłych ludzi, czyniły czémś wyższém, jakby nie chłopem. Tylko w umyśle krańcowych niedowiarków zrodziło się przekonanie, które się potém przysłowiem stało, że i „starszynę” czort bierze! Wogóle jednak przeceniano jego znaczenie.

Sąsiedzi Maksyma, ci szczególnie, którzy na pijano z wyborów wróciwszy, nie mogli sobie przypomnieć na razie, kto naprawdę „starszyną” został, przez parę pierwszych dni, przechodząc około jego chaty, zdejmowali czapki, a jednocześnie klęli go w duszy, sami nie wiedząc za co. Nie wyzyskał ich jeszcze, ale zrobi to z czasem, za miesiąc, za rok... jeżeli i nie zrobi, to zawsze jednak jest on „starszyną,” „harapnikiem,” niby jakąś groźną siłą, ciążącą nad ich mieniem i swobodą. Kłócące się baby znosiły mu jaja, masło i kurczęta, hojniejsze gwałtem wciskały w rękę wytartą dziesiątkę, któréj już szynkarz brać nie chciał. Wszystkie gadały naraz, wszystkie domagały się sprawiedliwości, bo wszystkie były przekonane, że on, jako kum, sąsiad, jako „starszyna” z ich własnéj wioski, wszystkim dogodzić powinien. Maksym wiedział, że cały ten zamęt w końcu ustąpić musi, że prędzéj czy późniéj oprzytomnieją nareszcie i dadzą mu święty spokój; z początku jednak próbował uspokoić, przekonać, że dopiero za trzy lata może... Nie dały mu skończyć. Widząc, że sprawy żadnéj rozbierać nie myśli, że pewno na większe łapówki czyha, wpadły w gniew słuszny: najwymowniejsze wykrzykiwały przed nim, że się „starszyny” nie boją, nie dbają o niego, same sobie rady dadzą, jak dotąd, tak i nadal bez niego żyć po-

trafią. Przyniesione jaja i kurczęta zabrały tak skrupulatnie, że po ich wyjściu Maksymowa nie doliczyła się jednéj drewnianéj łyżki, nowego worka i miotły.

Nieporozumienie wyklarowało się wówczas dopiero, gdy dawniejszy „starszyna" przyjechał wybierać zaległe podatki. Wtedy to baby i wątpiący dotąd gospodarze zmiarkowali, że byli w błędzie. Maksym uśmiechał się, udawał obojętność, w duszy jednak gryzł się trochę doznanym despektem; wódki do ust nie brał, żył spokojnie, czytać i pisać umiał, w sprawach wszelkich o drogi, o mosty, o wydatkach wspólnych on zawsze najmądrzéj przemawiał, znali go już, że broniłby ich jak siebie samego, że nie mieliby od niego ani krzywdy, ani przymusu. Sto razy już może służył im jak mógł, jak umiał; przed wyborami wszyscy gardłowali za nim, zawczasu mądrym, sprawiedliwym „starszyną" nazywając; w ostatnim dniu „tamten" kilka garncy wódki postawił i huknęli za nim wszyscy jak jeden, głosowali ci nawet, co go nigdy na oczy nie widzieli.

— Ha, nie chcieli akuratnego człeka, niech teraz szelmy pokutują — powtarzał w duszy; przysiągł, że odtąd do żadnych spraw mięszać się nie będzie, zapłaci co należy i basta! Ma swoją gospodarkę, żonkę, dzieci, to i dosyć. Po co ma sobie darmo gębę studzić, innych rozumu uczyć, kiedy go potém za kwartę wódki sprzedadzą.

Maksym zaciął się; w chałupie całemi wieczorami siedział, fajkę pykając. Nudno mu było. Przywykł już przez lat wiele długie wieczory u Szmula albo w któréjkolwiek chacie z sąsiadami spędzać, przywykł, że czekano na niego z kwartą piwa, że słuchano go

w milczeniu, ile razy przemówił, lubił przytém posłuchać co inni mówili... Teraz siedział jak wilk sam jeden, w ciemnawéj izbie. Stary chrapał na piecu, Franka nie było, głupi Piotrek jak tylko misę kaszy wyjadł, szedł spać do bydła; żonka spracowana, ociężała, drzemała pod piecem, machinalnie szepcąc pacierze.

Jedna tylko Ewka czuwała wytrwale przez cały wieczór. Przędła kądziel pod lampką, około okienka; niezręcznie, powoli snuła nitkę, spoglądając z ukosa na Maksyma. Siedział za stołem, z głową na ręku opartą; w czystéj koszuli, spiętéj pod szyją zielonym, szklanym guzikiem; rumiany, z białém czołem, z niebieskiemi oczami, z wąsami jak len jasnemi, wyglądał jeszcze dość młodo i ładnie; mało to ją obchodziło— nudziła się więc, i gdyby zamiast mądrego, przystojnego chłopa, wilk za stołem siedział, zerkałaby i na wilka.

Nie zwracał na nią uwagi; wiedział, że była zła, leniwa, rozhukana, jak prawie każda bezdomna przybłęda; z początku zły był w duszy, że ją do chaty przyjęli, wstydził się jéj przed ludźmi, sam kazał żonie, żeby ją przybrała z większego w całą koszulę i nową czystą spódnicę. Podczas samotnych wieczorów kazał jéj parę razy ognia do fajki podać. Zrywała się z ławy, w dwóch susach była przy kominie; wygrzebawszy żar z popiołu, przynosiła gorejący węgiel, przerzucając go z ręki do ręki. Kładł węgiel na fajkę, ona stała przy nim milcząca, uśmiechnięta, spoglądała siwemi oczami to w twarz, to na fajkę. Oswoił się z nią, przywykł do téj jedynéj duszy, czuwającéj pośród głuchego chrapania, mięszającego się z szelestem prusaków na ścianach, z urywanym brzękiem

świerszcza pod piecem. Kiedy raz, wziąwszy kądziel chciała iść na wieczorynkę do sąsiedniéj chaty, Maksym ofuknął:

— Po co? nie dziewczyna przecie!... sołdatka! mąż w cudzéj stronie, sam jeden, nie trzeba tu bez niego wesołości szukać!

Był przekonany, że pilnuje cnoty i moralności; weseléj zrobiło mu się na duszy, gdy Ewka od drzwi wróciła i znowu usiadła pod oknem na ławie. Przemawiał do niéj coraz częściéj, ale zawsze jakby z niechęcią, z musu, nie podnosząc oczu; pomimo to widział jéj twarz szczupłą, czarniawą, siwe oczy i ten uśmiech bezczelny, drgający jakiś. Spluwał ze złością; w dyabła dawno nie wierzył, czuł jednak, że w téj chudéj przybłędzie siedzi zło wszelkie, zebrane po ciemnych, brudnych kątach podczas włóczęgi wśród różnych ludzi. Nie wierzył jéj na jeden szeląg, ale litował się czasami, żal go brał, widząc, jak spała skurczona na kupie worków w kącie, koło ich tapczana, przykryta spódnicą, wyglądała mała, szczupła jak dziecko; drżała przez sen, bo z pod przegniłych węgłów chłód przenikał, jak niegdyś w spróchniałéj izbie przy kuźni. Latem w odrynie sypiała, potém do izby przeszła; przy mężu nie poniewierała się po kątach. Maksym widział, że dzieje się krzywda samotnéj kobiecie; nic nie mówiąc, nazajutrz wniósł stare łóżko ze świerna, na którém Maksymowa ustawiła zaraz dzieżę z chlebem, zostawiając trochę miejsca na siennik Ewki.

— Na co jéj to?—mówiła w najlepszéj wierze—nie przywykła ona, nieboraczka, cały swój wiek po kątach sypiała! Niech pamięta, że z próżnemi ręka-

mi przyszła, niech uczy się pokory, za swoją dolę Bogu dziękuje.

Żonka miała słuszność; z innéj chaty wyprawiliby nawet taką ubogą przybłędę; teraz, gdy mąż do wojska poszedł, niechby służyła przez zimę;—oni tego nie zrobią, ale za to pilnować muszą... z pod rąk rwie jadło wszelkie, jeszcze z chaty wynosić zacznie... Dzika koza! do żadnéj baby w wiosce niepodobna! Raz przez sień przechodząc, chciał ją z drogi usunąć, ręką do pleców dotknął; myślała, że ją obejmuje, trąciła go łokciem w piersi, aż do ściany odskoczył! Złajał ją, na dwór wypędził i drzwi zamknął; przed żonką jednak nie wspomniał, bo wogóle nie lubił bez potrzeby gadać z babami, dla Ewki złagodniał ostatecznie.

— Przybłęda, prawda, ale już do chaty należy, trzeba jak swoją uważać —mówił do żonki, — a to jeszcze ucieknie i szukaj wiatru w polu!

Naprawdę bał się, żeby nie uciekła; ile razy ujrzał ją samą w polu, albo nad brzegiem, stawał i przyglądał się jéj zdaleka. Wśród pustéj, szaréj przestrzeni wyglądała jak podrastająca dzieweczka; mógłby ją wziąć na ręce i do chaty zanieść, takie to było chude i szczupłe! Ale silna!

— Hm, głupia! co jéj do głowy przyszło!—rozmyślał, uśmiechając się pod wąsem. — A żeby tak... kiedy... naprawdę?... kto wie!

Każdego razu, jak przechodziła koło niego, zdawało mu się, że go zaczepi... Czasami brwi ściągał, a czasem tylko czekał. Szła daléj swoją drogą, niespokojna, ruchliwa jak zwykle, on wracał do chaty jakiś zły, ociężały; krzyczał na żonkę, że w piecu pali

bez miary — w dusznéj izbie wytrzymać trudno! Zrzucał kożuch, rozpinał koszulę, siedział za stołem markotny, a potém ni z tego ni z owego dodawał, że Ewka taka sama w chacie gospodyni jak ona, albo dziwił się ochrypłym głosem, że te przybłędy wszystkie takie są leniwe, niezdatne, na chleb nawet zarobić nie potrafią!

I tego dnia, gdy płot grodząc, ujrzał ją idącą od chaty, pewny był, że do niego przemówi. W polu nie widać nikogo, ludzie skryli się przed chłodnym deszczem, co mżył od rana; na drodze od lasu parę wozów łozy sunęło się zwolna jeden za drugim, baba białą płachtą okryta prowadziła pierwszego konia za uzdę; wjechali do wioski, i znowu na szerokiéj przestrzeni ani żywego ducha. Ewka stała nad brzegiem, wpatrzona w ciemną rzekę. Od kilku dni dręczył ją straszny niepokój; miejsca sobie znaléźć nie mogła; latała po chatach, siadywała sama jedna na płotach, to znów wpadała do izby nachmurzona, z zaciśniętemi zębami, spoglądała badawczo po kątach. Chciała rzucić wszystko, chciała uciec z téj chaty przeklętéj gdzieś w świat... Andrzeja szukać! Bosa, bez przyodziewku, wstydziła się iść między ludzi; mogłaby wprawdzie Maksymowi kożuch schwycić, trochę szmat różnych porwałaby uciekając, pieniędzy tylko nie miała i siły jakoś nie miała! Przygnębili ją w téj chacie przeklętéj, pracą i głodem przymorzyli. Dawniéj trzech dni nie wytrzymałaby z wilkami, a teraz?... Żeby choć w swoją stronę, do téj wioski, gdzie niegdyś obdarta głodem marła, wałęsając się po rowach i zaroślach! Zacisnęła pięści, ogarnął ją żal, niecierpliwość dziwna,—ot zaraz, w téjże chwili gotowa była

biedz, lecićć choćby w to urwisko piaszczyste, jałowcem i olszniakiem porosłe, nad którém obok niéj Maksym płot grodził. Siekierę w kołek wbił, obejrzał się nieznacznie, podszedł i stanął nad brzegiem.

— Cóż ty tak stoisz na chłodzie? — mruknął, patrząc na drugi brzeg, lasem porosły.

— A cóż, w budzie waszéj mam ciągle siedzićć?— odrzekła — czy ja wasz pies, czy sługa, że dzień i noc dobra waszego mam pilnować?...

Nigdy jeszcze nie odpowiadała mu tak hardo; zżymała się, podrzucała ramionami, o mało że się nie wiła jak żmija!

— Ot jaka! — pomyślał, kręcąc głową z zadowoleniem; odmłodniał trochę, orzeźwiał, jakby swą starą ociężałość zostawił przybitą do kołka siekierą.

— Nie pies ty, ani sługa, tylko bratowa.

Odszedł; do ust, do myśli cisnęło się wiele słów miłych, pieszczotliwych: ptaszynka... chudzieńka... taka biedna... sieroteńka... snuło się po głowie ni z tego, ni z owego. Wstrzymał się jednak, głupstwa nie powiedział, ale i na dalszą rozmowę zdobyć się nie mógł; wodził wzrokiem po przeciwnym brzegu, jakby pierwszy raz w życiu tę okolicę widział. Ryże cielę wyszło z lasu, biegło brzegiem z wyciągniętą szyją.

— Czyje to?—spytała Ewka.

— Zbłąkane widać, może leśnika, a może z wioski—odrzekł stłumionym głosem.

— Zginie jeszcze!

— A może i zginie!...

Gotów był płynąć na drugą stronę, cielę złowić, do leśnika, czy choć do dyabła odprowadzić, byle tylko Ewka z nim jechała. Uśmiechnął się.

— Zła niby, a żywiołki żałujesz— rzekł, patrząc na nią łaskawie; ujął za rękę wyżéj łokcia.— Ty u nas potłuściała — dodał,—przez zimę poprawisz się jeszcze lepiéj!

— Albo zdechnę z głodu! — zawołała rozjątrzona.

Język się rozwiązał, sypała słowami o biedzie swéj, o niedoli, mówiła zadyszana, sapiąca, to żałośnie, to ze złością wykrzykiwała, powtarzając stokrotnie, że ucieknie, nie wytrzyma, urwie się z téj chaty przeklętéj! On wciąż ją za rękę wyżéj łokcia trzymał, poruszając palcami od czasu do czasu, nie słuchał tam bardzo i niebardzo rozumiał, wiedział tylko, że na głód skarży się, że odzież chciałaby miéć lepszą. Eh, czy to tam wielka rzecz taką szczyptę nakarmić i przyodziać!

— Cicho! — szeptał! — cicho!... biedna ty, dalibóg, co prawda, to prawda! Cicho!— pogłaskał ją po plecach — kupię tobie, zobaczysz, ot... poczekaj... tylko...

Kupił w istocie nowiutkie trzewiki w pierwszą niedzielę, sprawił granatowy kożuch, odzież różną kupował. Zdawało się, że nić sknerstwa, krępująca dotąd jego duszę, zerwała się raptem! A tylko od czasu do czasu stara natura odzywała się w nim coraz słabiéj. Każda chustka, każda spódnica miała już być ostatnią, nie przysięgał, ale postanawiał, że więcéj nie kupi! Ewka na wszystko ramionami wzruszała. Same szmaty jéj dawał! Miała już pełną skrzynię odzieży różnéj, wstążek, paciorek, kolczyków i pierścionków, ale do włożenia nic nie miała! Chodziła jak dawniéj w płóciennéj brudnéj spódnicy, w czarnéj

jak ziemia koszuli, bosa; wychodząc z izby, przykrywała się Maksymowéj kożuchem. I narzekała po dawniejszemu, tylko jeszcze żałośniéj, jeszcze natarczywiéj; on wciąż jedno powtarzał:

— Cicho, no cicho! kupię, zobaczysz... poczekaj... trochę!

Z początku wstydził się swojéj słabości; spochmurniał, zły był na siebie, codzień powtarzał w duszy, że to przejdzie, z chaty uciekał, z furmanką jeździł; między ludźmi zapominał o wszystkiém—jak tylko do chaty miał wracać, znowu głupia słabość ogarniała! Ruchliwa, czarniawa jaszczurka wiła mu się przed oczami jak żywa. Zaledwo przed wrota zajechał, była już przy wozie, iskrzącemi oczami spoglądała na jego kieszenie, ręce w siano zasuwała, szukała, węszyła, gadając bez wypoczynku o żonce, o starym, o chacie, żywiołce, sąsiadach; czekała, co jéj da, co przyniósł, podarek z rąk wyrywała i dopiero rozejrzawszy gdzieś za gumnem, na strychu, albo w stajence, wracała zła jak furya do izby. Wszystko to było zamało! Żeby pełne wozy przyprowadził za sobą, i wówczas jeszcze wzruszyłaby ramionami pogardliwie! Na chustki, fartuchy, spódnice patrzéć już nie chciała! Powoli płótno i sukno ze świerna wykradać jéj pozwolił; miała już kubeł pełny, skrzynię nową na strychu, wielką kłódką zamkniętą; codzień piekła sobie i smażyła co na myśl przyszło, pomimo to wyschła, zczerniała, oczy zrobiły się jeszcze większe, chciwość ją gryzła, strach dręczył; nieraz już chciała i kubeł i skrzynię w krzakach zakopać, dobro swoje ukryć przed ludźmi, przed samą sobą, i znowu zacząć do nowych kubłów nowe rzeczy składać. Maksym z pie-

nędzy żonki nie miał już ani grosza, przez zimę sprzedał Szmulowi dwie krowy i owce po jednéj sprzedawać zaczął.

— Karmu niéma, pozdychają do wiosny!—krzyknął, gdy żonka owiec dawać nie chciała; dała w końcu, żeby tylko hałasu i ludzkich gawęd uniknąć.

— Karmu nie mamy—powtarzała przed sąsiadkami, krzywiąc się jakoś dziwnie; łzy miała w oczach a próbowała uśmiechać się przed ludźmi. Widziała, że giną. Od czasu, jak Ewka codzień zaczęła jeść kiełbasy i jajecznicę, Maksymowa zwątpiła o miłosierdziu bożém, do świerna chodzić przestała. Krzątała się po dawniejszemu, pracowała, nie wiedząc sama co robi! Bywały dni, w których zapominała podoić krowy, raz nawet zapomniała nakarmić wieprze.

— To już przed śmiercią! — szepnęła do siebie i przeżegnała się. — Matko Boska! zlituj się nad nami!—powtarzała z głębokiém westchnieniem ze sto razy na dzień.

Chciała czasem inny pacierz zmówić—nie mogła, tylko te słowa miała na myśli i na języku: „Matko Boska! zlituj się nad nami!"

A tu i dawniejsza słabość dokuczała coraz dotkliwiéj, wątroba znowu zaczęła serce naciskać. Dziwnéj téj choroby dostała po śmierci trojga młodszych dzieci. Felczer śmiał się wówczas, gdy mu o téj kombinacyi wspomniała; zamilkła, ale przy każdém zmartwieniu czuła, jak wątroba mocniéj lub słabiéj ugniatała serce. I teraz, jak tylko o zmroku, lub wieczorem, stojąc koło komina, spojrzała z ukosa na Ewkę za stołem, wpatrzoną siwemi oczyma w Maksyma, jak tylko zmiarkowała, że on chmurzy się niby, brwi ściąga,

a coraz częściéj na nią patrzy, gada coś zcicha, albo na jéj szepty głową kiwa nieznacznie,—czuła na sercu wątrobę olbrzymią, ciężką jak kamień! Wybiegała przed wrota, tak jak stała przy kominie, w spódnicy tylko i w koszuli. Mróz ją przejmował, ręce, nogi krzepły, łzy spływały po twarzy...

— Matko Boska!... zlituj się... nad nami! — powtarzała bezmyślnie, łowiąc uchem śmiech Ewki, urywane, ochrypłe słowa Maksyma.

Gdy umilkli, wracała do izby, stawała przy kominie... nie mogła tylko przypomnieć sobie, czy już soliła krupnik, czy nie. Kosztowała, ale i smaku jakoś złowić nie mogła; w uszach jéj wciąż brzęczał śmiech, ochrypłe słowa, a w myślach wciąż jedno snuło się bez końca:

— Matko Boska! zlituj się nad nami!

Dostatek topniał jak śnieg na wiosnę, a ona nawet żałować swego dobra nie mogła. Patrzyła szklanemi oczami, nie rozumiała dokładnie, czy to sen, czy prawda. Przy ludziach tylko mówiła z dawnym spokojem, że umyślnie Ewkę z mężem każdéj niedzieli do miasteczka wysyłała, żeby rozerwała się trochę w swoim smutku wdowieńskim. Pożyczała jéj swego kożucha, chustki czerwonéj z zielonèm w kraty, stała przed wrotami, gdy na wóz siadali, śmiała się nawet do przejeżdżających sąsiadów! Maksym wracał podpiły; w kieszeniach siermięgi znajdowała pierniki, pachnące mydło w kolorowych papierkach, czasem pierścionek albo paciorki. Ewka przywoziła zawsze śledzie w sinéj bibule, cukier, obwarzanki—chowała pod siennik w łóżku i kładła się na tém w kłębek skurczona, zerkając z podełba błyszczącemi oczyma, uśmiechała się

zadowolona z dnia, w którym zjadła i wypiła więcéj, niż dawniéj przez cały miesiąc. Układali się do snu, gasili światło. W ciszy nocnéj odrętwiała z żalu Maksymowa słyszała wyraźnie chrapanie starego i chłopców na piecu, Maksyma na ławie pod oknem... tylko Ewki oddechu podsłuchać nie mogła! Leżała jak bez duszy...

— Wiedźma ona może?... czy zły duch?...

Na myśl tę włosy powstawały na głowie, dreszcz przebiegł po grzbiecie.

— Matko Boska! zlituj się nad nami! — szeptała w najwyższéj trwodze.

Wątroba, jak kamień grobowy, coraz dotkliwiéj uciskała serce!

Raz od wrót do chaty ledwo się przywlokła! Było to w wielkie święto, a choć słonko wiosenne dogrzewało już dobrze, Ewka wystroiła się we własny siwy kożuch, białą chustkę zawiązała na gładziutko przyczesanych włosach, korale, niebieskie i żółte paciorki zwieszały się pod kołnierzem cienkiéj, kramnéj koszuli. Uśmiechała się, widząc, że jadący i idący chłopcy i żonaci oglądają się na nią, żartują z Maksymowéj, radząc, żeby męża z nią do miasteczka nie puszczała. Umyślnie marudziła na wozie przed wrotami, zanim cała wioska nie przeszła! Odjechali nareszcie; Maksym patrzał w nią jak w obrazek! Maksymowa, wróciwszy do chaty, usiadła w sieni na progu, plecami do podwórka zwrócona, skurczyła się we dwoje, ręce skrzyżowała pod piersiami. Głodne kury otoczyły ją odrazu, dziobały po plecach, wchodziły do sieni, odzywając się żałośnie. W obórce ryczała krowa, najprzód jedna, potém druga, obie naraz

odzywały się do słonka, co błyszczącemi strugami wciskało się do obórki przez szczeliny w ścianach, przez strzechę dziurawą. Maksym, odjeżdżając, mówił jéj, żeby krowy trochę na pole puściła... Pamiętała o tém, słyszała ich ryk żałośny, ale z miejsca ruszyć się nie mogła; osłabła, jakby naraz wszystkie jéj siły w ziemię weszły! Wiedziała, że człowiek powinien znosić wszystko cierpliwie, że każda dola od Boga sądzona, przytém wstyd jakiś nieprzezwyciężony ogłuszał ją, oślepiał; nietylko przed ludźmi, w chacie przed swoimi, ale sama przed sobą nawet wyraźnie myśléć o całéj sprawie nie mogła...

— Odurzenie... grzech... kara boska!—powtarzała w duszy, usiłując o tém nie myśléć, zapomniéć, i zapomniałaby może, żeby nie ta wątroba na sercu!

— Na złe już przyszło!—szepnęła.

Słonko grzało w plecy, a w piersiach serce ciężkie, nabrzmiałe, aż urywało się z bólu. Kury dziobały jéj bose nogi, jedna prawie do krwi ugryzła, pewno ta... czubata! najgorsza ze wszystkich, co nawet koguta bije! Nie spojrzała na nią, nie otwarła oczu, dysząc zwolna, czekała, kiedyż nareszcie udusi ją wątroba!

Wtém od łąki, między ordynką i płotem, rozległ się tętent bosych nóg po zmarzłéj ziemi; rżenie, pyrchanie, śmiech i krzyk obudził ją raptownie. To Stasiek i Adamek z rozwianemi czuprynami, zaczerwienieni od wiatru, pędzili jeden za drugim, podrzucając głowami jak rozbrykane konie.

— Matko, siana, owsa dajcie!—wołali zadyszani—jadła nie żałujcie, my konie, jedziem z daleka! popasiem się, odpoczniem i znowu w drogę!

Spojrzała na nich przez ramię: stali przed drzwiami oblani słonkiem wiosenném, zasapani, rumiani, z jasnemi główkami, podobni do siebie jak jeden! rżeli i śmiali się naprzemian.

— My konie, matulu, dalibóg! Ja Szymonowy, a on tatuli — gadał Stasiek; — mnie wilki téj zimy jedli...

— Nie, mnie wilki jedli, a ciebie złodzieje ukradli, tylo co tatulo dopędził i odebrał.

— Łżesz, mnie jedli, a ciebie kradli!... bo ja tatuli.

Rzucili się na siebie, żeby praw swoich i tożsamości osoby pięściami dowieść. Matka rozbroiła ich w porę.

— Głupi wy, głupi, a toż wy obydwa tatuli! — rzekła, pędząc ich do izby przed sobą. — Chodźcie, obroku i siana dam, odpoczniecie sobie przy żłobie!

W zadymionéj izbie jaśniéj się zrobiło od białych główek, rumianych twarzyczek; chłopcy rżeli przy misce krupniku, kopali nogami, aż stary podniósł się na piecu, wysunął szyję, patrzał na nich, trzęsąc siwą głową.

Wątroba usunęła się z serca Maksymowéj! Tylko w chwili, gdy uprzątając izbę, nachyliła się przy łóżku Ewki, żeby podnieść z ziemi brudną spódnicę i koszulę, domową skorupę kopciuszka, uczuła dotkliwe palenie w piersiach.

— Nie pójdziecie na poniewierkę, nie dam wam krzywdy zrobić, robaki wy moje! — powtarzała z pośpiechem, pięścią oczy wycierając. — Wyrośniecie zdrowieńkie, ładnieńkie, dla was ja duszę w ciele zatrzymam!

I zatrzymała! Zdrowia nawet, sił nabrała jak cudem! W świernie były pustki, z obórki znikły jeszcze dwie krowy, przez całe lato żyli zielskiem różném, na chleb żyta pożyczać musieli. Maksymowa jakby tego nie czuła; w chacie pracowała po dawniejszemu, codzień na zarobek szła, pieniędzy tylko swoich nie oddawała już nikomu. Stary osowiał, osłabł jakoś, nie pytał o nic, ogłuchł, czy tylko udawał głuchego; pracował jeszcze, ale już wolę synom zostawił zupełną, na Maksyma nie patrzał, nie mówił z nim nigdy, do obórki, do świerna zaglądać przestał; czasem tylko na Masymowę szklane oczy podnosił; rozumieli się doskonale; parę razy nawet chciał jéj oddać swój skarb —wstrzymał się, na myśl tę palce krzepły, tracił władzę w rękach.

— Złodzieje i mór nas nawiedzili, dziadulu — mówiła do niego;—ale zdrowie zostało, nie zginiem!

— A ludzie co gadają? — pytał ochrypłym głosem, w ziemię wpatrzony.

— Nic nie gadają! Jeden Bóg tylko wie, które jabłko robak toczy!

W istocie niewiele gadali, dziwili się tylko, zkąd na Maksyma to „nieszczęście" przyszło. Dawniéj wódki do gęby nie brał, teraz pił w święta, upijał się w dnie powszednie; jak tylko zmierzchło, z pola wrócił, siermięgę na ramiona zarzucał, ze spuszczoną głową wlókł się do Szmula... Miarkę, drugą wychylił, skrzywił się jak po gorzkiém lekarstwie, i nie przemówiwszy do nikogo, wracał do chaty dłuższą drogą, koło zarośli.

Pracował po dawniejszemu, tylko mówić przestał zupełnie; w święto, w niedzielę, jeżeli do mia-

steczka nie jechał, cały dzień siedział w obórce, na starym cebrze dnem do góry wywróconym; palił fajkę, przysłuchiwał się jak koń siano chrupał, czasem machnął ręką, muchy i bąki z grzbietu opędził; wdzięczny koń zwracał głowę ku niemu — patrzyli sobie w oczy spokojnie, z ufnością. Maksym w ludzkie oczy tak patrzéć nie mógł. Z Ewką nie gadał, obrzydła mu już dawno! Czasem jednak, jakby z nałogu, jak pod wpływem nieprzepartéj siły, przywoził jéj z miasteczka pierniki, obwarzanki, cukierki groszowe; zostawały w kieszeni siermięgi, sam oddawać nie chciał, ona zaś dawno już przestała wybiegać na jego spotkanie!

Teraz pełno jéj było wszędzie! Biegała po chatach od rana do nocy; tu dziecko pokołysze, tam schwyci ceber z zielskiem, świniom na podwórko wyniesie, pełła w ogrodach, doiła krowy, za krośnami czasem z pół dnia siedziała, byle tylko nie codzień w téj saméj chacie, byle przy śmiechu i wesołości, gotowa nawet była żąć parę godzin! Przypominało się jéj dawniejsze życie, bez opieki, bez przymusu, jak ptak na swobodzie! Na noc tylko do chaty wracała, przekradając się za płotami, żeby we wrotach Maksyma, Maksymowéj, albo starego nie spotkać. W fartuchu lub za pazuchą niosła zwykle ser schwycony po drodze, kawał płótna, trochę nici, lub chociaż jajko, słoniny kawałek. Chwytała wszystko, co mogła. Nad nią, jak groźne widmo, stawał czasem Franek! Wróci wkrótce, chatę postawi i znowu ją do pracy zaprzęgnie, bić zacznie! Eh, może nie wróci! Na świecie giną czasami... i Andrzej nie wrócił, a obiecywał!... Poszłaby z nim choć na koniec

świata; chaty, ziemi nie miał do roboty, nie pędzałby tak, jak te woły przeklęte!

Parę razy Maksymowa wyrwała jéj z rąk ręcznik, kawał płótna, które schwyciła gdzieś z płotu czy z łąki.

— Co ty robisz! — szeptała do niéj przed chatą w zmroku wieczornym, oglądając się, czy ich kto nie słyszy i nie widzi. — Za złodziéjkę okrzyczą! w turmie zgnijesz! Już i tak na tobie nitki poczciwéj niéma!

Ewka patrzyła na nią szeroko otwartemi oczami, na ustach drgał uśmiech bezczelny.

— Nu, tak cóż?—podrzuciła ramionami po swojemu.

Maksymowę aż w sercu ukłuło ze zgrozy i oburzenia.

— W turmie zgnijesz!—powtórzyła.

— Eh, i tam ludzie żyją! A chata wasza to nie turma?

Maksymowa załamała ręce.

— Czy w tobie duszy niéma? czy ty głupia? sama nie wiesz, co robisz, co gadasz! Dość już ty biedy narobiła... my przez ciebie dobytek stracili... dobro całe poszło bez śladu, jakby nigdy w chacie nie było!

— Bo to wasz taki dureń!—syknęła Ewka.—Nieraz ja jemu mówiła: nie sprzedawaj krowy Szmulowi za psie pieniądze, zarznij lepiéj, zjemy, to i stary i żonka pożywi się... wszystkim byłoby dosyć! Nie chciał! Nie mogę, powiada, własnéj krowy zarznąć! Głupi! ludzie ludzi rzną, a on krowy zarznąć nie mógł!

— Co ty jemu dała, że on dla ciebie duszę zgubił?... że on i dziś jeszcze jak nieswój chodzi?... wódkę pije?!...

— Pije, bo dureń! do siwych włosów dożył, a wódki nie kosztował! Teraz, jak zaczął pić, to dosyć nasmakować się nie może! Ot, dlaczego pije! Ja tam jemu nic nie dawała! I duszy nie zgubiła! Jaki był, taki jest, wół przeklęty! Pieniędzy, dobytku trochę zmarnował, za to pożył. Przy śmierci będzie miał co wspominać! Chłop, bogaty niby, kapuściane liście palił!— Splunęła, podrzuciła ramionami.—Na tytuń żałował! Nauczyła ja rozumu! Za to, jak upił się, powtarzał nieraz: „Ewka, póki ja ciebie nie znał, to i dobra żadnego nie znał!" Tfu! aż wstyd, że teraz baby chłopów rozumu uczą! Na trzeźwo tego nie mówił! Wiedział, że chłopu wstyd durniem być! A chciał jeszcze, żeby go na starszynę wybrali!

Zaśmiała się, wzruszyła ramionami, wyciągnęła rękę po skradzione płótno.

— Oddajcie! Do turmy za to nie wezmą! Dziś żebraczka włóczyła się po wiosce, żyd z kramem przejeżdżał, to i schwycili. Nie bójcie się, wiem ja, kiedy można! Więcéj ja w życiu złapała, niż wy zarobili.

Maksymowa odsunęła jéj rękę, płótno mocno pod pachą trzymała; odezwać się tylko nie mogła. Słowa Ewki duch w piersiach stłumiły.

— Czy ty pacierz mówisz?—spytała w trwodze wielkiéj.

— A mówię! Myślicie może, że jak nie gospodarska córka, to i pacierza nie umie? Schowajcie wy psu pod ogon wasze gospodarstwo! Ja tam i bez waszego dobra żyć potrafię.

Gadać dłużéj nie miała ochoty; poszła sobie wolnym krokiem ku wrotom; przechodząc, zerknęła na płótno pod pachą Maksymowéj.

— Biednyż ty, Franku, biedny! A gdzież ty swoją doleńkę posiał, że takie ciernie, takie pokrzywy porosły!—szepnęła żałośnie Maksymowa.

Wyschła, postarzała przez te lat kilka, z czerstwéj baby pozostała zżółkła staruszka; oczy od łez wyblakły, głos zaginął gdzieś w zapadłéj piersi. Mówiła zcicha, szepcąc; zapracowywała się od świtu do nocy, w święta nawet, w niedzielę, pasała swoje dwie krowy po miedzach; w łatanéj koszuli, w staréj spódnicy, w wypłowiałéj chustce na głowie, wyglądała jak najuboższa kątnica! Ale za to w obórce znowu było osiem owiec, rosło dwie ciełuszki, a krowy, choć stare, najtłuściejsze były z całéj wioski.

— Połowę dobytku trzeba będzie Frankowi oddać — rzekł raz do niéj Maksym, gdy siedzieli obok siebie na przyzbie.

Milczała; serce krwią opłynęło, nawet najcichszym głosem przemówić nie mogła.

— Po starym kilka groszy zostanie... Niech bierze, żeby krzywdy nie miał!

— Ale naszym synkom krzywda będzie! — szepnęła i pożałowała słów swoich.

Maksym schylił się we dwoje, brwi ściągnął, patrzał w ziemię.

Przebaczyła mu dawno, że trochę zgłupiał na starość. Naprawdę nigdy za siebie do niego żalu nie miała; żałowała go dla niego samego. Zmarniał, zubożał, z pierwszego gospodarza w wiosce skurczył się w staréj chałupie, zeszedł na ostatniego; sam to czuł, choć nigdy o tém nie mówił. Widziała, jak raz wyjął ze skrzyni czarną kamizelkę i spodnie, rozglądał przed oknem, głową kiwał. Jéj łzy w oczach stanęły — wy-

szła z izby: pomyślałby może, że ona mu tych kilku kropel wódki codziennéj żałuje. Któż wie, może to i prawda, że jak raz skosztował, to już swoją miarę wypić musi.

— To i oddamy—rzekła,—niech mu na pożytek idzie. Jak nasza chata oczyści się, może lepiéj będzie!

— Lepiéj będzie—powtórzył.—Ha, tak już było sądzono!—dodał po namyśle.

— Franka szkoda!

— Czemu? Eh, żonka ona może lepsza od innych, byle pracować chciała! Z rąk nic nie wypuści, wszystko do chaty garnie. Niech głupi za nią wstydzi się, ona wie, jak żyć na świecie! Na swojém może i pracować będzie!

— Nie będzie! Wiedźma, święconéj ziemi boi się! Niech ją piorun spali! Bodaj ona wskróś ziemi poszła! Taka przeklęta! Na mszę dam, krzyżem leżéć będę, kiedy ją czort raz z naszéj chaty porwie!

Maksym wstał, odszedł zwolna przez podwórko ku łące; w niéj serce zamarło—może do Szmula? Wyciągnęła szyję — czekała ze stłumionym oddechem, w prawo czy w lewo pójdzie? W lewo! tam przy płocie chłopcy psa do kałamaszki zaprzęgali, popatrzył, pogadał i obudwóch do lasu zabrał; poszedł miedzą przez żyto... Chłopcy biegli za nim. Maksymowa własnym oczom nie wierzyła!... Wśród zielonego żyta widziała plecy męża, za nim dwie jasne główki chłopców—do lasu szli, a jéj się wciąż zdawało, że powoli w prawo do Szmula zwracają. W las weszli.

Trzecią już niedzielę w chacie siedział, trzeci tydzień do karczmy nie zaglądał.

— Nie grzech, ale hardość duszę jego zgubiła. Na świecie różnie bywa: pijaki, rozbójniki, bezwsty-

dniki żyją, a nikt im powietrza ani słonka bożego nie żałuje. Ludzie przywykają do nich, bo wiedzą, że oni już tak na świat przyszli, taka im dola sądzona. A on, sokolik, chciał być najpierwszy, taki akuratny, spokojny sobie... Zgrzeszył, a teraz pamięć wódką zalewa!— rozmyślała Maksymowa, krzątając się koło wieczerzy.

Co chwila nos i oczy fartuchem ocierała, a w głowie aż wrzało od myśli różnych. Chciałaby go załagodzić, uspokoić, duszę by oddała temu mężowi marnotrawnemu. Postanowiła usmażyć jajecznicę i cały udój mleka uparzyć do kaszy. Wieczerzę da wcześnie, zanim ta „wiedźma" z miasteczka przyleci! Pastwiła się nad nią jak mogła—garnki i miski po jadle psom lizać dawała, żeby ani kropli jednéj „téj" nie dać.

— Niech je tam, gdzie pracuje!—powtarzała dla uspokojenia swéj duszy.

Ginęło téż w wiosce wszystko: kury, jaja, sery, masło, chleb ktoś z pod rąk chwytał. Czatowali na złodzieja wszyscy: baby, dzieci, parobcy i Ewka. Stroiła się tąraz; kramne swoje spódnice, koszule, chustki nosiła, do dworu czasem do lżejszéj roboty szła, w wiosce babom dzieci niańczyć pomagała; prawie do każdéj chaty codzień wślizgała się w różnéj porze, strzelała na wszystkie strony siwemi oczyma, pomagała niby Maksymowéj;—ale gdzie kto przysiadł, z choroby, czy ze zmęczenia, i ona przysiadała na płocie, przed wrotami, na przyzbach, byle tylko na słońcu. Wyciągała bose nogi, prostowała ręce, ziewała.

— Oto *łom!*—mówiły o niéj baby; przezorniejsze podejrzewały ją o kradzież, żadna jednak na uczynku złowić nie mogła; gadały o tém przed Maksymową.

— Grzech wam sierotą poniewierać! Nikt jéj za

rękę nie złowił—mówiła niby oburzona.—Niech ją tam na sztuki rozerwą, jak w swojéj chacie będzie!—dodawała w duszy;—dość już i tak... wszystkiego... Jeszcze złodziejowi okrywę!

Czekali Franka wszyscy. Maksym, chodząc po polu, zawczasu miarkował, jakie zagony jemu odda, gdzie chałupę postawią; stary czekał go ze śmiercią; Maksymowa codzień, z rana, w południe, pod wieczór, wybiegała przed wrota, w prawo, w lewo patrzała, chociaż do wioski jedna tylko droga wiodła. Zdawało się jéj, że czuje na własnych plecach bolesne uderzenia, jakiemi Franek żonkę powita—aż drżała z zadowolenia! Za złodziejstwo, za szelmostwo, za hultajstwo, za wszystko on jéj zapłaci! Czorta z niéj wypędzi, albo zabije! Może i kij porządny z sobą przyniesie?

Ewka tylko uszami strzygła, nadsłuchując, gdzie jaki żołnierz wrócił, miarkowała coś w duszy, a że przed nią chaty jakoś zamykać zaczęli, pilnowali jéj trochę—schwyciła czubatą kurę Maksymowéj i na kilka dni znikła. Wróciła zczerniała, w zabłoconéj spódnicy, w chusteczce zsuniętéj z głowy na plecy; rozczochrana, z zabłoconemi nogami, skurczyła się na przyzbie, kolana rękami objęła, siedziała tak nasrożona dzień cały; za pazuchą miała jeszcze piernik i parę obwarzanków, ale o głodzie zapomniała jakoś! W swoje strony biegała, do dworu, gdzie wraz z Andrzejem służyła dawniéj... Myślała, że się dowie coś o nim, że spotka go może. Nikt o nim nie słyszał, nikt go na oczy nie widział: we dworze wszyscy parobcy nowi, gadać z nią nie chcieli. Z ekonomową tylko pogadała trochę, dzieciom obwarzanków przyniosła; przyszła niby dzieci odwiedzić, z tęsknoty, z dobrego serca.

Kłamała, że teraz jest gospodynią w bogatéj chacie, w dostatku żyje, sługę ma... dzieci tylko mrą jedno po drugiém! Siwe oczy łzami zaszły, gdy o tém mówiła, wiedziała już, że Andrzeja niéma, że znowu do chaty przeklętéj wrócić musi, złość i niepokój gryzły za serce; płakała tedy nad urojonemi dziećmi, nos i oczy ocierając czerwoną chusteczką, w któréj obwarzanki przyniosła. Ekonomowa, rozczulona, dała jéj na drogę kawał suchéj bułki i odgotowanéj słoniny; Ewka jedno i drugie psom dworskim rzuciła; od czasu, jak zamieszkała w wiosce, rozwinęła znacznie smak i upodobania. Wolała mrzéć głodem, niż łamać zęby na bylejakiém jadle. Siedząc na przyzbie, ciągle o Andrzeju myślała... obiecał, że wróci... że ją zabije... i tego zabije, czyją żonką będzie! Niechby teraz wrócił! Nie zrobiłby jéj nic złego... A tego szelmę niechby zabił!... Po co ją za żonkę brał? Po co jéj dolę i młodość w ciężkiéj pracy zmarnował? Myśląc o tém, zgrzytała zębami i tym razem miała szczere łzy w oczach.

Franek wrócił nareszcie. Usłyszawszy o tém, Ewka wyskoczyła z izby do obórki, jak dzika kotka na strych się wdrapała, zasunęła się w kąt między deski i stare obręcze: przez chwilę oddechu złowić nie mogła, tak serce biło gwałtownie. Słuchała, wpatrywała się w ciemność... pierwszy strach minął, ochłonęła nieco i podrzuciła ramionami po swojemu.

— *Horsz licho koli boiszsia, i bieda budzie i nadrażyszsia!*—mruknęła zupełnie uspokojona; wciąż podrzucając ramionami, zlazła ze strychu, wysunęła się z obórki. Ciemno już było, na podwórku pusto zupełnie, w chacie przez oświetlone okienko ujrzała wszystkich koło stołu, nawet głupi Piotr w rozpiętéj

koszuli, z otwartą gębą, siedział rozparty, uśmiechał się, słuchając. Ciekawość ją wzięła, jak téż Franek wygląda... Zbliżyła się do okienka, głowę przytuliła do ściany. Lampka i łuczywo paliły się w izbie, aż trzy misy stały na stole; okruchy chleba przy każdéj, ślady mleka i kaszy świadczyły, że już kolacya skończona.

— Zjedli! — szepnęła przez zaciśnięte zęby. — A teraz słuchają!

Stary, co przez cały tydzień dogorywał na piecu, teraz siedział wyprostowany, z podniesioną głową, z wypiekami na twarzy. Maksymowa, Piotr, dwóch dzieciaków z wioski, wszyscy stół obsiedli, wszyscy w oczy Frankowi patrzą, słowa jego łowią, hukną śmiechem jednogłośnie, ucichną, jeden drugiego łokciem szturgnie, głowę na Franka wskaże, zadziwią się i słuchają daléj. On siedział plecami do okienka zwrócony, szynel tylko widziała z czerwoném naszyciem na ramionach, głowę jasną, ostrzyżoną niziutko, a gdy się do sąsiada zwrócił, spostrzegła, że ma wąsy. W izbie było gwarno, wesoło, chłopcy dokazywali na środku, na czworakach chodzili, jeden na drugim konno jeździł, przewracali się jak młode koty, i coraz jeden to drugi parsknął śmiechem donośnym, aż szybki w oknach brzękły. Maksym tylko siedział zdala pod ścianą, fajkę pykał, wpatrzony przed siebie ponuro. Ewce zdało się parę razy, że na okienko, przy którém stała, oczy zwrócił, brwi jeszcze groźniéj zmarszczył, podniósł rękę i podrapał się za uchem, jak w wielkim kłopocie. Jéj tylko tam nie było... a przecież ona jego żonka!... Przyszedł z daleka, cztery lata jéj na oczy nie widział, je, pije, ze swymi gada, śmieje się, o niéj ani wspomni! Nie wołał jéj, nie szukał...

słyszałaby, na strychu siedząc... w trwodze wielkiéj; słyszała przecież, jak szeleściały liście na gruszy, jak świerszcz w trawie brzęczał... Nie wołał!... Nagadali już może... a może i sam zapomniał! Dusza zmiękła na chwilę... Ewka mrugnęła parę razy, zacisnęła powieki... od światła, od długiego patrzenia... czy tak... od czegoś... łzy zaszkliły się w oczach.

Jakby przebudzona nagle, wzruszyła ramionami.

— Niedoczekanie ich! z trzech misek wszystkiego zjeść nie mogli!

Podniosła się na palcach, wyciągnęła szyję: patrząc z góry, dostrzegła w jednéj trochę zsiadłego mleka, w drugiéj kilka kartofli...

— Ha, dobra psu i mucha!

Przygładziła rękami włosy nad czołem, czerwoną chusteczkę mocniéj związała pod brodą, poprawiła koszulę i fartuch; weszła do izby śmiało, rezolutnie, od progu już krzyknęła na męża:

— Ty, Franek, chamem był i chamem wrócił! ojcu pokłonił się, bratu pokłonił się, a o żonce zapomniał! Bodaj tak o tobie ludzie zapomnieli!

W istocie odwykł od niéj i zapomniał. Na razie zapytał, gdzie jest, czy zdrowa? Ale gdy go otoczyli swoi, gdy po pierwszém powitaniu każdy z ciekawością, z pewném uszanowaniem osobę jego i ubiór oglądać zaczął, gdy zasypali go mnóstwem pytań bezładnych, urywanych, zgłupiał jakoś; nie wiedział sam, o co ma pytać, odpowiadał niby, słuchał, a wzrokiem po izbie okopconéj wodził, uśmiechał się do ciemnych kątów, do komina, za okopconą belką w pułapie dostrzegł wiązkę ziół uschłych, którą sam niegdyś zasunął. Patrzył i dość napatrzéć się nie mógł. Wyprosto-

wany w grubym szynelu, sztywny, niezbyt rozmowny, wyglądał hardo, surowo nawet.

— Żołnierz... świata wiele widział, mądry, bywały... z ludźmi odrazu gadać nie chce— myśleli bracia, ojciec, dziadźkowie; nie dziwili się i nie obrażali, owszem, z tém większą atencyą byli dla niego, podsuwali miski z jadłem, chleb i łyżkę; jeden z dziadźków, z wielkiéj atencyi, dłonią otarł mu mleko z brody, drugi co chwilę tabakierę podsuwał, ojciec tylko i Piotr z rozczulenia, z szacunku i podziwu słowa przemówić nie mogli.

— Żołnierzyk ty nasz mileńki!—szeptała uszczęśliwiona Maksymowa.

Szeroka twarz Franka, czerwona szyja, wykładająca się na kołnierz szynela, w zachwyt ją wprawiały.

— Ot, jak tam karmili, jak doglądali sierotę biednego! Zdrów wrócił, wyrósł, wyładniał, bodaj mu jasne słonko całe życie świeciło! Ważny taki sobie... powolny... jak należy!... nauczyli mądrości po świecie!...

W zachwycie, w rozczuleniu wielkiém poduszkę z tapczanu porwała i między ścianę i plecy Franka zasunęła. Był to najwyższy dowód szacunku; przedtém uczyniła to raz jeden tylko, księdza z kolędą w chacie przyjmując. Franek przyjął atencyę z uśmiechem, chciał nawet zażartować ze staréj—nie mógł, w gardle go coś dławiło. Woń jadła, siermięgi i łapci, ciepło serdeczne, wyglądające z ociężałych, wpatrzonych w niego twarzy, duch jakiś swojski, zaklęty w tych ścianach zczerniałych... rozbierały go, chodziły po kościach, jak febra, albo jak żal głuchy, którego ani wygadać, ani wyrazić nie można.

— Chata... cha... ta moja... mileńka... cha... ta!— szeptało coś w duszy, podczas gdy ze ściągniętemi brwiami, z najeżonym wąsem, przygryzając każde słowo chlebem w soli moczonym, opowiadał trochę łamanym językiem, gdzie był, co widział, jakie miasta, jakie rzeki przechodził, na maszynie jeździł, złote i srebrne mundury widział...

— A u was tu koni nie kradli? choroby na żywiołkę nie było, ślepy kasztan Jakuba żyje? a?—przerywał nagle, spoglądając po twarzach obecnych.

Uśmiechali się wszyscy, jak dziatwa, która, nasłuchawszy się bajek cudownych o kiju samobiju, o braciach rozbójnikach, zaciekawiona, ale i znużona już trochę, z przyjemnością do najbliższéj prawdy wraca. Nawet wejście Ewki nie zepsuło ogólnéj harmonii. Maksymowa tylko zaklęła zcicha, stary spojrzał ponuro, a Maksym z ławy wstał, ociężałym krokiem do komina podszedł, fajkę zapalił i wysunął się z izby w chwili, gdy Franek żonkę po twarzy pogłaskał i koło siebie na ławie posadził. Czarnobrewa, rumiana, z bezczelném wejrzeniem, ładną mu się wydała nawet po różnych dziewkach, które na świecie widział. Śmiał się do niéj, za policzki, za ramiona szczypał, wiedział, że jest jego żonką, i rad był, że jest właśnie taką, jaka mu się najlepiéj podoba. Zapytała, czy o niéj pamiętał, czy przyniósł jéj chociaż chustkę albo fartuch. Zaśmiał się. On na świecie tyle ładniejszych widział, tyle ich znał w różnych wsiach i miastach, że czasu nie miał i ochoty o żonce myśléć! Podarku nie przyniósł, bo sam z dwudziestu groszami z miasta wyszedł, po drodze chleb z wodą jadł, sypiał w polu, w lesie, ostatniego dwojaka oddał staremu żołnierzowi na drewnianéj

nodze, który przepił w karczmie koszulę, a na chleb grosza nie miał! Zresztą, na co babom ubranie! Zgrzebna koszula i spódnica na cały wiek wystarczyć powinny! Przy pracy, czém starsza odzież, tém lepiéj, a w święto niech w chacie siedzą i dzieci pilnują.

Drażnił ją umyślnie; w miarę jak mówił, czerwieniła się, poruszała nozdrzami, uśmiechała się złym, przyczajonym uśmiechem, w którym widać było białe, ostre zęby. Lubił takie dzikie kotki! Uderzył ją po plecach i obiecał, że jak będzie dobrze pracować, kupi jéj za grosz piernika. Nazajutrz przekonał się, że z niéj nic nie było i nic nie będzie. Wstał przed świtem. Drażniła go woń siana, na którém spał, przez całą noc majaczyły się drzewa, chaty, Niemen, urwiska piaszczyste, zarośla i lasy, widział to wszystko, dotykał rękami, czuł wkoło siebie. Rzucał się na sianie, otwierał oczy, wodził nieprzytomnym wzrokiem po ciemnéj odrynie, i nie dowiedziawszy się, gdzie jest, co robi, zasypiał znowu i znowu widział toż samo! Zerwał się w końcu, świt chłodny otrzeźwił go odrazu. Wiedział już, że koszą trawę pod Kisielami, że jeszcze na dwa tygodnie roboty będzie, bo łąki zalało, po pas w wodę léźć trzeba, okoszają tedy po brzegach tymczasem, czekając nim wyschnie. Przed słonkiem był już na łące—szynel i czapka zostały w odrynce, nawet żołnierską koszulę zostawił; Maksymowa dała mu wczoraj nowiutką siwą odzież, pachnącą miętą i majerankiem, jak cała jéj skrzynia; z cywilizacyjnego okresu zostały mu tylko buty, mocno dziegciem przejęte, i srebrny kolczyk w lewém uchu, który miał go leczyć od szumu w głowie, od łamania w krzyżach, nabytego podczas długich, chłodnych podróży.

Stał w trawie po kolana, sam jeden na łące mgłą zasłanéj.

Cisza. Szarawe chmury szybko za las płynęły, na wschodzie wązki złotawy pas wychylał się zwolna. Nawet ptaki drzemały jeszcze; gdzieniegdzie w olszniaku świergoliły wróble urywanym głosem; jak przez sen Franek oglądał się, nadsłuchiwał; sam nie wiedział, co go tu tak rano przywiodło. Bekas podniósł się z pod nóg jego, przeleciał kilka kroków niziutko, wpadł w błoto, poruszył bagno drzemiące, ostrą trawą porosłe; ruch ten głuchém echem odezwał się w szarawém powietrzu, zaszumiało zcicha; wiatr nagle zbudzony poruszył zlekka olszyny.

Franek drgnął, ścisnął kosę w ręku; jak wczoraj na ścianę chaty, tak dziś na tę okolicę napatrzyć się nie mógł! Wszystko po staremu, nic tu nawet nie urosło, nic się nie zmieniło, trawa tylko w tym roku rosła dobrze — odrazu zmiarkował, że ze swojéj części ze sześć albo z osiem wozów zbiorą. Obliczył, spoglądał baczném okiem na rozrzucone pokosy. Budził się w nim gospodarz skąpy, chciwy na siano szczególnie, na ten chleb powszedni żywiołki, która droższą mu była nad własną duszę. Sześć krów zostawił, dwa konie i czternaście owiec. Teraz młodzieży przybyło zapewne. Stare może sprzedali... Zaraz będzie się czém podzielić, gdy ojciec zamrze i trochę grosza na nową gospodarkę zostawi. Wyostrzył kosę, machnął po trawie raz, drugi, trzeci — trawa kładła się równiutko jak usłana. Nie zapomniał. Zmężniał, siły nabrał, przez tyle lat był tylko machinalnym pionkiem w szeregu, że teraz, gdy się znalazł na szerokiéj swobodzie, zdawało mu się, że rok cały bez wypoczynku pracować

będzie, że mu sił i ochoty na sto lat wystarczy. Machał kosą, uśmiechał się do myśli wesołych. Teraz dopiero żyć zacznie. Mędrszy jest od tych wołów—sąsiadów, co mchem porośli, na miejscu siedząc. Szacunek ludzki ma i znaczenie wielkie! Bać się go będą, bo wiedzą, że on między nimi pierwszy, że z nim sprawy nie wygrają. Co „osoba,” to nie chłop pierwszy lepszy! On ma za sobą cztery lata służby akuratnéj, wiernéj... chwalili go tam... zapamiętał nawet kilka pochwał od najbliższéj zwierzchności; w wiosce nikt o nich wprawdzie nie słyszał, lecz on sam pamiętał o tém dobrze, był rad z siebie, pysznił się swoją przeszłością. Tak, jest teraz „osobą.” Chatę z kominem wystawi, otoczy ją ciosowym ostrokołem... Niech widzą, jak mieszka człek, co świata wiele widział, żyć umie i o nikogo nie dba.

Ostrzył kosę zawzięcie. Dźwięk stali rozległ się po lesie, zadrgał we mgle nad łąką, w trawie wysokiéj, falującéj zlekka od porannego wiatru. Kosa lśniła się jak brzytwa, on wciąż jeszcze ostrzył, mrużył oczy, poruszył plecami. Dawno już tego brzęku nie słyszał. Sąsiedzi pewno myślą, że on taki jak dawniéj głupi parobek, co każdego słuchał, każdemu wierzył, swego rozumu za grosz nie miał. Ho, ho, zobaczą! Wczoraj już swoim „dziadźkom” starym, co już ze sto lat na świat boży patrzą, opowiedział o fuzyach cudownych, o bohaterach, których żadna kula nie bierze, powtarzał baśnie różne, wylęgłe w fantazyi parobka-żołnierza, którego nawpół dziką naturę oszołomiła siła imponująca. Uwierzą! Eh, on sam przecież kiedyś nawet w czorta wierzył! Kosił coraz zamaszyściéj, powtarza-

jąc machinalnie owe: „raz, dwa, raz, dwa," w takt których przez lat kilka serce jego biło.

Zmachał się, spotniał, rzucił kosę, przez chwilę stał wyprostowany, oddychał miarowo, jak we froncie! Przysiadł w końcu, spojrzał na pas łąki, skoszonéj za jednym zamachem, — dawniéj przy takiéj robocie odpocząłby już sobie parę razy, wysmoktałby ze dwie lulki i choć raz jeden napiłby się wody z kałuży; zresztą dawniéj sam dyabeł nie potrafiłby go obudzić przed słonkiem... Hm, teraz on inny człowiek. Sąsiadów będzie w grozie trzymał!... a chatę może nawet z dwoma kominami wystawi!

Chmury pierzchły, słonko wychyliło się z za pagórków piaszczystych nad rzeką. Od wioski, wraz z pianiem kogutów, ze skrzypem studni, rykiem krów i żałośném beczeniem owiec, doleciał piskliwy i ochrypły głos bab młodszych i starszych, ukazały się pierwsze gromadki kośców w płóciennéj odzieży, z grabiami, z błyszczącemi kosami na ramieniu, szli miedzą po dwóch, po trzech; za nimi, jak rozbitki różnobarwnéj, niesfornéj armii, dreptały baby w siwych, różowych i czerwonych kaftanach, w koszulach i spódnicach za kolana podkasanych; większość klęła pastucha, że dziś bydło po słonku wypędził, niektóre szeptały pacierze, a wszystkie miały na myśli Ewkę, Franka, plotki różne, które od wczoraj już kotłowały w głowie, mąciły pamięć, szczypały w język. Staruszki odmłodniały, młode śmiały się zawczasu, a tylko kilka wychudłych, z przygasłemi oczami, szło spokojnie, apatycznie, dźwigając w obu rękach garnki z jadłem, wiązki grubych powrozów. Franek zdaleka już swoich spostrzegł, Ewki tylko dopatrzéć nie mógł. Nie zdążył jeszcze

zapytać o nią, a już, jak w ulu słonkiem ogrzanym, zabrzęczało, zasyczało złowrogo. Śmiechy, przysłowia, porównania posypały się ze wszech stron, baby gadały między sobą, mężczyźni tylko ramionami wzruszali, czasem ofuknęli którąś bardziéj gorliwą. Do Franka nikt właściwie nie gadał, nikt mu jeszcze opowiadać „wszystkiego” nie zaczął, nikt nawet nie myślał tak odrazu truć życia człowiekowi, co przez kilka lat chaty nie widział, nikomu nic złego nie zrobił i dopiero wczoraj do swoich wrócił. Żartowali między sobą tylko, ale od tych żartów, jak od rozbijanych kamieni, odskakiwały ostre odłamki i wszystkie jakoś w stronę Franka zmierzały. Słuchał; a chociaż dziesiąte ledwo słowo zrozumiał, domyślił się, że żonka jego musiała chyba z dziesięciu ludzi zabić, z dziesięć wiosek spalić, może kościół okradła, i kto wie, może nawet na własną żywiołkę rękę zabójczą podniosła—tak czarną, niemal zwęgloną wychodziła z tych żartów wesołych. Brwi ściągnął, wargi nadął, minę trzymał żołnierską, żeby sąsiedzi widzieli, że on tam o plotki nie dba: jak co nie pomyśli znajdzie, z winowajcą rozprawić się potrafi. Machał tedy kosą, od czasu do czasu na ręce spluwał, a w duszy już przysiągł, że jéj nie daruje—zabije, albo może i gorzéj... Spoglądał z ukosa, czy nie idzie. A baby wciąż gadały, coraz wyraźniéj do niego zmierzając.

— Czemu ty sobie, Franeczku, nowéj żonki nie sporządził?—spytała rezolutnie Jakubowa, wygadana baba z czerwonym nosem, szeroką gębą, z zielonemi oczami—twoja tu ze wszystkiém zdarła się.

Baby zachichotały chórem, jedna szturgnęła ją w bok łokciem.

Franek udał, że nie słyszy; kosząc, rozmawiał z Maksymem, na baby nie spojrzał—zawsze lekceważył ród niewieści i wolałby urodzić się żydem niż babą; teraz, jako żołnierz, nawet i patrzéć na nie nie chciał. Wszystkie postarzały, zwiędły ostatecznie, ładniejsze dziewczęta przez ten czas powychodziły za mąż do innych wiosek, wiedźm za to czarniawych z ostremi nosami przybyło parę. W całéj wiosce jego Ewka najładniejsza!—Hm, co tam babskie gadanie! — pomyślał. Zanim rzęd pokosów położył, zmiękł znacznie.

W świetle słoneczném łąka błyszczała od rosy, mieniła się od barw różnych: żółtawa po brzegach, przechodziła w ciemną zieloność na błotach, gdzie tatarak wiązał się z wysoką, ostrą trawą, w któréj drgało coś zlekka, trzepotało, ruszało się nieznacznie. To życie ukryte, strwożone brzękiem kos, głosem ludzkim, więcéj zajmowało Franka niż gwarna rozmowa; co chwila spoglądał w tę stronę, nadsłuchiwał; widział, że Ewka przyszła w czerwonéj spódnicy, w niebieskich paciorkach i białéj chusteczce na głowie; powolna jakaś, ociężała, schyliła się parę razy po siano, przetrzęsła garść jednę, drugą i znowu stanęła z opuszczonemi rękami, wodząc wzrokiem po łące, usianéj pstrokatą bab gromadą, bielejącymi na słońcu kośćami. Franka nie dostrzegła na razie,—dopiero późniéj, spojrzawszy w stronę błota, zobaczyła samotnego kośca bez czapki, z jasną, nizko przystrzyżoną głową.

— Bodaj on przepadł!—mruknęła i pochyliła się nad robotą. Od czterech lat już nie pracowała tak długo, tak ciężko jak dzisiaj! Rąk i nóg nie czuła, w krzyż ból wlazł straszny, pot oczy zalewał; gryzła wargi, zaciskała zęby, ale głowy nie podnosiła, bała

się; przysięgała w duszy, że to raz ostatni, że zerwie się z łańcucha i choć w wodę pójdzie, ale do tych wołów nie wróci.

Franek milczał. W południe razem ze wszystkimi zjadł mleka i kartofli; wrócił do roboty markotny. Wieczorem zaś nawet do chaty nie zachodził, szynel żołnierski na ramiona zarzucił, bez czapki poszedł sobie brzegiem Niemna; górą szedł, potém spuścił się urwiskiem ku wodzie... Patrzył, rozglądał się jakby nie swemi oczyma,—buta znikła, zapomniał nawet, że był żołnierzem, dawna natura odżyła na dawnym gruncie. Wiedział już, że brat go skrzywdził, żywiołkę, zapasy zmarnował; miarkował tedy, co zrobić? czy swego dochodzić, pokłócić się odrazu, w chacie harmideru narobić,—czy czekać cierpliwie, spokojnie, tymczasem wziąć co dadzą, a resztę odbierać nieznacznie, raz groźbą, to znów dobrocią, skubać brata potrochu?— Znał Maksyma i wiedział, że choć za mądrego uchodzi, w istocie strasznie jest głupi; wstydu boi się, przed ludźmi chce za honorowego uchodzić, grosza cudzego na duszy nie ma, spokojny, niemrawy, ale sprawiedliwy. Teraz w oczy jemu spojrzéć nie śmie, ustępuje z drogi, sam pierwszy nawet rozmowy nie zaczyna. Te oznaki żalu i pokory więcéj jeszcze przekonały Franka o winie niż poczucie krzywdy; pokorny, milczący Maksym wydał mu się wielkim przestępcą, który dla świętego spokoju zrobi wszystko, co zechce.

— Nie byłby on taki cichy, żeby nie wiedział, że prawda za mną! ho-ho! Mógłby ja go z chaty z żonką i dziećmi wyprawić, mógłby ostatnią koszulę zabrać! Skrzywdził on mnie biednego sierotę, z torbą puścił, na żebraka wykierował! Ja na służbie był, Bogu i ce-

sarzu służył, a on tu moją chudobę marnował! — powtarzał w duszy, jakby przed niewidzialném jakiémś audytoryum, które sprawę jego sądzić miało.

Sam zaś o krzywdzie swéj sądził trochę inaczéj,— z czterech zmarnowanych krów trzy należało do Maksymowéj, owieczki wszystkie do niéj należały, z zapasów téż większość ona do chaty wniosła, resztę przysporzyła pracą, oszczędnością, prawie skąpstwem. Pozostała tedy tylko jedna krowa i żonka; z pierwszéj prawie połowa do Maksyma należała, o drugiéj na razie Franek zapomniał; a gdy sobie przypomniał, zamyślił się jakoś, sam nie wiedział, jak wielkiéj wagi będzie ten fakt w razie procesu i czy nie zepsuje sprawy zeznanie świadków, że zmarnowana żywiołka w większéj części poszła na korzyść jego żonki? Myślał tedy, miarkował, ale nic jakoś wymyślić nie mógł, po radę do ludzi iść bał się... Widział, że Maksym strasznie pokorny, i to wystarczało do korzystnych zamiarów. Spróbuję zresztą—jeżeli brat bronić się będzie, hm, to wówczas... zobaczymy... jeżeli ulegnie, widać sam się do winy poczuwa.

— A kogo karać, jeśli nie grzesznika? — pomyślał w duszy — może tam jego strata będzie... no, tak czego lazł, czego biedy szukał? Już tak na świecie sądzono, że kto siebie nie obroni, tego nikt nie obroni! Cóż ja mam jego żałować, kiedy on sam siebie nie żałował?

Im dłużéj myślał, tém silniéj był przekonany, że słuszność jest za nim, tém głupszym wydawał mu się Maksym, pokorny, ze stulonemi uszami.

— Widać czuje winę! — powtarzał, chociaż sam téj winy dokładnie jakoś zrozumiéć nie mógł. Taką

krowę zmarnował! a!... On nie oddałby téj krowy za sto rubli! Tak, dla innych może ona i dziesięciu rubli nie warta, a on jéj za sto nie oddałby! Po ojcu, po matce im się dostała... ryża, na czterech nogach, w dodatku z rogami! Śliczna krowa! Pół świata przeszedł, a takiéj nie widział! Jakże on śmiał, ten złodziéj, sprzedawać ją samowolnie! Niechby zginęła, niechby ją wilki zjadły—dopuszczenie boże! Ale sprzedawać prawa nie miał! I Bóg, i ludzie, i sądy przenajświętsze toż samo przyznają!

Krowa ta rozplątała całą sieć myśli i pojęć zagmatwanych w ciemném sumieniu; uspokoił się, poweselał, uczuł jakby pewny grunt pod nogami. Teraz zrozumiał pokorę i nieśmiałość Maksyma.

Żarty to, taka krowa! Żeby chciał nawet odkupić, gdzież on taką znajdzie? Może sobie mówić, że piękniejszą kupił, ale dla niego tamta była i lepsza i piękniejsza. Jakże go przekona, kiedy krowę dawno już żydzi zjedli!

Głęboko przekonany o słuszności sprawy, gotów był przysiądz, że krowę tę lubił nad wszystko, że ją sam wykarmił, wychował, że nie oddałby jéj nawet za sto rubli! Zmiarkował przytém, że przez te lat cztery cieląt byłoby ze czworo, albo i więcéj.

— I ten złodziéj śmie jeszcze mnie w oczy patrzéć, śmie gadać ze mną, taką krzywdę wyrządziwszy! Żeby mógł, duszę by moją czartu sprzedał! Ot, jaki on brat! Cudzy żaden nie zrobiłby tego, co on zrobił! Żonkę moją lubił!—dodał w końcu.

Zarzut ten oburzenia nie zwiększył; działo się to bez niego—za oczami, i gdyby ludzie o tém nie gadali, on nie wspomniałby nawet! Ale ludzie gadają, śmieją

się, przymówiska różne powtarzają o nim, o żołnierzu, który miał być najważniejszą „osobą” w wiosce! Ot, co go bolało!

Wracając z nad rzeki, obmyślił, że Maksym powinien mu dac pięć zagonów pod lasem, trzy za ogrodem; z pieniędzy po starym powinien mu za krowę i za żonkę z dwieście rubli zapłacić, resztę rozdzielić akuratnie. Plan ten przerabiał bez końca, wciąż coś do swéj przyszłości dobudowując. Kiedy wszedł we wrota, był już posiadaczem wszystkich dziesięciu zagonów, chaty, żywiołki, skarbów po ojcu! Maksym poszedł „na zapaszkę,” a z zarobionych pieniędzy jeszcze ma po kilka rubli rocznie za żonkę i za krowę wypłacać! Wiedział, że tego nie będzie, ale raz puściwszy wodze sercu i fantazyi, granic zakreślić nie umiał.

— Szczypta ziemi! — mruknął, ochłonąwszy nagle—czém tu dzielić się, kiedy i dla jednego zamało!

Przeszedł ociężałym krokiem podwórko; w chacie już spali. Przed odrynką pod stogiem słomy chrapał Piotr i żuczek. Franek stanął, popatrzył na śpiącego chłopa, zmierzył go wzrokiem od głowy aż do bosych stóp, opartych o grzbiet żuczka.

— I ten jeszcze!—mruknął nachmurzony. Przypomniał sobie naraz, przez ile to lat przybłęda ten jadł i pił u nich, nosił ich odzież... kupował sobie buty i czapki! Pracował niby... eh, na takiéj okruszynie ziemi jednemu niéma co robić!

Powlókł się do odrynki zły, rozjątrzony jakiś... sprawa z krową, tak jasna na razie, znowu się zamgliła... Chwilami zdawało mu się, że Maksym dla okupienia winy wyrzeknie się ojcowizny... to znów przypu-

szczał, że jest zły, nachmurzony dlatego tylko, że się go nie spodziewał, myślał, że nie wróci, zostanie gdzieś na służbie, w mieście zarobku poszuka. Za krowę wcale go nie wynagrodzi... Stara była, bez zębów, parzonki już jeść nie chciała; sprzedał, bo zginęłaby z głodu. Ojciec żyje jeszcze, dobytek nie podzielony... jakże tu sprawę wygrać?... Żołnierzem jest wprawdzie, ma znaczenie, zasługi... sam jenerał w mieście wie o nim... ale z krową do jenerała nie pójdzie... a tu na miejscu, kto wie, czy sprawiedliwość znaléźć potrafi. Gmach marzeń runął nagle, przygniatając go gruzami dziesięciu zagonów, chaty i gospodarskiego dobytku. Zasnął na sianie snem żołnierskim, przykryty szynelem. Śniło mu się, że woda uniosła starą chatę z Maksymem, żonką i dziećmi... że wróciła się spienioną falą i jeszcze stóg słomy z Piotrem i żuczkiem zabrała... Nie, stóg został; żuczek, otrząsnąwszy się z wody, wybiegł na brzeg, Piotr tylko popłynął i wraz z chatą wpadł w przepaść, któréj ślad nawet zmyła rzeka spieniona. Z dobytku pozostała tylko pełna obórka, pełna odryna i on sam jeden sierota... Stał sobie pośród poletka i patrzył, jakie téż woda szkody wyrządziła... Nad brzegiem rzeki, nad samém urwiskiem, Ewka, w czarną sukę zmieniona, siedziała na tylnich łapach, patrzyła mu w oczy, szczerząc ostre zęby... Woda jéj nie zabrała!...

Żyli, z dnia na dzień śmierci starego wyczekując. Pracowali, jedli razem, w wolnych chwilach każde szło w inną stronę. Franek patrzył na Maksyma z podełba, albo obracał się plecami i udawał, że wcale na niego nie patrzy; parę razy nadmienił coś o krowie...

— Nie bój się, krzywdy nie zaznasz! — odrzekł Maksym—połowa krowy nie przepadnie, niech tylko stary zamrze, porachujemy wszystko jak należy.

— Ileż on ma?

— Bóg go tam wie! Ile ma, to ma, z sobą nie zabierze!

Z wieczora go nie widzieli—spał, jak zwykle, gdy z pola wracali; w południe za to, gdy na obiad przyszli i wszyscy koło stołu zasiedli, Maksym z Frankiem na przeciw siebie, Piotr na końcu stołu, Ewka i malcy obok siebie, wszyscy co chwila na niego patrzyli. Siedział zwykle na łóżku, ramieniem do poręczy przysłonięty, wyschły, żółty, jednę rękę za pazuchą trzymał i w ziemię patrzył. Oni tymczasem jedli w milczeniu, wszyscy jedną myślą zajęci. W niebieskich oczach głupiego Piotra widniał strach i smutek; zapatrzony w starego, niosąc łyżkę do ust, strawę po stole rozlewał, za co Ewka w bok go łokciem szturgała, „chamem" nazywała pocichu. Franek prawie za każdą łyżką na ojca spoglądał. Umyślnie siadał plecami do ściany, twarzą na izbę zwrócony, żeby go mieć przed oczami; każdego dnia zabierał się o pieniądze spytać, słów tylko odpowiednich dobrać nie umiał. Nie chciał o śmierci mówić, bo wiedział, że chorzy tego nie lubią, i nie wypadało jakoś... ojcu rodzonemu... ostatnie godziny przypominać... To znowu bał się, że stary może pieniądze w różnych miejscach pochował, może sam zapomniał, oni zaś znaléźć nie potrafią!

— Czy wy, tatku, *hroszy* w skrzyni trzymacie?— spytał nareszcie po namyśle — bo jak na was koniec przyjdzie...

Maksym szturgnął go w kolano pod stołem.

— Szturgaj, czy nie szturgaj, a śmierci nie odpędzisz!—mówił daléj, przeżuwając krupnik z chlebem;—jak na was koniec przyjdzie, to żeby nam krzywdy nie było. Wszyscy my na te pieniądze ciężko pracowali, wszyscy teraz czekamy... wyglądamy... wiadomo, każdemu grosz potrzebny.

Stary, jakby przebudzony z odrętwienia, poruszył śpiesznie dolną szczęką, ręka za pazuchą zadrżała.

— Powiedzcie wy nam odrazu, póki pamięć i mowę macie—ciągnął Franek, plecami o ścianę oparty, z rękami w kieszeniach spodni. — Nie zechcecie przecież, żeby my duszę waszą przeklinali za naszą krzywdę...

— Bodaj ciebie twoje dzieci klęły! — mruknął Maksym. — Co ty od nas wszystkich gadasz? gadaj od siebie! My jak żyli, tak i żyć będziem; ty żonkę wiedźmę wziął, w chacie użyć się nie możesz, idź sobie z nią choć do samego czorta, a śmiercią ojcu oczu nie kłuj! Jak koniec poczuje, co ma powiedzieć, powie! Stało jeszcze na cały wiek rozumu, to i na ostatnie godziny stanie... Nie wiadomo jeszcze, kogo naprzód robactwo jeść zacznie... wszyscy pod Bogiem!...

Piotr tylko głową kiwał, na starego, to na Maksyma patrząc.

— Niby to ja ze złego serca!—odrzekł Franek—ojciec umrze, to i swoje skończy, a nam żyć trzeba, zdrowemu ja przecież każdy swój grosz oddawał akuratnie... teraz umrze, czy nie umrze, a o swoje dopominać się trzeba. Tak wy, tatku, powiedzcie, jak... gdzie... i wam lżéj umierać będzie i nam bezpieczniéj...

Umilkł, czekał odpowiedzi... Ewka strzelała oczami po izbie, w rozpalonych palcach szarpała koniec fartucha.

Ale stary akurat tego dnia czuł się zdrowszym, lżéj oddychał, słyszał wyraźnie brzęk much w izbie, zamglonemi oczami widział smugi światła, zaglądające przez okienka. Wyprostował się na łóżku, głowę podniósł i milczał. Ściskało go w piersiach, czy od słów syna, czy z innéj jakiéjś przyczyny—sam nie wiedział. Zakaszlał, odetchnął głęboko...

— Dziś ja... zdrowszy! — rzekł ochrypłym głosem.—Zdrowszy!—powtórzył, zasapał się, zmęczył od tych słów kilku, głowę opuścił na piersi.

— Z takiém zdrowiem bliżéj do śmierci niż do życia! — rzekł Franek — dusza z kaszlem wyskoczy i nie złowisz; choć ty tu ziemię gryź, nie złowisz! Nam będzie zgryzota, a czortu uciecha... porwie nasz krwawy grosz jak swój! A... a! żeby ja to mógł przewidzieć... żeby mógł rozumem zrozumiéć... nie gubiłby ja marnie swego potu krwawego.

Wstał z ławy, czapkę nałożył, wyszedł, zatrzasnąwszy drzwi za sobą.

Nazajutrz starego nie stało.

III.

Franek chciał tegoż wieczoru skrzynię przejrzéć; nazajutrz, po pogrzebie, téż namawiał, żeby do chaty wracać, porządek zrobić, a potém dopiero na łąkę po resztę siana jechać.

— Czekali tyle, poczekamy jeszcze! — odrzekł Maksym.—Po co dzień marnować?... wrócim z pola, co jest, to znajdziem. Żonka twoja chaty pilnuje, nie bój się, sam czort jéj nie oszuka!

Klucz od skrzyni za pazuchą trzymał, a przez cały dzień nie wspomniał ani o ojcu, ani o pieniądzach. Pod wieczór tylko wcześniéj niż zwykle pracować przestali. Piotr miał ostatni wóz nałożyć i do chaty odwieźć, na łące sam został, im zaś pilno było wracać; pod koniec Franek jak nie swemi rękami pracował, co chwila na zachodzące słońce, to na wioskę spoglądał, przysiadł wreszcie i czekał, nim Maksym z żonką resztę siana zgrabią.

Wielkich rzeczy ojciec nie zostawił; dla zwykłego chłopa kilkaset rubli to pieniądz, dla niego to prawie

nic! Żeby chociaż parę tysięcy... byłoby za co ręce zaczepić... Teraz nie to, co dawniéj... chłop, jak wół, zielskiem i *miękkiną* żył... teraz inne czasy! Rozmyślał, miarkując zarazem, ile téż ojciec zostawił? Oczu z Maksyma nie spuści, grosz każdy sam przeliczy... sam własnemi rękami dotknie się każdego papierka, pomaca, obejrzy, zanim z rąk odda. Kto go tam wie! Brat niby, a jak do rachunków przyjdzie, brat nieraz od cudzego gorszy...

Zawczasu już patrzał na niego niechętnie, ze złością... pewny był, że go chce oszukać... dlatego może zwleka... namyśla się złodziéj... może już coś wymyślił... Przypomniał sobie kilka faktów strasznych: w Janowie brat brata zabił za sześć rubli tylko... trupa pod mostem schował... milczał do wiosny, aż woda nieboszczyka na brzeg wyrzuciła... Widział on i tego trupa i zbója widział... czy jeden taki na świecie! Tylko że jednemu udaje się, drugi ginie marnie. A w wojsku aż dwóch zbójów znał! Spał nawet z obydwoma obok przez pół roku. Ten... Maksym... zawzięty, bestya... krowę zmarnował... dobytku tyle zmarnował... może teraz...

Bał się dokończyć, obejrzał się zwolna... Na trawie leżała żerdź, którą przyciskano siano na wozie przy uwiązywaniu. Wstał, podniósł ją z ziemi, oparł się na niéj i czekał...

— Cóż ty... w las ludzi rozbijać pójdziesz, że kół z sobą zabierasz? — spytał Maksym, idąc za żonką ku drodze.

Franek drgnął; o Kainie wiedział niewiele, słyszał jednak, że tém mianem nazywano zbójów i konio-

kradów w wiosce. Głos Maksyma przypomiał mu głos wszystkich Kainów.

Żerdź na ziemię opuścił; powlókł się za nimi z tyłu o kilka kroków.... ze spuszczoną głową, bacznie śledził każdy ruch brata!... Gotów na wszystko, zawczasu zaciskał pięści... próbując siły!... Ha, zdusiłby odrazu! Wpiłby się pazurami w szyję... trzymałby go tak w garści do ostatniego tchnienia... Nie z nim wojować... Na samą myśl zczerwieniał jak burak, oczy krwią zaszły... z piersi wyrywał się krótki, ochrypły oddech.

A Maksym wziął od żonki puste garnki, szedł obok niéj; milczał z początku, potém przypomniał sobie, że ot, dziś pierwszy wieczór bez starego w chacie przebędą! Maksymowa pokiwała głową smutnie.

— Wszystkim taki koniec! Harujesz, pracujesz od świtu do nocki, wypoczynku nie masz... przyjdzie śmierć, rzucisz wszystko! Oj, Boże mileńki, odpuść ty nam ciężkie grzechy! — westchnęła, obok męża drepcząc.

Zapomnieli nawet, że Franek wlecze się za nimi.

Piotr sam pozostał na łące. Zmrok zapadał, trzy ostatnie wozy odjechały jeden za drugim, przy każdym chłop szedł zwolna, konia za uzdę prowadząc. Piotr oglądał się za nimi; zdaleka, na tle złotawego nieba widział wciąż jeszcze Maksyma, Maksymowę i Franka— szli drogą ku wiosce, dojdą do chaty wprzód, nim on wóz do połowy napełni. Chwytał z ziemi siano, na wóz ciskał, potém widłami rzucał wiązkę za wiązką, śpieszył, zasapał się, spotniał i opuścił ręce.

Na łące było pusto; gdzieniegdzie między olszniakiem sterczały niewielkie kopy siana. Koń, co na wóz czekał, chodził od jednéj do drugiéj, skubał powoli

i znowu do świeżéj trawy wracał. Piotr wziął go za grzywę, do wozu przyprowadził, zaprzęgał drżącemi ze zmęczenia rękami, z podełba wciąż na drogę spoglądał. Sylwetki znikły; wozy wjechały między płoty, droga do wioski opustoszała. Pilno mu było, nie myślał o niczém, tylko ręce drżały z pośpiechu. Ostatnie już garście siana podbierał, zgarniał gorliwie po trawie, rzęsistą rosą pokrytéj; nachylony, przez ramię wciąż się ku wiosce oglądał.

— No! kośku... kosieczku mój!—szepnął zdławionym głosem, targnął za lejce. Wóz ruszył, zachwiał się... koła skrzypnęły...

Piotr odetchnął. Zdawało mu się, że już dziś z łąki nie wyjedzie. Na drodze zaciął konia, przez kilkadziesiąt kroków biegł za nim, siano podskakiwało na wozie, spadało na prawo i na lewo; koń zmęczył się, zwolnił kroku, Piotr już nie próbował go popędzić. Wpatrzony w wioskę, otworzył usta; czapka zsunęła mu się na tył głowy, drapał się co chwila za uchem.

— Bodaj... jego... bodaj jego... a!...—mruczał od czasu do czasu.

Miało to oznaczać i żal i strach, niepokój i ciekawość. Wiedział, czego chciał, rezonował dziś o tém w duszy przez cały dzień, pracując w milczeniu... Wypowiedziéćby tylko nie śmiał, bo... bo co tam gadać nadaremno! Chciałby już tam być jaknajprędzéj... posłyszéć, zobaczyć...

— No, kośku... kosieczku! — zachęcał, językiem cmokał.

Koń wlókł się nogą za nogą, wobec olbrzymiego wozu wyglądał jak duży pies.

Ściemniało, gwiazdy wysypały się na niebie. Piotr wjechał między płoty, zdaleka już wpatrzył się w oświetlone okienka chaty, stojącéj na uboczu, nad samém urwiskiem, przy rzece. Zaledwo do odrynki wjechał, konia wyprzęgać zaczął, w progu stanęła Ewka, przypadła do niego zasapana.

— Mileńki Piotrusiek, ot śmiech, ot bieda, ot dziwo nad dziwami!—trzepała, targając go za ramię.— Skrzynię przetrzęśli, na strych łazili... w św− iernie grzebią się teraz... nigdzie ani grosza! Cha, cha, cha!

Przysiadła, śmiech oddechu złowić nie dawał.

— Dalibóg, żeby ja tak zdrowa była! Ot skaranie boże, ot pomsta boża! Skręci ich jeszcze, choroba ich ciężka wydusi. Cha, cha, cha! och, nie wyżyję, nie wytrzymam, pęknę ze śmiechu! Mało im oczy na wierzch nie wyłażą! Sapać przestali szelmy, łażą jeden za drugim, ta wiedźma drepcze za niemi, świeci im w oczy jak szczurom. Chatę jeszcze spalą! Niech palą! Prędzéj czy późniéj zatrata na nich przyjdzie! O Boże mileńki! Oto ja doczekała, oto dożyła! Na biedę ich, na żałość patrzę! Chwała tobie, Panno Najświętsza, że Ty mnie takiego dnia dożyć pozwoliła!

Klasnęła w dłonie, śmiała się, za boki trzymając. Złość ją dławiła, zawód i niepokój rozdrażniły ostatecznie. Gdy zostawała w chacie z rana, pewna była, że już wieczorem nie znajdą! Przez cały dzień szarpała ją nadzieja i rozczarowanie. Stokrotnie chwytając szmaty różne, pewną była, że skarb chwyta... tyleż razy skarb ten pierzchał przed nią, znikał jak we śnie. Dręczyła się, o mało nie oszalała. Odżyła teraz dopiero, na ich miny patrząc. Szukają głupcy tam, gdzie

już ona zębami, pazurami darła. Śmiech ją porywał gwałtowny, niepokonany.

— Zobacz, może nie wierzysz? dalibóg, toż oni już dziesiąty raz do świerna idą!

Ciągnęła Piotra za rękę ku drzwiom, potém ku chacie wskazywała. Od chaty do świerna przez podwórko szedł Maksym obok Franka, za nimi Maksymowa z zapaloném łuczywem, malcy biegli jeden za drugim...

— Niech ziemię zryją, niech chatę rozwalą... eh, i tak nic nie znajdą! Stary łgał, czortu oddał, żydom pożyczył, albo zjadł może z chciwości wielkiéj! A te woły teraz pofiksują! Chwała Tobie, Boże mileńki! A za cóż Ty mnie grzesznéj takie szczęście, taki dzień dobry w życiu dał?!

Ustać na miejscu nie mogła, na próg, to do odryny wskakiwała, wciąż osowiałego Piotra za rękaw ciągała.

— Słuchaj... żeby ty dobry był... Pietrusiek!—ryknęła mu nad uchem, pochyliła się, spojrzała w twarz siwemi oczami.—Słuchaj, no, co? ty ogłuchł, czy do reszty zdurniał?

Stał w progu z opuszczonemi rękami, patrzył w podwórko zmrokiem okryte.

— Śpieszył... się... a!... śpieszył się! — powtarzał w duchu.

Czekał, kiedy wyjdą; słuchał, może głos ich posłyszy... gadać z sobą będą... o tych pieniądzach. Cicho — wciąż jeszcze szukają... przez otwarte drzwi z świerna na podwórko pada blada smuga światła, znika chwilami i znowu ściele po kamieniach, aż pod chatę sięga! A Ewka wciąż go za ramię trzęsie:

— Słuchaj, Pietrusiek, nie pożałujesz, dalibóg, n o słuchaj!... żeby ty dobry był, pomógłby mnie. Na górze skrzynia moja, dobro wszelkie!... Wiek ja na niego pracowała, wiek harowała!... Pomóż ty mnie Pietrusiek... zniesiem choć dziś w nockę ciemną... Pietrusiek... czy ty słyszysz?

Odtrącił ją łokciem, odwrócił się i poszedł w głąb odrynki. W téj chwili cała gromada ze spuszczonemi głowami przeszła ze świerna do chaty.

Ewka zasypała go przekleństwem. Bojąc się, żeby nie wybił, wyskoczyła z odrynki; gotowa do ucieczki, stała za progiem, i jak mogła, jak umiała, wylewała jad swój na niego. Gdy na razie słów zabrakło, powtarzała, że jest przybłęda... parobek... wiek służył... sto skór zdarł z nóg, z rąk, dla nich pracując... a teraz precz pójdzie, z chaty go wypędzą... bosego, obdartego, na poniewierkę wypędzą!... I dobrze mu tak! oh, jak dobrze! Żeby go po drodze piorun spalił, choroba ciężka schwyciła!

On zrzucał powoli siano z wozu na ziemię. Nie słyszał, co tam wykrzykiwała za progiem. Kręcił głową, dziwił się własnéj doli, że tak składała się jakoś... Stary umarł, ot, tak... zostawił... a gadał... a gadał... Żeby choć pieniądze znaleźli... może... kto ich tam wie... Maksym zdaje się dobry... ale ten drugi... to szelma... z głodną gębą wrócił!

Pokręcił głową i robił swoje daléj. Pot spływał z czoła, siano kłuło za kołnierzem, w rękach, za pazuchą.

— Szelma... ten drugi!—powtórzył po namyśle... Na służbę pójdę... wiek służył i daléj służyć będę.

Naraz przyszło mu na myśl, jak téż oni dadzą tu rady bez niego? On orał, bronował, siał, każdy zagon

własnemi rękami obrabiał... Z nimi różnie było: jeden na świecie gdzieś przepadał w żołnierce... drugi pił trochę... czasem dzień cały, a czasem dwa i trzy, chodził jak nieswój, osłabły, osowiały... On za wszystkich pracował. Raz tylko, rąbiąc drzewo, nogę skaleczył, przez pół dnia leżał w sadku pod chatą. Po południu wstał, powlókł się w pole i jakoś ozdrowiał. Jak oni tu bez niego poradzą? On ziemię zna... eh, jak zna! Rok każdy pamięta, gdzie jaki kłos był... No, i ziemia do niego przywykła!... Siać zawsze jego wyprawiali, lekką rękę ma, jak stary niegdyś... akurat tak samo sieje. Maksymowi ręka drżała, Franek nigdy jeszcze żadnego ziarnka w ziemię nie rzucił... On zawsze siał— na wiosnę i w jesieni! Ot i teraz zagony czekają pod żyto... równiutkie... zaorane jak jeden... Siać trzeba... za dzień, za drugi!... Ziarno w tym roku jak złoto! On sam pierwsze snopy wymłócił... Jak oni tu poradzą bez niego?—Im dłużéj myślał, tém wolniéj pracował; zaciskał powieki; od kurzu, czy może... od rosy wieczornéj szkliło mu się w oczach.

— Może choć po siejbie... pójdę!—szepnął, skrzywił się, oczy rękawem zasłonił.

Ewka do chaty wróciła, na miejscu jéj w progu stał kruczek, ogonem machał, wpatrzony w ciemną odrynkę. Piotr skończył robotę, wyszedł, drzwi przymknął. Z chaty dolatywał donośny głos Franka, zagłuszały go świerszcze, brzęczące w trawie, przy płotach. Księżyc wypłynął zwolna, od rzeki powiało ciepłem wilgotném; w wiosce ludzie porozchodzili się po chatach; ciszę nocy przerywało skrzypnięcie wrót, zamykanych tu i owdzie, głuchy odgłos kroków w ulicy.

Maksymowa wyszła przed chatę z miską mleka w rękach, z kromką chleba w fartuchu.

— Zjedz tu, do chaty nie idź—rzekła do Piotra,— ten człowiek przeklęty rozum stracił... gada, że chatę rozwalać będzie! słyszane to rzeczy! ot do czego przyszło!

Piotr siadł na przyzbie na tém samém miejscu, gdzie wczoraj stary zasnął, miskę obok siebie postawił, jadł i słuchał. Maksymowa stała przed nim; oboje nadsłuchiwali, jak Franek wykrzykiwał w izbie. Ochrypł, pięścią w stół uderzał, stokrotnie powtarzając, że swego nie daruje! Za każdém stuknięciem łatane szybki drgały w okienkach, żuczek warczał przed drzwiami, Maksymowa kiwała głową.

— Ot do czego doszło!—szepnęła...—Nieboszczykowi wygraża! Pójdę, powiada, z mogiły wywlokę, niech gada szelma! za życia nie chciał, niech po śmierci gada! Oh, Boże mileńki... Matko Przenajświętsza! jak tu chata chatą, nikt wniéj tak nie bluźnił, nikt pomsty bożéj nie wzywał! O Jezu mileńki!

— On tylko tak gada! Zlęknie się, z nieboszczykiem wojować nie będzie!—rzekł Piotr.

— Oj, nie zlęknie się! Zgubił już duszę, po świecie chodząc! W Boga nie wierzy, co słowo czarta wspomina! Pójdę, powiada, ot zaraz, może jeszcze nie ostygł, może w nim duch przytrzymam... niech gada! Nie powie, to choć język jego psom oddam! Syn rodzony, o ojcu, o nieboszczyku! a! skończenie świata! Sodoma, Gomora! Niepokalane Poczęcie!...

— Żołnierz, odwagę ma! co dla niego jeden nieboszczyk, kiedy on sam stu zabił.

— Ojciec rodzony!

— Hm, co tam dla sołdata zwykły ojciec; żeby to choć sołdat był przynajmniéj... możeby jeden drugiego lękał się... wiadomo, jak swój na swego natrafi! A tu cóż... nasz stary chłop był tylko...

Maksymowa milczała; odurzona bluźnierstwem, myśli zebrać nie mogła. Bała się kary bożéj... przed nocą szczególnie... Zdawało jéj się, że stara chata tych słów nie wytrzyma. Chciała już męża i chłopców z izby wywołać; w razie nieszczęścia, niech oni tam giną we dwoje... sołdat i wiedźma!

— Nie idź tam! Mówił, że ciebie zabije, że ty na jego chlebie wyrósł!—szepnęła do Piotra, widząc, że jeść skończył, wstał i usta rękawem ociera.

— Czego ja tam pójdę! — mruknął; obejrzał się na wioskę głuchą, na ściernisko, światłem księżyca oblane. — Czego ja pójdę... już ja tu nie swój... — dodał ciszéj.

Maksymowa milczała; przygarniać biedaka nie było do czego... sami na kilku zagonach zostaną, właśni chłopcy rosną... chciała mu chociaż dobre słowo powiedziéć.

— Na służbę pójdę... na Niemen! do barki parobka trzeba...

— Choć ty kawałek słoniny weź!—rzekła ze łzami w oczach.

— Jutro pójdę!... chciał jeszcze.... żyto posiać... eh, nie sądzono widać! posieją i beze mnie.

— Posieją! — powtórzyła Maksymowa.

Zamilkli oboje; jemu jakoś trudno było odejść, drapał się za uchem, z nogi na nogę przestępował.

— Przyjdziesz jutro, ty sieroto nieboże; nim w świat pójdziesz, z chatą pożegnaj się! Matka tu cie-

bie rodziła... ztąd ty swoją doleńkę ciężką wyniósł!— mówiła Maksymowa, fartuchem łzy ocierając.

Piotr patrzył w ziemię i milczał; gorąco mu było, żal dławił, ale ani na słowa, ani na łzy zdobyć się nie mógł.

— Przyjdę! — szepnął; przeszedł koło niéj ze spuszczoną głową, powlókł się pod stóg słomy, gdzie żuczek czekał już na niego, uderzając zlekka ogonem po ziemi.

Nazajutrz z rana poszedł do Szmula. Barka stała jeszcze przy drugim brzegu; ładna łódka biała z niebieskiém bujała się zlekka na ciemno-szafirowych wodach rzeki; ludzi tylko nie widać. Piotr postał na brzegu, popatrzył na barkę, na łódź, na las ciemny, sosnowy... Słońce oblewało pnie żółtawe, zdaleka drzewa policzyć można było... zdaleka dolatywała woń świeża, z zapachem wody zmięszana...

Szmul spał jeszcze; okiennice, powyrzynane w serduszka, przymknięte były po prawéj stronie ganku. W sieni, przy drzwiach zamkniętych do izby, stała koza; z dziesięć kur spacerowało ostrożnie, jakby przez szacunek dla śpiącego gospodarza. Piotr usiadł w ganku na ławce i czekał.

— Widać żyd jeszcze parobka nie ma! dla mnie sądzono!... Ot, ani ja myślał, ani ja spodziewał się, że na wodę pójdę!

Przyglądał się rzece uważniéj... łowił uchem szmer cichy... Dziś wydała mu się inna jakaś... szersza... ciemniejsza.—Głęboka... bestya! oj, głęboka!— pomyślał, śledząc wzrokiem drobne fale.

Miał na sobie kurtkę siermiężną, czarną taśmą obszytą, nowe płócienne spodnie i nową koszulę; na ławce położył trochę bielizny, w czerwonéj chustce

związanéj, kij sękaty w kącie postawił; wybrał się już z całém bogactwem; za pazuchą miał papier z kancelaryi, z którym mógł sobie iść, gdzie oczy poniosą. Papier ten dodawał mu pewności, podnosił go we własném mniemaniu do godności obywatela świata; jest przecież „kimś,” kiedy o nim ludzie wiedzą, piszą o nim na papierze... Pies, koń, wół bez żadnego świadectwa na świecie żyją... On zaś ma swoje „dokumenta.”

Spoglądając na rzekę, zasuwał rękę za koszulę, macał papier dwoma palcami... W oczekiwaniu Szmula nie myślał o niczém. Ot, tak, jakby teraz dopiero na świat przyszedł, pierwszy dzień na świecie żył i do pierwszéj roboty przystąpić zamierzał. Czekał, nim żyd wstanie, gadać zacznie, wówczas dość będzie czasu na myślenie, teraz patrzył sobie na wodę, na brzegi lesiste, to na wzgórza poszarpane piaszczystemi wąwozami. Słonko grzało go w kark; poruszył plecami, mrużył oczy... Het tam: na zawrocie rzeki, pod lasem, kilka równo zaoranych zagonów szarzeje wśród zielonéj doliny... ścisnęło za serce... uczuł ciepło w piersiach... przez chwilę oddychał jakoś powolniéj... i znowu jakby nic... czekał na Szmula.

Przez okno z szynkownéj izby wyjrzał jeden chłop w brązowéj siermiędze, potém drugi z nad jego pleców głowę wysunął; mruknęli coś do siebie, poruszyli się, zagadali w izbie; ktoś blaszaną kwartę na ziemię rzucił, ktoś ziewnął przeciągle, wyprostowywał kości i stawy, aż za oknem na dworze słychać było... Drzwi skrzypnęły; pierwsza z sieni do izby wpadła koza, za nią kury cisnęły się pod nogi wychodzących chłopów. Dwóch wyszło, potém jeszcze trzech, wszyscy bosi, w siermięgach zarzuconych na ramiona, jednę

rękę za koszulą na piersiach trzymali, drugą drapali się za uchem; przechodząc koło Piotra, zmierzyli go od stóp do głowy zaspanym wzrokiem. Powlekli się jeden za drugim nad brzeg, zeszli rowem ku rzece. Ochrypłe, jakby podziemne „ho...o...o!” rozległo się na brzegu, odezwało się w lesie, w zaroślach, skonało w którymś wąwozie. Na rzece plusnęło wiosło.

Piotr słyszał, ale nie obejrzał się nawet; co jemu tam... niech krzyczą, niech płyną, jak na niego koléj przyjdzie, to i on krzyknie i on popłynie.

W izbie ucichło; słychać było tylko stukające stąpanie kozy i grzebanie kur w kącie przy kominie. Wtém ziewnął ktoś jeszcze, jęknął raczéj bolesnym, przeciągłym jękiem i umilkł. Piotr wyprostował się, jak ze snu zbudzony, mrugnął oczami, zdawało mu się, że jęk ten kona jeszcze w powietrzu. Spłoszone kury wyskakiwały z izby do sieni, na ganek, trzepocząc skrzydłami, przebiegały koło nóg Piotra na dwór; koza stanęła w progu, oglądała się zdziwiona do izby. Piotr słuchał, czy tam kto jeszcze raz nie jęknie... poszedłby zobaczyć, a możeby i nie poszedł... słuchał jednak. W izbie chodził ktoś, suwając bosemi nogami po podłodze; koza wybiegła do sieni, za nią wyszedł chory parobek w płóciennéj odzieży, w granatowéj kamizelce z błyszczącemi guzikami; głowę wsunął w ramiona, ruda czupryna spadała na czoło, usta miał spieczone, oczy czerwone; idąc przez sień, spoglądał w podwórko słońcem zalane, na Piotra nie spojrzał. Stanął na ganku, ręce opuścił; Piotr poznał w nim wczorajszego chorego; dziś już zdrowiéj wyglądał, gryzł dolną wargę. Patrzał na barkę z pod brwi nasępionych.

— Nie wiecie, parobek już jest? — spytał Piotr, głową w stronę rzeki wskazując.

— Chory spojrzał na tobołek w czerwonéj chustce, na kij, na czystą odzież Piotra.

— Czort go tam wie! — mruknął — musi niéma, kiedy dotąd stoi.

Przysiadł na drugiéj ławce.

— On... ladaco?

— Hm, jak żyd!

— Nie kręcił?

— Skręciliby go na proch, żeby zaczął kręcić! boi się szelma!

— To dobrze.

Zamilkli; chory przypatrywał się Piotrowi uważnie; mierzył wzrokiem tobołek, wielkie ręce, bose nogi. Chłop był zdrów, rumiany, wzbudzał w nim zazdrość widoczną.

— Zdechniecie tam bez pory—rzekł w końcu;— czego léźć, lepiéj już tak gdzie przy roli... do tego nawyknienia trzeba, nie każdy może!—wskazał głową na barkę.

— Kto teraz w jesieni weźmie?... na wiosnę... inna rzecz; do wiosny może nie zdechnę!

— A teraz ze dworu? czy tak od gospodarza?

Piotr milczał. Żal skrzepły w sercu rozegrzał się jakoś; poczerwieniał; uszy, czoło, skronie krwią nabiegły; brwi podniósł, patrzył w ziemię i słowa przemówić nie mógł.

— Z chaty może?—spytał chory po długiém milczeniu.

Piotr skinął głową. Łzy stanęły w oczach.

— Z cha... ty—powtórzył.

Chory głowę odwrócił, patrzył w las za rzekę; nasrożył się, zgrzytnął zębami jak wilk.

— Czegóż? z chaty? bieda? czy podzielili się?

Piotr sam nie wiedział, co mówić; granatowa kamizelka z błyszczącemi guzikami, porcelanowa fajka, wyglądająca z kieszeni, onieśmielały go trochę. Chory przytém miał minę bywalca: spluwał przez zęby, nogę na nogę zarzucił i ręce trzymał w kieszeniach; traktował go trochę z góry, pytał o wszystko, podczas gdy on nie śmiał go nawet zapytać, czy tam na barce karmią, czy wódki dają czasami i ile płacą? Nie śmiał, bał się, żeby go nie wziął za głupca, który nawet o takich rzeczach nie słyszał. Milczał tedy z początku, namyślał się, coś go za język ciągnęło — potrzebował wygadać i biedę swoją i krzywdę... potrzebował dowiedzićć się od kogoś, czy z chudoby ojcowskiéj nigdy już nic nie dostanie? Wiedział, że nie potrafi wygadać wszystkiego tak, jak ma w myślach, ale spróbował. Od ziemi, od dobytku zaczął—ile czego mają, jaka pasza u nich, jakie urodzaje w suche, jakie w mokre lata. Napomknął, że szelma Jakób, sąsiad, akuratnie snopy z ich pola kradnie, ale to znany złodziéj, nawet już w kozie siedział. Potém zaciął się, zapomniał, o czém mówił, nie pamiętał nawet, czy już wszystek dobytek wyliczył. Więc znowu od początku zaczął. Szło coraz gładziéj. W chwili, gdy służąca Szmula, nizka, rumiana żydówka, z pierzem w czarnych, kędzierzawych włosach, otwierała okiennice,—chory wiedział już nazwę koni, krów, ilość owiec, znał imiona braci, ojca, bratowéj i słuchał o Ewce; słuchał osłupiały, oczu z Piotra nie spuszczał.

— To ta wiedźma u was?—spytał nagle. — Ona, taka czarniawa, na cienkich nogach, sucha, z czarnemi włosami?

Piotr kiwnął głową.

— W dostatku żyła, powiadasz? w wygodzie wszelakiéj?

Piotr powtórzył, jak umiał, całe rozkoszne życie Ewki do powrotu męża.

Chory słuchał, uśmiechał się, z pod rudych wąsów połyskiwały ostre, rzadkie zęby; twarz rozszerzyła się w uśmiechu, wytrzeszczył zaczerwienione oczy, kręcił głową żartobliwie niby.

— Ot jak!—powtarzał spokojnie, prawie wesoło; tylko gdy Piotr zaciął się znowu, zamilkł, on śpiesznie obie ręce w kudły zasunął, ścisnął głowę, a gdy ręce na kolana opuścił, miał pełne garście rudych włosów.

— Panowała ona!—syknął—pa...no...wa...ła!

Piotr rozgadał się o braciach, o Franku, o krzywdzie swojéj.

— Złodzieje, hycle! — powtarzał chory.—A ty głupi! Nikt tobie szczypty soli nie da dobrowolnie... nikt... rozumiesz?... — Wyciągnął szyję, patrzył mu w twarz zaczerwienionemi oczami.—Nikt nie da!—powtórzył z przyciskiem.—Nie okradał ty ich, nie grabił, to i wyszedł bosy z gospodarskiéj chaty.

Splunął, w gardle wyschło, ostatnie słowa wymówił stłumionym, piskliwym głosem.

— Bieda rozumu nauczy! zobaczysz, ale po czasie! Pierwéj pot krwawy zmarnujesz, siły zmarnujesz, a potém zobaczysz, że głupio na świecie żył, ot tak!

Słów brakło; patrzył w szeroko otwarte oczy Piotra i widział, że ten chłop ociężały węchem raczéj niż myślą słowa jego zgaduje.

— To może mnie lepiéj do chaty wrócić i o swoje dopominać się?—spytał Piotr odurzony a trochę nieśmiały.

— U kogo? o co? o ziemię może? A ty dałby choć szczyptę rodzonemu ojcu, żebyś miał?

— Ono to prawda, że nie dałby. Ale co mnie teraz robić?

— A nic! pójdziesz w służbę! praca wyżyłuje ciebie i zmarniejesz! Panem nie będziesz! złodziejstwa może nauczysz się jeszcze, kiedy dotąd nie umiesz, ot i wszystko. Z chudobą pożegnaj się! żeby wskróś ziemi poszła, tylebyś miał, co i teraz mieć będziesz! ot jak! Trzeba było ojcowskich pieniędzy lepiéj pilnować. Od złodziei odbierają czasami, a żebrak nigdy nic nie ma! To ta wiedźma, powiadasz, i dotąd u was żyje?—spytał innym głosem. — Ewka... czarniawa... chuda... z Niemenczyna ją wziął?...

Piotr kiwnął głową.

— Kiedy? dawno?

Piotr pomyślał trochę... akurat tego roku ryża pierwszy raz ocieliła się...

— Hm, może ze cztery lata będzie!

— To wtedy, jak ja w swiat poszedł!... Zaraz potém, jak ja w świat poszedł! Wiedźma! łasiła się... udawała... a ja jéj wierzył!... wierzył, jak samemu sobie! a!... Hm, przepadła! tyle biedy! A mnie co po niéj!—wzruszył ramionami, pomilczał chwilę.

— Ale czy wiesz, że to taż sama? z Niemenczyna? a? Bo może inna jaka?..

— Taż sama, toż ja po nią jeździł. Zkąd tam druga! Dość takiéj jednéj na świecie!

Zaczął opowiadać od początku, ale Andrzej już nie słuchał. Zerwał się z ławy, poszedł na brzeg, wpatrzył się w wodę, obrócony plecami do karczmy. Szmul wyszedł na ganek, za nim wysunął się drugi żyd. Zaczęli gadać z Piotrem, umawiać się, targować. Andrzej wciąż stał nad brzegiem. Kiedy w końcu Piotr, zabrawszy manatki, poszedł za kupcem, a Szmul z rękami w kieszeniach przeprowadzał ich wolnym krokiem aż do łódki, Andrzej krzyknął w ślad za nim.

— Hej ty, szynkarz! co tam paradujesz! wódki! psia wiaro, słyszysz? wódki dawaj!

Szmul stanął, obejrzał się z powagą: łydki zadrżały bardziéj z nałogu, niż ze strachu.

Łódka odpływała szybko. Piotr, na brzeg patrząc, wciąż widział żyda w haftowanych pantoflach, w spodniach i w rozpiętéj kamizelce, z pod któréj wisiały z tyłu białe tasiemki, wyglądała brudna koszula— i Andrzeja widział: pochylony naprzód, pięścią wygrażał, wykrzykiwał; powlókł się w końcu na ganek— łódka przybiła do brzegu.

Kupiec napędzał; biegał, sznury podawał; parciane pasy pomagał zakładać na piersi. Słonko było wysoko—woda spadała — półtora dnia zmarnowali na miejscu; ludzie wypoczęli za to! Kupiec raz jeszcze na brzeg ku karczmie spojrzał; tam został najsilniejszy... za dwóch ciągnął... ale bluźnił za dziesięciu... ludzi buntował; raz nawet... zagroził, że go utopi... Nu, to był żart, ale od takich żartów... siwieją włosy! Ten nowy za to odrazu pokazał, co może!... Kupiec odstąpił, z rękami założonemi za plecy stał o kilka kroków od

brzegu i uśmiechem znawcy patrzył na pierwszą próbę Piotra; ośmiu ludzi drągami spychało z mielizny barkę, pochyleni naprzód, parli całemi siłami drągi—przez długą chwilę wyglądali jak osiem skamieniałych postaci, bez ruchu, bez oddechu, bez śladu życia... twarze tylko pochylone ku ziemi krwią nabiegły, przymknęli oczy, spotniałe włosy spadały na czoła, na skronie. Chwila jeszcze takiego natężenia, a żyły nabrzmiałe zerwałyby się, piersi pękłyby od tłumionego oddechu. Barka zachwiała się, jednocześnie z ośmiu piersi wyrwał ryk przeciągły. Odetchnęli! Nie odejmując drągów, nie odprostowawszy grzbietów, znowu naprężyli siły. Kupiec tylko na nowego patrzył; tych wszystkich widział już ze sto razy przy podobnéj robocie, wiedział, co który wart, w chóralnym ryku umiał już nawet rozpoznawać głosy... Piotr zczerwieniał jak rak; ale ani kropli potu nie było widać na czole, nabrzmiałemi żyłami pokrytém. Nie ryknął nawet; zębami dolną wargę przycisnął i podczas gdy inni odetchnęli, on parł daléj barkę od brzegu. Kupiec skinął głową nieznacznie. Widział już, co ma, a gdy po odepchnięciu barki zaczęli pasy na piersiach poprawiać, stawali po dwóch, po trzech koło siebie i nowe siły zbierali do pierwszych kroków, zanim barkę na głębię wyciągną,—on sam Piotra przy najsłabszym postawił, przy małym staruszku, chudym, łysym jak dziadek kościany; staruszek do pociągu nie zdał się już prawie, ale drogę znał, rzekę ze sto razy w górę, w dół przepłynął, upijał się przytém z łatwością; po jednym kieliszku nos mu się rumienił, czerwone plamy występowały na policzki, szklane oczy błyszczały jak u kota; śmiał się, podrygiwał, brał harmonikę i, przygrywając, śpie-

wał piskliwym głosem: „Jak ja była młoda" i t. d., albo: „Oj, licho nie Pietruś," wykrzywiał się, podskakiwał, a zmęczeni, wycieńczeni ostatecznie chłopi orzeźwiali się nieco, śmieli się nawet czasami. W dzikiéj okolicy szczególnie, wśród gór lesistych, wśród wąwozów, na brzegu ostremi kamykami usianym, gdzie co krok nowy ślad krwi zostawał na piasku, muzyka ta wyglądała bardzo ładnie. Staruszek podhumorzony grywał nawet ciągnąc barkę. Śpiewać tylko nie mógł wówczas — głos rwał się, zamiast melodyi z piersi wychodziło żałośne miauczenie. Inni po sześciu, po ośmiu kieliszkach dopiero nabierali otuchy, pozbywali się mrukliwéj ponurości, śpiewali, wykrzykiwali razem wrzaskliwe tony, w których dzika wesołość łączyła się z jękiem żałośnym, jakby z samego dna serca wydartym; jemu dość było jednego kieliszka! Jeżeli nie grał, nie śpiewał, to gadał, żartował, zachęcał; wśród jęków przeciągłych, wśród skrzypu powrozów, drżący głos staruszka mile głaskał ucho. Dla tych zasług kupiec przebaczał mu brak sił, słabe nogi i kaszel częsty, przypominający kaszel owcy. Przed bardzo ciężką przeprawą wołał go do barki i dawał jeden kieliszek; stary wiedział najlepiéj, kiedy to nastąpi, oglądał się na żyda i mrugał. Nie oszukał nigdy! Nie było potrzeby—nieraz kilka razy na dzień zdarzała się „krwawa droga." Przy śpiewie, przy muzyce, lub chociaż przy żartach, barka płynęła raźniéj, parobcy jęczeli, ale mniéj ich było słychać.

Przy nim to postawił Piotra i był zupełnie zadowolony: gdzie stary osłabnie, młody podciągnie... marzył nawet, że przy młodym może i stary sił trochę odzyska! Gdzie tam! zaledwo kilkadziesiąt kroków

uszli, Piotr nie zdążył jeszcze jęknąć ani razu, staruszek już potem się oblał, drżał cały i coraz to na swego olbrzymiego sąsiada spoglądał. Piotr szedł wielkiemi krokami, w ziemię wpatrzony — pas wjadł mu się w piersi, szorował pod pachami, krew do oczu napędzał! Patrząc w ziemię, widział przed sobą cztery bose stopy; z boku, na wzgórzu, sześć takich samych stóp widział; przed nim i za nim krzyżowały się liny, dotykały kolan, ramienia, jedna się o jego szyję otarła; pomimo to wciąż mu się zdawało, że on tylko jeden barkę ciągnie, że ci wszyscy schyleni, zgarbieni, z wyciągniętemi szyjami, idą sobie tylko, cały zaś ciężar, cała olbrzymia szara masa, posuwająca się nieznacznie na wodzie, o jego piersi się opiera! Na szczęście też, wciąż mu się zdawało, że to tylko pierwsze kroki tak trudne, że, ot, zaraz za tą górką, za temi piaskami, w końcu za wąwozem, za kamieniami lżéj będzie. Odetchnie sobie... barka na głębsze wypłynie koryto... wówczas i on pójdzie jak wszyscy... teraz za wszystkich ciągnąć musi. Pagórki, piaski, kamienie mijały, gdzieniegdzie trafiała się łączka z wilgotnym gruntem... brzeg błotnisty, albo zbity, jak stół równy; okrwawione nogi ochładzały się nieco—ale pas na piersiach cisnąć nie przestawał. Stary zerkał na niego, on téż parę razy na tego chudeusza spojrzał. Inni, idąc obok siebie, rozmawiali urywkami, półsłówkami.

Staruszek tylko się uśmiechał, mrużył oczy, twarz krzywił dziwnie, jak gdyby z niego wszystkie żyły wyciągano jednę po drugiéj. Wziął Piotra za rękę, ścisnął mocno, odtąd szli już tak ze splecionemi rękami. Piotrowi było jakby lżéj trochę; widział, jak stary stąpa z trudnością, naprzód się podaje, ciągnie z całéj siły,

nieraz aż ku ziemi się schylał; czuł, jak mu palce drgają z natężenia, jak on cały drga od czasu do czasu, niby konający kociak—przekonał się, że nie sam jeden ciężar ciągnie, i lżéj mu się zrobiło, oswajał się powoli.

Odpoczęli pod górą, potém w lesie przysiedli trochę; kto z kim szedł bliżéj, z tym i usiadł; Piotr starego się trzymał, raczéj stary przyplątał się do niego odrazu. Nie gadali z sobą, ale znali się już dobrze. Piotr, czując, że stary chwieje się, potyka, przytrzymywał go za rękę, ciągnął za sobą.

— He, he, już ja nie do tańca!—stękał staruszek, krzywiąc się żartobliwie...—Nie... do... tań... ca!—Szedł daléj prawie na czworakach, rękami za większe kamienie chwytał, a jak głowę podjął, oczy miał czerwone, twarz potem oblaną; ocierał czoło rękawem, po chwili nowe krople występowały jak rosa.

— Jeszcze dwie góry korzeniaste, drapieżne bestye; co stąpisz, to sęk, albo korzeń, albo cierń ostry, do szpiku włazi; brzeg będzie jak szkłem osypany, nie jeden czort tam kopyta pozdzierał; a potém już tylko piaski ciężkie, dusza z piersi rwie się, oczy na wierzch lezą, ale za piaskami, godzinka, droga i nocleg, jeżeli po drodze na mieliznę nie trafim!—mówił do Piotra na odpoczynku.

Jedli z jednéj miski, poczęstował go tabaką, zapytał, jak się nazywa, o sobie zaś powiedział, że w wiosce kiedyś nazywano go Janem, ale oddawna już, żeby od innych odróżnić, „Chackielem" na niego wołają.

— Żydowskie to imię, nie ludzkie, ale cóż robić! Chackiel i Chackiel! widać już im tak do duszy przypadło. Zresztą na wodzie człek żyje jak pies, ani Boga, ni ludzi! żeby nie szczypta słoniny, co tam czasem

w krupniku pływa, sam siebie nie odróżniłby od żyda. Niech sobie będzie Chackiel!

Żartując, patrzał z pod oka na Piotra, znowu tabakierę podsunął, ale do gawędy skłonić nie mógł. Chackiel drogę znał wybornie. Po dwóch górach był brzeg dyabelski, za tém piaski, o zmroku weszli niby w wąwóz głęboki; po obu stronach piętrzyły się wzgórza lesiste, jodłą, sosną, gęstemi krzakami jałowcu porosłe; ściemniało tu nagle, rzeka była węższa, głęboka, płynęła spokojnie, miejscami powierzchnia połyskiwała jak lustro. Ludziska wspinali się po urwiskach, chwytali za krzaki, za kamienie, na kolanach pełzli... głuchy jęk obijał się o wzgórza, słał się przeciągłém echem po lesie. Ludzi w płóciennèm ubraniu prawie nie widać było na tle góry piaszczystéj... jęk wydobywał się jakby z ziemi... zdawał się unosić w powietrzu, w białawéj mgle, majaczącéj nad wodą. Chackiel, schylony we dwoje, wlókł się przy nogach Piotra; powolutku... nieznacznie zdjął pas parciany z piersi, ścisnął w ręku, i wciąż schylony, stękając, spojrzał na Piotra z pod oka. Wdrapywali się po korzeniach, po sękach, miejscami piasek z pod nóg się usuwał... Piotr czuł żar w nogach, chwytał za wystające kanty urwiska, zeschły piasek kruszył się w dłoni, ręka opadała — i znowu zdało mu się, że sam jeden ciągnie. Spojrzał na Chackiela w chwili, gdy ten skrzywiony błagalnie w oczy mu patrzał... pasa nie miał na piersiach—ale wyglądał taki skurczony, mały, chudy, że Piotr tylko głową skinął i patrzył daléj pod nogi.

Ściemniało ostatecznie; zeszli w dolinę. Rzeka wiła się wśród łąki, wśród pól zoranych. Stanęli przy pierwszym zakręcie pod lasem. Nikt nawet o jadle nie

pomyślał; kto gdzie stał, padł na ziemię, brzuchem, piersiami do zroszonéj trawy się przycisnął. Chackiel czerpał wodę drewnianą konewką, podawał każdemu z kolei—należało to do jego urzędu muzyka, śpiewaka i humorysty. Pili chciwie, odpoczywali chwilkę i znowu pili, aż nim żar w piersiach ostygł stopniowo — wówczas wydobywali fajki z kieszeni, ale żaden z miejsca się nie ruszał; leżeli wyciągnięci na brzuchach, z podniesionemi nieco głowami. Chackiel im siermięgi, kożuchy z barki przyniósł, usługiwał każdemu, z każdym miał swoje rachunki. Dopiero gdy ostatnia fajka zgasła, przysiadł na brzegu koło Piotra, kolana rękami objął, skurczony, w kożuszku na ramionach, patrzył sobie na brzeg przeciwny, odpoczywał. Za nimi o parę kroków głuchy las ciągnął się jak wał czarny, zakręcał się w półkole, opasawszy rzekę, w żółtawe brzegi ujętą. W powietrzu drgał szmer wiatru, głuchy szelest nieruchomego lasu, rozlegał się ciężki oddech kilku znużonych piersi; chwilami wiatr, szmer, plusk wody rozpływały się gdzieś między niebem a ziemią. W nocnéj ciszy słychać było tylko urywany, ciężki oddech; słabszy zrazu, stopniowo przechodził w jęk stłumiony, urywał się, cichł, jakby w ziemię wsiąkał, — wracał znowu równiejszy, swobodniejszy, zaczerpnięty z téj głuszy dzikiéj, w któréj drgało tyle sił zaklętych, wsłuchanych pilnie w niemą skargę uśpionych biedaków.

Piotr spać nie chciał; trzymał w wodzie pokaleczone nogi i wpatrywał się w piaszczyste wzgórze na drugim brzegu. Dzień cały płynęli, brzegiem wlekli się wiorst kilka—a ztąd w prostéj linii i pół wiorsty do wioski nie było. On sam orał nieraz naprzeciwko tego lasu—każdy krzak, każde wzgórze znał jak własne za-

gony. Wzruszył ramionami, dziwiąc się, że to tak inaczéj lądem, a inaczéj wodą krążyć trzeba. Patrzył, uśmiechał się nieznacznie... żeby miał łódkę, skoczyłby i trafiłby jeszcze do chaty na wieczerzę... Bliziutko... klin żyta... miedza—z pół morga pola... droga... zarośla i wioska... ich chata, pierwsza z brzegu.

— Sen mię bierze!—szepnął Chackiel.—Na pierzynie możeby zasnął, na ziemi... szkoda kości.

— Na pierzynie! — mruknął Piotr—to waszeć chyba naprawdę z żydów?

— Ej, nie! z wioski... tylko z dalekiéj! Bóg tam wie, czy ona jest jeszcze na świecie! Może zgorzała, a może ludzie wymarli... żywego człowieka z tamtych stron nigdy nie spotkał. A może ją teraz inaczéj nazywają? Kogo nie spytam o Cieciorkę, nikt o niéj nigdy nie słyszał. Jeden Sokoły znał, drugi Wierchiewicze, byli nawet tacy durnie, co kiedyś w Gawronkach mieszkali, tylko Cieciorki nikt nie widział. Teraz już nie pytam, bo pewno inaczéj nazwali. Trafiłby może... tylko nie wiem, kędy droga! Teraz wszystko maszyną jeżdżą... a ja ztamtąd piechotą wyszedł, to i trafić trudno! Gdzieś koło Swisłoczy... a tu gadali kiedyś, że i Swisłocz zgorzała! Ha, żyć bywa źle i dobrze, umierać zawsze kiepsko... a mnie chyba już do śmierci idzie... po śmierci dusza sama trafi, gdzie jéj przeznaczono. Ot i tam za pagórkami coś gore!—dodał ochrypłym głosem, głową na brzeg przeciwny wskazał—może wioska, a może tylko noclężniki?

Piotr dawno już spostrzegł na niebie biały obłok dymu, potém żółtawą smugę, niby łunę, niby odblask wschodzącego księżyca... Patrzał... wzrok natężał,

podniósł się z ziemi, z wyciągniętą szyją jeszcze lepiéj wpatrywać się zaczął.

Łuna rozlała się na horyzoncie... czerwonawe odbłyski sięgały coraz wyżéj.

— Gore, akuratnie gore!—mruknął Chackiel.

Piotr drgnął; rzucił okiem na barkę wśród rzeki, na łódkę, kołyszącą się u jednego jéj końca, potém na las spojrzał; w dwóch susach, jak dzik zraniony, rzucił się ku drzewu; zanim Chackiel zdołał spojrzéć przez ramię, on był już w połowie wysokiéj sosny, wdrapywał się na wierzchołek, chwytając za sęki... a łuna, rozlana po niebie, zaczęła już cieniem wierzchołki lasu ozłacać.

Gorzała chata Czmiela! W cichéj nocy paliła się jak świeca... prawie bez szmeru... bez łoskotu, właściwego pożarom. Stara strzecha, spróchniałe krokwie i ściany zajęły się odrazu. Ogień w mgnieniu oka objął chałupę, strzelił słupem iskier do góry, uspokoił się, zwolniał, pochłaniał kupę odwiecznych rupieci.. ludziska wyskoczyli z niéj cudem jakimś. Franek, Maksym, Maksymowa, malcy stali rzędem naprzeciwko ognia w ulicy... Oniemieli z przerażenia, wpatrywali się w płomień. Nogi w ziemię wrosły, głos skonał w piersiach. Dopiero gdy komin runął, Maksymowa jęknęła: o Jezu!

Maksym spojrzał na nią, potém na obórkę, na stodółkę, wypełnioną zbożem po brzegi. Ani jedna iskierka nie leciała w tę stronę... najlżejszy wietrzyk nie poruszył płomieni... chata gorzała cichutko, szary słup dymu wznosił się zwolna ku niebu... Sąsiedzi nawet, przerażeni w pierwszéj chwili, uspokoili się stopniowo. Chata stała na końcu, oddzielona od wioski

ogrodem, szeregiem brzózek, a paliła się tak równo jak kupa suchéj słomy... Ciekawość przemogła trwogę... W mgnienia oka cała wioska stała już przed ogniem, baby na froncie, w koszulach przeważnie, bez spódnic, bez fartuchów, jak która zerwała się z pościeli. O ratunku nie było mowy, trwoga pierzchła. Całe to zgromadzenie, zbite w kupę pośrodku—z odważniejszymi na prawém i lewém skrzydle, okolone czarną nocą, z odblaskiem czerwonawéj łuny na przerażonych twarzach, wyglądało jak fantastyczne mary, grzejące się zdaleka przy odrobinie piekielnego ognia. Rozczochrane baby z kosmykami siwych i czarnych włosów na czole dopełniały złudzenia.

Za wioską, gdzie się zaczynały gęste zarośla, Ewka bosa, bez chustki, z rozplecionemi warkoczami na plecach, w koszuli tylko i podartéj spódnicy, stała jak odrętwiała przed Andrzejem—poznała go odrazu, słyszała głos jego, czuła, jak trząsł ją za ramię, przez zaciśnięte zęby krzyczał jéj coś nad samém uchem. Czuła nawet, że już coś łusnęło w ramieniu, ból straszny przeszedł po grzbiecie, przemówić tylko nie mogła... Patrzyła mu w twarz szeroko otwartemi oczyma, poruszała nawet ustami, ale głosu z piersi wydobyć nie mogła. Daleki blask ognia słał się po polu, przekradał się do wioski, chwilami oświecał szeroką twarz, rude kudły, wąsy obwisłe... koszulę rozpiętą na szerokiéj, kosmatéj piersi. Widziała tedy, że to on, tem sam! W dzikiéj trwodze wpiła się paznokciami w jego rękę. Bała się, żeby nie znikł, żeby wskróś ziemi nie poszedł, nie zostawił jéj saméj wśród nocy czarnéj. Trzęsła się, dzwoniła zębami... Aż w końcu jemu złość

przeszła... Spojrzał na nią spokojniéj: akurat taka sama, jaką zostawił—obdarta, samotna, strwożona.

— Czegóż drżysz, głupia? no, cicho... ja nie czort przecie, ani rozbójnik! Ogień wiedźmy nie wziął!—mruknął wytrzeźwiony ostatecznie; zmierzył ją od stóp do głowy, obejrzał się przez ramię ku wiosce... przez chwilę patrzył na zmniejszający się ogień, na czarne sylwetki, widniejące zdaleka.

Ewka oprzytomniała; zęby tylko latały jeszcze jak w febrze, podrzuciła ramionami.

— Czort ich spalił!—szepnęła.

— Cicho! waryatko! — syknął Andrzej przez zęby.

Ale ona już go się nie bała! Życie, wstrzymane chwilowo, wybuchło w niéj z nową mocą! Trzepała świszczącym, urywanym głosem o swéj doli ciężkiéj, o poniewierce, o głodzie i chłodzie, o wołach przeklętych, o karze boskiéj, o wieczném potępieniu. W ciszy nocnéj głos jéj rozchodził się jak szept złowrogi zduszonego potworu.

— Cicho! — powtarzał Andrzej, parę razy rękę do jéj ust podniósł. Odejść nie mógł... przykuwało go coś do miejsca... czekał, nim ostatni płomień zagaśnie. Ogień buchał jeszcze chwilami... dopalały się zręby... chwilowo rozległ się blask silniejszy... echo przeciągłego okrzyku rozległo się w zaroślach...

— Woły ryczą!—syknęła Ewka.—Andrejek mileńki, drogieńki, kochany — trzepała, uczepiwszy się jego ramienia,—żeby ty wiedział, żeby ty słyszał, żeby ty własnemi oczami oglądał, co ja biedna, nieszczęsna wycierpiała w téj chacie przeklętéj... Dzięki tobie, Boże miłosierny, że czort ją raz spalił!

— Milcz, waryatko!—krzyknął Andrzej.

Pociągnął ją za sobą w las, w zarośla, szli coraz prędzéj; w ciemności nocnéj migali jak dwa cienie wzdłuż górzystego brzegu rzeki. On szedł wielkiemi krokami, ona dreptała przy nim, trzymając się z tyłu za jego kamizelkę.

— Szkoda, że ja choć bochen chleba nie schwyciła!—szepnęła Ewka, drżąc z chłodu.

On téż poczuł, że od rana, prócz wódki, nic w gębie nie miał!

Nim ogień zagasł, zniknęli gdzieś w ciemnéj przestrzeni...

*

* *

W rok potém, na miejscu staréj stała nowa chata, większa, z kominem i z gankiem o dwóch słupach. Pieniędzy Maksymowi pożyczyli trochę sąsiedzi, resztę zakredytował cieśla. Ze skarbu ojcowskiego w zgliszczach, koło komina, znaleźli kilka monet zczerniałych, reszta przepadła bez wieści. Maksymowa w nowéj chacie miała wielki podpiecek, gdzie ze dwadzieścia kur pomieścić można było. Ona téż jedna z całéj rodziny codzień serdecznie dziękowała Bogu za pożar. Wraz z chatą spaliła się jéj cała bieda, utrapienie... spaliła się Ewka! Napróżno wmawiali sąsiedzi, że widzieli ją zczerniałą, wygłodzoną, w mieście wśród robotnic przy budowaniu domów, na kiermaszach, w szynkowni. Ona wierzyć nie chciała. Franek téż wierzyć nie chciał tym bajkom, głośno opowiadał wszystkim, że wiedźma zgorzała, że on sam znalazł zwęglone jéj kości pod

kominem, wygrzebał i do rzeki wrzucił. Został już nawet parobkiem u staréj, bogatéj wdowy,—a jak tylko wszyscy uwierzą w spalenie się wiedźmy, on się z wdową ożeni. Tymczasem kupił sobie za jéj pieniądze nowe buty, czapkę i szaraczkowy surdut, gdyż szynel żołnierski wraz z inną odzieżą spalił się w chacie...

ZŁOTA RYBKA.

W wagonie pierwszéj klasy, zapewne z powodu ciężkich czasów, jechały tylko trzy osoby: stary jegomość w jedwabnéj czapeczce, nasuniętéj na oczy; drzemał bez przerwy, na stacyach nawet nie podnosił głowy, nie ruszał się z miejsca, — widocznie jechał daleko i podróżował często; — dwóch ludzi średnich lat, którzy, chociaż przy spotkaniu na stacyi okazali wielkie zdziwienie, omal nie nazwali siebie po imieniu, teraz udają nieznajomych. Mężczyzna barczysty, na cienkich nogach, z wielką głową w ramionach, przypomina Ezopa; obrócony plecami do damy, zasiadł na sofie, brodę oparł na gałce laski i patrzy w okno. Dama, zasunięta w fotelu, otulona pluszową rotundą, udaje śpiącą; z pod woalki widać delikatne rysy i białą cerę, z pod kapelusza gruby warkocz złotawych włosów; woń heliotropu zalatuje od niéj aż do Ezopa, — jest to jedyny łącznik między osobami, którym widocznie wiele na tém zależy, żeby się nie znać. Dama od czasu do czasu podnosi powieki, spoglądając

z ukosa na sofę, widzi szpetny profil Ezopa: ogromne ucho, szpakowaty zarost, nizkie czoło i sterczącą czuprynę; przy najlżejszém jego poruszeniu zamyka oczy, tłumi oddech. Pewną jest, że on nie wytrwa w roli nieznajomego; gbur z natury, nie zrozumie, że go poznać nie chciano, i pierwéj lub późniéj zwróci się do niéj z powitaniem. Teraz może obmyśla, od czego zacząć rozmowę, waha się, chciałby i nie śmie. Dostrzegła, że parę razy niechcący spojrzał w jéj stronę. A może to nie on? Widziała go przed trzema laty; przez ten czas postarzał, posiwiał i jeździ pierwszą klasą! Mógłby sobie jechać chociażby na lokomotywie, byleby nie w jednym z nią wagonie, teraz, kiedy ze wszystkich swych znajomych jego jednego spotkać nie chciała. Oh! takich jednostajnie szpetnych trudno spotkać. Jakżeby tryumfował, gdyby wiedział, że ona jedzie samotna, bez sługi nawet, samiuteńka, tak opuszczona, że, w razie nagłéj śmierci w wagonie, niktby się o nią nie dopomniał, nikt, ani żywa dusza z tysiąca bliższych i dalszych znajomych! Najnędzniejsza pasażerka, ta obdarta kobieta z dzieckiem, co wsiadła gdzieś tam do ostatniego wagonu, ma przy sobie męża, brata, czy kochanka, draba w dziurawéj siermiędze, z piłą i workiem na ramieniu; szli razem, a kiedy w pośpiechu ktoś trącił kobietę, drab plunął w ślad za nim. Widziała to z okna swego wagonu; wówczas jeszcze Ezopa nie było, mogła się rozglądać swobodnie; teraz udaje śpiącą, wie, że skorzystałby z każdego jéj ruchu, żeby się obejrzéć i znajomość odnowić. Wstrętny! Szpiegował ją zawsze! I teraz na rozstajnych drogach stanął przed nią z miną sfinksa. On jeden mógłby rozplątać zagmatwaną chwilowo zagadkę jéj przyszło-

ści i śmiać się tryumfująco, że przepowiednie jego sprawdziły się w części.

Mijali stacyę za stacyą. Ezop nie ruszał się wcale; ma kilka numerów gazet w kącie na sofie i książkę Bernheima w żółtéj okładce, z czerwonym napisem: *Suggestion mentale*; do czytania się nie zabiera, nadsłuchuje, czeka na lada szmer, podnosi głowę—szmer cichnie, Ezop daléj patrzy w okno z pozorną obojętnością.

Dzień był dżdżysty, okna potniały co chwila. W wagonie dawał się czuć chłód jesienny. Droga przerzynała dolinę, zżółkłą trawą pokrytą; gdzieniegdzie drzemały jeziorka, błota, brzeźniak ogołocony z liści, szereg chat bez kominów; na pastwisku przy drodze krowy i bosa dziatwa w siermięgach spozierały ciekawie na przebiegający pociąg. Miejscami wysokie nasypy zasłaniały okna; las rzadki, z brzóz, jodeł i sosen, zakrywał widnokrąg; szerokie przestrzenie ze spróchniałemi pniami świadczyły o puszczach, które teraz tylko w bajkach istnieją.

Na stacyach ruch większy; prawie na każdéj czeka kilku żydków z tłumokami, szlachcic w długiéj, brązowéj burce, parę zafrasowanych kobiet i kupka żołnierzy. Wagony pochłaniają gromadkę za gromadką, lokomotywa pędzi daléj. Krajobraz wciąż jednostajnie wygląda. Wilgotny chłód przejmował coraz bardziéj.

Jegomość w czapeczce kilkakrotnie zażył po parę kieliszków rozgrzewających kropel, p. Nina otuliła się staranniéj rotundą, Ezop uderza zlekka kolanem o kolano. Nie ma na sobie zimowych flaneli; Magda, jedyna gospodyni i opiekunka, zapomniała ich włożyć do tłu-

moczka; oj, te kobiety! Wiezie jéj za to rękawiczki na barankach i patronkę, piękny obraz: pół-naga pokutnica u stóp krzyża obok trupiéj czaszki. Z patronką stara Magda ma tyle wspólnego, że całe życie pokutuje, chociaż nigdy nie grzeszyła.

Wraz z flanelą i kucharką przychodzi na myśl ciepłe mieszkanie, samowar, szlafrok i pantofle, tylko, że, zamiast staréj gospodyni w rurkowanym czepku, dama w rotundzie nasuwa się uporczywie przed oczy. Zażył tabaki, kichnął. Złotawa główka z piwnemi oczyma jeszcze wyraźniéj zarysowała się przed nim, młodsza tylko, niż ta w fotelu — młodsza o wszystkie lata, podczas których jéj nie widział i widziéć nie chciał. Były to najspokojniejsze lata jego życia, wówczas to wyłysiał, posiwiał i tak zgorzkniał, że, myśląc o sobie, czuł pieprz w ustach. Przemienił się za to w pracowitą machinę, zdobył taką sławę, że dziś ludzie więcéj o nim wiedzą, niż on sam o sobie. Jego nauka, uczciwość, szczęście nawet, weszły w przysłowie; znajome matki pierworodnym synom dają jego imię, każdy zazdrości mu sławy, pieniędzy, tylko nie cienkich nóg i nie Ezopowéj twarzy. Przy sposobności każdy cytuje chętnie, że „widział doktora Czyżyka, mówił z doktorem Czyżykiem, słyszał coś od doktora Czyżyka.” W mieście popularniejszym od niego jest chyba tylko lichwiarz-milioner, kupiec, co sześć razy bankrutował i zawsze piękniejszy sklep otwierał, i kulawy roznosiciel gazet, którego mieszkańcy pamiętają od lat trzydziestu. Popularność nakłada na niego coraz nowe podatki w postaci składek, biletów loteryjnych, wsparć, protekcyj i zapomóg; to mu przyczynia trochę wrogów i wielu niezadowolonych, którzy go zarówno mało

obchodzą. Nieraz, słuchając we własnym gabinecie epitetów, mniéj lub więcéj uprzejmych, czyści paznokcie, spoziera w lustro z pod czoła.

— Trzebaż było urodzić się taką małpą!—szepce w duchu, wzruszając ramionami. — Bądź-że tu Don Żuanem z tą buzią; mimowoli musisz zostać filozofem.

Ludzie dawno oswoili się z jego brzydotą; kobiety znajdowały go bardzo interesującym. On sam tylko, ile razy przypadkiem lub dobrowolnie spojrzał w lustro, spluwał, albo wzruszał ramionami. Miał swoje manie, jak niegdyś, w przeszłości, miał zaczarowane zamki na lodzie, w których coś straszyło. Teraz wyleczył się z dziwactw, zarzucił nawet elegancyę; podczas gdy wszyscy noszą mniéj lub więcéj wyraźne kraty, kolorowe krawatki, kapelusze z małemi rondami i długie paltoty, on ma zzieleniały paltot z aksamitnym kołnierzem, szaraczkowe spodnie, a na szyi czerwoną w żółte kwiaty chustkę Magdy; tasiemki od skarpetek spadają na pięty, z pod mankietów widać czerwone rękawy trykotowéj koszuli, miękki filcowy kapelusz zsunął na ucho. Od czasu, jak wyjechali z ostatniéj stacyi, coraz niecierpliwiéj uderza dłonią po gałce laski; nie ogląda się, ale widzi, jak p. Nina ostrożnie podniosła pled, rozesłany pod nogami, zdjęła parasol i wraz z torebką położyła na fotelu. Wymyka się przed nim... ha, ha! stara historya! Dlaczego zmyka? Jeżeli przez kilka godzin nie spojrzał na nią, teraz témbardziéj. Zapewne ma cel jakiś tajemniczy, albo przez śmieszny kaprys udaje, że go nie widzi.

Nieraz już zauważył, ze wobec kobiet grał rolę sumienia—najnudniejsza rola. Staruszki tylko i podlotki witały go zawsze z jednostajną pogodą, inne bały

się trochę; przez zbyteczną ostrożność mimowoli wtajemniczały go w sprawy, o których ani chciał, ani potrzebował wiedziéć. Wszystko to zawdzięczał swojéj popularności. Ta téż nie chce mu spojrzéć w oczy. Zabawna! Nie przypuszcza nawet, jak bardzo on postarzał. Jeśli dotąd jeszcze pamięta dokładnie jéj rysy, kolor włosów, głos, każdą suknię z osobna, formę najczęściéj używanych biżuteryj, jeśli mógłby ułożyć dokładny zbiorek jéj *bons mots*, ulubionych wykrzykników, ekscentrycznych sądów i przekonań, jeśli dotąd nie zapomniał dnia, w którym ją poznał, wszystkich dat, w których witał i żegnał,—to dlatego jedynie, że pamięć ma wyborną. W szkołach miewał zwykle piątkę z łaciny; bez omyłki dziś jeszcze gotów wymienić zarówno daty historyczne, jak i najpamiętniejsze dni swojéj chroméj przeszłości.

Dla ułatwienia odwrotu, gdy stanęli na miejscu, zaczął niby szukać czegoś pod sofą; nachylony, sapał zcicha, bo go ta zmora młodości nie na żarty dławić zaczynała; dopiero gdy usłyszał, że drzwi skrzypnęły, podniósł głowę, spojrzał na pusty fotel. Cichutko, na palcach, jak gdyby się wstydził swych lat pięćdziesięciu, przesunął się z sofy na fotel i głowę przyłożył do poduszki.

Pociąg stał na stacyi czterdzieści minut; Ezop po drugim dzwonku dopiero przypomniał sobie, że daléj jechać nie miał zamiaru. Patronka Magdy wraz z barankowemi rękawiczkami o mało nie zostały w wagonie, tak śpiesznie zmykał od widm różnych, wywołanych w przeciągu kilkogodzinnéj podróży. Stojąc na peronie z walizką w ręku, raz jeszcze przez okno zajrzał do wagonu: na fotelu siedziała otyła jéjmość w po-

deszłym wieku, z białym pudelkiem na kolanach. Pani Nina w téj chwili właśnie odjeżdżała do miasta w hotelowéj karecie, zamyślona, nie czując drgania starych resorów, nie słysząc smagania biczyskiem zmęczonych koni. Szkoda—miałaby jeszcze jednę dotkliwą przykrość do zaznaczenia na czarnéj karcie swego żywota...

Dom Siekierskich, niegdyś pałacem zwany, stał w głębi długiego dziedzińca, po obu stronach wysadzanego szeregiem lip odwiecznych i zarosłego zdziczałemi krzewami. Stare domostwo o czterech kolumnach, podpierających dach ganku z herbem i blaszaną chorągiewką, z popielatego przemieniło się w brudno-szare, tynk opadł gdzieniegdzie, a u spodu, przy ziemi, wystąpiły zielone plamy pleśni. Widziana z ulicy przez żelazne sztachety rudera ta imponowała dużemi oknami, chorągiewką i herbem, zaś długi dziedziniec, stare drzewa, wiecznie zamknięte drzwi i okna przypominały klasztor lub więzienie. Właścicielka na przyjazd miała zostawionych kilka pokoi; przyjeżdżała rzadko, mieszkała kilka tygodni, resztę domu wynajmowała komu się zdarzyło. Czas jakiś pod herbem widać było niebieską tablicę z żółtym napisem: „Zarząd akcyzny,” potém czarną ze złotemi literami: „Zarząd dróg żelaznych NN.” Ostatnio mieszkał tu romantyczny notaryusz, rozmiłowany w starych drzewach, w dużym ogrodzie, w samotnéj ciszy pośród ludnego miasta. W jesieni i na wiosnę klienci i urzędnicy gubili kalosze w rozmiękłéj glinie podwórza, krztusili się w murach, przesiąkłych odwieczną wilgocią; w lecie wraz z wonią róż i jaśminów dolatywał zapach skór z garbarni, wybudowanéj tuż za parkanem. Od roku dom próżnował. Podwórze zarosło trawą, droga od

bramy do ganku zasypana zżółkłemi liśćmi. Pod drzewami, wzdłuż sztachet, wywrócone taczki, wóz bez kół, stara beczka, między liśćmi walały się cegły i kawałki spróchniałych desek. Okna po lewéj stronie ganku, bez firanek, bez rolet, czerniały długim szeregiem; po prawéj, w mieszkaniu dziedziczki, zasłonięte szczelnie roletami z szarego płótna. Głucha cisza otaczała tę ruderę, nizką, jakby w ziemię zapadłą, pomimo swych ścian grubych i olbrzymich kolumn.

Ciemniało już, kiedy p. Nina zajechała przed bramę, niespodzianie; nieoczekiwana, musiała się anonsować stróżowi; przez cały kwadrans stała u drzwi na ganku, zanim odszukano lokaja, co strzegł pańskich pokojów, a zarazem sprawował urząd rządzcy domu. Wpuszczono ją nareszcie do sieni sklepionéj, o kamiennéj posadzce, zastawionéj pakami z desek, wilgotnéj, ciemnéj jak jaskinia. W pokojach chaos jeszcze większy: stoły, krzesła, sofy, łóżka, pozsuwane na środek, żeby nie gniły przy ścianach, okryte kurzem, obdarte, połamane, tamowały przejście, walały się po wszystkich kątach, poszarpane tapety zwieszały się brudnemi szmatami, w podłodze dziury, szyby zabite deskami, wilgoć, chłód, stęchlizna jak w grobie!... Spoglądała na to przerażona. Bywała tu z ciotką nieraz przed laty; wyglądało to zawsze szkaradnie, ale nie tak przerażająco... Dostała się wreszcie do swojéj sypialni, gdzie, oprócz zwykłych sprzętów, na prześcieradle przed kominkiem suszyły się tytuniowe liście, na łóżku pościel Jana, lokaja,—na gwoździu, przy drzwiach, parę sztuk jego garderoby. Ciepło tu było, czysto, a zamiast stęchlizny pachło tytuniem i butami.

Zbyteczne rzeczy usunięto natychmiast; pokąd wietrzono pokój i ustawiano kufry, p. Nina oczekiwała w sali, szkaradnéj izbie, gdzie z lepszych czasów pozostały dwa lustra między oknami, odwieczny żyrandol u sufitu i kupa uszkodzonych mebli, czarną skórą obitych, stołów kilka różnego kształtu i wielkości, obdarte ściany, brudne sufity, szyby przepalone od słońca... I ona ma tu zamieszkać, w téj jaskini, gdzie po kątach gnieżdżą się żaby, pod piecem krzyczą świerszcze, wiatr dmie z każdego okna! Ciotka nie roztrwoniła się zbytecznie, dając jéj do rozporządzenia tę pustkę. Z resztkami kapitału mogła tu sobie zamieszkać choć do śmierci. Co za los świetny! Brudna kucharka będzie jéj gotować skromne obiadki, usługiwać, opierać i okradać wedle możności! Od czasu do czasu bogate ciotki, kuzynki, znajome, przyślą trochę warzywa, mąki, masła, a jeśli i ta pomoc nie wystarczy, dopomoże sobie, fabrykując włóczkowe patarafki, serwety, chusteczki. Wysoko postawione osoby, przez wzgląd na jéj ród i pochodzenie, wyroby te wezmą pod swoją opiekę, urządzą loteryę, rozprzedadzą między sobą... przez litość. W towarzystwie będą ją nazywać *cette pauvre Nina*, a młode panie, chcąc okupić jakąś myśl grzeszną, bezimiennie przyślą jéj parę rubli! Z początku będą ją zapraszać w godzinach między obiadem i herbatą, na samotną gawędkę, żeby nie potrzebować ubogiéj kuzynki przedstawiać nikomu; dobre, litościwe, z eleganckiém współczuciem ofiarują kilka par przybrudzonych rękawiczek, zeszłoroczną okrywkę, suknię lub kapelusz; wstąpią nawet do niéj czasami na chwilkę, akurat w ten dzień, kiedy kucharka spaloném masłem zapowietrzy całe mieszkanie, albo bosa, podka-

sana, zacznie szorować podłogę! Mężczyźni młodzi przestaną jéj się kłaniać odrazu; starsi będą udawali, że jéj nie widzą. Staruszkowie zaszliby do niéj na partyę bezika, ale będą się lękali téj herbatki taniéj, bezwonnéj, podawanéj w szkaradnych szklankach na fajansowych spodeczkach, którą trzeba przełknąć przez grzeczność! Święte życie! Cicha, samotna ścieżka, prowadząca prosto do nieba! Pójdzie nią kiedyś, ale jeszcze nie teraz!

Pyszną była z pogardliwym uśmiechem na ustach! Wysoka, kształtna, z malutką główką, wspaniałemi oczyma, wśród brudnego chaosu wyglądała jak królowa w sklepiku tandeciarza! Stary Jan, spoglądając na nią z ukosa, wydziwić się nie może. On ma córkę w jéj wieku, babę z sześciorgiem dzieci, zgarbioną, zżółkłą, schorzałą, jak gdyby nad grobem stała! Ta— kwitnie! Jak była piękna, tak i jest, piękniejsza może; dawniéj na wielką panią nie wyglądała... teraz... ho, ho!

W pół godziny oczyścił pokój, zapalił na kominku, podał lampę i stał wyprostowany u progu, czekając na dalsze rozkazy. P. Nina, obrócona do niego plecami, obliczała swoje kapitały. W ładnym woreczku z oliwkowego pluszu miała kilkanaście guldenów, jednę pięciofrankówkę i trochę srebrnéj monety. Te skromne środki nie zajmowały jéj w téj chwili. Na stacyi jadła szkaradne jakieś mięso, piła kwaśne wino; teraz, z restauracyi, nie wie, czego się może spodziewać: sielankowe życie na własną rękę zaczynało się od kłopotów. Od złego jadła uciekłaby nawet do klasztoru!

— Weźmiecie co jest najlepszego: mięso jakieś, byleby świeże i bez sosu, wino i czarną kawę.

Namyślała się chwilę, ale na razie, bez karty, nic jéj na myśl nie przychodziło. Przygotowaną była, że pierwszą noc w więzieniu przepędzi głodna, z bólem głowy od dymiącego kominka, może nawet wcale spać nie będzie! Jutro bieda się skończy. Jak tylko dowiedzą się, że przyjechała, starsze i młodsze kuzynki przybędą po nowiny! Wszystkie już wiedzą, że ciotka jéj wyszła za mąż powtórnie, że tym sposobem ona została usuniętą na dalszy plan w sercu i testamencie. Żadna nie domyśla się nawet, że zmuszoną była dom jéj opuścić i poprzysięgła, raczéj dała sobie słowo honoru, nigdy nie przestąpić jéj progu! O tém wiedziéć nie powinny.

P. Nina zna swój świat: strojną, wesołą, wykwintnie elegancką, powitają wszędzie z otwartemi rękoma; ona inaczéj witaną być nie chce. Dopiero kiedy otrzyma kilka zaproszeń na dłuższy pobyt, wybierze sobie odpowiednie otoczenie, napomknie zdaleka, że do ciotki wracać się nie chce, środków na utrzymanie domu nie ma, ale przy bogatéj rodzinie utrzyma się, nie będąc nikomu ciężarem.

Miała na myśli dalszych i bliższych krewnych. Byli to ludzie bogaci, z tytułami, albo bankruci; wiedziała, że na wsi mają domy wykwintnie urządzone, pałace z parkami, liberyą, powozy, dobrego kucharza; w mieście, podczas zimy, zajmują ładne apartamenta, ale jak stoją majątkowo, czy mają długi, kłopoty: nie wiedziała wcale. Znalazła się w położeniu kukułki, która, chcąc umieścić pisklę w cudzém gnieździe, odpowiednio karmiących się ptaków szukać musi. Pisklęciem była ona sama, spragniona cudzego gniazda i cudzéj żywności.

Kilka listów napisała tegoż wieczora jeszcze; do mieszkających w mieście pojedzie sama jutro; o fortunie, stosunkach wogóle, poinformowałby ją d-r Czyżyk—ten zna wszystkich, ale ona go znać nie chce, wogóle ma wstręt do natrętów: wrogom przebaczyć można; wścibski, znający nietylko wady, ale i śmieszności, zadużo wie, żeby mógł być znośnym. Nie podobał się jéj odrazu, kiedy przed dziesięciu laty, lecząc ciotkę, pojawieniem się swojém zrobił jakby wyłom w ich spokojném, bardzo wykwintném otoczeniu. Przyjeżdżał na wieś bez ceremonii, w ubraniu z surowego jedwabiu, zawsze spotniały, mówił i śmiał się dużo, jadł bez miary i często gadał bez sensu. Ciotka przyjmowała go z pobłażliwością ciekawéj i trochę znudzonéj kobietki; ufała w jego naukę, lubiła go nawet za szczerość, prostotę, brak wszelkich pretensyj; tylko gdy śmiał się zbyt głośno, zasłaniała uszy rączkami, z pieszczotliwym wykrzyknikiem:

— Moje nerwy, doktorze!

P. Nina nie mogła się zdobyć na tyle pobłażliwości; przeciwnie, próbowała nieraz utrzymać go w karbach zapomocą sztywnéj etykiety, pogardliwego uśmieszku, zapomocą eleganckiego lekceważenia przedewszystkiém. Rzadko z nim rozmawiała, a gdy się znaleźli sam na sam w ogrodzie lub w salonie, zwracała jego uwagę na świat zewnętrzny, żeby jaknajmniéj mówił o niéj i o sobie. Przeżywał wówczas straszną walkę, usiłując pogodzić szaleństwo ze zdrowym rozsądkiem.

— Zginę! a wraz ze mną przepadnie jedyny okaz orangutanga wśród ludzi! — powtarzał, czując, że słabnie.—Cierpliwości! trzymaj mię na wodzy; wrozsądek

przestaję wierzyć! Tchórzy przed miłością; pierwéj czy późniéj wystrychnie mię na dudka! Jeżeli ludzie nazwą mię waryatem, będą mieli słuszność tylko w połowie; jestem waryatem i głupcem, wkrótce może i błaznem zostanę, wówczas już niczego ludziom zazdrościć nie będę. Bodajbym zmarniał wprzód, zanim ta, jedynie rozumna, piękna myśl zawitała do mojéj głowy! Żeby mi skrzydła raptownie wyrosły, byłbym w mniejszym kłopocie! Zakochany orangutang, to bodaj najśmieszniejszy potwór. Oj, czuję że się na żal zbiera! Głupi żal, co zamiast w sercu siedziéć, wygląda przez oczy, wykrzywia usta i biednéj małpie nadaje minę zbiedzonego szpitalnika! Jeżeli poddam się, przeklnij mię szlachetny rodzie małpi, gdyż będę wówczas najsłabszym z ludzi!

Nie poddawał się! Rubaszna wesołość pomagała do maskowania wzruszeń; najgorsze było owo sam-na-sam! W salonie jeszcze pół biedy — miał dokoła wykwintny arsenał cywilizacyi, który mu wciąż jednę broń przypominał, straszną nawet dla filozofów. Śmieszność, bardziéj jeszcze niż cierpliwość, trzymała go na wodzy! W ogrodzie, wśród odurzającéj woni kwiatów, w cienistym parku, miękł znacznie, stawał się małomównym, albo mówił przyśpieszoném tempem, jak strwożony uczeń, kiedy wydaje źle umianą lekcyę.

Nosiła wówczas białe sukienki, buciki ze złotawéj skóry i warkocze spuszczone na plecy; chodziła tak leciuchno, że biedny Ezop mimowoli stąpał na palcach, dreptał obok niéj drobnemi kroczkami, wpatrzony w główkę zgrabną jak u greckich posągów, w świeżutką twarzyczkę, w długie rzęsy pysznych oczu. Gdy zbyt długo milczeli, wskazywała mu bożą-krówkę na

białéj lilii, albo pająćzka na róży. Z natury miał nieprzezwyciężony wstręt do owadów i płazów—lada pająk mógłby go wypędzić z mieszkania, skazać na nocleg na schodach, podczas zimy! Schylał się wraz z nią nad lilią, drżącemi palcami brał muszkę i kładł ją sobie na ręce.

— Prześliczna, bardzo ładna!—powtarzał; gotów był drugą ręką głaskać ją aż do uduszenia.

Oglądając, p. Nina zbliżała się ku niemu, z uśmiechem spoglądała na owada, pełzającego zwolna. Jednocześnie mrowie go przebiegało od muszki i od świeżego oddechu, który czuł wyraźnie na powierzchni ręki! Do pająćzka przemawiał: „o ty przyjacielu!” albo „oh, psotniku!” tak swobodnym głosem, jak gdyby w istocie najbardziéj lubił w naturze białokrwiste stworzenia.

— Jeżeli kiedy każe pogłaskać żabę, to będzie źle! czuję, że nie wytrzymam — rozmyślał, zżymając się na samą myśl o wstrętnym krzeku.

Kiedy jednak raz w parku zielona żaba przeskoczyła im drogę: „O! co zazgrabne stworzonko!”—zawołał, i już schylał się, żeby ją podnieść z ziemi. P. Nina skinęła tylko główką; żaby nienależały do jéj faworytów. Przestał wierzyć w idyosynkrazyę; będąc tam, w ogrodzie, uśmiechał się do gąsienic, pełzających po drzewach, z zupełną obojętnością spoglądał na chrabąszcza na swojém ramieniu! Żeby z poza kunsztownie przystrzyżonych krzewów, z pośrodka kwiecistych trawników, rzucił się lew rozjuszony, i do niego może uśmiechnąłby się dobrodusznie—ogarniała go tak dziwna bło-

gość, ile razy mógł iść ścieżką, po któréj ona szła przed chwilą.

— Rozmiękłem! Miłość rozbiera mnie, jak stara wódka! Nie ręczę, czy wkrótce z gitarą w ręku nie zacznę śpiewać serenady pod jéj oknem! Wówczas zwiążą mię przynajmniéj, złożą na wóz, jak sprzedanego barana, i odwiozą do szpitala waryatów! Pierwéj czy późniéj muszę tam trafić! Kret, któryby wzdychał do rajskiego ptaka, większe miałby szanse, niż ja. Pomimo to, ciągnę tu co drugi dzień, a kiedy przychodzi chwila odjazdu, pozwoliłbym sobie dać sto batów, byleby zostać jeszcze na godzinkę, na tę najgłupszą godzinkę, kiedy zmuszony jestem rozmawiać z ciotką, a tylko uchem łowić szmer jéj sukienki, odgłos kroków albo ziewanie! Trzeba przyznać, że dotąd mój wróg nie potrafiłby lepiéj psuć moich interesów, jak ja sam psuję. Włóczę się za nią markotny, niby chory niedźwiedź albo gad, peroruję; raz przecież muszę jéj powiedziéć coś tak głupiego, żeby zrozumiała, że ją kocham! Odpędzi mię, więc cóż? Ale choć raz jeden spojrzy jak na człowieka; dotąd, w najlepszym razie, patrzy jak na doktora tylko, a bywa gorzéj!

Długo jednak czekał na tę chwilę, a i wówczas na akuratne głupstwo zdobyć się nie potrafił.

Raz, w przystępie dobrego humoru, powiedziała, że ciotka nazywa go „Ezopem.”

— Ale pani nie nazywaj mię tak nigdy. Ezop był najnieszczęśliwszym z ludzi.

— Dlaczego?

— Zapewne nie kochała go żadna kobieta!

— Kobiety zawsze lubiły niewolników.

— Więc i pani?...

Chciał powiedzićć: — Więc chcę być Ezopem, Brutusem, Neronem, potworem, niewolnikiem, czy bohaterem!—wszystko to już miał na końcu języka. Zamilkł, wzrok utkwił w ziemię, uszy nastawił... Czuł, że w téj chwili był tylko osłem! Przyznać musiał, że dotąd język nie oddał mu żadnéj prawdziwéj usługi!

— Drwi ze mnie! Kobieta wcale nie potrzebuje być mądrą, żeby najmędrszego z nas za nos prowadzić; tak się już zaczęło od Adama i Ewy! Sympatyi nie zdobędę, co zresztą może i lepiéj! Dzieci nasze mogłyby do mnie być podobne; nie mam prawa przekazywać im tak szkaradnego dziedzictwa! Pozostanę jéj przyjacielem... brr!... rola ta była dla mnie zawsze fałszem podszytą. Czuję, że gdybym cudem jakimś stał się dla niéj niebezpiecznym uwodzicielem, przyjaźń moja poszłaby wówczas na spacer! Dostatecznie jestem wstrętnym, żebym i nadal mógł zostać honorowym! Przyjaźń, to rodzaj kapłaństwa: pozbawiając praw wszelkich, pozwala słuchać spowiedzi, dawać napomnienia. To biedactwo w wielkopańskiém otoczeniu wygląda jak kropla rosy: połyskuje tymczasem wszystkiemi barwami brylantu, lada wiatr strąci ją w piasek, bodaj tylko nie w błoto! Gdyby została moją żoną, nie ofiarowałbym jéj wprawdzie żadnéj części świata, ale miałaby swego wielbląda, wierne bydlę, które służy do śmierci, w ostatecznym razie poi, nawet i orzeźwia! Trudno, niezawsze można nosić okulary rozsądku! Niech sobie niebożątko patrzy jak chce, byleby była szczęśliwą!

Do szczęścia jednak było daleko! Widywał ją nieraz dziwnie zmienioną. Podczas gdy przez otwarte okna pałacu dolatywały śmiechy, wesoła rozmowa,

ona chodziła jedna po alei, sztywna, z podniesioną głową, jak gdyby wszystkie trzepocące się w olbrzymich drzewach sójki, przepiórki, wrony i gawrony wyzywała do walki. Idąc naprzeciw niéj, przyglądał się zdaleka, jak rwała niecierpliwie listki róży, albo gniotła w dłoniach batystową chusteczkę. Zmykał wówczas w boczną aleję, wiedział z doświadczenia, że nawijać się jéj na oczy nie warto. Milczała uparcie, a w oczach niepiśmienny nawet mógłby przeczytać:

„Oh, znowu ten natręt!”

— Unika ich, i ma racyę! Umieją wprawdzie podawać okruszyny łaski na srebrnych półmiskach, ale zawsze to okruszyny tylko! Dziewczyna dusi się w téj słabéj klatce. Czuje zresztą, że buja tylko na pajęczynie. Młoda, zdrowa, rozumna.... Takie trzy ingredyencye mogą stworzyć wcale niezłą receptę; nie mówię o piękności... z téj najczęściéj dyabeł miksturę gotuje. Ubogą ostatecznie nie jest; gdyby się wzięła do czegoś... poznałaby życie, możebym wówczas łatwiéj z nią mówić potrafił... Oh, że téż ja nie mogę nauczyć się téj przyjaźni! Codzień powtarzać: jestem jéj przyjacielem, będę jéj przyjacielem, zostanę jéj przyjacielem, i codzień kocham ją coraz zawzięciéj! Serce w piersiach skacze, kiedy, idąc obok niéj, widzę, jak mój cień z jéj cieniem się łączy. Gdyby ktoś przede mną o mnie samym takie dziwolągi prawił, powiedziałbym, że szkaluje przytomnego człowieka! Sam sobie nawet zaprzeczyć nie mogę. Raz przecież muszę zostać jéj przyjacielem. Ma już protektorów, amatorów, pochlebców, zamiarników różnego gatunku, niechże się między nimi choć jeden przyjaciel znajdzie! Dam jéj do zrozumienia, że pojmuję walkę młodéj du-

szy z niewolą, z upokorzeniem, z bojaźnią o przyszłość. O radę sama zapyta.

Wówczas to z natręta awansował na wścibskiego. P. Nina potrzebowała nieraz całéj subtelności umysłu i słowa, żeby mu dać do zrozumienia, że nie jest wcale jego pacyentką, on zaś, tu, w ich domu, ze zdrowymi nic wspólnego już nie ma. Raz nawet o mało że się nie zdobyła na ostateczną odprawę. Stali oboje wśród klombu róż: białe, różowe, ponsowe i ciemne kwiaty otaczały jéj sukienkę, sięgały ramion, poruszały się zlekka nad złotawą główką. Była to jedna z chwil, w których Ezop zapomniał, że jest orangutangiem, patrzał, czuł jak szaleniec, milczał, żeby nie powiedzieć głupstwa. Od niejakiegoś czasu przemawiał i w takich chwilach, powtórzywszy uprzednio w duchu: „jestem przecież jéj przyjacielem!”

— Żyjesz tu pani jak w oranżeryi—mówił, spoglądając niby obojętnie na nią, na kwiaty, na roje białych i pstrokatych motyli — i sama jesteś tu najpiękniejszym kwiatem. Ktoś inny powiedziałby to jakoś składniéj, ja mówię to, co widzę. Ale kwiat najbardziéj egzotyczny ma grunt własny. Pani w téj sferze bujasz między ziemią i ciemną, nieznaną przyszłością... Straszno czasami być musi? Co?

Milczała; podniosła do ust bukiet, żeby ukryć gwałtowny rumieniec.

— Nie wiedziałam—odrzekła po chwili z pogardliwym uśmieszkiem,—że pan, przy swéj rozległéj praktyce, ma czas zastanawiać się nad przyszłością zupełnie obcych i mało znanych osób. Podział sfer zapewne więcéj jest panu obcy, niż medycyna—dodała żartobliwie.—Nie zrozumiałam dokładnie owéj „ciemnéj, nie-

znanéj...” natomiast mogę zaręczyć, że nigdy nie uczuwam trwogi, ani téż braku gruntu pod nogami. Pan w każdéj kobiecie rad byłby widziéć znerwowaną pacyentkę; do mnie proszę nie stosować téj metody. Sądzę, że całe życie będę zdrową!

„Kwiat,” „oranżerya” uszłyby mu jakoś; wzmianką o sferach potrącił jéj najdrażliwszą strunę—drętwiała na samą myśl degradacyi. Matka jéj była szwaczką, czy nauczycielką; ojciec poślubił ją z szalonéj miłości, w sekrecie przed rodziną; po śmierci żony zaczął pić i tracić fortunę. Wiedziała o tych szczegółach, dlatego téż przez całe życie czuła pogardę dla bezmyślnych szałów, dla awanturnic, co wciskając się do wyższych sfer, wytwarzają mezalianse. Ze wspomnieniem o ojcu łączyły się najprzykrzejsze wspomnienia z jéj dzieciństwa. Zajeżdżał przed pałac chłopskim wózkiem, albo z żydem... w szarym płaszczu, w czapce z wielkim daszkiem, obrosły, przygarbiony; nikt go nie spotykał; ciotka, chociaż bardzo grzeczna dla wszystkich, wzruszała ramionami na te odwiedziny. Zostawiano mu wszelką swobodę, czasami nawet zapominano poprosić go na obiad! U stołu bowiem, po szklance wina, robił się rozmownym, żartował i dość obcesowo zalecał się do guwernantki Francuzki! Szpetna Paryżanka przyjmowała te zaloty na seryo; wykrygowana, szczebiotała jak głodna sroka; obecni bawili się wybornie ich kosztem. Na trzeźwo był milczącym, chodził całemi godzinami po alejach; jak tylko ujrzał córkę, stawał, spoglądał na nią z uwielbieniem. Unikała go jak mogła, pomimo uwagi ciotki, że powinna być grzeczną dla ojca; czasami jednak dopilnował, jak się uczyła w altanie, albo siedziała z książką pod we-

rendą. Siadał obok niéj, brał ją za ręce i patrzył długo w twarz, w oczy...

— Jakeś ty do matki podobna!—szeptał.—Staraj się być dobrą i rozumną jak ona.

Całował ją przytém w czoło, koląc szorstkim zarostem—uchylała się nieznacznie.

— Odwykłaś ode mnie, Nineczko? Przykro ci może, że przyjeżdżam? Niedługo już będę jeździł, tymczasem potrzebuję widziéć ciebie, choć zrzadka.

Nie wiedziała, co odpowiedziéć; żal ją ogarniał; wolałaby jednak, żeby nie przyjeżdżał. Odjeżdżając, nie dawał służbie ani grosza i prawie zawsze zaciągnął dług u ciotki. Przez kilka dni wietrzono po nim pokój, palił bowiem szkaradny tytuń. Wszyscy mówili, że zmarniał, służba wzruszała ramionami na takiego pana. Ona zaś przez długi czas oczu podnieść nie mogła. Wzgarda, lekceważenie przygnębiały ją nieznośnie. Stawała się bardziéj sztywną, imponowała służbie i nauczycielom; ciotka nawet nazywała ją wówczas *Princesse Nini*. Przydomek ten robił jéj szczerą przyjemność.

Doktor musiał słyszéć o téj matce i o tym ojcu, i to go upoważniało do głupich uwag. Była przecież zadowoloną. Przez czujną baczność na wszelkie odcienie towarzyskie, na wszelkie wymagania wytwornego smaku, przyswoiła sobie niezrównany takt, wykwintny spokój, stała się wzorowo elegancką, widziała już nawet, że tym sposobem zdobyła uznanie najbardziéj wymagających osób. Traktowano ją wprawdzie z góry... Ciotka zapominała przedstawiać nowoprzybyłym. Ten i ów spoglądał na nią jak na znak zapytania. Nieraz, po świetnéj recepcyi, po paradnym

obiedzie, gdzie była najpiękniejszą, a zarazem najbardziéj zaniedbaną z panien, zamykała się w swoim pokoju, ściskała się za gardło, żeby nie jęknąć z żalu, ze wściekłości! Ale o tém nikt, przedewszystkiém ten gbur, nigdy dowiedziéć się nie powinien; z czasem, miała nadzieję, że i drażliwość stłumić w sobie potrafi. Bo i cóż ten przemądry filozof doradziłby na miejsce wykwintnego życia? Pracę i naukę może? Widziała zblizka te ideje! Nauczycielki jéj wszystkie były wysoko ukształcone i strasznie pracowite. Wszystkie miały w perspektywie staropanieństwo i nędzę: jedna dogorywała na suchoty w jéj oczach. O innych zawodach jeszcze gorsze miała pojęcie; zresztą, zkąd mu przyszło nawracać ją na drogę „twardego gruntu?"

Za złe miała ciotce zbyteczną łaskawość dla niego; nie pierwszy to raz zauważyła w roztrzpiotanéj nieco kobiecie zbaczanie od ścisłych prawideł światowych, czasami musiała za nią i za siebie powagę domu przedstawiać. A doktor, widząc ją małomówną, zamyśloną, coraz głębszego nabierał przekonania, że dziewczyna „dusi się" w bezczynnéj, chłodnéj atmosferze. Potrzebuje kochać, a te gachy, co ją otaczają, nie wystarczą ani dla serca, ani dla wyobraźni.

— Biedactwo! jeśli tą straszną strawą nadal karmić się będzie, nie ręczę za nic. Już-to wogóle na chrzcie św. nie wyrzekłbym się w imieniu kobiety ani czarta, ani spraw jego. Wisi to zwykle na kilku włoskach, na wyższéj lub niższéj drabinie, a jak tylko palcem ruszy, krzyczą: „Wara! jak urwiesz się, to cię żadna siła powtórnie nie zawiesi!" Dobrze jednak, że nie mam córek, chociaż ja i synów nie mam... tak jedne jak i drugich wykierowałbym na dziwolągów.

Trzebaż było tak trafić! Dostać jéj nie mogę, opuścić nie pozwala mi sumienie, a raczéj téż nie mogę. Małpie szczęście! Nie oddałbym go jednak za swój dawniejszy ludzki spokój! Rozumiem przynajmniéj, co to jest łaknąć i nie być nakarmionym, pragnąć i wiecznie tylko marzyć o napoju! A jeśli osiwieję kiedy, to nietylko, jak pies, ze starości, ale i z innych przyczyn. Będę chociaż patrzał na nią, od tego nikt jeszcze ani utył, ani się wzbogacił; zobaczymy, do jakich rezultatów to mię doprowadzi!

W istocie, zadawalniał się przeważnie patrzaniem; do rozmowy ona okazywała coraz mniéj chęci, chociaż poróżniła się z nim stanowczo dopiero w kilka lat późniéj, kiedy, po długich podróżach, po dwóch zimach w Wiedniu i w Paryżu, znowu na lato na wieś przyjechały. Zamiast białych sukienek i złotawych bucików nosiła kostiumy według ostatniéj mody z londyńskich wyścigów: obcisłe suknie piaskowego albo granatowego koloru, stojące kołnierzyki i kraciaste krawatki, ogromne metalowe guziki przy stanikach i u mankietów, włosy zaczesane po chińsku przypinała wysokim grzebieniem; urosła, zmężniała, z ładnéj dziewczynki przemieniła się w pyszną kobietę. Swobodne życie w kurortach, wielkie powodzenie w zagranicznych salonach wyrobiły w niéj niezachwianą pewność siebie obok najwykwintniejszego spokoju.

Wiedziała, że za mąż nie wyjdzie; dyplomaci, bankierowie, mniéj lub więcéj bogaci panicze byli nie dla niéj; wiedziano, że dostanie wytworną wyprawę, ale nic więcéj. Starsi i młodzi całowali chętnie jéj ładne paluszki, chętniéj jeszcze rozmawiali z nią pochyleni nad pyszném ramieniem; w ostatnich czasach ota-

czali ją przeważnie żonaci i zblazowani, świat najryzykowniejszy, pomimo że się trzyma niby na wodzy. Zręczność do *flirtowania* zdarzała się na każdym kroku—korzystała z tego dość oględnie. Zbyt często zmieniała partye; gra nie mogła się stać ani zahazardowną, ani za głośną. Młode kobiety nazywały ją „zręczną,” staruszki uśmiechały się pobłażliwie:

— *Elle doit se consoler, pauvre!*

Wiedziały, że z powodu swéj chwiejnéj pozycyi skazaną była na staropanieństwo i opuszczenie. Przyszłość ta wcale jéj nie przerażała; w zamęźciu bała się macierzyństwa, kłopotów rodzinnych. Miała już stałą migrenę, choroby żołądka, które zmuszały ją leczyć się latem, zimą krępowały swobodę; podtrzymanie zdrowia stało się główną troską, wykwintne jadło najgłówniejszą przyjemnością w życiu. Od czasu, jak przestała tańczyć, przekładała wielkie obiady nad wielkie bale. Ciotka, coraz młodsza, plątała się w intryżki, niby w ogon własnéj sukni. Traciła głowę raz dla tenora, drugi raz dla basetli, trzepotała się jak ptaszę, ale o powtórném zamęźciu nie chciała słyszéć.

— *Ma chère!* żebym nie była wdową, chciałabym być panną! Mężatką nigdy! — szczebiotała ze śmiechem. — Zadobrą jestem na żonę. Przytém tyle już razy bankrutowałam, że ostatecznie spokoju i przyszłości na niepewną hypotekę umieszczać nie myślę. Za granicą zbywamy towar, niemający popytu w kraju, ja tu od czasu do czasu przywożę swoje usposobienie... wracam spokojna, nie grzeszę nawet wspomnieniem, gdyż wolę myśléć o przyszłości. Na starość zostanę może dewotką, zresztą... zobaczymy!

Była drobniutką blondyną i długo jeszcze mogła uchodzić za młodą i ładną. P. Ninie to usposobienie ciotki było bardzo na rękę, dawało jéj bowiem przewagę w domu, zostawiało wszelką swobodę działania. Miała całą kasę w swoich rękach. Z początku rachunki szły akuratnie, powoli zaczęła nadużywać trochę, pod legalnemi pozorami: wiedziała, że jest jedyną krewną, że pierwéj czy późniéj zostanie sukcesorką; na karb przyszłego kapitału odbierała sobie mniejsze lub większe odsetki, stosownie do potrzeby — zawsze żyła z cudzéj łaski, a w tém, czy jéj dają, czy sama bierze, nie widziała wielkiéj różnicy. Owszem, czuła pewne zadowolenie, gdy wskutek nadmiernych wydatków ciotka znalazła się chwilowo w kłopotliwém położeniu pieniężném, ona zaś miała zawsze „swój," skrzętnie ukrywany zapasik, „prywatną kasę," zarezerwowaną na nieprzewidziane potrzeby.

— Niech się papużka podręczy! — myślała, spoglądając najspokojniéj na zirytowaną kobietkę.—Niech czeka, stara się, niech się nawet sfantuje tymczasem. Jedyny to kłopot dla jéj ptasiego mózgu i serca. Płacze ze złości, tém lepiéj. Ja nieraz płaczę z bólu, z poniżenia, a przecież jednakowe mamy prawo do szczęścia.

Większego jeszcze zadowolenia doznawała na wieść o skandaliku, krążącym pod wachlarzami na na rachunek jéj ciotki. To małe bóstwo mody i dobrego tonu było jéj solą w oku. Nie cierpiała téj ubóstwianéj ciotki, którą nieraz przez pieszczotę brała w ramiona i nosiła po pokoju jak dziecko. Równą sympatyą darzyła swój świat cały. Widziała śmieszność, głupotę, dumę bez miary, a zarazem drżała na samą

myśl, żeby kiedykolwiek wykluczona być mogła z zaczarowanego koła. Myśl ta dręczyła ją coraz rzadziéj; z latami jakiś dobry spokój otoczył serce. Kiedy ją doktor ujrzał tak doskonale wykończoną, zatarł ręce ze złośliwym uśmiechem, na razie jednak w żadne się kombinacye nie wdawał, zapytał tylko prosto z mostu:

— No, cóż? Nie wyszłaś pani za mąż? Czy w legionach wielbicieli sami tylko szeregowcy? Na odznaczenie żaden nie zasługuje? Szkoda! Chociaż to było do przewidzenia: zawsze przepowiadałem pani, że zmarniejesz tak, jak ja! Obojeśmy widocznie ciężko zgrzeszyli, przychodząc na świat. Zapisz się pani do jakiegoś bractwa... to przynosi ulgę w samotności.

Widział, że oblała się rumieńcem, poruszyła nozdrzami i w mgnieniu oka spokojną była jak posąg.

— Dusza jest jeszcze, nie wiadomo tylko, gdzie siedzi. W sercu nie była, w głowie... krótko; teraz może w pięty zemknęła, z wielkiéj pokory przed wielkopaństwem. Lepsze od niéj widziałem, piękniejszéj... nigdy, i dlatego zapomniéć nie mogę; zresztą, co do mnie, mogłaby być jeszcze gorszą, nie ożeniłbym się z nią, chociażby jedynie dlatego, że za mnie nie pójdzie!

Przyjeżdżał rzadziéj, bawił krótko, ale oka z niéj nie spuszczał, przy obiedzie szczególniéj, gdy z wielką finezyą wybierała kąski, smakowała sosy i, jak stary kuchmistrz, wydawała krytyczne sądy o każdéj potrawie. Kręcił głową z podziwienia, smakował, czasem mruczał do siebie:

— Ot, czémby ją dyabeł mógł pozyskać.

Słuchał daléj, ale ona i mówić długo nie lubiła; spoglądała dokoła, uśmiechała się, na zapytanie odpowiadała najczęściéj skinieniem głowy.

— A ja dla niéj chciałem świat do góry nogami przewrócić! Będę przynajmniéj milczał o tém. Uchodzę za znawcę natury ludzkiéj, za fizyologa w dodatku. Nie zrozumiałem, że jéj tylko dobra pasza potrzebną była. Słońca trochę, świeża woda w zdroju i spokój. Niechże mi teraz wróg mój winszuje ideału!

— Strasznie się pani zestarzała — powiedział jéj raz, gdy, zwrócona plecami do słońca, siedziała pod werendą, z białą różą we włosach, w czarnym koronkowym szlafroczku.

— *Vous travez?* Cóż robić! Nieuniknione prawo natury!

— Jak się to dochodzi w tak prędkim czasie do tak spokojnéj starości? Jakie trzeba przeskakiwać uczucia? Od jakich pokus stronić? Jakich wyżyn unikać?

— Trzeba się odrazu znaléźć na drodze rozsądku!

— To mądrze! Czy nie myślisz pani napisać biblii?

— Dla kogo? Cały świat zna tę drogę; rzadkie wyjątki mojéj biblii czytaćby nie chciały.

— To słusznie! Ziarno mądrości potrzebuje odpowiedniego gruntu. Pani mądrość przyjmie się tylko na gruncie suto mierzwą uprawnym. Tak bogatych natur niewiele. Znasz pani swój świat wyłącznie i dlatego tak pochlebnie sądzisz o ludziach.

Mógł sobie gadać jaknajdłużéj. Pani Nina bawiła się z pieskiem, targała go za uszy, przemawiała pieszczotliwie i z całéj tyrady nie słyszała niby ani sło-

wa. Wieczorem tylko nadmieniła ciotce od niechcenia, że ten tam Czyżyk, czy Dudek, staje się niemożliwym. Najakuratniéj zaszczyca ją rozmową, z widocznym zamiarem prawienia impertynencyj; należałoby go albo usunąć, albo przyjmować w określonym czasie, zrana, gdy przewietrzają pokoje, lub naznaczyć krótką wizytę po obiedzie. Ciotka śmiała się—ten poczciwy doktorzyna był jéj ulubieńcem. Przywiozła mu z zagranicy prześliczne album widoków alpejskich i kilka cennych osobliwości z Pompei.

Czyżyk bywał nadal—tylko już nigdy nie próbował rozmawiać z Niną. A jednak rozumiała go dokładnie, jak wogóle całą sferę intelligencyi, bardzo interesującéj zresztą. Ceniła talenta, sławę, w każdym kierunku; dawniéj, w chwilach samotności, zniechęcenia, żałowała, że nie ma pięknego głosu, ogromnego talentu poetyckiego, lub innéj jakiéjś, niezmiernie wybitnéj zdolności, którаby ją odrazu sławną i bogatą uczyniła. W salonie swoim, gdyby go miała, starałaby się przyjmować sławnych ludzi; mądrzy są mniéj szablonowi, urozmaicają towarzystwo. W Czyżyku ceniła charakter i umysł; gdyby nie był tak brutalnym, nie wdzierał się gwałtownie na stopę równości, usiłując na każdym kroku ściągnąć ją ku sobie — żyłaby z nim może w najlepszéj komitywie... Mogliby rozmawiać o wielu rzeczach, przechadzać się, pijać razem herbatę i jadać obiady; wyższe ukształcenie nadaje pewne prawa. Na odjezdnem ofiarowałaby mu swoją fotografię z ryzykownym podpisem „przyjacielowi,” albo „od dobréj znajoméj.” Chełpiłby się z okazanéj łaski, ale cóż to ją mogło obchodzić!

W Wiedniu widziała siebie wystrojoną obok jakiéjś śpiewaczki i oficera. Czyż mogła zabronić tłumom, aby się nie gapiły? Czasami nasuwał się domysł... podejrzenie. Prostowała się wówczas dumnie, z pogardliwym uśmiechem. Eh, jeszcze gdyby naprawdę była wielką, zrezygnowałaby może kilka chwil nudnych... Ci ludzie miewają czasami dzikie popędy, a to śmiesznie... Stanąć nad przepaścią, wpatrzyć się w głąb, aż do zawrotu głowy, i w krytycznéj chwili odejść spokojnie na herbatę....

Niebezpieczeństwo takie miało dla niéj wiele uroku, przypłaciła je w końcu zerwaniem z ciotką raz na zawsze, spaleniem głównego mostu, który ją z wielkim światem łączył. Bo chociaż papużka niczego się nie domyśla, na odjezdnem uściskała ją najserdeczniéj, prosząc o śpieszny powrót. P. Nina zgrzyta zębami na samo przypuszczenie, że kiedykolwiek mogłaby się znaléźć w domu, gdzie ją spotkała najcięższa zniewaga. Wuj, którym ją raptownie niebo obdarzyło (oh, nie przypuszcza nawet, że umie tyle słów mizernych na określenie tego człowieka), ten... wuj!—był chwilowo jéj narzeczonym. Traktował ją odrazu jak rezydentkę, jeśli nie gorzéj; przez parę miesięcy, od czasu jak bywał u nich, nie przemówił ani słowa; witał i żegnał od niechcenia. Omal że nie kazał podawać sobie wody lub ognia do cygar. Raz, gdy ją spotkał w pustym saloniku, przechylił się i pocałował w szyję. Skamieniała z oburzenia!

— Obraza majestatu! — szepnął; zaśmiał się i odszedł, nie spojrzawszy w jéj stronę.

Zrazu myślała, że jéj serce pęknie z wściekłości, z pogardy. Pobiegła do ciotki i... zlękła się skandalu.

Widywała go nadal w salonie, w towarzystwach; ani na jotę nie zmienił swego postępowania. Czasami skinął głową poufale, uśmiechnął się, jak dobréj znajoméj; przez kilka dni późniéj udawał, że jéj nie widzi— nawet afrontu zrobić nie mogła, gdyż wcale na nią nie zważał. Wówczas to poczuła całą bezsilność samotnéj, opuszczonéj i... spragnionéj wrażeń kobiety! Z nienawiści zapewne, myślała o nim bez przerwy. Podsłuchiwała głos jego pode drzwiami, albo z ogrodu spoglądała w oświetlone okna salonu, kiedy był z wizytą u ciotki. Dusza w niéj zmalała, osłabła dziwnie. Zawstydzona, z nieznaną dotąd trwogą, wracała kilkakrotnie do pustego saloniku. Zatrzymywała się na pamiętném miejscu... W końcu zdawało jéj się, że w błyskotliwém lecz chłodném życiu ta jedna chwila owianą była tchnieniem prawdziwego ognia!... Gdy w końcu zaczął z nią rozmawiać, odpowiadała stłumionym głosem, w którym było może wszystko, oprócz dumy, pogardy, żalu lub gniewu. Rozmawiali coraz częściéj; gdy byli sami, brał jéj rękę, kładł na dłoni, oglądał każdy palec zosobna, chwalił kształt i delikatność skóry, końcem buta uchylał rąbek sukni, żeby lepiéj obejrzéć bardzo zgrabne nogi, dwoma palcami dotykał włosów koło szyi, rozmawiał przytém swobodnie o nowéj operze, o pogodzie i t. d.

Nie wiedziała nawet, czy jest mądry czy głupi, dobrze czy źle wychowany... Czuła tylko, że wywiera na nią wpływ coraz silniejszy. Raz, podczas takiego sam-na-sam, powiedział, że ma zamiar się ożenić, patrzył jéj przytém w oczy uważnie. Oblała się rumieńcem, serce zakołatało—zmieszana, czekała jeszcze chociaż jednego słowa. Wstał, pocałował ją w czoło i od-

szedł. A więc zmieszanie przyjął jako przychylną odpowiedź. Zresztą, nie była pewną, czy się oświadczył. Cały stosunek wytworzył dziwny chaos w jéj pojęciach, w całéj naturze, dotąd tak bardzo systematycznéj. W parę dni potém wiedziała już, że ma porządny majątek na Litwie, obszerne koligacye, że jest dzielnym gospodarzem, ale od czasu do czasu lubi puścić kawałek grosza na różnorodne przyjemności; obliczyła, że kilka tysięcy, pozostałe z ojcowskiéj fortuny, wystarczą jéj na wyprawę; pod sekretem przejrzała swoje i ciotki koronki, biżuteryę i bieliznę. Odurzona jakaś, z trwogą i niecierpliwością czekała, kiedy raczy zbliżyć się do niéj i przemówić ostatecznie. Zcicha, przed sobą, nazywała go swoim narzeczonym. Wtém roztrzpiotana papużka wpadła raz o północy do jéj pokoju, różowa, z błyszczącemi oczyma.

— Wiesz? popełniam głupstwo! Wychodzę za Brońca! Dziwny człek! Przez trzy miésiące mówił ze mną trzy razy, dziś oświadczył się i jestem zakochaną! Oh! moje postanowienia! Nino, radzę ci, nie postanawiaj nic nigdy. To nie kobieca rzecz! Jeśli ja nie wytrwałam, nie wytrwa żadna!

Piorun nie zdołałby silniéj wstrząsnąć jéj duszy! Milczała; na odpowiedź brakło słów i głosu. Wyjechać natychmiast nie uchodziło. Po ślubie, ciotka, zajęta nowym mężem, nie stawiała żadnéj przeszkody. Nowy wuj, usłyszawszy o projekcie, zdziwił się trochę; oboje spodziewali się rychłego powrotu.

— Kiedyż wrócisz? — spytał ją na odjezdnem, sprowadzając po schodach do karety.

Zmierzyła go szyderczém wejrzeniem.

— Bez komedyi! Znamy się przecież!—odrzekł, rękę jéj zlekka ramieniem przyciskając.

U drzwiczek powozu raz jeszcze powtórzył: „Czekamy”—jak gdyby wyjeżdżała na spacer. Był to bezczelny nikczemnik! Przez całą drogę łzy miała w oczach. Złagodniała, przycichła; na widok opuszczonego domu szyderstwo i pycha odżyły wprawdzie, na dnie duszy budziły się inne uczucia.

— Może lepiéj byłoby pozostać tu na zawsze.... Wieczna łaska... to okropne! Byłabym u siebie, chociaż na szkaradnych śmieciach... Wstrętne to, ponure jak grób zapomniany — rozmyślała nazajutrz, zaglądając do wszystkich kątów.

Na drugiéj stronie było mieszkanie do najęcia, zamówione już na biuro policyjne... Wejście od drugiego podwórza, ale zawsze... tacy sąsiedzi... to niemożliwe!

Wybrała się na wizyty; w kostiumie z ciemnozielonego aksamitu, w takimże kapeluszu z popielatém piórem wyglądała młodo i ładnie. Deszcz prószył; gęste chmury zapowiadały długą niepogodę. Jan sprowadził karetę z hotelu, przywdział piaskową liberyę, kapelusz z galonem, usiadł na kozłach; wyjechała z trochę lżejszém sercem, wysławszy uprzednio parę biletów do znajomych mężczyzn z oznajmieniem o przyjeździe. Miała przeczucie, że wizyty spełzną na niczém: babka, jakaś tam cioteczno-stryjeczna, ciężko chora, nie przyjmowała nikogo; dwie ciotki nie wróciły jeszcze ze wsi... Przejeżdżając ulicami, spoglądała przez okno na stare domy, wązkie chodniki, na przechodniów powolnych, przygnębionych, jakby każdy z nich stopudową kulę ciągnął za sobą. Brak ru-

chu, życia; miasto samo jakieś ubogie, nudne. Wolała wieś, chociażby nawet niezbyt paradną.

— Lolutek czeka już pewno—pomyślała z krzywym uśmieszkiem; do tego plotkarza posłała umyślnie, żeby się o wszystkich cośkolwiek dowiedzieć. Nie zawiodła się: ten nie dał czekać na siebie.

Stary kawaler, łysy, z czarną brodą, niegdyś bardzo piękny i bardzo majętny, gonił resztkami fortuny i zdrowia. Zjadł kilka sukcesyj, parę jeszcze miał w perspektywie—nie tracił tedy animuszu, pomimo chwilowych kłopotów. „Lolutkiem" zwali go starzy niegdyś towarzysze wesołego życia; u młodych, wchodzących w świat, téż się „Lolutkiem" nazywał. „Lolutek!" wołali za nim ulicznicy, łobuzy, był bowiem niezmiernie popularnym, dzięki paltotowi szlafrokowéj formy, dżokiejskim czapeczkom, żółtym butom i t. p. Z kobietami żył na wyjątkowéj stopie: traktował wszystkie jak podlotki, wszystkie nazywały się u niego „caceczka," „minionki," „pieszczotki," całował po rączkach, zaglądał w oczki, szeplenił przytém, szczebiotał, jakby do niemowląt. Miał przywiléj szeptania do ucha, prawienia pieszczotliwych grzecznostek, opiekowania się każdą zosobna i wszystkiemi razem. P. Nina traktowała go z początku trochę z góry, wkrótce jednak potrafił ją pozyskać. Jak lew zażarty rzucał się na jéj chusteczkę, wachlarz—w razie potrzeby szukał, przynosił, podawał. O mało nie szczekał, gdy ktoś dotknął powierzonego mu przez nią przedmiotu, a jednocześnie drwił zcicha, mrużąc oczy figlarnie. Za salonem nazywał ją „*cette petite*" i utrzymywał, że się watuje.

Otrzymawszy bilecik, pewny był, że przyjechała wraz z ciotką i nowym wujem. W pół godziny miał już na sobie najnowsze spodnie, popielate w kraty, czarny żakiet i białą kamizelkę. W mieście panowały kamedulskie nudy. Przybycie tak miłych osób było istném zmiłowaniem bożém. Zawczasu tedy marzył o powiewie z szerszego świata, o ślicznéj, niezrównanéj cioteczce... Układał w myśli pieszczotliwo-swawolne powinszowania „młodym" małżonkom. Zaaferowany, z podjętém ramieniem, z parasolem w ręku, biegł przez ulice, uśmiechając się zdaleka do otwartéj bramy, do szarego domu w głębi podwórza. Wpadł w bramę. Posuwistym krokiem przebiegł już połowę dziedzińca, gdy go stróż wstrzymał lakoniczném:

— Panienka wyjechała!

— A pani?

Usłyszawszy, że nie przyjechała wcale, Lolutek spoważniał, brwi ściągnął, zrobił się naraz wyniośle sztywnym; do „téj tam jakiéjś" nie śpieszyłby się wcale... Podał bilet i odszedł zwolna, jak gdyby mu naraz z dziesięć lat przybyło... Był to pierwszy i ostatni z odwiedzających: przez dni następne ani żywy duch nie zajrzał do bramy. P. Nina wmawiała w siebie, że jéj to wcale nie dziwi, a na lada turkot w ulicy podchodziła śpiesznie do okna. Powóz jechał gdzieś daléj. Powoli ogarniała ją szydercza drażliwość; męczyła siebie złośliwemi uwagami, a im więcéj ściskało się serce, tém zgryźliwiéj określała swoje położenie.

— Wesołe mam życie przed sobą... Samotna, zapomniana, bawię się w panią i czekam zaprosin od krewnych, którzy nawet w najlepszych moich czasach spoglądali na mnie przez ramię... Och! wolałabym bez

rąk się urodzić, niźli przez całe życie wyciągać je po jałmużnę!... Ani jednego przychylnego serca! Nędza i opuszczenie!... albo łaska, no... albo śmierć!...

O zmroku, kiedy wśród głuchéj ciszy pustych pokojów przesiadywała całemi godzinami w ciemnym kącie, myśl o śmierci nasuwała się coraz częściéj. Jedna ciężka chwila—i wszystko skończone. Niczego się nie spodziewała, za niczém nie tęskniła. Zamknięta w téj spleśniałéj skorupie, mogła wyschnąć na mumię, albo skonać od silniejszego drgnienia serca.

Ponure te marzenia przerywała nagle myśl inna, z weselszego świata.

— Czy téż ci, co snują się koło bramy, co spoglądają w głąb podwórza, przeczuwają, że w szarym, opuszczonym domu z ciemnemi oknami, żyje i cierpi kobieta... ładna, wytworna i ponętna? — dodawała cichutko.

Romantyczną nie była; mimowoli jednak porównywała siebie do zaklętych księżniczek, szczególniéj, kiedy, otulona szalem, przechadzała się zwolna po ogrodzie, ciągnąc ogon niebieskiego szlafroczka po ścieżce, zżółkłemi liśćmi usłanéj. Zasłużyła na to cierpienie obojętnością względem rycerzy... Wprawdzie nie dobijano się nigdy ani o jéj rękawiczkę, ani o całą rękę nawet — wszakże mniéj dumy, więcéj zalotności, ułatwiłoby życie; dziś miałaby chociaż starego męża i byt niezależny.. Teraz — napisała powtórnie do kuzynek na wieś, namyślając się przytém, czy nie należałoby pojechać saméj, nie czekając zaproszenia.

— Wózek żydowski najmę; ze skrzynką, z tobołkami, pojadę prosić o przytułek... Pysznie!... Warto było żyć lat trzydzieści, żeby się doczekać tak świetnéj przyszłości!...

Z marzeń mniéj lub więcéj ponurych zbudziła ją dotkliwa rzeczywistość: Jan, usłużny, nadskakujący w pierwszych dniach, wkrótce zaczął się zaniedbywać. Znikał zrana, około południa podawał zimny samowar, na obiad musiała chodzić do restauracyi, wieczorem nie pokazywał się wcale... Gdy raz, czekając do późna na światło i herbatę, poszła przez ciemny kurytarz do kuchni, przez uchylone drzwi ujrzała stróża i Jana przy stole, którzy zapijali herbatę, dolewając do szklanek to z czajnika, to z wrzącego samowara. Lampka ścienna oświecała ich siwe głowy; samowar buchający parą, chleb, szklanki, kilka kawałków cukru i bułki na talerzu, widocznie dla niéj przeznaczone. To jeden, to drugi ściskał w palcach bułeczki, wybierał lepszą, inne zostawiał na talerzu.

— Siedzi sama, jak wilk? — mruknął stróż pytająco.

— A siedzi... Bodaj ją choroba!... Wczoraj dwa złote wydał, onegdaj złotówkę, a pierwszego dnia, jak przyjechała, za karetę zapłacił własnemi pieniędzmi. Jéj to ani w głowie... akurat jak gdyby do swego królestwa przyjechała. Bez grosza przy duszy widać, czy jakie licho?... A mnie co do tego? Z palca dla niéj nie wyłamię. Jutro na cały dzień pójdę z domu, niech szelma zębami dzwoni!...

Stróż coś tam dodał od siebie, ale daléj już nie słuchała. Cichutko, unosząc ogon szlafroczka, wróciła do pokoju. Tegoż wieczora jeszcze zwróciła Janowi należność i dała rubla na piwo. Trzeba było mrzonki odłożyć na stronę i pomyśléć o życiu. Z resztek kapitału tymczasem nie mogła dostać ani grosza, za stroje kosztowne nie otrzymałaby nic prawie, a przytém fanto-

wać się nie było racyi: biżuterya przedstawiała pewną wartość, i tę spienięży częściowo. Żal, rozdrażnienie, marzycielstwo skupiły się w niéj naraz. Przez dni następne zaprzestała układać misternie włosy, przepinać złotą strzałą; w ciepłym szlafroczku, w pantoflach, z warkoczem splecionym niedbale, rozbierała rzeczy, gatunkowała droższe i tańsze stroje, oglądała kosztowności, pochylona nad kufrem, grzebiąc się przez parę godzin w różnych koronkach i jedwabiach; a jeśli podniosła głowę i spojrzała w lustro, odwracała się niechętnie.

— Jak ja postarzałam przez te dni kilka! strasznie postarzałam!—rozmyślała przerażona.

Ściągnięte brwi, ostry wyraz oczu, pasma włosów spadające niedbale, stary szlafroczek i przydeptane pantofle zmieniły ją do niepoznania. Chwilami rzucała zajęcie i, jakby chcąc się rehabilitować we własnych oczach, poprawiała włosy, przymierzała koronkowe zarzutki, grzebienie, misterne kokardy ze wstążek i aksamitu.

— Wszystko to głupstwo! Raz przecie trzeba z tém skończyć!...

Wytworne drobiazgi szły na dno kufra, robota zaczynała się na nowo.

W roku zeszłym w Montreux poznała i zbliżyła się z bardzo wykwintną przełożoną jakiegoś zakładu dobroczynnego w Paryżu. Była to stara panna, księżniczka, suchotnica, ze śladami wspaniałych wdzięków. „*Beau-monde*" otaczał ją szczególniejszemi względami, mężczyźni podnosili się z miejsca, damy milkły, albo uśmiechały się uprzejmie, kiedy się do nich zbliżyła; było w niéj coś świętego i wielkopańskiego zarazem; miała lokaja w czarnéj liberyi ze srebrnemi guzikami,

ubierała się czarno, z wielkim gustem i wielką również prostotą. Czarna liberya, czarny strój, dziwnie przypadały do czarnego usposobienia p. Niny. Myślała o tém już od dni kilku, układając zarazem, czy sama nie mogłaby zająć podobnego stanowiska, nie tu, nie w tém mieście, ale w Warszawie naprzykład? Wszak zakłady dobroczynne być muszą. Pamiętała dokładnie, jak nieraz ciotka dawała pieniądze Czyżykowi na jakieś stowarzyszenia, ochronki. Ah, ta papużka dałaby nawet na stowarzyszenie złodziei, byleby Czyżyk za niém przemówił!... Otóż zakłady takie być muszą; potrzebuje tylko dowiedzićć się o warunki, o mieszkanie przeważnie, żeby to przyzwoicie wyglądało... kilka pokoi, szwajcar i ładne schody. Zajmie się czémś, będzie miała stanowisko.

Myśl ta coraz wyraźniejsze przybierała kształty. Trudności nie przewidywała żadnych, o zajęciu nie miała pojęcia. Wiedziała zawczasu, że wszystko się ułoży. Uwag, rad od nikogo zasięgać nie myśli; zaradzi sama, byleby wiedziała, jak zacząć, gdzie się udać. Czyżyk o tém musi wiedzićć najlepiéj; myślała o nim nieraz podczas dni ostatnich. Pisać do niego nie chciała... możeby i on nie przyszedł? Pójdzie sama; wszak chodzi już do restauracyi codziennie, wkrótce może po chleb i mięso sama chodzić zacznie. Ogarnęła ją poważna rezygnacya, chodziła wolno, z głową pochyloną na piersi, od czasu do czasu wzdychała głęboko. Pogrzebała świetność, z przyszłością jeszcze żadną nie weszła w ostateczne układy.

Myśląc o tém, dłonią przygładzała włosy nad czołem, wznosiła zlekka oczy do góry. Z prostotą w ubraniu będzie jéj bardzo ładnie. Zawsze miała

skłonność do poważnego życia; teraz z największą przyjemnością usunie się od świata. Do klasztoru wstąpićby nie chciała, ale coś między jedném a drugiém.

Idąc do Czyżyka, ubrała się czarno, skromniutko; w twarzy miała powagę i niewinność zarazem, wyglądała na przełożoną aniołków w niebie. W obcisłym staniku, za czarną woalką, sięgającą do końca nosa, odmłodniała o lat dziesięć; na ulicy przechodnie oglądali się za śliczną panną, któréj strój, ruchy i figura zwróciłyby uwagę w stolicy świata. Kamienicę znała dokładnie; zatrzymywały się tu nieraz z ciotką, czekając w powozie na Czyżyka; wybrała umyślnie południową godzinę, żeby go zastać w domu. Tak bardzo była zajęta sobą, nowemi zamiarami, że dopiero zbliżając się do mieszkania, zaczęła myśléć o Czyżyku. Pewno się ożenił, skapcaniał ostatecznie; na pierwszym wstępie przedstawi jéj swoją żoneczkę, zwykły egzemplarz mieszczki z pretensyami do lepszego tonu. Mają salonik z fortepianem, z firankami, z kwiatkami, gromadkę dzieci w białych fartuszkach, z brudnemi nosami. Pani sadzić się będzie na styl wyszukany, poczęstuje może konfiturami własnéj roboty. Oh, to mieszczaństwo, tyjące w ciasnych ścianach skromnego dobrobytu, spokojne i tak bardzo nudne zarazem! Udusiłaby się w ich sferze; wolałaby zostać hecarką w cyrku, albo przełożoną dobroczynnego zakładu.

Stara, sklepiona brama, szerokie schody, niezbyt czyste, w końcu drzwi mieszkania, obite dokoła wojłokiem, przedstawiały się bardzo skromnie; bronzowa tabliczka na drzwiach oznajmowała, że doktor Piotr Czyżyk przyjmuje od 5—7-éj. Była czwarta zaledwo; wizyta nie potrwa długo. Zadzwoniła. Magda, w wa-

towanym kaftanie, przepasanym fartuchem, otworzyła drzwi, obejrzała od stóp do głowy piękną panią; oznajmiwszy, że pan je obiad, uchyliła drzwi do gabinetu. Wielki, żółty pokój, z zielonemi meblami, z wytartą podłogą, okna bez firanek, bez storów nawet; jesionowe szafy z książkami, jakieś pudełka z maszynami na stolikach, pośrodku biurko z powysuwanemi napół szufladkami. Jasno tu, żółto i zielono zarazem, a tak prosto, ubogo, że p. Nina stała chwilę u progu, niepewna, czy ma tu zostać, czy znów gdzieś daléj jest pokój dla przyzwoitszych gości. Przysiadła na brzeżku sofy, oglądała się, zdziwiona zbyteczną prostotą; żeby chociaż jeden obrazek na ścianie!

Przez otwarte drzwi w drugim pokoju widzi duże lustro między oknami, siatkowe krzesła; cisza; pachnie smażoném masłem; brzęk łyżek i talerzy dolatuje chwilami. Co mu powie? w jakiéj formie? Oznajmi odrazu po co przyszła? czy może potém, tak jakoś w rozmowie? A może o sobie nie wspominać wcale, wymienić jakąś kuzynkę, która przez kaprys... przez filantropię?... Naraz straciła wszelką chęć do szczeréj rozmowy, pożałowała nawet, że przyszła... Przebiegły, domyśli się odrazu.... gorzéj, niż jest!... Wie już zapewne o ślubie téj papużki... teraz, kiedy mu nadmieni tylko o jakiéjś pracy... zajęciu... Jest to najgłupszy projekt, jaki kiedykolwiek powstał w jéj głowie. Może nawet cierpiéć nędzę, ale uchodzić za nędzarkę—nigdy. Powie mu, że jest cierpiącą...

Biegł już przez sąsiedni pokój, stanął we drzwiach; ujrzawszy ją, zbliżył się wolnym, ociężałym krokiem. Podali sobie ręce, usiadł obok niéj na krześle i jakoś

w pierwszéj chwili z dziwnym hazardem chustkę z kieszeni surduta dostawać zaczął.

— Pani co porabia?... mam zaszczyt...—mruknął, wciąż chustki w kieszeni szukając.

— Chorą jestem, doktorze.

Spojrzał na nią, ręce na kolanach położył, o chustce zapomniał na chwilę.

— Tak, chorą jestem — mówiła z rezolutnym uśmieszkiem; podniosła głowę, spoglądając na niego wesoło. — W tém nieznośném domisku musiałam się reumatyzmu nabawić.

— A! reumatyzm! być może, dlaczego nie? bardzo dobrze, więc cóż?... ja mogę...

— Możesz zelektryzować; dlatego téż przyszłam sama, utrudzać ciebie wraz z maszyną, to podwójny ambaras.

— Naturalnie, dwie maszyny naraz, to zadużo. No, więc pani ma reumatyzm? dawnoż to? co? jak? mów pani sama, bo ja, przyznam się, bywam roztargniony trochę; gdy spotkam starych znajomych, to o medycynie zapominam.

Ten zwrot do znajomości zmieszał ją nieco; miała zamiar pomówić o chorobie, pożartować i wyjść tymczasem, przy drugiém spotkaniu resztę załatwiłoby się może, chociaż wobec tego gbura w szaraczkowym surducie, w szerokich spodniach, ciężkiego, poważnego jak niedźwiedź, zamiary jéj pierzchły niby mgła; zacznie majaczyć, namyślać się, gotów jeszcze powiedzićć, że to niemożliwe. Ona skompromituje się prośbą i odejdzie z niczém. Lepiéj już zapłacić mu parę rubli za radę; w portmonetce miała tylko kilka srebrniaków; zarumieniła się zlekka. O ciotce, o sobie

opowiedziała mu pokrótce to i owo; słuchał i patrzył jéj w oczy uważnie.

— Babka wezwała mię listownie, musiałam przyjechać—mówiła z ładnym grymasem—trochę dla interesów majątkowych, trochę z obowiązku.

— Dawno pisała do pani?

— Przed tygodniem. Biedaczka, był to zapewne ostatni jéj list, ma się coraz gorzéj.

— To cud! Ona od trzech miesięcy ma sparaliżowany mózg i ręce, testamentu podpisać nie mogła.— Zamilkł; dostrzegł, że się zmieszała, spuściła oczy. — Więc pani tu przelotnie? — dodał śpiesznie — czy na długo?

— Za parę dni wyjeżdżam na wieś — odrzekła spokojnie. — Dziś przyjechała po mnie kuzynka z Ostrowa.

— Pani Wacławowa?—spytał z widoczném zdziwieniem. Odwrócił głowę i szukał cygara na biurku.

Zrozumiała, że złowił ją na drugiém kłamstwie; uśpiona duma przebudziła się raptownie. P. Nina zagryzła usta; w mgnienia oka była już sobą, zupełnie spokojna, uśmiechnięta, zapytała o kilka osób, wspólnych znajomych; odpowiadał i oglądał cygaro zarazem, jakiś roztargniony, jakby niechętny, o mało że nie spoglądał na zegarek; odsuwał szufladki w biurku, przerzucał papiery. Zrozumiała, że się jéj chce pozbyć; nozdrza zadrgały po dawnemu, parę razy spojrzała na niego gniewnie.

— Gdzież się ten reumatyzm umieścił? — spytał naraz. Słyszała wyraźnie ironię w głosie. Wyprostowała się, chciała odejść.—W rączce zapewne? Pokaż pani tę swoją rączkę.

Podała mu prawą rękę w długiéj, obcisłéj rękawiczce.

— Cóż jéj jest? łamanie? ból? odrętwienie może?— mówił, ściągając zwolna rękawiczkę.—Pacyentka zbyt delikatna, wilgoć z perfum mogłaby jéj zaszkodzić— szydził z krzywym uśmiechem. Położył to pieścidełko na dłoni, patrzył jak na osobliwszy okaz. — Może to zapomocą tłuszczu z takich rączek złodzieje usypiają czujność, nawodzą sen na oczy najtrzeźwiejszych śmiertelników?

Żywa ręka działała jeszcze skuteczniéj; doktor drętwiał zwolna, i tylko gdy p. Nina osunęła ją niecierpliwym ruchem, ocknął się, podniósł głowę.

— Elektryzacya zbyteczna; dam pani domowy środek wyborny, wypróbowany: przedewszystkiém, wyjeżdżając na wieś, zamknij pani chorobę w wilgotném domisku! Lekarstwem będę służył w téj chwili, a dla porządku zapiszę receptę. — Pochylił się nad biurkiem.

Czuła, że jéj nie wierzy, że zrozumiał zmyśloną chorobę, drwi z niéj, a zarazem gubi się w domysłach, co ją tu sprowadzić mogło. W istocie, była waryatką, szaloną, z głupiém jakiémś urojeniem przyszła do człowieka, który tyle już razy szydził z niéj, wykazując najdrobniejsze wady i śmieszności. Obłęd jakiś przywiódł ją tu. Samotna, w chwilowém zwątpieniu straciła resztę godności, wpadła w śmieszną egzaltacyę. Dziwactwa tego nigdy sobie nie przebaczy. Umyślnie, dobrowolnie spotkała się z tym, najwstrętniejszym dla niéj człowiekiem. Nigdy jeszcze nie czuła do niego takiéj nienawiści. Zdawało się, że żółć, nagromadzona przez parę tygodni starganego życia, teraz dopiero

znalazła ujście. Żebyż przynajmniéj mogła mu rzucić kilka rubli za ten szpargał! potrzebowała być niegrzeczną, wybuchnąć w impertynenckim, jeśli nie w spazmatycznym płaczu. On ani się domyślał tych uczuć, co niby iskry elektryczne przebiegały po skołatanym, skapryszonym umyśle znerwowanéj kobiety. Receptę złożył we dwoje, odsunął krzesło.

— W téj chwili flaszeczkę przyniosę — rzekł.— Jest to wyborny, trochę szczypiący środek; na sukno kilkadziesiąt kropel, wcierać mocno przed zaśnięciem; po kilkakrotném użyciu będzie pani zdrowiutka.

Wziął zapalone cygaro i wyszedł do drugiego pokoju. Tu, pośrodku, na dużym stole, flaszeczek i słoików stało kilka. Dotykał, posuwał drżącą ręką. Stanął, dłonie na stole oparł i patrzał osłupiałym wzrokiem. Był strasznie głupim podczas całéj wizyty. Zaskoczyła go tak niespodzianie. Widział, przeczuwał, że przyszła w interesie jakimś; on, zamiast rozmówić się po ludzku, zachęcić, wybadać, palnął głupstw parę, jak pijany szewc, a teraz, w dodatku, nie wie, po co tu przyszedł... aha! po flaszkę. Czego ona mogła żądać? W czém on, najnieszczęśliwszy z ludzi, który przez tyle lat jak bezsilny dzieciak szamoce się z własną naturą, z tym obłędem szczególnym, w czém on jéj dopomódz może? Usługami, radą, dobrém słowem gardziła zawsze. Czyżby teraz, kiedy on już oddawna pożegnał wszelkie swoje pretensye i żale do szczęścia, oswoił się z szarym losem, czyżby teraz miał jeszcze dobrą, serdeczną chwilę, w któréjby ona podała mu dłoń przyjacielską za jakąś drobną usługę? Niechby już tam sobie potém jeszcze samotniéj, jeszcze ciemniéj było w życiu... i tak już do grobu niedaleko.

Przesunął ręką po czole. Powoli, nieśmiało zwrócił głowę do lustra, gdzie widział cały gabinet z sofą i biurkiem. Patrzał, głowę podniósł, oczy otwierały się coraz szerzéj. Zdziwienie, strach jakiś, potém najwyższy niesmak odbiły się kolejno na twarzy. Patrzał daléj z pod brwi zsuniętych ponuro. Przy biurku stało widmo wspaniałe, poważne; rozejrzało się śpiesznie po gabinecie, na drzwi jego pokoju zwróciło wzrok przerażony, twarz wydłużyła się, usta i nozdrza drgały; prawą rękę oparła na krawędzi, wciąż w drzwi wpatrzona, lewą do otwartéj szufladki wsunęła i śpiesznie, jakby po dotknięciu rozpalonego żelaza, cofnęła, opuściła ją wzdłuż sukni pod stołem. Wyprostowana, z podniesioną głową, wpatrzyła się w okno. Doktorowi zdawało się, że słyszy, jak w piersiach jéj wzburzone serce uderza gwałtownie. Czekał, zanim się uspokoi. Stała nieruchoma, z zaciśniętą pięścią. Wrócił nareszcie.

— Oto lekarstwo — rzekł. Nie patrzył na nią i ona oczu od okna nie odwracała.

— Dziękuję. — Jedną ręką przyjęła flaszeczkę, drugą rzuciła na stół papierek. — *Pour les pauvres* — dodała, siląc się na uśmiech. Zbladła, głowę śpiesznie ku drzwiom zwróciła.

Doktor zerknął na stół. Zmięty papierek był kawałkiem różowéj bibuły, którą przekładał różnorodne banknoty w biurku. Udał, że nie spostrzegł omyłki.

— A więc do jutra, czy kiedy pani rozkaże?—zawołał wesoło, swobodnie, idąc obok niéj ku drzwiom.— Tylko nie unoś się pani zbyteczną delikatnością; ja zawsze na rozkazy, z maszyną, czy bez maszyny, wier-

ny sługa, niewolnik, przyjaciel, a przedewszystkiém dobry znajomy, z którym nie należy robić ceremonij.

Drzwi jéj otworzył, kłaniał się i śmiał, ale ani słowa, ani wejrzenia zdobyć nie mógł; zdawało mu się, że czuł, jak tłumiła oddech. Przy drzwiach zachwiała się. Po chwili zbiegła szybko ze schodów. Przez okno widział, jak wsiadła do dorożki, chusteczkę przycisnęła do oczu.

Nazajutrz otrzymał bilecik:

„Wracam do ciotki; przez długie lata takem do niéj przywykła, że nawet chwilowe rozłączenie staje się dla mnie męczarnią. Z rad szanownego pana nadal korzystać nie mogę, za wczorajszą serdeczne dzięki. Byłam śmiesznie roztargnioną, o czém się szanowny pan przekonał zapewne po mojém wyjściu. Dziś, o ile mogę, naprawiam omyłkę. Z uszanowaniem i t. d."

Do biletu dołączono dziesięciorublowy papierek, kolorem przypominający nieco różową bibułkę.

— A więc teraz już na zawsze!—mruknął Ezop.— Ciekawym, czy téż teraz, spotkawszy ją jeszcze za lat dziesięć, zdobędę się na przyzwoitą obojętność? Chyba, że oślepnę do tego czasu, albo ona zeszpetnieje ostatecznie.

Bilecik schował. Była to jedyna od niéj pamiątka.

SCYZORYK.

Przeczuwałem, iż podarek ten ściągnie burzę na moją głowę...

Nie należało przyjmować tak kosztownéj rzeczy od ubogiego urzędnika, którego widywałem tylko w przedpokoju, kiedy przychodził do ojca z papierami albo z zieloną księgą pod pachą.

On sam nie dowierzał widocznie, że przyjmę. Kłaniał się nizko, bełkotał coś z pokornym uśmiechem; a kiedy wziąłem z rąk jego safianowe pudełko, znikł za drzwiami, jakby się lękał, żebym mu go napowrót nie oddał. I oddałbym każdą rzecz inną... tego — nie mogłem.

W pudełku, wyłożoném szafirowym aksamitem, znajdował się kryształowy kałamarz ze złotym kołpaczkiem, kilka drobiazgów ze słoniowéj kości, a w oddzielnym przedziale scyzoryk w konchowéj oprawie ze złotemi gwiazdami. Pyszny scyzoryk! Po jednéj stronie kilka błyszczących nożyków, po drugiéj korkociąg, wykłuwaczka i pieczątka. Ścisnąłem go w dłoni, serce uderzało radośnie—byłem trzecioklasistą i pier-

wszy raz w życiu otrzymałem prawdziwy, ciężki, duży scyzoryk.

Tylko ten urzędnik, wychodząc, miał taki szkaradny uśmiech... Kiwnął mi głową, jakby na znak porozumienia... Cherlawy jakiś, rudy, z twarzą wydłużoną jak u lisa... chytry bestya! widać to z biegających oczu; wśliznął się tak rano, cichaczem, i przyniósł to właśnie, o czém tak dawno myślałem... scyzoryk! najpiękniejszy chyba, jaki jest w mieście!

I zkąd mu to przyszło? Nie mówiłem z nim nigdy ani słowa, nie patrzałem nawet na niego. W ten dzień, jako w dzień imienin moich i ojca, otrzymałem kilka oryginalnych podarków... olbrzymi samowar, pyszne bobry, z których na moją małą figurę można było wykroić cztery paltoty i jeszcze zostałoby na czapkę dla ojca, dywan, wazony i t. d. Podarki te pochodziły od rozmaitych osób, mających interesa z ojcem, który był dyrektorem poważnéj instytucyi. Kochał on mnie jako jedynaka, a ludzie o tém wiedzieli; kobiety nawet zalecały się przeze mnie do niego, był bowiem wdowcem i, pomimo siwych włosów, jeszcze bardzo pięknym mężczyzną. Więc ten biedak może zapomocą scyzoryka chciał względy pozyskać... zabawny! Wprawdzie zarówno jak bobry i samowar, kałamarz, pióra, nożyki, scyzoryk nawet wyglądały zapoważnie, jakby nie dla mnie przeznaczone... duże, ciężkie, mogły figurować na biurku stowarzyszonych dyrektorów.

No, ale już tego nie oddam. Wolałbym tylko, żeby podarek pochodził od kogoś innego... jak ojciec się dowie, będzie bieda. On od tych... tam przyjmował tylko płaszcze i kalosze, gdy mu przy wyjściu podawali...

Niepokój ogarniał mię coraz większy... wyłaje i każe oddać, byłem tego pewny. Przez chwilę namyślałem się, czy nie należałoby zawczasu schować scyzoryka? O kałamarz i drobiazgi mniéj dbałem, kłamstwo wykryje się z czasem, a wtedy będzie jeszcze gorzéj.

A panna Anna? Téj bodaj więcéj się bałem niż ojca. Była to zarządzająca domem i moja opiekunka zarazem. Piękna brunetka z czarnemi oczyma, sztywna, milcząca, ale baczna na wszystko, co się u nas działo. Widziałem nieraz, jak, słuchając z drugiego pokoju rozmowy ojca z gośćmi, wzruszała ramionami i uśmiechała się złośliwie; dziś, kiedy pokazywałem jéj jeden za drugim kosztowne podarki, patrzyła na mnie surowo, ostatnich już nawet nie miałem ochoty pokazywać. Miała zawsze tak pogardliwą minę, jak gdyby z łaski albo z ostatecznéj biedy żyła z nami. Wymówki nie zrobiłaby żadnéj, bo wogóle przemawiała rzadko— ale to spojrzenie badawcze, zaciśnięte usta, to nieznaczne wzruszenie ramionami upokarzało mnie i bolało trochę; przed nią nigdybym się do niczego złego nie przyznał.

O scyzoryku zresztą nie potrzebowałem tak odrazu wspominać ani przed nią, ani przed nikim w domu; może być u mnie dni kilka, cały miesiąc, a dopiero późniéj, tam kiedyś... Pudełko schowałem na razie pod poduszkę, po namyśle zasunąłem pod szafę— w stoliku zmieścić się nie mogło; scyzoryk miałem w kieszeni i przez sukno spodni przytrzymywałem go nieznacznie. Żeby tylko ten rudy cherlak nie wygadał się zawczasu. Przechodził z papierami prawie codzień, stał całemi godzinami w przedpokoju, a tam lo-

kaj Piotr nieraz z nim gawędkę prowadził. Myśl ta dręczyła mnie nie na żarty.

W podwórze przed dom zajeżdżały powozy, sanki, zaprzężone w siwe, czarne i gniade konie; wyskakiwali z nich szybko młodzi i starzy goście, powozy odjeżdżały na stronę, stawały szeregiem po prawéj stronie klombu, a ja, klęcząc na krześle, spoglądałem na to przez okno. Z salonu dolatywał gwar rozmowy; wołano mnie parę razy... udałem, że nie słyszę. Wyjąłem ukradkiem scyzoryk z kieszeni i, położywszy na oknie, między łokciami, podparty wpatrywałem się w niego. Przedtém miałem już kilka o jednym nożyku, w szyldkretowych i w kościanych oprawach, wszystkie były małe, tępe... bali się, żebym sobie palca albo nosa nie urznął—ten... przynajmniéj... oho!

Naraz ogarnęła mnie chęć pochwalenia się przed Skulskim; był to sekretarz ojca, pracował w osobnym pokoju obok gabinetu. Ten zna się na wszystkiém... zajmował się niegdyś w kolejowych warsztatach. Co on téż o nim powie! Wybiegłem na korytarz i przed drzwiami Skulskiego zatrzymałem się chwilę...

Straszny to był fantastyk! Czasami rozmawiał ze mną, częściéj jednak precz wyprawiał, żebym mu nie przeszkadzał w robocie. Mówiono, że już kilkakrotnie tracił posadę, a zawsze za hardość. U ojca pracował od trzech lat; rano, wieczorem, w niedziele i święta zawsze siedział za stołem, plecami do drzwi zwrócony; pisał tam coś, czy drzemał może; jak tylko skrzypnąłem drzwiami, podnosił głowę, spoglądał ponuro przez ramię. Twarz miał śniadą, najeżoną czupryną, gęste brwi i czarną brodę, ubierał się bardzo starannie, od niejakiegoś czasu używał fijołkowych

perfum, podstrzygał ładnie brodę, a na małym palcu miał cieniutki pierścionek z turkusem. Natury jednak nie zmienił: mówił czasami tak złośliwie, że aż mu w gębie skrzypiało; kaszlałem wówczas, szorowałem nogami umyślnie, żeby ojciec jego gawędy przeze drzwi nie słyszał. Wyprawiliby go znowu; a chociaż mówił, że o „psią służbę" nie dba, mitygował się trochę, kiedy usłyszał kroki w gabinecie. Głos miał gruby, ruchy ociężałe, zestarzał się, czy tylko zapracował się zbytecznie; nawet wybuchy żółci nie trwały długo, uspakajał się, milczał i po chwili zabierał się do zwykłéj roboty, jak stary pies, co więcéj z nałogu niż z potrzeby szczeka na przechodniów, a potém zmęczony, podwinąwszy ogon, wraca do budy na słomę.

Imieniny dodały mi otuchy; przychodziłem zresztą ze scyzorykiem, jakby za interesem...

Otworzyłem drzwi śmiało...

Skulski obejrzał się, skinął głową — był to znak niezwykłéj łaski.

Opowiedziałem mu o prezencie, podałem scyzoryk...

Otworzył wszystkie nożyki, chuchał, dmuchał, kręcił głową, a ja, przyglądając się téj pięknéj sztuce najeżonéj ostrzami, tłumiłem oddech, drżałem na myśl, że Skulski przez nieostrożność może wyszczerbić albo nadweręży który z nożyków, uśmiechałem się, nadrabiałem rezonem, a jednocześnie podsuwałem rękę, żeby jaknajprędzéj schwycić.

— Zkąd masz?—spytał, zachwycony widocznie scyzorykiem—pyszna sztuka, tylko nie dla takich jak ty berbeciów...

Zaczerwieniony, na razie nie wiedziałem, co odpowiedzieć... Wstydziłem się przyznać, że mam go od tego biedaka. Skulski patrzał mi w oczy badawczo:

— Milczysz; eh, to jakaś nieczysta sprawka! Z oczu tobie źle patrzy! Scyzoryk nie twój! ściągnąłeś go u ojca albo u kolegów? przyznaj się!

Przysiągłem, że mój; opowiedziałem, jąkając się, że... że dostałem go od urzędnika z biura.

— A więc i ty już zaczynasz? Dobrze! Jakiż to kiep po ostrzu scyzoryka na wyższą posadę wdrapać się próbuje? hę? Jak się nazywa ten uprzejmy jegomość?

Nazwiska nie umiałem wymienić; opisałem akuratnie twarz, figurę, ubranie.

— Chodak! szczwany lis! ten darmo nawet pstrzyczka nie da nikomu. Zwęszył już coś! zabiega naprzód i skomli!

Rzucił na stół scyzoryk, ręce do kieszeni wsunął, rozparty w krześle patrzył na mnie z dziwnym uśmiechem.

— A wiesz ty, malcze, że ten scyzoryk poderznie gardło komuś? może mnie, może drugiemu biedakowi, co na podarki się nie wydatkuje, lizać łap nie umie. Darmo takich rzeczy nie dają, ktoś zapłacić musi... a płaci zawsze ten, z którym rachunek najłatwiejszy!... Eh, co ty wiesz! przez twoje ręce dyabeł mógłby jeszcze duszami handlować!

Zamyślił się, gryzł usta, na scyzoryk, to na mnie spozierał.

— Hm, on tu już nieraz zaglądał... gadał co z tobą, czy tak tylko?

Milczałem zakłopotany.

Skulski wstał, chodził po pokoju z rękami w kieszeniach, na mnie nie patrzył. Naraz odpadła mnie ochota do scyzoryka; spoglądałem, jak, leżąc na zieloném suknie, połyskiwał konchową oprawą i złoconemi gwiazdami—ręki po niego nie wyciągałem; oparty plecami o stół, śledziłem ruchy i wyraz twarzy Skulskiego. Zły był na mnie, w myślach pewno nazywał łapczywym chłopcem, co nawet od żebraka nie wstydziłby się grosz przyjąć. Bo téż, co mnie się stało, że ja... od tego biedaka... nieznajomego... Zaczynałem się coraz bardziéj wstydzić mego postępku, na scyzoryk nie spoglądałem, stał w oczach jak pokusa.

— Drugi raz od biedaków podarków nie przyjmuj. Po co? On może poduszkę sprzedał, żeby ci to cacko kupić. Bo Chodak łotr wprawdzie, ale i nędzarz—mówił, stanąwszy przede mną, i gładził mnie ręką po głowie.—Poproś lepiéj ojca, a najlepiéj obchodź się bez zbytkowych rzeczy. Zobaczysz, że ten scyzoryk na korzyść ci nie pójdzie: najprzód dostaniesz za niego burę, stracisz potém, ktoś ukradnie, albo dyabeł weźmie go w jakikolwiek sposób... Zobaczysz! takie rzeczy... przeklęte... nieszczęście przynoszą!...

Usiadł do roboty, a ja, pod wpływem słów tajemniczych, stałem jak w ogniu.

Wówczas pewny byłem, że za scyzoryk co najmniéj... dostanę rózgami!

— No, zabieraj swój prezent i wynoś się; czasu nie mam—przerzucał papiery i zerkał na mnie z ukosa.

— Nie chcę tego scyzoryka—mruknąłem,—oddam go Chodakowi... albo daruję komuś... żeby ojciec nie widział.

— Rób, co chcesz, to już nie moja rzecz; w przyszłości na wstyd się nie narażaj, nie warto!

Panna Anna wniosła śniadanie na tacy, zarumieniona, uśmiechnięta; zawsze była w dobrym humorze, jak szła albo wracała od Skulskiego.

Ojcu śniadanie podawał lokaj, ja sam brałem co mi się podobało. Skulskiemu przynosiła panna Anna; przedtém poprawiała przed lustrem włosy i kołnierzyk, nuciła nawet zcicha, co jéj się nigdy w innéj porze dnia nie zdarzało. A że Skulski téż zrywał się zwykle na jéj spotkanie, tacę odbierał i całował w rękę, domyśliłem się, że chce się z nią żenić—i chociaż nikt mnie subtelności nie uczył, zmykałem z pokoju, żeby jemu nie przeszkadzać jeść śniadania, ani jéj siedzieć przy nim na krześle. Tego dnia schwyciłem ze stołu scyzoryk i zemknąłem śpieszniéj niż zwykle. Nie chciałem, żeby Anna dowiedziała się o całéj awanturze. W salonie gości nie było, tylko dym z cygar unosił się jak szary obłok; w przedpokoju Piotr wytrząsał do spluwaczek popielniczki.

— Daruję mu scyzoryk! — szepnął we mnie zły duch jakiś. Z Piotrem zostawałem w ciągłéj wojnie. Zgryźliwy pedant musztrował mnie jak pudla; w domu, po ojcu, był najpierwszą i najbardziéj gderliwą osobą; dla pozyskania jego łaski pomagałem mu czasami wprawiać świece do lichtarzów.

— Daruję mu scyzoryk i będę spokojnym przynajmniéj, a on może odtąd nabierze dla mnie szacunku.

Przystąpiłem do starego z boku, podałem scyzoryk na dłoni.

— Weźcie to sobie; dostałem dziś w prezencie, ale mi się nie podoba... wam może będzie przydatny.

— Cooo?—zmierzył mnie od stóp do głowy i spojrzał na wyciągniętą rękę.—A któż to pozwolił rozdawać rzeczy? hę?... Późniéj powiedzą, że ja wyłudził, albo ukradł może? Znam was, mileńkie! Na służbie zęby zjadł, a na łaskawy chleb nie zarobił!

Rękę ze scyzorykiem schowałem do kieszeni.

— Ot, co masz scyzorykami traktować, lepiéj swoich spraw pilnuj. Dziś żyd ze szkoły przychodził... za pomarańcze, za pierniki pięć złotych dopominał się... Czy to nie wstyd! pańskie dziecko... a na kredyt bierze, jak żebrak! Powiem ojcu, niech tylko do domu wróci! Dalibóg, powiem! dosyć już milczał! Szklanki, spodki, talerze wszystko łupisz, nie przymierzając jak bestya dzika! Ja milczę a milczę, poprawy czekam, a tobie widać do rozumu tak daleko, jak do nieba! Poczekaj! Niech raz skórę zedrą za długi, za szachrajstwo, za szkodę, zobaczysz, jak mądrości przybędzie! Scyzorykiem traktuje... hojny! Może na kredyt u żyda wziął! A cóż, pański syn, czemu nie ma sobie pozwolić!

— Co Piotr gada! — szepnąłem prawie nieprzytomny ze strachu i wstydu.

Długi miałem; płaciłem je akuratnie od czasu do czasu... Ale żeby się ojciec o tém dowiedział... byłoby nieszczęście! Nie przedstawiałem nawet sobie, jaka straszna kara czekała mnie za to.

— Co gada, co gada!—mruczał daléj, czyszcząc popielniczki—gadam co słuszne, co prawdziwe! Grzechu na duszę brać nie chcę... ojciec powinien wiedzieć o wszystkiém. Czy to ja nie wiem, że książkami sza-

chrujesz? A to pudełko z kałamarzem złotym, co pod szafą stoi, zkąd?... Dostałeś? Tak po cóż u licha chowasz jak kradzione? Czy to pod szafą miejsce na prezenta?... Oj, ty coś kręcisz powróz sobie na szyję! Z lepszych od ciebie nieraz już szubienicznicy wyszli! I jeszcze scyzorykiem traktuje... Gębę zamknąć chce! Nie, paniczeńku, ja i prezentu nie potrzebuję i do spółki szachrajskiéj nie przystanę! Niech tylko ojciec wróci... ot, tak, powiem wszystko, o scyzoryku nie zamilczę, żeby potém na mnie gadania nie było. Kusić mnie! Na, powiada, bierz! to dla ciebie! A co byłoby, żebym ja wziął? Późniéj pytanie, szukanie, gdzie, co, jak? U Piotra! Piotr na prezenta czyha! od takiego pana szczególnie, co tam pierniki na kredyt zjada! Czegóż stoisz? marsz do pokoju! tu nie miejsce! a scyzoryk swój schowaj dla głupiego... Nie z dobrych rąk on do ciebie przyszedł, kiedy go na pokusę używasz!

Stałem jak wryty. Prosić go o milczenie nie śmiałem. Nie posłuchałby... oh, gdzie tam! A jeżeli naprawdę zechce wszystko wygadać... będzie straszna burza... i to jeszcze w dzień imienin! Ojciec trzymał ostro—szacherek, kłamstwa nie znosił... a długi jeszcze! Boże łaskawy! Może to i prawda, że ten scyzoryk przeklęty! On to przecież całą biedę wywołał... Piotr milczałby może do czasu — a potém... możeby zapomniał... Próbowałem przemówić do niego pokornie, obiecałem, że dług jutro zapłacę... że już więcéj nigdy... byleby ojcu nie wspominał...

Nie dał dokończyć; ośmielony moją pokorą, ofuknął jeszcze srożéj:

— Długi? patrzaj! do tego przyznał się, bo widzi, że niéma co? A czemu o pudełku pod szafą,

o scyzoryku milczysz? Czy myślisz, że ja taki głupi, nie rozumiem? Żeby on do ciebie dobrą drogą przeszedł, nie sunąłbyś go w rękę pierwszemu lepszemu... Przyznasz się téż, jakim sposobem duszę dyabłu zapisujesz... Eh, żeby już ten pan prędzéj przyszedł!

Uciekłem, łzy cisnęły się do oczu... Miejsca sobie znaléźć nie mogłem. Zaglądałem do okien, nadsłuchiwałem—ojciec wracał zwykle o trzeciéj... tego dnia pewny byłem, że wróci wcześniéj.... zaraz może... A Piotr już czyha, nawet z przedpokoju nie wychodzi. Okropne będą rzeczy, i to jeszcze przed obiadem... ojciec zawsze jest bardziéj srogi. Wrzucę do dyabła to pudełko gdzieś do wody, czy w ogień, i wyprę się... Oho! wówczas to już pewno byłyby rózgi w robocie! Ojciec nie wracał, uspokoiłem się trochę, zacząłem myśléć rozważniéj nad mojém położeniem. Że Piotr oskarży, nie wątpiłem o tém ani na chwilę. Należało uprzedzić go i przyznać się samemu. Skończy się może na pozostawieniu bez obiadu, przez wzgląd na imieniny.

— Tak, przyznam się! Ażeby załagodzić biedę, scyzoryk ofiaruję ojcu! Chodakowi oddawać nie wypada; ponieważ więc ma zostać, niech służy ojcu. Dla mnie jest zaduży, zaostry, mogę pokaleczyć palce, niech go ojciec weźmie dla siebie! Ej, głupstwo! Martwiłem się, Bóg wie czego, a tu wszystko ułoży się jaknajlepiéj. Piotr, widząc, że jestem z ojcem w dobréj komitywie, nie ośmieli się gęby otworzyć. Niegodziwiec, a ja dla niego byłem zawsze dobry jak trusiątko. Odtąd basta! Gawędy żadnéj, świec oprawiać nie będę, poufałości żadnéj, nie warto wdawać się z gburami!—Uspokoiłem się, rozweseliłem, a kiedy Piotr przechodził przez pokój, uśmiechnąłem się wesoło.

— Śmiéj się, śmiéj! zaraz wróci ojciec — mruknął, spojrzawszy na mnie z ukosa.

Teraz ja z kolei wyczekiwałem ojca.

Zadzwonił, pobiegłem mu otworzyć. Poważniejszego prezesa nie było chyba w całém mieście! Wysoki, okazały, głowę nosił zlekka podniesioną, w ruchach, w mowie doskonały spokój; uśmiechał się nawet inaczéj niż wszyscy, jakoś zwolna, nieznacznie, mrużył przytém oczy; czarne, faliste włosy zaczesywał z czoła na tył głowy, nosił długie bokobrody i złote okulary. Widziałem go codzień i codzień przyglądałem się uważnie, jak przechodził przez salon z elastyczną godnością, jak siedział w fotelu rozparty, poważny, z nogą zarzuconą na nogę, palił cygaro, ręką przesuwał po czole, albo zlekka bębnił po stole palcami... Zdawało mi się, że ja nigdy ani tak bębnić, ani tak palić, ani nawet tak siadać i chodzić nie potrafię. Wzbudzał we mnie podziw i uszanowanie. Nie dziwiłem się, że urzędnicy, przychodzący z papierami, stali przed nim jak słupy, bez ruchu, bez mrugnięcia, bez oddechu nawet! Ja sam, całując jego rękę, miałem nieraz ochotę przyklęknąć i przeżegnać się jak przed pacierzem! Czasami całował mnie w czoło—wówczas wyciągałem szyję i tłumiłem oddech; nie śmiałbym chuchnąć mu w twarz, albo najlżejszym ruchem przerwać akt tak ważny! Kiedy wchodził do pokoju, prostowałem się, patrzyłem w oczy, żeby zgadnąć, czego chce i o co zapyta. Pytania zresztą powtarzały się codzień też same: „jak się masz, chłopcze?" „cóż, jak tam z nauką?" „czy nie swawolisz zanadto?" „pilnuj się, nie rób mnie wstydu" i t. p. Odpowiadałem krótko: „tak," „nie," „dobrze" i żyliśmy z sobą w jaknajlepszéj

zgodzie... W ten dzień pamiętny pomogłem mu zdjąć futro, przyjąłem z rąk kapelusz i tak się kręciłem, tak zaglądałem w oczy, że nareszcie zwrócił uwagę.

— Cóż ty dziś tak uprzejmy jesteś? — spytał; ujął mnie pod brodę, podniósł twarz, patrzył w oczy z uśmiechem.

Wyglądał bardzo łaskawie; zebrałem otuchę i w kilku słowach wyrecytowałem o Chodaku, podarku, o żalu swoim, że tak bez namysłu postąpiłem, prosiłem o przebaczenie i zarazem ofiarowałem ojcu scyzoryk, jako dla mnie zaduży i zaostry. Odstąpiwszy parę kroków, czekałem burzy... Milczał, scyzoryk wziął zwolna, obejrzał, podrzucił parę razy na dłoni; twarz, pogodna dotąd, wyciągnęła się jakoś, zagryzł usta i zerknął z pod okularów w jednę, potém drugą stronę.

— No, teraz... będzie!—pomyślałem, truchlejąc zawczasu; opuściłem ręce, przez chwilę zdawało mi się, że podłoga usuwa się zwolna, ściany chwiać się zaczynają.

— Zawołaj panny Anny—rzekł ojciec głucho.

Odszedł i stanął, zwrócony plecami do okna; scyzoryk trzymał w dwóch rękach przed sobą. Pobiegłem, poleciałem jak na skrzydłach, tak mi pilno było zemknąć z przed jego oblicza. Po chwili wsunąłem się do pokoju za panną Anną; przytulony do szafy, wyglądałem z kąta. Milczeli oboje. Ona stała wyprostowana, jak zwykle, w szaréj sukni, w czarnéj chusteczce, skrzyżowanéj na piersiach; przed chwilą była w kuchni, więc policzki miała zarumienione, błyszczące oczy, promienie czarnych włosów spadały na czoło; poruszała zlekka nozdrzami, patrząc śmiało w twarz ojcu. On, jakby

się nad czémś namyślał, scyzorykiem po dłoni uderzał i spoglądał na nią od stóp do głowy i napowrót.

— Pani nie zwraca wcale uwagi na Jasia—rzekł zwolna, z przyciskiem; ściągnął brwi, głowę podniósł;— wszyscy tu mają lepszą opiekę, niż on... ot i dziś... chłopak przyjął podarek od kogoś, bez zapytania... bez pozwolenia; tak być nie powinno... wcale sobie tego nie życzę! Prosiłem już panią o szczególniejszą nad nim opiekę; domownicy moi sami sobie poradzą: on, chociaż do szczególnych względów prawa nie ma... z obowiązku do pani należy!

Nigdy jeszcze nie mówił z takim przyciskiem, z taką złością ukrytą. Usiłował być spokojnym. Ale jedne wyrazy wymawiał głośniéj, drugie ciszéj, inne grzęzły w gardle, scyzorykiem zaś coraz prędzéj uderzał siebie po dłoni.

Panna Anna podniosła głowę, poruszyła ustami... zawahała się...

— Tak, pan ma słuszność! Dziś od rana miałam tyle do roboty, że... że nie mogłam prowadzić Jasia na pasku! Co zaś do podarków... raczéj pana o to pytać powinnam... ja byłabym może zbyt wybredną!—Odwróciła się i wyszła swoim lekkim i cichym krokiem.

Ojciec cisnął scyzoryk na okno, zatarł dłonie.

— Ha, chce biedy — szepnął,—będzie ją miała!

Pobiegł przez salon do gabinetu.

Teraz już pewny byłem, że ten scyzoryk jest przeklęty! Przez kilka miesięcy pobytu panny Anny u nas ojciec był bardzo uprzejmy. Żeby jéj nie utrudzać, sam przychodził do niéj za każdą drobnostką, dziękował za herbatę, za każdy talerz zupy, co mu nalać ra-

czyła. Przed wyjazdem z domu codzień zaglądał do wszystkich pokoi, żeby ją zobaczyć i powiedzieć uprzejme „do widzenia,” parę razy nawet widziałem, jak całował ją w rękę...

Zmienił nawet tryb życia. Dawniéj wyjeżdżał każdego wieczora, wracał późno w nocy z „sesyi,” a kiedy nazajutrz zajrzałem do jego sypialni, na toalecie znajdywałem zwiędłą różę, kokardy z białych i różowych wstążek, czasem wachlarz, czasem bransoletkę. Interesowało mnie to trochę—spytałem tedy, do czego służą mężczyźnie podobne rzeczy.

— Dowiesz się z własnego doświadczenia — odrzekł poważnie i czyścił wówczas paznokcie z miną ministra.

Po obiedzie wyjeżdżaliśmy codzień na spacer.

Ojciec kłaniał się prawie wszystkim kobietom na ulicy, często wysiadał z powozu, szedł czas jakiś po chodniku obok eleganckiéj pani, rozmawiając wskazywał na mnie w powozie, wówczas pani przesyłała mi całusa na końcach palców. Był gościem w domu. W ostatnich czasach wieczorem wcale nie wyjeżdżał, po obiedzie siadywaliśmy na sofie w salonie, ojciec palił cygaro, panna Anna podlewała wówczas kwiatki na oknach.

— Pyszna dziewczyna — szeptał zcicha; mrużąc oczy, spoglądał, jak podnosiła konewkę, schylała się ku ziemi, przechodziła od okna do okna; zapraszał, żeby przysiadła obok nas, bo zawsze miał ją o coś zapytać.

Ona na zapytanie odpowiadała stojąc we drzwiach, jakby uprzejmych słów ojca nie słyszała wcale. Wieczorami zawsze coś szyła przy lampie.

Ojciec chodził przez kilka pokoi, od czasu do czasu zatrzymał się naprzeciw niéj przy stole, zapytał, czego się uczę, co mam zadane, a podczas kiedy ja przewracałem stronice, on, pochylony nad stołem, patrzał na głowę pannyAnny, na igłę migającą w jéj ręku. Nieraz trzy razy jednę rzecz pokazywałem, nie uważał, nie wiedział nawet, czy mu pokazuję książkę, czy kajet czysty, tak go robota panny Anny zajmowała!

Harmonia psuła się trochę pod koniec. Parę razy nazwał ją za coś... głupią dziewczyną, za oczami naturalnie,—słyszéć tego nie mogła, ale domyśliła się może, albo ktoś jéj to powtórzył, bo posmutniała znacznie i ojcu wcale już odpowiadać nie chciała. Zły był na nią, czasami syknął przez zęby podczas obiadu, trzasnął drzwiami wychodząc, ale z prawdziwą złością przemówił dopiero za ten nieszczęsny scyzoryk.

Po burzy obiad był bardzo smutny—ojciec przyszedł z gazetą, czytał między jedną potrawą a drugą, ja milczałem, panna Anna nie jadła wcale; kiedy przechodziła od stołu do kredensu, ojciec spoglądał za nią z ponad gazety. Widocznie żałował słów wypowiedzianych w uniesieniu; odchodząc z jadalni do gabinetu, obejrzał się, przystanął na progu; ona wyszła z pokoju, jakby się bała przeprosin. Dopiero kiedy wszystko w domu ucichło, ojciec zapewne zdrzemnął się w gabinecie, w jadalni zaś, w przedpokoju i w salonie zapalono lampy, wróciła z koszyczkiem do roboty.

Zaledwo usiadła i, przysunąwszy lampę, rozłożyła na stole płótno, nici i nożyczki, zbliżyłem się do niéj. Chciałem za ten przeklęty scyzoryk przeprosić, już nawet zaczynałem przemawiać nieśmiało. Wtém ojciec nadszedł, uśmiechnięty, w dobrym humorze, mnie po

głowie głaskał, o książkę jakąś zapytał, a z ukosa na pannę Annę spoglądał.

Wstała i poszła ku drzwiom.

— Nie dąsaj się—rzekł, przytrzymując ją za rękę; — byłem może zaostry, ale... któż temu winien? Wierz mi, w roli „niedostępnéj" brzydko wyglądasz! Piękne kobiety powinny być dobre.

— Żadnéj roli nie gram... przekonałeś się pan...

— No, no, bez uniesień, bez frazesów! zapomnijmy i pogódźmy się, pod warunkiem, że będziesz... lepszą — i wyciągnął ku niéj rękę.

Stała oparta plecami o ścianę, z rękami skrzyżowanemi na piersiach.

— Więc cóż? odrzucasz zgodę? — spytał ojciec, a w głosie zadrgała złość dawniejsza.—Pomyśl... Możesz tego pożałować!

— Zarzucasz pan, iż nie spełniam obowiązków... lepszą być nie mogę... Robię wszystko, co do mnie należy, i nadal taką pozostanę. Jeśli się panu nie podobam, mogę ustąpić — dodała zcicha.

— Ja nikogo na uwięzi nie trzymam, wolna wola! —zawołał ojciec, ręce zatarł i zaczął śpiesznie chodzić po pokoju. Jeżeli tylko... pani się nie podoba... owszem!... témbardziéj, iż dom mój może się stać mniéj miłym... dla pani. Dzisiejszy scyzoryk przekonał mnie, niestety, że zaufanie musi miéć granice... Sądziłem, byłem pewny, że dziecko moje ma najtroskliwszą opiekę, tymczasem widzę troskliwość o wszystkich, tylko nie o niego, to cóż robić! Nie ma szczęścia do kobiet!

Zaśmiał się, gadał coś tam jeszcze, ale co, nie słyszałem.

Scyzoryk! znowu o tym scyzoryku wspomniał.

Spokojny niby, usta drżały mu przytém jak w febrze, rzucał oczami po pokoju. Oh, nigdy go jeszcze takiego wzburzonego nie widziałem. Kiedy odszedł do gabinetu, długo słyszałem jego pośpieszne kroki, trzask drzwi i jakby groźne drganie powstałe w powietrzu.

Panna Anna przysiadła w kącie na krześle, ręce położyła na kolanach, pochyliła głowę. W cieniu na oknie połyskiwał scyzoryk; obrócony nożykami ku lampie, błyszczał nową stalą. Patrząc na niego, zgrzytnąłem zębami; raz przecie należało z nim skończyć. Cichutko, żeby nie przerywać zamyślenia pannie Annie, podszedłem do okna, schwyciłem scyzoryk i ścisnąłem go w dłoni. Lufcika w tém oknie nie było— w pierwszéj chwili wyrzuciłbym go na ulicę bez wahania. Na dworze ściemniało, szereg latarni migotał wzdłuż ulicy, ostry śnieg dzwonił w szyby, jak gdyby ktoś ciskał żwir garściami. Jeśli teraz wyrzucę scyzoryk—rozmyślałem,—śnieg go zasypie, stróż zmiecie do rynsztoka, przepadnie bez korzyści taka piękna rzecz.

Obrócony plecami do panny Anny, otworzyłem ręce, ukradkiem przyglądałem się oprawie, złotym gwiazdkom, miękłem jednocześnie. Bo i cóż on temu wszystkiemu winien? Kłótnie przeminą, ojciec wybaczy pannie Annie, bo ona pewno teraz będzie lepszą... a jak raz scyzoryk oddam, albo wyrzucę, nikt go już nie wróci, pozbędę się raz na zawsze, a drugi dostanę zapewne nie prędko!... i czy taki! Ściskałem dłoń coraz mocniéj...

A jeżeli naprawdę jest w nim coś złego? Skulski plótł o przekleństwie jakiémś... to pewno nieprawda,— chciał nastraszyć, żebym drugi raz od biednych ludzi nic nie przyjmował. Ja téż nigdy a nigdy nie przyjmę nic ani od biednych, ani od bogatych, tylko ten scyzoryk zatrzymam, schowam go, sam czasami popatrzę, w szkole kolegom pokażę.

Już miałem włożyć do kieszeni i do książki wracać... gdy od drzwi, z kąta, gdzie siedziała panna Anna, doleciał mnie jakby płacz stłumiony, Zrobiło mi się naraz bardzo gorąco, nie śmiałem spojrzéć na nią. Zawsze taka spokojna, surowa, teraz płacze w kącie jak małe dziecko. Ja nawet już od kilku miesięcy nie płakałem wcale, byłem w trzeciéj klasie, wstydziłbym się téż przed samym sobą — a ona... płacze... Spojrzałem ostrożnie przez ramię. Rękami przyciskała chusteczkę do twarzy, głowa i ramiona poruszały się od łkania.

— O Boże!...—szepnęła jakby nad samém mojém uchem. Szept ten pozostał w powietrzu, zdawało mi się, że wciąż słyszę to głuche, stłumione „Boże!" Stałem jak na węglach, mimowoli podejmowałem jednę, to drugą nogę. Scyzoryk, rozgrzany w dłoni, palił jak ogniem, czułem nożyki, ząbki korkociągu, wpijające się w dłoń i w palce.

— Rzucę go do licha... Przeklęty, czy nieprzeklęty, narobił tyle biedy, iż chyba do końca życia tych imienin nie zapomnę!—szeptało coś we mnie. Stałem cichutko, nie chciałem najlżejszym ruchem przypominać o sobie... przykroby jéj było, że ktoś ją widział płaczącą... Wyprostowała się, ręce z chusteczką opuściła na kolana.

Wówczas wyszedłem z jadalni na korytarz. Wązka, długa sień, oświetlona płomykiem gazu, miała kilkoro drzwi do biura, a na końcu schody brudne, prowadzące do kuchni, do mieszkań woźnych i stróżów; na dole, u drzwi wchodowych, stały beczki jakieś, przewrócone dnem do góry, kilka drewnianych skrzynek słomą napchanych; wiatr zasypał śniegiem podłogę, pokrytą w kilku kierunkach śladami stóp ludzkich; zbiegłem ze schodów, między beczkę i skrzynkę ze słomą wsunąłem scyzoryk. Wchodziło tu masa ludzi, żebraków, żydów, posłańców różnych. Ktoś znajdzie, zabierze, i dobrze! Cóż to mnie może obchodzić — zapomnę o nim, jakbym go nigdy nie widział.

Wbiegłem napowrót, a z góry zerknąłem raz jeszcze,—błyszczał w śniegu, płomyk gazowy padał na niego prościutko. Zawahałem się... sam nie wiedziałem: czy lepiéj, że widać, czy może zasunąć zupełnie za beczkę?... Ktoś stuknął drzwiami w kuchni, wskoczyłem do jadalni jak z procy. Ojciec stał przy stole z listem w ręku. Spojrzawszy na mnie, odrazu dostrzegł śnieg na butach i czerwony koniec nosa.

— Zkąd wracasz? bez czapki, w kurtce, po śniegu? Co to znaczy?—Ściągnął brwi, spojrzał na pannę Annę, wciąż jeszcze siedzącą na krześle, wzruszył ramionami. Ja przymarzłem na miejscu—czekałem, co daléj będzie. Ojciec targnął za rączkę od dzwonka.

— Pogłuchli!—mruknął, zagryzł usta i, uderzając listem po palcach, patrzył na lampę.

Pogłuchli w istocie!

Strasznie długie minuty płynęły jedna za drugą, a z kuchni nikt nie przychodził. Ojciec jeszcze raz

targnął za rączkę... Od takiego ruchu dzwonek może się urwać, albo zmarłego przebudzić.

Na schodach rozległy się śpieszne kroki, wszedł Piotr zadyszany, stanął u drzwi i... na dłoni... trzymał mój scyzoryk. Struchlałem. Na ojca, na Piotra patrzyłem błędnym wzrokiem... wyciągnąłem rękę machinalnie, ale słowa przemówić nie mogłem.

— Co to znaczy?—spytał ojciec—zkąd znowu ten scyzoryk?

Zapiszczało, zasyczało jak w gnieździe gadzin, świst jakiś przeciągły powtarzał się w pokoju... To Piotr opowiadał o znalezieniu scyzoryka, o mnie, może o moich długach i szachrajstwach, sam nie wiem... Kręcąc rozpalone palce, przestępowałem z nogi na nogę, wpatrzony w ojca jak delikwent, wyczekujący rózeg. Piotr mógł mnie o zabójstwo oskarżyć—nie zaprzeczyłbym nawet poruszeniem głowy, tak apatyczny strach ogarnął mnie całego.

— A cóż! u nas wszystko jest możliwém!—zawołał ojciec.—Poszukaj, może tam jeszcze co znajdziesz.

A wziąwszy scyzoryk z rąk Piotra, zwrócił się do panny Anny.

— Płacę za to, że mnie grabią, okradają i... romansują! cha! cha! cha!

To rzekłszy, cisnął scyzoryk pod nogi pannie Annie i wyszedł z pokoju. Piotr, z listem w ręku, popatrzył na nią, skinął głową, jakby na znak, że ma to, na co zasłużyła. Ona schyliła się, podjęła scyzoryk i schowała go do kieszeni...

W domu zaległa grobowa cisza. Siedziałem nad książką, strwożony, w ciągłém oczekiwaniu nowéj awantury. Panna Anna pewno rozpłacze się znowu,

ojciec wpadnie i każe oddać scyzoryk, a ja za cośkolwiek dostanę rózgami. Dziwiłem się w duszy, że mi dotąd cała ta sprawa uszła na sucho. Jak w lesie podczas burzy, wicher szumiał gdzieś w górze, przyprawiając mnie tylko o ciągły strach, o groźne wyczekiwanie. Ojciec jakoś po scyzoryk nie wpadał, siedział czas jakiś cicho w gabinecie, potém zawołał na mnie z przedpokoju:

— Jaś! drzwi zamknąć!

Podbiegłem. Stał w futrze, w kapeluszu, nakładał zwolna rękawiczki, pachnące rezedą; z podniesioną głową, w złotych okularach, wydał mi się wspanialszym niż zwykle, usta miał nadęte, brodę, przyciśniętą do krawatki; mina ta stanowiła dla mnie jednę z niedoścignionych doskonałości. Z pomiędzy kilku lasek, stojących w kącie, wziął jednę o złoconéj gałce, obejrzał się na mnie z powagą i, żartobliwie uchylając kapelusza, rzekł:

— Bywaj zdrów, chłopcze!

Pogłaskał mnie przytém po głowie. Z téj strony tedy nie groziło mi żadne niebezpieczeństwo. Panna Anna stała na środku pokoju, blada, z błyszczącemi gniewnie oczami.

— Wyszedł?—spytała, wskazując głową na drzwi.

— Wyszedł — powtórzyłem tajemniczo.

Wyczekiwałem, czy nie zapyta mnie o co, czy nie zrobi wymówki za wszelkie przykrości dzisiejsze, powstałe bądźcobądź z mego powodu. Milczała, gryzła usta, z pod nachmurzonych brwi spoglądała na lampę, namyślała się nad czémś, a ja bacznie śledziłem każdy jéj ruch i wyraz twarzy.

— Jasiu, czy ty nie wiesz... czy nie pamiętasz numeru domu, gdzie mieszka pan Skulski?—spytała zci-

cha i usiadła przy mnie na sofie spokojna... blada, jakby chora; naraz ze sto rozmaitych numerów stanęło w pamięci, o mieszkaniu Skulskiego nigdy nie słyszałem, pomimo to gwałtownie pragnąłem przypomnieć sobie o tém...

— Nie wiem—odrzekłem nieśmiało, jak gdybym popełniał występek.—Ale ja dowiem się zaraz... Woźny wie pewno, Piotr... pobiegnę na dół...

Przytrzymała mnie za ręce.

— Nie trzeba, poczekam do jutra.

Posiedziała chwilkę z pochyloną głową, potém zaczęła chodzić po pokoju z jednego końca w drugi. Z początku śledziłem ją wzrokiem, znudziło mnie to w końcu, zabrałem się do nauki. Znowu dzwonek! Drgnęliśmy oboje. Panna Anna podbiegła do stołu, oparta rękami, wpatrzyła się z natężeniem w stronę przedpokoju. Pobiegłem otworzyć...

Wszedł Skulski; cały w śniegu, plecy miał zupełnie białe, na brodzie i na wąsach błyszczała rosa.

— Ojciec w domu? — spytał.

Nie czekając odpowiedzi, zdjął paltot, futrzaną czapkę rzucił na krzesło. Poszedł przez salon do jadalni. Biegłem za nim; parę razy powtórzyłem, że ojca niéma—nie słyszał, czy nie uważał.

— Wiesz pani...—rzekł do panny Anny, zająknął się, spojrzał dokoła—a... więc naprawdę niéma?

Usiadł na krześle przy piecu, panna Anna stała przed nim; patrzyli na siebie przez chwilę.

— Co pana sprowadza w téj porze?—patrzyła w oczy, jakby chciała odgadnąć jego myśli.

— Nic... drobnostka... chciałem widzieć... mam interes— odpowiadał ochrypłym, urywanym głosem,

ręce zacierał, palcami włosy z czoła odgarniał i tak manewrował, żeby jéj w oczy nie patrzéć, wziął za rękę i posadził obok siebie na krześle.

— Głupstwo—rzekł,—niech się pani nie trwoży! nieporozumienie małe, chciałem się dowiedziéć...

— Mów pan wyraźnie o wszystkiém i to zaraz! Przeżyłam dziś tyle, że jedna nieprzyjemność mniéj lub więcéj... Zgryziony jesteś, widzę... no cóż? prędzéj, nie namyślaj się... przecież wiedziéć o tém powinnam!

Milczał, ręce położył na kolanach i patrzył w podłogę.

— Odebrał mi posadę—rzekł w końcu.

— Kiedy?

— Przed godziną otrzymałem zawiadomienie... że jestem... niepotrzebny!

— Więc przychodzisz?...

— Najprzód po wyjaśnienia! Do jutra nie mam cierpliwości czekać! Muszę wiedziéć, co zaszło tak nagle. Oh, ta dola! rwie się jak nić zbutwiała! Czwarty raz już tracę posadę! Dawniéj miałem więcéj energii, teraz... strasznie ciężko!

Zerwał się z miejsca.

— Czekaj pan! pomówmy rozważnie... co myślisz robić? wszak to nie jedyna posada na świecie.

— A! wiem już, co to jest „szukać.” No, zresztą tak źle nie będzie. Nie poczuwam się do najmniejszéj niedbałości, musi miéć wzgląd... Nie jest zresztą ostatecznie zwierzęciem, litość miéć musi!

— Ach, więc pan prosiłbyś go?... Nigdy! Ja na to nie pozwolę nigdy! Śmierć głodowa, ostatnia poniewierka, ale nie jego litość! Nie wierzę... Nie chciałam wspominać, nie wspominałabym nigdy... Jestem naj-

nieszczęśliwszą z kobiet!... Straszne upokorzenie znosić tu musiałam, jedynie żeby się nie oddalać!

Zakryła twarz rękami.

Skulski odstąpił parę kroków, patrzył na mnie zdumiony.

— Za mnie pokutujesz! — mówiła śpiesznie. — Chciałam odejść, zostawić... wyrzec się... nie miałam siły! Dziś, kiedy niby z racyi jakiegoś tam scyzoryka... znieważył mnie kilkakrotnie, postanowiłam wszystko tobie powiedziéć! Ucieknę ztąd! Dłużéj już cierpiéć nie mogę!

Usiadł przy niéj znacznie spokojniejszy, jakby uśmiechnięty nawet, wziął za ręce.

— Oj, te nerwy, nerwy kobiece! Czego się tak unosić? Masz nad nim wpływ, możesz przemówić za mną; zrób to dziś jeszcze, proszę cię!... Nie mam siły do dalszéj włóczęgi, no i do innéj pracy siły już nie mam!... Zkapconiałem, rozumiesz to sama, kiedy mam odwagę prosić ciebie o... o protekcyę! Cóż robić! życie tak strasznie miażdży człowieka!... No cóż, zgoda?

Wysunęła ręce z jego rąk, oparta plecami o poręcz, patrzyła mu w twarz szeroko otwartemi oczami.

— I ten prosi o zgodę!—pomyślałem.—No, to raz przecie skończy się może wojna z powodu scyzoryka!

Przypomniałem téż sobie jednocześnie, że panna Anna schowała go do kieszeni.

— Pan chyba mnie... nie zrozumiał! — szepnęła.

Wzruszył ramionami, zrobił jakiś dziwny ruch głową.

— Owszem... zdaje mi się, chociaż może niezupełnie. W każdym razie, jeżeli tylko możesz zrobić coś dla mnie, zrób jaknajprędzéj... Do uczucia, jakie

mam dla ciebie, przybędzie jeszcze wdzięczność serdeczna.

Chciał ją pocałować w rękę. Wstała, ręce skrzyżowała na piersiach. On, trochę jakby zakłopotany, spuścił oczy, bawił się łańcuszkiem zegarka...

— Zapóźno trochę... zresztą może, zobaczę... A teraz... bywaj pan zdrów! nie mamy już nic sobie do powiedzenia! Jasiu, spać!—rzekła drżącym głosem, zwracając się do mnie...

Pierwszy raz w życiu poszedłem spać bez herbaty.

Leżąc w łóżku, słyszałem przez ścianę, jak panna Anna chodziła długo, potém odsuwała i zamykała szuflady... Sen, zaczajony gdzieś w kącie łóżka, schwycił mnie raptem, daléj już nic nie słyszałem. Nad ranem zdawało się, iż ktoś mnie pocałował w czoło...

— Oddasz to ojcu!—szepnęła mara.

Oczy miałem przymknięte, nie zrozumiałem, czego chce ode mnie.

Nazajutrz pod moją poduszką znalazły się wszystkie kluczyki — zato panna Anna znikła, uniósłszy ze sobą scyzoryk...

Jakie płatał jéj figle w dalszym ciągu—nie wiem, wrócił jednak do mnie raz jeszcze.

W kilka lat późniéj kończyłem właśnie gimnazyum i zaczynałem już w pełni używać życia. Malutkich sumek na rewers, albo poprostu na słowo honoru, użyczał mi od czasu do czasu Chodak, sekretarz i prawa ręka ojca...

Ojciec zestarzał już wówczas znacznie; oprócz dawniejszéj posady, został członkiem kilku towarzystw, czynnym prezesem wielu instytucyj i t. d. Osiwiał do

reszty; śliczne bialutkie bokobrody spadały mu na piersi po obu stronach twarzy, wyłysiał, przyczém twarz nabrała powagi i jasności, utył, i, na ulicy szczególnie, wyglądał imponująco. W bobrowém futrze, w błyszczącym cylindrze, wyglądał na patryarchę wszystkich prezesów. Oglądał się czasami za kobietami, czynił to jednak z taką powagą, że mu z tém było bardzo do twarzy.

W domu przesiadywał coraz częściéj, polubił szlafrok, pantofle, haftowaną czapeczkę. Ja zato bywałem w domu coraz rzadziéj—a że ojciec w wypłacaniu miesięcznéj pensyi był dziwnie akuratny, musiałem zaciągać długi. Usłużny Chodak, bardzo ostrożnie zresztą, dopomagał mi w ciężkich chwilach.

Znajdowałem się właśnie w kłopotliwém położeniu i na szóstą miałem naznaczone *rendez-vous* z Chodakiem w wiadomym interesie, kiedy jak raz o téj godzinie ojciec zawołał mnie do gabinetu... Wszedłem ze złém przeczuciem. Podał mi list jakiś w szaréj kopercie i malutką paczkę, opieczętowaną w ceracie.

List był od Skulskiego.

„Odsyłam scyzoryk—pisał,—przysłała mi go niegdyś panna Anna z poleceniem wręczenia panu. Z różnych powodów zlecenia jéj na razie spełnić nie mogłem; późniéj scyzoryk wraz ze mną przeżywał ciężkie czasy, ale zawsze lepiéj niż ja z biedy wypływał. Zastawiałem go kilkakrotnie wraz z innemi rzeczami. Cenniejsze przedmioty przepadały, on zawsze do mnie wracał. Dopiero teraz, kiedy dogorywam w szpitalu, odsyłam go panu, z życzeniem, żebyś go używał lepiéj, aniżeli dotąd był używany. Przedewszystkiém zarznij się nim raczéj, aniżeli masz go u lichwiarzy zastawiać.

To straszniéj rujnuje, czego mam dowód na sobie. Z szacunkiem i t. d."

Obejrzałem go raz jeszcze... Wyglądał jak nowy, nawet złotawe gwiazdki na oprawie nie zczerniały dotąd. Miałem już wówczas parę innych. Przypomniał mi zresztą smutny dzień z mego dzieciństwa. Zachować go dla siebie nie miałem zamiaru.

Chodak był okrutny! Podczas gdy list czytałem, czekał już na mnie w pokoju obok gabinetu, mrugał znacząco przeze drzwi... Przyniósł pieniądze, i odliczywszy procent, podsunął mi rewers do podpisania. Nabrałem już takiéj wprawy w téj sztuce, że bez namysłu podpisałem wszystko, co podsunął. Suma była trochę znaczniejsza—dotąd nigdy jeszcze tak znacznéj nie pożyczałem... Nadmienił zdaleka o trudności dostania pieniędzy i w téjże chwili przygryzł usta, spokorniał, oświadczył, że dla mnie zawsze, w każdéj chwili i t. d. Uprzejmy był nad wyraz... Czułem się w obowiązku okazania wdzięczności!

— Panie Chodak — rzekłem, — oto scyzoryk... Stara pamiątka! Niezła rzecz! Przyjm go ode mnie, z czasem może na świetniejszy podarunek zdobyć się potrafię!

Przyjął, w dłoni ścisnął i ukłonił się kilkakrotnie na podziękowanie, uśmiechał się przytém lisim uśmieszkiem! Czy go poznał? Nie wiem...

Odtąd jednak o scyzoryku nie słyszałem wcale.

LIST.

Struję ich raz jeszcze, a potém niech mnie dyabli biorą!—rozmyślał kulawy Trepko.

W skórzanéj torbie niósł z poczty trochę gazet, parę awizacyj, kilka listów. Jakie tam listy w małém, zapadłém miasteczku, gdzie poczta zatrzymywała się więcéj dla porządku, niż z potrzeby! Trepko prawie czytać nie umiał, a treść tych listów wiedział na pamięć. Do młodego doktora co tydzień pisywała „jakaś..." raz z gołąbkiem na kopercie, to z różyczką, to z aniołkami, dziś téż list z jakiémś zwierzęciem przesłała — pewna złotówka, a może i czterdziestka—doktor za te głupstwa płacił hojnie!... Do aptekarza nikt nigdy nie pisał. Księdzu przysyłali grube, opieczętowane pakiety, warte trzy kieliszki wódki, za które Trepko tylko szklankę herbaty dostawał; do emerytów i emerytek pisywali czasami synowie i córki; żydom, nawet bogatym, Trepko listów nie nosił; sami na pocztę biegali; on tylkoim drzwi przed nosem zamykał— i dokąd od pisarza wszystkich „chrześciańskich" listów nie odebrał, ani jednego żyda do izby pocztowéj nie

wpuścił, potém jeszcze, wychodząc, pchał ich łokciami na prawo, na lewo, ot tak sobie, żeby pokazać, że on tu gospodarz, a oni goście!...

Dziś, oprócz listu ze zwierzęciem i paru innych, niósł awizacyę dla biednéj wdowy, od córki guwernantki, co miesiąc matce sześć rubli przesyłającéj... Stara, odbierając, ma zwykle łzy w oczach... Głupia! On nie płakałby, żeby nawet sześćdziesiąt otrzymał! Niósł i ten list... do Zarębów! duży list w szaréj kopercie z szafirowym monogramem, z „bardzo pilno" na wszystkich czterech rogach. Od siostrzana, od tego rozbójnika Julka, który przed kilku laty całe miasteczko utrzymywał w ciągłéj trwodze, zanim go licho ztąd nie wzięło.

Trepko nie cierpiał chłopca, czuł szczerą pogardę dla jego wujów, starych kawalerów, z którymi sąsiadował od lat kilku. Miał chałupę obok ich ogrodu, lecz cóż z tego? Z innych ogrodów ciągnął daleko większe zyski, niż z tego najbliższego. Skąpcy strzegli swego dobra w dzień i w nocy. Z za płotu, na ludzką pokusę, zwieszały się gałęzie, obciążone owocami, jagody najrozmaitsze dojrzewały jak w raju, ze dwadzieścia ulów wzdłuż przy drzewach, a trawa bujna wkoło płotów wabiła bydlęta i ludzi! Zaledwie Trepko mimochodem sięgnął po najmizerniejsze chociaż jabłuszko, koścista ręka wysuwała się z poza gałęzi. „Nie wolno!" ryczał głos z pod ziemi, a jednocześnie gruby drąg wysuwał się z za płotu nad samym jego grzbietem, parę razy nawet drąg upadł mu na kark... niechcący!

W poniedziałek szczególnie, po każdém święcie, gdy Trepko odpoczywał pod płotem ociężały, trochę

niezdrów, kwaśne jabłko wróciłoby mu rzeźwość i zwykłe siły, spoglądał z dołu na pyszne owoce, ale ręki podnieść nie śmiał... Skąpcy czatowali za płotem, a czart im dopomagał! Wszędzie kradli, wszędzie łamali drzewa, wyrywali z korzeniami krzaki malin i agrestu,—do nich zbliżyć się nikt nie śmiał: brytan i dwa siwe ludzkie szkielety odstraszały nawet Trepkę. Oni go téż pierwsi okrzyczeli złodziejem w całém miasteczku. Obiecywał, że im się odwdzięczy kiedyś—tymczasem truł ich prawie co miesiąc listem od Julka. Chłopak zawsze potrzebował pieniędzy, a starcy aż pienili się ze złości, czytając jego listy. Trepko zawsze z lekkiém sercem wychodził z ich domku i zawsze dobrodusznie niby życzył, żeby jaknajprędzéj drugi list mógł przynieść. Starcy na całym świecie nie mieli nikogo prócz Julka... dla niego, wraz z brytanem, strzegli swego dobytku—niechże się cieszą z jego listu. Z dzisiejszego pewno się ucieszą; dotąd chłopak nigdy jeszcze tak dużego nie przysłał, pewno może o jakieś dwadzieścia rubli prosi.

— Zachorują ze złości! Ha, niech chorują! Czy to ja raz pod ich płotem chorował! niosę, co mnie dali! Żeby tylko obydwu zastać!

Do p. Tomasza miał szczególniejszą urazę, chociaż i p. Jana zawsze tylko „niemym czortem" nazywał, wbrew opinii miejscowych dewotek, które go zwykle „zmokłą kurą" nazywały—taki był cichy, pokorny, usłużny i nieśmiały. Cnoty te zdobył w biurze asesora, gdzie przez wiele lat pracował jako pomocnik sekretarza,—nie pozbył się ich dotąd, chociaż dziesięć lat już pracował na „swojém." Ile razy, znużony ciężką pracą w ogrodzie, przysiadł na ławce między dwiema grusza-

mi, tulił się do drzewa skurczony, jakby obok siebie czuł duch zwierzchnika, nasycający się świeżém powietrzem, szmerem liści, wonią traw różnych w cudzym ogrodzie. Dziś Jan spełniał w domu najcięższe roboty: kopał, gracował, ze złamanym kozikiem w ręku pełzał na kolanach po brukowaném podwórku, wyrzynał trawę wkoło kamieni, czyścił obórkę, czasem nawet krowę pasał w ogrodzie przy płocie, zdrów był jak rydz, oczy tylko mgłą zachodziły czasami.

— To nic!—szeptał w duchu—teraz już nikt mnie ze służby nie wypędzi, chociażbym oślepł!

Podnosił oczy w górę: widział słonko, niebo, widział nawet wróble, zlatujące się gromadnie do jego wiśni! Nabierał otuchy—nie oślepnie zaraz! Żeby jeszcze chociaż rok, drugi, nim tego szubrawca Julka na człowieka wykierują! potém... oh, pewny był, że to nie nastąpi nigdy; szubrawiec ten prędzéj w lamparta się przemieni, niż w człowieka.

Przekonanie to podzielał p. Tomasz, eks-pedagog, który przez czterdzieści lat był domowym nauczycielem po różnych domach. Zgryźliwy staruszek rad byłby całą ludzkość kręcić za uszy; mówiąc o młodzieży, krzywił się pogardliwie, kiwał głową z politowaniem, czasem nawet spluwał przez zęby... Że Julka nie powiesił dotąd... było to dowodem siły charakteru i panowania nad sobą; przepowiedział mu jednak koniec na szubienicy i uspokoił się w części co do jego przyszłości, bo zresztą cóż go ten urwis mógł obchodzić?

Otrzymali go w spadku po siostrze, ubogiéj szwaczce, wówczas właśnie, gdy p. Jan, zagrożony ślepotą, został usunięty z biura, wpadł w dziwną melancholię i po całych dniach siedział, albo snuł się nad

stawem, przesiadywał w ogródku, osowiały, zgarbiony, przebąkiwał, że z kijem pod kościół pójdzie,—p. Tomasz zaś wrócił z ostatniéj kondycyi, kaszlał strasznie, pił potrochu i machnął ręką na wszystko, przekonany, że mu parę mozolnie zapracowanych tysiączków wystarczy do śmierci. Chłopak pomieszał im szyki: z kijem pod kościół iść już nie wypadało, upijać się przy nim—niezręcznie; urwis wszystko wyszpiegował, podpatrzył, przewąchał, przedraźniłby i wyśmiał pijanego wujaszka, roztrąbiłby po całém miasteczku, a p. Tomasz dbał o opinię, chciał uchodzić za wzorowego pedagoga, zażywał tabakę ze srebrnéj tabakiery, chwalił dawne czasy, czcił rózgę, a na widok dziecka ściągał brwi, zaciskał zęby, albo uśmiechał się złośliwie... Dzieci uciekały od niego, on zaś cieszył się, że wzbudza taki szacunek i poważanie.

Zaniechał tedy wódki, a tylko od czasu do czasu pijał nalewki, zato z całą zawziętością zabrał się do nauki i moralności tego szpiega, urwisa, co go w ostatnich latach życia kłopotów i trudu nabawił. Kupił domek z ogródkiem i obaj z bratem wzięli się do dźwigania krzyża Pańskiego, który spadł jak grom na ich siwe głowy. Chłopak był ładny, bystry, posłuszny nawet, nosił wodę, czyścił buty, zamiatał stancye i podwórko, uczył się nieźle, ale jak wypadł na ulicę, bił żydów, ujeżdżał ich kozy, tłukł szyby, wracał do domu okrwawiony, obdarty, jak dziki kot chował się po kątach, kąsał za ręce, gdy go wydobywano gwałtem z pod łóżka na perory i karę.

— Taki już mój charakter!—odpowiadał hardo— taki mój charakter i basta!

Wyraz ten „charakter” oburzał i zdumiewał staruszków. Oni nigdy nie mieli charakteru! P. Jan wzruszał ramionami na samo to słowo; czyż wytrwałby przez lat tyle pod rozmaitymi zwierzchnikami, żeby miał choć cień charakteru! P. Tomasz wiedział, że na świecie trzeba żyć tak i owak, a charakter to wymysł tych niedouczków, którym się zdaje, że mur głową przebiją. To téż ile razy smagał rózgą Julka, za każdém uderzeniem dodawał: to za żydów, to za kozy, to za szyby, a to za charakter! Ostatnie uderzenie stanowiło jakby *coup de grâce*, wymierzał je z precyzyą, z amatorstwem; zżymał się na samo przypuszczenie, że ten smarkacz śmie o jakimś swoim charakterze wspominać. Rozjątrzony chłopak wykrzykiwał, że chałupę spali, krowę zarznie, a sam w świat pójdzie, bo już z tymi starymi rady dać nie może!

— Ja go wypędzę! — powtarzał p. Tomasz.

Czuł przytém, jak mu skrzepła krew żywiéj krąży, serce uderza jak za młodu, policzki rumienią się; po każdéj takiéj scenie jadł za trzech, o nalewce zapominał, a do reformowania Julka brał się coraz zawzięciéj.

P. Jan łagodził chłopca, wmawiał mu, że podpalanie jest grzechem, krowy rznąć nie należy, bo to przecie boskie stworzenie. Tulił go, głaskał po twarzy, pod sekretem kupował mu ołówki, obwarzanki; ażeby zaś wywyrównać rachunki, coraz zawzięciéj pracował w ogrodzie. Prawdziwa ich troska zaczęła się wówczas dopiero, gdy sporego wyrostka oddali na naukę do Wilna, z początku do szewca, potém do stolarza. Chłopak i tu okazał swój „charakter” — uczciwego rzemiosła uczyć się nie chciał, uroił sobie, że będzie wielkim człowiekiem: konduktorem albo maszynistą!

— Ja go się wyrzeknę!—wykrzykiwał p. Tomasz, posyłając pierwsze dziesięć rubli na stancyę i odzież, gdy się Julek do szkoły kolejowéj dostał.—Samowolny, hajdamaka, niech sam sobie radę daje! I to dziś oni tacy wszyscy! Ledwo od ziemi odrośnie, o rozumie swoim, o charakterze dowodzi. Starszych za boże podszycie nie ma!... Oj, pokolenie! bodaj ono zmarniało! Ja go się wyrzeknę!

— No i... ja!—dodawał nieśmiało p. Jan, czując się w obowiązku wtórować bratu.

Tymczasem jednak, ponieważ „hajdamaka” kosztował coraz drożéj, trzeba było myśléć o stałych dochodach. P. Tomasz przyjął lekcye u aptekarza, codzień musiał się umyć, ubrać, ogolić akuratnie; stojąc przed lustrem, dziwił się sam sobie, mrużył okiem, myśląc o pewnéj wdówce na wsi... żeby téż ona teraz go widziała! Irytacya i złość odmładzały go bezwarunkowo. Klął Julka, dla którego codzień po słocie i chłodzie musiał wlec się na drugi koniec miasteczka, a jednocześnie wiedział przynajmniéj, co ma z dniem zrobić, i czuł w sobie znowu dawną energię w całym rozwoju.

P. Jan dopuszczał się malutkich defraudacyj: „oszczędzał” przy sprzedaży produktów i marzył, że kiedyś sam poszle kilka rubli temu urwisowi!.. Myśl ta pochłaniała go całkowicie. Nigdy jeszcze nie drżał tak nad każdym groszem, nigdy nie był przezornym, przebiegłym prawie, gdy chodziło o zdobycie dziesiątki. Kupił kilka kur, sam podbierał jaja, przepisywał metryki u proboszcza, a służącym za parę groszy pisywał miłosne listy za dyktandem—sam nigdy w życiu nie zdobyłby się na taką mądrość!

— Ten szubrawiec ma kochankę!—zawyrokował p. Tomasz w trzecim czy w czwartym roku posyłania pieniędzy.—Niepodobna jest, żyjąc uczciwie, przeżywać prawie dziesięć rubli miesięcznie! Jeżeli wyrostek potrzebuje dziesięć rubli na miesiąc, ileż będzie potrzebował starzec?—zapytał p. Jana, zacietrzewiony z powodu listu Julka.

P. Jan wzruszył ramionami, nie był mocny w matematyce; zarumienił się wstydliwie.

— Co téż brat mówi!—szepnął. On sam miał tak około sześćdziesiątki i nawet myślą nie grzeszył! Zkądżeby ten osiemnasto czy dwudziestoletni chłopiec?...

— Wiem, co mówię! Oni dziś zepsuci są już w kolebce! Znikczemniałe to, marne pokolenie! Pieniądz tylko i użycie! Czy ja ich nie znam! Ze sto bachorów od ósmego do dwudziestego roku życia przeszło przez moje ręce; wiem, jak to wygląda w samym zarodku! Ten łotr ma kochankę, hula sobie, a my zapracowujemy się tu dla niego jak woły robocze, grosz do grosza gromadzim, ledwo jednę ratę wyszlę, już o drugiéj myślimy; chwili spokojnéj nie mamy, dzień po dniu w pracy, w kłopotach schodzi, śmierć nadejdzie i nie zdążymy wypocząć po pracy! Nie, ja się go wyrzeknę! Dość już téj męczarni, niech sobie sam radzi! Mądry, z charakterem, a starych wujów ssie jak niemowlę! Ten raz tylko i basta!

Takich razów było już kilkanaście. W końcu jakoś Julek przestał pisać. Upłynęło dwa, trzy miesiące—staruszkowie milczą. P. Tomasz coraz częściéj na pocztę zachodzi, niby dzienniki przegląda. P. Jan biega do organiściny, żeby mu kabałę stawiała na bruneta.

— Pan Jan mógłby jeszcze i na brunetkę stawiać!—draźni go zalotna kobiecina.

On, wpatrzony w karty, bada losy Julka; w kartach wszystko pomyślnie, a listu niéma!

— Powiesił się może!—wybuchnął naraz p. Tomasz Od niejakiegoś czasu czuł dziwny niepokój. Chłopak śnił mu się kilkakrotnie.

— A cóż, oni teraz wieszają się, strzelają, ot tak, ni z tego, ni z owego! W Boga nie wierzą, więc im i umierać łatwo. Oj, pokolenie! Całe szczęście, że człek z nimi żyć nie będzie!

W komodzie miał odłożonych trzydzieści rubli; składał je machinalnie prawie, z nałogu, do pudełka, na którém wielkiemi literami wypisał ołówkiem: „dla szubrawca."

Chciał sam pisać... latem, podczas wakacyj, nie wiedział, gdzie go szukać. W końcu postanowił czekać do niedzieli, potém... kto wie, może wypadnie wyjechać do Wilna. W piątek list przyszedł! Trepko, niosąc go, zdaleka już uśmiechał się złośliwie do białego domku starych kawalerów...

Dzień był jesienny, pogodny; miasteczko oblane słońcem wyglądało weseléj, jakby czyściéj niż zwykle. Po rynku paradowały kozy, biegała żydowska dziatwa, pachło różnemi zapasami z żydowskich kramików; na prawo i na lewo, w uliczkach zasypanych żółtemi liśćmi cisza i pustka... Nici pajęczyny snuły się w powietrzu; na dachach gdzieniegdzie siedziały gołębie; w podwórzach, opatrzonych od ulicy zamkniętą bramą i furtką, skrzypiał żóraw u studni, albo słychać było monotonne nawoływanie: „cip, cip, ul, ul," albo „waś, waś i t. d." Tu i owdzie pies znudzony wyłazil z pod

bramy, obejrzał się po ulicy i, nagarnąwszy trochę suchych liści, kładł się na słońcu, zmrużył oczy, poruszał ogonem na lada szelest. Trepkę psy znały; żaden nawet głowy nie podniósł, gdy ten, kulejąc, z torbą przez plecy, szedł wzdłuż domków. Zato w oknach rozchylały się siatkowe i muślinowe firanki, ponad doniczkami fuksyi, rezedy i geranium wyglądały za nim głowy staruszek i emerytów — przez chwilę czekano, czy téż furtka nie skrzypnie.

Trepko szedł daléj; głowy w oknach znikały. W Zarębiu skrzypnęła furtka. Na ganku o dwóch słupkach i dwóch ławeczkach siedział p. Tomasz w płóciennym szlafroku, w kaloszach na bosych nogach; pan Jan siedział naprzeciw niego na drugiéj ławeczce. W pośrodku na rozesłanym worku prześliczne żółte i czerwone jabłka mieniły się na słońcu. Kilka pszczół, zwabionych zapachem, brzęczało wkoło nich... Przed gankiem stał Jankiel, targował się już godzinę i nie mógł dobić targu. Dawał po dwa grosze na ogół, bracia jednozgodnie po trzy chcieli. Ujrzawszy Trepkę, obaj powstali, obaj przysłonili ręką oczy od słońca, na ustach u obydwóch zastygł wyraz „list..." Obaj téż wyciągnęli rękę jednocześnie, gdy Trepko, stanąwszy przed gankiem, po chwilowém poszukiwaniu w torbie wyjął list duży, w szaréj kopercie z szafirowym monogramem.

— Od siostrzeńca! — rzekł ze złośliwym uśmiechem—radość... pociechę!... pewno pozdrowienie wujaszkom przesyła!

Odstąpił w tył parę kroków, skórzaną torbę na brzuchu poprawił i czekał; słońce go grzało, jabłka pachły... Zawczasu czuł w ustach smak wiśniowéj nalewki.

Na ganku tymczasem obaj bracia czytali list jednocześnie; p. Tomasz trzymał go w obu rękach; p. Jan, z wyciągniętą szyją nad ramieniem brata, mrużył oczy, łowił migające się litery.

„Szanowni wujowie dobrodzieje! (stało na początku krzywém ale wyraźném pismem). Ot, koniec i basta! Wyszedłem już, chwała Bogu, na człowieka: jestem majstrem w kolejowych warsztatach, a jak wakans otworzy się, będę maszynistą! Od was już nic nie potrzebuję, jeszcze wam będę przesyłał po trzy ruble na miesiąc, albo i po pięć; nie chcę chwalić się zawczasu, żeby potém nie najeść się wstydu. Nie pisałem długo, bo nie wiedziałem, czy zżyję się z tutejszymi ludźmi, człowiekowi z charakterem trudno! Teraz widzę, że dam sobie z nimi radę, więc i piszę, żeby was zawiadomić, jak jest, i zarazem podziękować za wszystko! Nie bójcie się, ja wam tego nigdy nie zapomnę, coście dla mnie zrobili! Charakter pomógł mnie wiele, ale bez was zmarniałbym może jak pies albo jak sierota! Otóż ja teraz o was pamiętać będę, jako jestem uczciwy człowiek i kochający was siostrzeniec, Julian.

Wilno, dnia 15-go września r. 1888."

List był pomyślny, ale radości nie wywołał—na razie nawet bracia osowieli jakoś...

Napróżno Trepko, stojąc na słońcu, czekał, kiedy p. Tomasz zgniecie list i ciśnie pod ławę, zaklnie, zaczerwieniony, od piorunów, szatanów, urwisów, a pan Jan syknie „Chryste Panie!" udając oburzonego; bracia siedzieli nieruchomi.

— Dobrze, bardzo dobrze! — powtarzał p. Tomasz, ma chleb. Myśmy niepotrzebni.... bardzo dobrze!

Maszynistą będzie... doskonale! Czas, tak... pora, dość już było tego wszystkiego.

Jankiel skorzystał z wrażenia, za jabłka dał po groszu.

— A bierz, idź do dyabła!—burknął p. Tomasz; kopnął nogą, kilka najpiękniejszych potoczyło się na kamienie; p. Jan wyniósł kieliszek nalewki Trepce i obaj bracia weszli do pokoju.

— Ot jak! na swój chleb poszedł—powtarzali to jeden, to drugi, przez cały ranek. — Niedawno malec, a dziś już człowiek!

Uśmiechali się do siebie dziwnym jakimś, melancholijnym uśmiechem. P. Tomasz chodził po pokoju, w pantoflach, w szlafroku, nie myślał się ubierać, iść na lekcyę. P. Jan, stojąc przy oknie, łapał muchy; od czasu wystąpienia z biura pierwszy raz tak mile czas przepędzał.

— Zobaczymy, czy wytrwa; kto wie, może jeszcze pokłoni się, przeprosi.... On teraz nam pomagać będzie! Obiecanka cacanka! Niech tylko nic od nas nie potrzebuje! Raz przecież człek odpocznie jak należy.

— Tak, odpoczniemy—powtórzył p. Jan głucho

Pewnym był, że Julek teraz już o nich zapomni... Poleci z tą maszyną gdzieś w świat, między ludzi!... Gdzie jemu tam myśléć o dwóch starych wujach w dalekiém, zapadłém miasteczku! Zapewne—dobrze, że wyszedł na człowieka... Ale teraz on, stary, co przez całe życie miał tylko jego jednego, teraz nikogo już nie ma! Ani żywéj duszy! I te pięć rubli, które przez lato zaoszczędził w rozmaity sposób, naraz straciły wszelką wartość... wzruszył ramionami. Na co mu teraz pieniądze! Żeby jeszcze choć rok ten Julek pobył... szubrawcem... Za

rok zawsze trochę do śmierci bliżéj; teraz zacznie się takie głupie życie!... Łapał muchy, nie śmiał spojrzéć na brata; ten pewno cieszy się, że nie trzeba posyłać pieniędzy!... Spojrzał z ukosa. P. Tomasz, siedząc za stołem, rozłożył pasyans, ale nie patrzał na karty... Głowę oparł na ręku, wpatrzył się gdzieś tam za okno.

— No proszę, jak to teraz wszystko leci na tym świecie!—szepnął—pilno im! Człek ledwie zaczął myśléć o nim... starać się... a tu już... bywaj zdrów! Niepotrzebny jesteś! No i dobrze, bardzo dobrze! Tylko że on... teraz... o nas... zapomni!—dodał ciszéj—teraźniejsze pokolenie!

Machnął ręką, zgarnął karty i znowu zaczął chodzić po pokoju, szurając kaloszami. Godzina lekcyi dawno przeszła. Na cóż jemu teraz ta lekcya! Splunął ze złością. Stary jest, spracowany, umierać mu pora... Ot i wszystko! Wczoraj jeszcze obraziłby się za to przypuszczenie, dziś wszystko mu już jedno!

O zmroku p. Jan usiadł na progu w ganku—pykał fajeczkę i patrzył sobie na staw mgłą zasnuty... Przez cały dzień to cieszył się, to martwił powodzeniem Julka, w końcu jednak przyznał w duszy, myśląc o sobie, że teraz znowu jest zupełnym sierotą... drapał się zwolna za uchem i co chwila zaciskał powieki—wilgotna mgła dolatywała z nad jeziora!...

P. Tomasz stał za nim czas jakiś, potém przysiadł obok niego na progu.

— A cóż, nam już po sześćdziesiątce... braciszku!—szepnął.

Spojrzeli na siebie—obaj byli siwi, z ostremi rysami. Obydwóch jakoś oczy przygasły po dniu dzisiejszym.

Pierwszy raz tego wieczoru Trepko pasł jałoszkę w ich ogrodzie, wyłamał dziurę w płocie i nie naprawił wcale, założył tylko kołkiem do jutrzejszego zmroku. Odtąd p. Jan chodził koło ogrodu jak ślepy. Można mu było kraść z przed nosa, co téż Trepko robił podobno. Zresztą, może to nieprawda.

W miasteczku tyle plotek!

Z KRAINY DUCHÓW.

Stworzoną byłam na siostrę miłosierdzia, chociaż w młodości nie zażywałam tabaki, nie miałam przygarbionych pleców i schrypiałego głosu, nawet brodawka na nosie wyrosła mi nieprędko—pod starość!

Za młodu, współcześni utrzymywali, że wyglądałam nieźle. Wprawdzie wówczas gust był mniéj rozwinięty... mężczyźni nosili kamizelki w kwiaty, kobiety płytkie buciki bez obcasów i żółte tureckie szale od wielkiéj parady; — któżby dziś takie szkaradzieństwo włożył!

Wówczas to można było miéć wzrost zawysoki, policzki zaświeże i zaduże własne warkocze!

Taką właśnie byłam, mając lat dwadzieścia; trudno wierzyć! Hm, i historya, którą opowiem, nie dzisiejsza. Jeżeli, słuchając, znudzisz się waćpani, to zaśnij, tém lepiéj! Doktor zalecił snu jaknajwięcéj!...

Siostra Anna, chcąc się uchronić od drzemki, zażyła tabaki, w milczeniu zbierała widocznie materyał do autobiografii. Spojrzałam na nią uważniéj: dziś

jeszcze, pomimo siwych włosów, miała rozumne czarne oczy, ładne usta i białe delikatne ręce; na twarzy dużo zmarszczek, w uśmiechu dobrodusznym niby dużo smutnéj goryczy.

Kiedy, chcąc przyćmić lampę, wstała z fotelu i zbliżyła się do stołu, wysmukła figura w brązowéj sukni, przepasana szerokim pasem, wyglądała na ciemném tle pokoju niby wspaniałe widmo niegdyś pysznie pięknéj kobiety! Nawet osławiona brodawka na nosie, właściwie niewielka czarna plama, może dodawała wdzięku w czasach świetnéj młodości! Spać nie mogłam—wdzięczną byłam staruszce za łaskawy pomysł opowiadania staréj historyi.

— Wszyscy się postarzeli wraz ze mną! Ile razy przechodzę ulicą, spotykam wyczernionego jegomościa, pewno w nim dawniejszego eleganta poznam! W udekorowanych krzyżami poznaję zapalonych niegdyś apostołów staréj wiary, która tyle miała wspólnego z krzyżem, ile mój nos dawniejszy z dzisiejszą tabakierką. Nabożnisie, ruchliwe za młodu, wdzięczą się teraz do świętych pańskich! Bądźcobądź, starość rozumu uczy! Ludzie wogóle zmienili się trochę; wprawdzie teraz z chorymi najczęściéj mam do czynienia, ci zaś, gdy są osłabieni, nie mają gorączki, wydają się lepsi, łagodniejsi niż dawniéj! I plotek teraz mniéj słyszę! Dawniéj, młode kobiety szczególnie, miały szczęście do ludzkich języków! Doświadczyłam tego trochę sama, resztę od ludzi słyszałam.

Położenie moje wyjątkowo narażało mnie więcéj, niż każdą inną kobietę, na opiekę ludzką. Matka, skoligacona szeroko, zostawiła mi ciotek zapas spory i kuzynek bez liku; ojciec, zdolny nauczyciel, wychował

mię staranniéj, niż wówczas było we zwyczaju; ztąd téż przepowiadano zawczasu, że zostanę starą panną, a w razie zamęźcia będę marną gospodynią, gorszą jeszcze żoną i najgorszą matką.

Wobec tak strasznéj przepowiedni nietylko że nie zmarniałam ze strachu, ale owszem, rosłam i uczyłam się z coraz większym zapałem. Żadna matka nie chciałaby mnie za synowę, gdyż posag miałam malutki, natomiast lekcye proponowano mi chętnie, w zamożnych szczególnie domach, gdzie nauczycielka, mówiąca kilku językami, jest dość pożądanym okazem.

Lekcyj tedy miałam dużo, a że na chleb powszedni pracować nie potrzebowałam, okazywano mi daleko więcéj uprzejmości, niż innym guwernantkom, niemającym kilku tysięcy w zapasie.

Dziś jeszcze składam szarpie, bandaże i doktorskie recepty w pięknych niegdyś bombonierkach, ofiarowanych mi wraz z cukierkami w dzień imienin.

Zapraszano mię na różne rodzinne uroczystości, przez uprzejmość niby, w istocie żebym grywała do tańca, albo śpiewała przy rozstrojonych fortepianach.

Panie ofiarowywały się jedna przez drugą matkować mi na balach i wieczorach, za oczami nazywały mnie „*cette petite*," w oczy chwaliły piękny układ i gustowne ubranie.

Miałam tedy dosyć szczęścia u ludzi. Jak córka regimentu, zostawałam na opiece licznego grona znajomych, którzy nie szczędzili przestróg, uwag, zapisując nawet złośliwą naganę na karb życzliwości dla młodéj panny, pozbawionéj macierzyńskiéj opieki.

Stosunkowo dość dobra sława zachwianą została, gdy po śmierci ojca odrzuciłam oświadczyny doktora

Knotta. Knott był świetną partyą. Stary, w peruce, zażywał tabakę ze złotéj tabakierki i laskę miał ze złotą gałką; kobiety go uwielbiały; starsze częstował tabaką, młode miętowemi cukierkami, wszystkim zaś, badając puls, ściskał rączki znacząco, patrzył w oczy z miną sennego kota; miał przytém kamienicę, konie i powóz, a w dzień Nowego roku bogatszym pacyentkom przesyłał bilety z gołąbkami, pieskami, kwiatami, które świadczyły o jego dobrym guście i pamięci.

Kiedy się mi oświadczył, odziany w granatowy frak, nankinowe spodnie i kamizelkę w kwiaty, wyglądał tryumfująco. Zanim zdołałam mu odpowiedziéć, wyjął z kieszeni zapis na kamienicę, którą miałam otrzymać po najdłuższych latach wzorowego małżeńskiego pożycia. Spoglądał przytém na mnie wzrokiem nieograniczonego zadowolenia. Oczy, usta, cała twarz rumiana, pogodna, zdawały się mówić: „*mein liebchen, was willst du noch mehr?*"

Znałam Knotta oddawna, ale prędzéj spodziewałam się od niego śmierci, niż oświadczyn; w dodatku kamienica jego wzruszyła mię tyle, co i peruka.

Odjechał tedy, więcéj zdziwiony, niż zasmucony odmową; parę razy potém przysyłał faktorkę dla delikatnego wybadania, czy się nie namyśliłam. Ona to opowiadała o wykwintnych pokojach Knotta, o jego jedwabnych szlafrokach, haftowanych pantoflach i czapeczkach ze złotemi i srebrnemi chwastami, dodając, że żona tak bogatego człowieka będzie najszczęśliwszą kobietą w świecie, gdyż ma wybornego kucharza, kawę zaś z zagranicy sprowadza. W końcu i faktorce drzwi przed nosem zamknęłam.

Wówczas to w kole moich znajomych rozległ się szmer głuchy, niby grzmot przed burzą.

Z początku nie chciano wierzyć w moją nieroztropność, nie przypuszczano nawet, że mogłam odrzucić tak wielkie szczęście;—dopiero gdy wszystkim razem i każdemu z osobna powtórzyłam, jak było, zaczęto na mnie patrzéć jak na koziołka, któremu raptownie różki wyrosły. Najpoczciwsze ze złami prawie namawiały mnie, żebym nie psuła własnego losu, że Knott niepowabny wprawdzie, ale stary, zamrze prędko, ja zaś zostanę bogatą i wezmę męża, jakiego zechcę! Zacne matrony, przemawiając w imię cnoty i obowiązku, po długich, pełnych wielkich prawd oracyach, wzruszały ramionami nad moją przewróconą głową. Ci nawet, co głośno przyznawali, że mam racyę, drwili pocichu z zarozumiałéj guwernantki, któréj się roi, że jeszcze większego ptaka złapać może potrafi. A że w cnotę kobiety rzadko kto wierzy niezachwianie, zaczęto domyślać się, przypuszczać... i chociaż brakło wszelkich komentarzy—nicowano moją duszę, każdy po swojemu. Ja zaś przeżywałam wówczas jednę z najcięższych chwil w życiu. Trwoga, zwątpienie, przeczucie straszne, targały duszę; marzenia złote, co jak gwiazdy oświecały czas jakiś dolę sierocą, znikały jedne po drugich. Nadzieja gasła, czułam, że wkrótce świat cały przemieni się dla mnie w głuchą pustkę, a serce, jeżeli nie pęknie—skamienieje z bólu! Zawczasu już łzy wyschły, myśli rwały się i nawiązywały z gorączkową szybkością! O Boże! dziś jeszcze, gdy myślę o tém—czuję, że żyłam!

Codziennie, przez całą wiosnę i lato, chodziłam na lekcyę za miasto. Wśród ogrodów stary pałac,

wspaniała rezydencya pańska, z wieżyczką, z gotyckiemi oknami, głuchy, pusty, otoczony murem, wyglądał jak klasztor zdaleka.

Jak tylko skrzypnęła furta, przez dziedziniec, osiany kwiatami, na spotkanie moje biegł czarny pies kudłaty, za nim dzieweczka rozkoszna, strojna jak lalka, szczebiotała w zawody z wróblami!

Jednocześnie z parterowéj sali, gdzie się mieściła biblioteka, przez zakratowane okno wyglądał mężczyzna blady, znużony; krzywił się z początku, jak gdyby szczekanie psa, szczebiot dziecka, wszystko, wszystko, co przypomina świat i życie, robiło mu największą przykrość.

Przechodząc sień, przez otwarte drzwi widziałam, jak pochylony przy biurku notował coś w księgach, albo paczki jakieś, skrzynki opieczętowane rozglądał, obliczał i w księgach zapisywał. Umyślnie nieraz marudziłam w sieni, żeby na niego dłużéj popatrzéć.

Z pokoju ociemnionego drzewami wiało stęchlizną i wilgocią; krata w oknie, szary zmrok i szare ubranie jegomościa przypominały więzienie.

W pysznym pałacu górne piętro zajmowały sale wytwornie urządzone, galerya obrazów, rzeźby i malowidła na ścianach, na sufitach, u drzwi i okien. Stało to puste, wyczekując na przybycie samego pana.

Czasami, kiedy w rannych godzinach trafiałam na wyprzątanie i okurzanie wspaniałych pokoi, wchodziłam na schody, żeby zajrzéć do wnętrza. Światło ogromnych okien, złocone gzemsy, prześliczna harmonia draperyj, pokrowców, dywanów, olśniewały mię odrazu, zawsze miałam zamiar obejrzéć każdą rzecz

z osobna i zawsze wychodziłam odurzona widokiem skarbnicy smaku, sztuki i bogactwa.

Tém smutniéj, tém więcéj ponuro wyglądała parterowa sala! W poważnéj ciszy, gdzie muchy nawet latały leniwo, żaden ruch nie mącił grobowego spokoju—suchy kaszel pracującego jegomościa przeciągłém echem odbijał się w sieniach i korytarzach.

Zanim poznałam go bliżéj, w wyobraźni odtworzyłam już całą przeszłość ubogiego chłopca bez środków do nauki, potém ubogiego urzędnika, wysługującego się całodzienną pracą za marny kawałek chleba; współczucie przyjmowało coraz szersze rozmiary; wkrótce nie mogłam patrzéć bez wstrętu na obszerną piwnicę, pozbawioną światła i zdrowego powietrza, w któréj musiał siedziéć dzień cały, podczas gdy na dworze kwitła wiosna, ptaszki szczebiotały rozkosznie—rozkoszniéj jeszcze śpiewało budzące się w mojéj duszy uczucie młode, potężne jak ta siła, co wszechświat do życia budzi.

Żartem niby, dla rozweselenia pracy, codzień, przechodząc, dawałam p. Markowi kwiatek, narcyz, stokrotkę, czasem bratków parę; zdaleka już wyciągał wychudłą, kościstą rękę, spoglądał na mnie z uśmiechem, a oczom jego, przywykłym do pergaminu i zżółkłego papieru, policzki moje, zarumienione wiosenném powietrzem, musiały się dziwnie wydawać.

Wracając z lekcyi, gwałtem prawie wyciągałam go z pokoju, żeby mię przez cały dziedziniec do bramy odprowadził.

Żal i śmiech ogarniał, patrząc, jak wstawał z trudnością—bał się zostawić papiery i pieniądze rozłożone na biurku, a przechadzki opóźnić nie chciał.

— Nie bój się pan, duchy będą pilnowały!—mówiłam, żeby go rozweselić, rozerwać choć trochę;—w tych waszych salach ponurych niejeden męczennik pokutować musi.

Uśmiechał się, rad byłby na żart odpowiedzićć żartem, ale wymownym nie był; zamykał biurko i wychodził wraz ze mną; na policzki występował rumieniec, w przygasłych oczach promienie wiosennego słońca zapalały nowe życie na chwilę!

Przed nami podskakiwała Zośka, Medor chwytał ją za sukienkę, kiwając radośnie kudłatym ogonem. Na rozmowę wiele czasu nie było; najczęściéj ja mówiłam, on słuchał i zwalniał kroku, żeby przechadzka trwała jaknajdłużéj; dopiero przy bramie zawsze coś do powiedzenia znalazł bardzo ważnego, o tém, że róże w tym roku kwitną wcześniéj niż zwykle, pogoda cieplejsza i tym podobne tajemnice, powtarzane codzień i codzień słuchane z wielkiém zajęciem.

Jak matka najczuléj kocha słabe, niedołężne dziecię, tak ja z masy znajomych, z kilku serc szczerze przyjaznych, wybrałam to serce, spokojne, nieśmiałe, tę szczyptę życia, zawartą w schorzałém ciele.

Nieraz, patrząc na wpółzeschłą roślinę, podtrzymywaną ciepłem słoneczném, o mojéj miłości i o nim myślałam—odżył, orzeźwiał od spojrzeń, uśmiechów, od serdecznego uściśnienia ręki i tych rozmów, w których głos więcéj znaczy niż słowa.

Stosunek nasz zwrócił uwagę staréj matki jego nieboszczki żony; ostrożnie, jak przystało na damę w ażurowych rękawiczkach, koronkowym czepku i sukni z jedwabnemi falbanami, przystąpiła do zreflekto-

wania moich niewinnych wprawdzie, ale dość widocznych wybryków:

— Pan Marek—mówiła—to najzacniejszy człek w świecie! Córka moja była z nim bardzo szczęśliwa, chociaż przez rok jeden tylko. Chociaż może i lepiéj się stało, że umarła wcześnie. Pan Marek, pomimo zacności, żenić się nie powinien, nie stworzony do praktycznego życia. Przy swoich zdolnościach, gdyby chciał, mógłby stanąć wysoko, tymczasem marnieje na nędznéj posadzie bibliotekarza i kasyera. Z księciem trzyma się sztywno, nigdy o sobie nie przypomni; tacy ludzie, z przeproszeniem, do śmierci nędzarzami zostają. Gdyby nie fundusz żony i trochę moich zapasów...

Tu nastąpiło wyliczanie niezliczonych dobrodziejstw, jakiemi został obsypany p. Marek, łącząc się z rodziną Dobkiewiczów. Opatrzność rumieniła się, słuchając tych wyliczeń — sam Bóg nie potrafiłby zlać odrazu tyle dobrodziejstw na jednego człowieka.

Nie mówiąc już o córce, Dobkiewiczowie dali mu całe gospodarstwo, posag znaczny, a wszystko w nadziei, że dom urządzi przyzwoicie, ambicyę poczuje i na człowieka wyjść zechce. On pracował po dawniejszemu—ani jednego kroku nie zrobił w celu prędszego zdobycia fortuny.

Opowiadając, Dobkiewiczowa wzruszała ramionami miłosiernie; przedstawiwszy niezaradność, brak ambicyi i zbyt spokojny charakter zięcia, pewną była, że wzbudzi we mnie pogardę i niechęć ku temu ostatecznie zgubionemu człowiekowi. Słuchałam dlatego tylko, że mówiła o nim. Pan Marek ubogi, samotny, chory, tém bardziéj przypadł mi do duszy.

Z opowiadania wnioskowałam, że przez całe życie wielkich rozkoszy nie zażył: z żoną żył krótko, Dobkiewiczowa zaś, która wraz z wnuczką i jego wzięła w swoją opiekę, niezmiernie praktyczna, przy każdéj sposobności przypominała mu delikatnie, ale stanowczo, że jest niedbałym ojcem, o los dziecka nie troszczy się wcale i ani jednym szelągiem nie przysparza matczynéj fortuny.

Po obiedzie zapominała nalać mu czarnéj kawy i raz zwierzyła się mi pod sekretem, że pan Marek bez litości drze bieliznę, a skarpetek nie może mu nastarczyć!

O troskliwości, serdeczniejszém słówku mowy nie było. Akuratnie zabierała jego miesięczną pensyę i akuratnie ubolewała, że zaledwie na życie starczy!

— Chory jest, powinien się leczyć—zauważyłam, wysłuchawszy ekonomicznéj tyrady.

— Nie warto, zwydatkowałby się bez potrzeby, jemu nic nie pomoże, taki już gatunek! Kaszle, mizerny i słaby, a zobaczysz pani, że będzie żył, póki nie umrze! Znałam już kilku cherlawych: każdy przeznaczone sobie lata przeżył — odpowiadała, przekonana, że mówi najświętszą prawdę.

Pan Marek widocznie dobiegał kresu „lat przeznaczonych."

Pomimo starannego wysiłku, żeby się wydawać weselszym i zdrowszym, mizerniał z dniem każdym. Próbowałam dodawać mu otuchy, rozweselać, ale oderwać go od ciągłéj pracy nie mogłam!

Ciesząc się nieograniczoném zaufaniem pryncypała, spełniał kilka obowiązków naraz: rozpisywał listy, przyjmował pieniądze, prowadził ogromne ra-

chunki; od czasu do czasu, chroniąc od molów bogaty księgozbiór, szafy i książki z kurzu oczyszczał, a że sam wychodzić nie mógł, interesantów codzień napływało bez liku.

W téj porze tylko, kiedy z lekcyi wracałam, tak się urządzał, że albo wszyscy już wyszli, albo nikt jeszcze nie przyszedł; sień była pusta, drzwi od sali otwarte; pan Marek, z ręką przewieszoną przez poręcz krzesła, zwrócony ku drzwiom, czekał.

Wchodziłam na chwilkę do niego, żeby powiedzieć, że lepiéj wygląda, że ma świeższą cerę, weselsze oczy, żeby się roześmiać wesoło w tych szarych ścianach, w ponurym więziennym pokoju.

Słuchając gawędy, pieścił moją rękę, przymykał oczy, jak kiedy się szmeru strumyka słucha.

— Do jutra!—mówiłam zwykle na pożegnanie.

— Do jutra!—powtarzał, a jeśli w istocie był zdrowszy, szedł za mną do bramy, po drodze zrywał kwiaty z trawników, układał w bukiecik:

— To za bratki, albo za różę—mówił, wręczając kwiaty,—tylko niech się pani jutro nie spóźnia!

Czasami, kiedyśmy mieli trochę wolnego czasu, zostawałam w ogrodzie na godzinkę; siadywaliśmy na ławce pod lipami; Zośka opowiadała o swoich lekcyach.

— Czy zdolna?—pytał pan Marek,—czy nie utrudza panią zbytecznie?

Kłamałam, że dziewczynka zdolna, chętna, że z czasem wyrośnie na dzielną kobietę; upiększałam, jak mogłam, zmudny proces pierwotnego rozwijania się trochę leniwéj laleczki.

— To dobrze, to bardzo dobrze—powtarzał zcicha.—Myślałem już, że ze świata zejdę bez żadnéj ży-

wszéj pociechy, a tu... aż boję się wierzyć swemu szczęściu... za co to mnie spotyka! Żebyż przynajmniéj nie zbudzić się przed czasem.

Nie wierzył mi! Bał się kobiecego kaprysu! Biedak, przypuszczał, że można bawić się z uczuciem umierającego! Próbował nawet udawać obojętność. Nachmurzony, z zaciśniętemi ustami, pisał zawzięcie w chwili, kiedy wchodziłam powiedziéć mu „dzień dobry.”

Smutno zdziwione spojrzenie rozbrajało go odrazu—spuszczał oczy, jak dzieciak pojmany na kłamstwie. Po kilku serdecznych słowach łagodniał i znowu całkowicie do mnie należał — byłam wówczas bardzo szczęśliwa!

Czasami marzyłam, że wyzdrowieje—najczęściéj starałam się nie myśléć o jutrze.

Skoro przeszło lato, w jesieni robota się powiększyła; nieraz przez kilka dni nie rozmawialiśmy z sobą i tylko ponad głowami interesantów zamienialiśmy długie spojrzenia; dostrzegłam, że zmizerniał strasznie! Okropna trwoga ogarnęła duszę—nalegałam, żeby się leczył, błagałam o to ze łzami.

Wówczas może naprawdę uwierzył w moją miłość.

Wyjechał na cały tydzień, nie uprzedziwszy mię o tém ani jedném słowem. Stara mówiła, że został wezwany przez pryncypała; cieszyła się, że może nareszcie pełnomocnym plenipotentem zostanie. Spoglądała na mnie znacząco, po lekcyi zaprosiła na kawę ze świeżemi sucharkami.

Kiedy po tygodniu wchodziłam do sieni, ujrzałam kufer podróżny, zwykły czarny kufer z błyszczą-

cemi gwoździkami—nie wiem dlaczego trumnę mi przypomniał.

Pan Marek stał we drzwiach, w ciepłym paltocie, z włosami odrzuconemi na tył głowy; wyglądał zmieniony, jak w gorączce; ujął mnie za rękę, usiedliśmy obok na sofie.

— Jadę za granicę!—szepnął — w wyzdrowienie nie wierzę, ale pragnę żyć choć rok jeden.

Odwróciłam głowę—łzy jakieś głupie dławiły w gardle, do oczu się cisnęły. W chwili, kiedy powinnam była dodać otuchy, słowa przemówić nie mogłam.

— Oddawna pogodziłem się ze śmiercią—mówił daléj,—przez tyle lat choroby życie dokuczyło trochę, czasu i środków na leki nie było!... Ot, na tym fotelu siedząc z piórem w ręku, czekałem, kiedy palec skostnieje, zmęczona głowa opadnie na zawsze! Dziś za szczyptę życia oddałbym... eh, cóż ja oddać mogę biedak bezsilny!

Powtórzyłam raz jeszcze najgorętsze prośby, na jakie może się zdobyć miłość bez granic, — wołałam, żeby jechał bez zwłoki.

— A jeśli nie wrócę?—przemówił głosem, od którego krew ścięła się w żyłach.—Tu zostawię wszystko!... jedyny promień szczęścia, co mnie w życiu zabłysnął... wyjadę i zamrę samotny, opuszczony, tak jak żyłem przez lat wiele, do naszéj ostatniéj wiosny!...

Zdrowia i sił miałam za dwoje, kochałam go za matkę, za siostrę, za kochankę, gdyż dla żadnéj z nich droższym być nie mógł! Sama zajęłam się układaniem jego rzeczy, a w parę dni potém jechaliśmy razem ku słońcu, ciepłu, ku... śmierci!

Ludzie zwykle życie na lata liczą—ja w mojém miałam tylko kilka miesięcy, długich jak wieczność, ciężkich i szczęśliwych zarazem. Pielęgnowałam go sześć tygodni—dzień każdy był jakby promykiem szczęścia, a jednocześnie stopniem, zbliżającym do największéj niedoli. Wioząc go, nie miałam nadziei, że wróci—tém goręcéj pragnęłam opromienić uczuciem ostatnie chwile gasnącego życia.

Raz, zrana, wyszłam do lasu, żeby miejsce dobre do posiedzenia na cały dzień obejrzéć; ranek był słoneczny, w powietrzu unosiło się tyle zdrowéj woni, że na chwilę uczułam otuchę, zgasła nadzieja odżyła nagle.

Wychodząc, pootwierałam okna, na balkonie fotel i stolik ustawiłam na słońcu, żeby mógł, gdy się obudzi, skąpać się odrazu w słonecznych promieniach, odetchnąć balsamicznym zapachem kwiatów, rosnących dokoła.

W lesie polankę znalazłam prześliczną — sosny dokoła, trawa zieloniutka jak w maju. Od gór wiatr powiewał chłodnawy, ale za godzin parę mogło się ocieplić zupełnie.

Wracałam śpiesznie do domu, w myślach układając, jaką książkę wezmę z sobą, żeby go zabawić trochę i z ciągłéj drzemki rozbudzić.

Siedział już na balkonie, gdy weszłam; niespokojny, jakby strwożony, za rękę mnie ujął i długo w twarz patrzył martwemi oczyma.

— Nie pójdziemy dziś nigdzie—rzekł, kiedym mu o projekcie opowiedziała,—doktora dziś nie trzeba, zostaniemy sami. To mój ostatni kaprys...

Z ostatecznym wysiłkiem przysunął dla mnie krzesło do swego fotelu; usiadłam bliziutko.

Naraz zdało mi się, że straszna jakaś cisza zapanowała w naturze, że stopniowo wszelki ruch i życie drętwieje. Trzymałam jego rękę—z początku drgała zlekka, chłodne palce przylgnęły do mojéj dłoni. Z głową odrzuconą na poręcz fotelu, patrzył na mnie, przymykał oczy. Po chwili podnosił ociężałe powieki i gasnący wzrok znowu ku mnie zwracał. Zamierał. Czułam to, ale już w piersiach nawet na krzyk boleści siły zabrakło!...

Wróciłam samotna, w myślach po strasznym chaosie zapanował martwy spokój, tylko kąt ziemi z mogiłą wciąż stał przed oczyma—nie mogłam o nim zapomnieć ani we śnie nawet.

Stroskana, wpół martwa, w pierwszych tygodniach zapomniałam, że żyję wśród ludzi. Powoli jednak spostrzegłam straszną pustkę—ani jedna żywa dusza nie przyszła zapytać, czy żyję. Zadżumiona nie mogłaby zostać więcéj osamotnioną! Ludzie, z którymi od dzieciństwa spotykałam się codziennie, wymijali mnie na ulicy jak nieznajomą.

Nieznajomą! — myślałam; w istocie zmieniłam się do niepoznania: twarz i czoło pokryło się zmarszczkami, w warkoczach połowa włosów zbielała; pies stróżki, któremu dawniéj czasami kawałek bułki rzucałam, biegł ku mnie, ile razy zdaleka na dziedzińcu ujrzał... poznawał tedy.

Na wiosnę, kiedy wracające siły zaczęły się domagać ruchu i pracy, zaczęłam wychodzić coraz częściéj. Miałam po nim kilka rzeczy drobnych dla córki; pójść do niéj jeszcze nie mogłam, z dnia na dzień od-

kładałam wizytę i zawsze jakaś słabość dziwna, resztki dawniejszego odrętwienia, ogarniały mię na samą myśl o odwiedzinach; raz przecie należało wrócić do życia.

Zacznę znowu uczyć Zośkę, przy mojéj pomocy dziewczynka wyrośnie może na uczciwą kobietę.

Myśląc o tém, czułam ciepło w piersiach, serce uderzało żywiéj. Zebrawszy pamiątki, poszłam do niéj.

Na ulicy zdaleka ujrzałam Dobkiewiczową z wnuczką; dziewczynka pobiegła na moje spotkanie. Już miałam ręce wyciągnąć, aby uścisnąć biedaczkę, gdy stara targnęła ją za ręce, obie cofnęły się o kilka kroków—stałam przed niemi zdumiona.

— Bezwstydna! — syknęła Dobkiewiczowa — do dziecka — do aniołka śmie rękę wyciągać!

Odeszła śpiesznie, uprowadzając Zośkę. Wówczas to zrozumiałam swoje położenie.

Olśniona uczuciem, potém niedolą, zapomniałam o ludziach, zapomniałam, że oprócz trybunału własnego sumienia jest jeszcze trybunał towarzyski, który mnie od godności ludzkiéj nieodwołalnie odsądził.

Wdzierać się na dawniejsze stanowisko nie próbowałam—wszystkie bramy, furtki najciaśniejsze były dla mnie zamknięte. Zdaleka tylko dochodziło do mnie echo gawęd różnych, niegodnych potwarzy, wymyślanych na mój rachunek. Oburzano się przedewszystkiém na moją śmiałość, na bezwzględną otwartość w postępowaniu, nazywano to cynizmem, niegodném lekceważeniem praw boskich i ludzkich.

Zmiażdżonoby mnie odrazu, gdyby choć cząstka potępiających gawęd mogła być przemienioną w kamienie. Oburzenie gasło zwolna—jakiś nowy skandal odwrócił ode mnie oczy ciekawych. Z czasem oswoiłam

się ze swojém położeniem — zaczęłam szukać pracy.— O nauczycielstwie mowy być nie mogło, należało szukać innego zajęcia; z początku na każdym kroku spotykałam tyle ironii, złośliwych uwag, ciekawości zresztą, że na czas jakiś wszelkich starań zaniechać musiałam. Umarłabym z głodu w rodzinném mieście, żeby nie mały zapas pieniędzy, zostawiony przez rodziców.

Żyć bez ludzi, bez zajęcia—ciężko; zamierzyłam wyjechać gdzieś na koniec świata, wyprzedawałam zwolna zbyteczne sprzęty; a chcąc uciec jaknajdaléj, napisałam do kuzyna, mieszkającego w zapadłém miasteczku w Pińszczyźnie, prosząc, żeby mi tam jakąś pracę obmyślił; sklepik korzenny albo szwalnię otworzyć zamierzałam.

W dzieciństwie bawiliśmy się razem, znał mnie potém dorosłą panną, zawsze wiele przyjaźni okazywał. Pewną byłam, że i teraz dopomoże według możności.

Odpisał dziwacznie trochę. Przedstawił cały swój sposób życia, położenie, projekta, przypomniał starą naszą przyjaźń, w końcu zaproponował, czy się nie zgodzę zostać jego żoną,, żeby, zamiast osobno, ciągnąć wspólnie ciężar kłopotliwego życia.

List serdeczny, pełen prostoty, był jakby orzeźwiającym powiewem w dusznéj nad wyraz atmosferze mego położenia. Namyślając się nad odpowiedzią, odczytywałam go kilkakrotnie. Przed sobą miałam jeszcze długie lata życia samotnego, bez rodziny, tego najsmutniejszego życia, w którém wielkie nawet serca kobiece rdzewieją bez podpory; pomimo to czułam, że tymczasem przynajmniéj na żadne wyłączne uczucie

zdobyć się nie potrafię; obmyśliłam tedy odpowiedź, którąby uwolniła mnie od wszelkich objaśnień, a zarazem w niczém staréj przyjaźni nie naruszyła,—gdy raz, wróciwszy z przechadzki, znalazłam bilecik od tegoż kuzyna, w którym przepraszał grzecznie, że bawiąc przez parę dni w naszém mieście, nie mógł ani na chwilę wpaść do mnie; odradzał zarazem projekt zamieszkania w małém miasteczku i, polecając się łaskawéj pamięci, zawiadomił, że dziś jeszcze opuszcza miasto i t. d.

Był to istotnie policzek, wymierzony w przyzwoitéj formie.

Na bezczynne życie staréj panny zrezygnować się nie mogłam; natura kobieca, jeśli nie zwyrodnieje w kolebce, potrzebuje kochać, poświęcać się, żyć w serdecznéj atmosferze. Świat towarzyski był dla mnie zamknięty; pozostał jeszcze świat sierot, nieszczęśliwych, świat cierpiących i zaniedbanych, którzy, pojmując współczucie, troskliwość, opiekę, o świadectwo cnoty nie pytają.

Zostałam siostrą miłosierdzia; życie to dało mi tyle chwil błogich, o jakich chyba tylko we własnéj swojéj rodzinie marzyćbym mogła.

Wprawdzie i dziś jeszcze starzy znajomi spotykają mnie z dziwném mrużeniem oczu i przygryzaniem wargi;—wyborną mają pamięć. Ja nie zdołałabym przeliczyć, ile miesięcy przeżyłam wśród bezsenności, niewygód i cierpień—oni jeden fakt z życia mego pamiętają jak chrześciańską erę! Kto wie, może i w niebie fakt ten rzuci cień brudny na kartę całego mego żywota!

Nie wiem, jak będzie w niebie, na ziemi jednak pamiętano o występku do końca.

*

* *

W parę lat po tém opowiadaniu byłam na pogrzebie siostry Anny.

Śliczny to był pogrzeb. Takiego orszaku pozazdrościć jéj mogło każde cieplejsze serce.

Szeregi dziatwy sierocéj, gromady biedaków, płaczących jak po matce! Ksiądz w mowie pogrzebowéj, mówiąc o zasługach zmarłéj, zakończył wieloznaczącém:

„Ciężkie grzechy żywota przebacz jéj, Panie!”

Z MOICH STRON

OBRAZEK.

Maksym znał podobno całą okolicę, pamiętał nazwy wszelkich zarośli, błot, polanek i gajów, w lasach przeżył wiek cały, a na błotach, na trzęsawiskach był jak w domu. W młodości jakoby wyżła zastępował znakomicie, gdyż węch i słuch miał niezrównany, a jak zaczął wyć i szczekać, psy w wiosce odpowiadały mu właściwém narzeczem. Człek taki to prawdziwy skarb dla kiepskich myśliwych, którym lada wyżeł imponuje, włócząc za sobą po pustych błotach! Kiedy go pierwszy raz ujrzałem, ani mi się śniło, że mam przed sobą najznakomitszego etnografa w całéj okolicy—wyglądał jak każdy chłop: średniego wzrostu, chudy—zczerniały, w brązowéj sukmanie i w łapciach, stał przy drzwiach pokornie, a chociaż przysunąłem mu krzesło, przestąpił z nogi na nogę, ale nie usiadł. Sprawę miał z sąsiadem o łąkę i pola kawał, a dowiedziawszy się, że jestem adwokatem i parę tygodni tylko mam na wsi przepędzić, przyszedł prosić o radę i pomoc. Rzecz całą opowiedział z niezwykłą u chłopów treściwością, jasno, niemal poprawnie, na początku za-

znaczył w przyzwoitéj formie, że „za fatygę” nagrodzi, a chce tylko, żeby sprawę przyśpieszyć, jeśli można. Znał się widocznie na interesach—wiedział, jak do adwokatów przemawiać należy. W głuszy, oddzielonéj od świata dziesiątkami mil najgorszéj drogi, wśród lasów, błot, moczarów, poprawna mowa, znajomość form prawniczych u łapciowego chłopa — zdziwiły mię trochę. Słuchałem z uwagą, a w końcu, tak niby dla dobra sprawy, spytałem o rodowód: był strzelcem we dworze za młodu, t. j. psy karmił i chodził na polowanie, pod starość został leśnikiem.

— Więc znacie miejscowość dokładnie? — spytałem, zamierzając skorzystać z jego wiadomości.

— Znam, panie, to, co jest, i to, czego niéma!

Blagował; teraz już nie wątpiłem, że był dworakiem. On jakby myśl moją odgadł.

— Niéma już, panie, dawniejszych borów i błota lepsze osuszyli; ale zwierzyna jest jeszcze, chwała Bogu; tylko że teraz strzelcy marne: żaden uczciwie strzelać nie umie, chcieliby zające za ogon łapać!...

Do mnie przepił—cały już tydzień włóczyłem się po błotach i dotąd nawet kurki nie zabiłem.

— W tym roku ptastwa niéma, powiadają.

Uśmiechał się pogardliwie.

— A gdzież ma być? Każdego roku przylatuje, tylko niezawsze na te same miejsca. Na Czortowym ługu aż szumi od ptaków.

Nic tak nie zbliża ludzi, jak jednostajne upodobanie. Maksym, mówiąc o polowaniu, wyprostował się, poweselał, uśmiechał się i mrugał oczami naprzemian, parę razy nawet przełknął ślinę; widocznie żył w nim dziki duch puszczy, ten sam, który i we mnie pokuto-

wał, tłumiony kilkunastoletniemi studyami, mozolną pracą, wreszcie wszelkiemi narowami mieszczucha. Dziesięć lat pracy w jednym zawodzie nie zbliżyłoby nas tak szczerze, jak te kilka słów, zamienionych o ulubionym przedmiocie. Widziałem już w Maksymie kolegę, towarzysza, przyjaciela nawet, który nietylko że nie podstawi mi stołka na polowaniu, nie zagarnie dla siebie każdéj lepszéj gratki, nie oczerni mnie przed zwierzętami jako niedołęgę, na którego mogą śmiało biedz, gdyż prawie strzelać nie umie, ale owszem, chociażby dla swojéj własnéj przyjemności, zaprowadzi mię tam, gdzie jaknajwięcéj zdobyczy znaléźć można, a oddany z zapałem wspólnéj idei pozwoli mi pudłować, ile zechcę. Rozgadaliśmy się na dobre. Ten Czortowy ług miał być rezydencyą wszelkich możebnych ptaków. Maksym onegdaj jeszcze, idąc wzdłuż olszyny, spłoszył całe stado dubeltów: starek ze cztery, albo i z pięć może, a młodych to i nie przeliczyć. Same na człeka lecą. Nie zastrzelił żadnéj, bo fuzya rozszczepiła mu się jeszcze zeszłéj zimy, a chociaż związał ją akuratnie, kiepsko niesie i strzelać z niéj nie warto. Pokazałem mu swoją lepażówkę: ujął ostrożnie jak pajęczynę, obejrzał w milczeniu—oddając napowrót, westchnął.

— To fuzya, panie!—rzekł głosem pełnym uszanowania.

Spoglądał na mnie uważnie. Z twarzy jego czytałem, że teraz dopiero uznał moją wyższość. Obiecałem, że jeśli zechce towarzyszyć mi na Czortowy ług, dam fuzyę, gorszą wprawdzie od téj, ale nierozszczepioną. Milczał; podejrzewałem, że nie dowierza.

— Pójść można—odrzekł w końcu,—tylko żeby dzień jasny wybrać, bo tam w pochmurny czas za

mgłą świata bożego nie widać. Najlepiéj w sobotę; w dzień Matki Bożéj każdy ptak choć raz jeden do nieba podlata, a wtedy, z przeproszeniem pańskiém, i dziecię zastrzelić potrafi.

Udałem, że nie rozumiem; umówiliśmy się na przyszłą sobotę; gdy wychodził, wręczyłem mu starą fuzyę, żeby sobie wypróbował zawczasu.

Aż do soboty wałęsałem się codzień po okolicy z innym towarzyszem, który więcéj jeszcze niż ja udawał zapaleńca, a strzelał daleko gorzéj. Czekałem soboty; w czwartek, pomimo ciągłego niepowodzenia, wyszliśmy raz jeszcze próbować szczęścia. Deszcz lał od świtu—w taką pogodę psy tylko i myśliwi włóczyć się zwykli. Cały dzień ciągaliśmy się po oczeretach, po olszniakach, przeskakując z kępy na kępę, albo brnąc w błocie po kolana. Obmokłe psy wlokły się coraz wolniéj: zanim który w zarośla ruszył, stawał i, kręcąc zwolna ogonem, spoglądał poza siebie: zły znak, widocznie ganiać nie mieli czego, a proste błoto nie zachęcało do bezcelowéj przechadzki. Okolica jednak słynęła z dzikiego ptastwa: rozległa równina, na skraju dokoła czarnym lasem objęta, wyglądała jak dno jeziora, wyschłego przed niedawnemi czasy; kępy mchem porosłe, a wśród nich błota, na których tatarak stał niby wał zielony, falujący przy najlżejszym powiewie, ludzi ani śladu! Gdzieś tam podobne do kopy siana rysowały się na horyzoncie wiejskie chałupy, zasłonięte tu i owdzie pagórkiem albo krzakami olszyny. Poza mgłą, co jak szary obłok unosiła się nad błotami, krzak, drzewko każde przyjmowało dziwaczne kształty; w okolicy téj łatwiéj było uwierzyć w dyabła, niż w bekasy i dubelty; świerczało coś, szeleściało w zaroślu,—

chyba Maksym jeden potrafiłby te głosy i ruchy rozeznać. Chodziliśmy tedy prawie bez celu.

— Nudno, aż wyć chce się!—mruknął mój towarzysz, mieszczuch z powołania, rządca wielkich dóbr z dopuszczenia bożego.

Pogardzał łapciami, a w płóciennych spodniach i chłopskiéj kurtce nie pokazałby się nawet wronom; brnął tedy po błocie w botfortach i co wieczór niemal wraz z własną skórą musiał zdzierać z siebie przemokłe do nitki ubranie; dżokejką, niebieskim krawatem skokietowałby może niejednę czaplę, gdyby się przypadkiem trafiła; tymczasem oglądały się za nim podkasane baby, okryte białą płachtą i dźwigające wiązki chróstu na plecach, albo chłop zerknął z pod oka. Elegantowi temu zawdzięczam noc przespaną w osobliwym dworze. Zmoknięci wracaliśmy, jak zwykle, z próżnemi torbami. Żakiewicz pojmał wpół martwą kurkę, i wetknąwszy ją łapkami w butonierkę, obciążony zdobyczą, wlókł się z trudnością w przemokłych botfortach. Do domu mieliśmy chłopską milę, zaczynało ciemnićć, deszcz ustał wprawdzie, ale gęste chmury groziły nowym potopem, psy plątały się przy nogach, ocierając co chwila zmokłe łby o naszą odzież. Pierwszy raz w życiu byłem akuratnie zmęczony. Żakiewicz milczał, czułem jednak każde poruszenie jego zbolałych kości; miał na sobie kratkowany garnitur malarza-turysty, popielatą czapeczkę i krawatkę jakiegoś modnego koloru; wszystko wyglądało jak zabłocona ścierka.

— Cobyś dał za ciepłą izbę i szklankę herbaty?— zapytałem.

Poruszył ramionami obojętnie: lubił udawać bohatera. Szliśmy brzegiem Niemna; rzeka płynęła w głębokim wąwozie, poszarpane brzegi bielały wśród zmroku. Na zakręcie, gdzie niejeden artysta skamieniałby na widok dzikiéj panoramy różnorodnych drzew, porastających fantastyczne urwiska, Żakiewicz wskazał ręką niedbale:

— Ot tam ciepła izba i szklanka herbaty!—przemówił ochrypłym głosem.

Na szarém niebie rysowały się wierzchołki włoskich topoli; w masie drzew widniały białe ściany budynku, willi, pałacu, czy gorzelni—zdaleka rozpoznać nie mogłem.

— Przenocujem w tym dworze, daléj iść trudno—rzekł przygnębiony towarzysz.

— Na folwarku u ekonoma, czy w karczmie?

— Eh, może i w pałacu przyjmą.

— Więc to pustka?

— Mieszka właściciel, człek bogaty, i ma dwie córki na wydaniu.

— I my tak... bez fraków?

— U nas po wiejsku, bez ceremonii!

Zaszedł z tyłu, jak gdyby się lękał mojéj dezercyi. Z topolowéj szerokiéj ulicy mogłem się rezydencyi przypatrzyć dokładnie. Murowany, niewielki domek o płaskim dachu, z gankiem wspartym na kilku zgrabnych kolumnach, z dużemi oknami i całym szeregiem odwiecznych lip po obu stronach, należał do rzadkich w naszym kraju okazów smaku i dostatku; murowana stajnia i oficyna stały opodal naprzeciw siebie, reszta gospodarskich budynków kryła się gdzieś daléj za drzewami. Wywalone wrota, kilka spętanych

koni, skaczących po dziedzińcu dokoła nieogrodzonego klombu bzów, akacyj i innych wspaniale rozrosłych krzewów, walające się żerdzie, cegły, kołki i deski, nadawały całemu otoczeniu pozór zaniedbania, cisza przypominała zaklęte zamki, drzewa tylko szumiały głucho, a z białych kominów na dachu nie unosiło się ani jedno pasmo dymu.

— Pewno żyd arendarz mieszka? — zapytałem wielce rozczarowany.

— Mówiłem przecie, że bogaty dziedzic z córkami!—odrzekł, wchodząc po kamiennych stopniach na ganek.

— To może chociaż psy zabłocone na dworze zostawim?

— Pójdą z nami! Kiedy ja mam odwagę przedstawić się tak, jak jestem, cóż ty się o psy boisz?

Stałem na tylnym planie, w każdéj chwili gotów do odwrotu, podczas gdy mój towarzysz z poufałością gospodarza domu do drzwi łomotał. W żadném oknie nie było światła. Piękne nimfy marzyły zapewne o szaréj godzinie, nie przeczuwając, że dwóch zabłoconych rycerzy i tyluż psów stoi u ich progu. Po długiém szamotaniu się, chrząkaniu, stukaniu, ktoś podszedł do drzwi bosemi stopami, powoli koło zamku gramolić się zaczął, sapał przytém jak zduszony.

— Otwórz, panie Moczulski! — wołał mój towarzysz kilkakrotnie—to ja, sąsiad.

Stopy oddaliły się, a jednocześnie posłyszałem szorowanie zapałkami po ścianie. Z sieni na ganek wychodziły dwa okna, zabite deskami do połowy; przez górne szyby spostrzegłem światło. Klucz zgrzytnął w zamku. Przez uchylone drzwi owiało nas du-

szne powietrze, przesycone wonią kożuchów, skóry, świeżego chleba i pleśni. Moczulski stał przed nami z blaszaną lampką w ręku, bosy, w parcianéj koszuli i spodniach, w kożuchu zarzuconym na ramiona, chłop niemłody, rumiany, z rudym zarostem, z kosmykami rudych włosów nad czołem.

— Śpicie już? Ho, ho, widocznie czasu nie macie do stracenia!

— A cóż, jak robota skończona, wypocząć trzeba—odburknął Moczulski, oglądając mnie z pod oka. Moja skórzana odzież, ceratowa czapka i cała postać dość buntownicza budziła w nim nieufność.

— To...—zająknął się Żakiewicz...— ten pan, rodzony siostrzeniec sprawnika....

Wskazał na mnie. Przyjąłem w milczeniu świetną parentelę, do któréj ani po ojcu, ani po matce nie miałem prawa. Moczulski schylił się przede mną raz, drugi, jak przed cudownym obrazem.

— Hej, chłopcy! —huknął, oglądając się po sieni—pozdychali do licha! Wstawać, w izbie napalić: a toż panowie przyszli!

Stał pośrodku sieni, groźny, wyprostowany, lampkę w górę podniósł.

— Bydlęta... kapcany! — mruczał z całą powagą ojca i gospodarza domu.

Sień była duża, o mozajkowéj kamiennéj posadzce, z ogromnym kominem w jednym kącie i trojgiem drzwi, prowadzących do dalszych pokojów. Na ścianach wisiały rzędem chomąta, lejce, worki, kożuchy, powrozy, na podłodze zaś wzdłuż ścian słoma pokryta workami służyła za posłanie dla trzech synów Moczulskiego. Podnieśli się wszyscy jak na komendę; chłopy pod

wąsem, barczyści, poruszali się leniwo, przeklinając w duchu spóźnioną wizytę. Moczulski poprowadził nas do pokoju na prawo, lampę na stole postawił, i szurając po podłodze bosemi nogami, wyszedł, mrucząc, że zaraz... w téj chwili... natychmiast wszystko zrobi jak należy.

Pokój obszerny, o czterech oknach, nie posiadał prawie żadnych sprzętów. W jednym rogu, prawie pod sufitem, wisiał obraz w srebrnéj szacie, na ścianie kilka potwornych malowideł, przedstawiających samych posługaczów Bellony, na jesionowéj nowiutkiéj komodzie ogromna księga w skórę oprawna o tęczowych brzegach; otworzyłem—„Zbiór Praw," pozakładany w kilku miejscach kawałkami szarego papieru. Zimno było, wilgotno w tym przybytku rycerzy i sprawiedliwości! Między oknami, naprzeciw drzwi, ogromna lustrzana tafla, wmurowana w ścianę, potłuczona, obryzgana wapnem, odbijała w łamanych liniach światło lampy, bielone ściany i nasze snujące się postacie. Ramy u drzwi i okien pokryte były pięknie rzeźbionym liściem dębowym, na suficie pozostały ślady gipsatury i złocenia, posadzka tylko porąbaną już była w kilku miejscach, koło pieca brakowało kilku dębowych tafli, użytych do podpalenia widocznie.

— Szanowny dziedzic nie zrujnował się na umeblowanie!—żartował Żakiewicz, wskazując cztery siatkowe krzesełka, jesionowy stół i takąż komodę;—posiada już zato cztery folwarki i kapitały, a zimno u niego jakby w psiéj budzie.

Biegał po pokoju i chuchał w skostniałe palce.

Poszedłem z lampką obejrzéć dalsze pokoje. W sąsiednim ze świetnych czasów pozostały jeszcze

popielate ze srebrem obicia, zwieszające się brudnemi płachtami po kątach i u sufitu; w jednym rogu zgrabny kominek. Sprzętów żadnych. Na ścianie wisiała różowa perkalowa suknia z ogromną turniurą, przy niéj skórkowe wielkich rozmiarów buciki, wzdłuż ścian, w kominku, na środku pokoju, stały, leżały rozmaitego kalibru butelki, stłuczone poczęści, wszystkie nie miały korków, na znak, żeby się po nich nikt niczego spodziewać nie mógł. Dwie spore baryłki stały przy piecu, zatkane pakułami i ścierką, pachło kwasem, zgnilizną i tą pustką straszną, która dziwnym chłodem przejmuje. W następnym, wzdłuż szklanéj ściany, wychodzącéj na werendę, rozwieszono mokrą bieliznę na sznurach: kilka parcianych koszul obok czerwonych chustek, żółtéj i niebieskiéj spódniczki; po kątach leżały kupy lnu i konopi, na środku rzucono masę nowych worów. Daléj iść nie mogłem; zdawało się, że duch jakiś towarzyszy mi, wskazując nieznacznie każdą, najmniejszą nawet pamiątkę z lepszych czasów: rzeźbione ramy okien, gipsaturę sufitów, popękane tafle posadzki. Zdawało się, że z ciemnych kątów oczy jakieś śledzą każdy mój krok, wyraz twarzy, zaglądają do duszy. Za oknami szumiały drzewa, szyby brzęczały w spróchniałych ramach, w ciszy téj stare pamiątki przemówiły dziwnie wymownem milczeniem. Nade drzwiami do ogrodu płaskorzeźba, otoczona wiankiem dębowych liści, przedstawiała biust pięknéj kobiety; wiązka sznurów, zawieszona na wystającym gzemsie, zasłaniała jéj czoło i część twarzy. Cisnąłem sznury w głąb pokoju—błędny rycerz, chociaż w ten sposób oddałem hołd piękności. Zato Amorek na kominku tryumfował nawet wśród wandalizmu: na gło-

wie miał zwiędłą girlandę z chabrów, a między skrzydełkiem i łopatką kawał niedopalonego papierosa. Może któraś z Nimf i sielski Adonis złożyli ten emblemat niewinności i szyku... Może dama z medalionu rumieniła się, patrząc na hołdy, składane swawolnemu bożkowi wśród kupy worków i woni dziegciu.

W pierwszym pokoju tymczasem Moczulski i Żakiewicz rozgospodarowali się na dobre; zapalono w piecu, na podłodze leżało kilka wiązek słomy, a na stole, zamiast oczekiwanéj herbaty, dwie karafki z czerwoną i żółtą wódką, pół bochna razowego chleba, olbrzymi nóż w drewnianéj oprawie, ser i masło w małéj faseczce. Moczulski zdążył już włożyć siermiężny surdut, obszyty czarną tasiemką, buty i czerwony szalik; zdążył podpić trochę: policzki pałały, mrugał oczkami, a na czole pokazała się rosa. Nogi rozstawił szeroko, ręce oparł na kolanach, pochylony ku Żakiewiczowi, słuchał niby, w istocie wciąż zerkał ku drzwiom pokoju, w którym przebywałem. Zaledwo stanąłem na progu, zerwał się, krzesło swoje podniósł nieco, przycisnął do piersi i czekał, aż się zbliżę, żeby je akurat w tém miejscu postawić, gdzie usiąść zechcę. Sam wyprostowany stanął przy ścianie, opuściwszy ręce, spoglądał to na mnie, to na karafkę, a kiedy skinąłem głową, poruszył się śpiesznie, ręką wąsy obtarł i napełnił kielich, szklenicę raczéj w postać kieliszka przemienioną. Podsunąłem mu krzesło, usiadł na brzeżku; niedługo jednak zachował wstrzemięźliwą powagę. Żakiewicz kusił go wódką i żartami, ofiarował mu przytém cygaro.

— Namawiam Moczulskiego, żeby na współkę ze mną Janów w dzierżawę wziął; ja dam pracę, on pie-

niądze. Zżyma się, jak gdybym mu szubienicę wskazywał! taki zacięty wróg wszelkiego ryzyka.

— Pieniądze, pieniądze!— powtarzał Moczulski, pochylony nad stołem, uśmiechał się, spoglądając na nas kolejno — a zkąd je brać te pieniądze? Żeby ja wiedział, gdzie szukać, oto poszedłby choć do piekła!

Zamilkł; wpatrzony przed siebie, zamyślił się nad tém wielkiém zadaniem.

— Po co iść do piekła przed czasem? Poszukajcie we własnéj sakwie!—żartował Żakiewicz.

Moczulski splunął, zagadnięty w najważniejszéj kwestyi, poruszył się niecierpliwie.

— Eh, bajkom pan wierzy! Gadają, że ja bogaty jak czort! Dalibóg nieprawda! Ziemi mam kawał, ot i wszystko! w spokojne czasy i do tegoby nie przyszło! Dał Bóg ruchawkę: głupi stracił, a mądry zyskał! Che, che, żeby ja tak zdrów był, jak teraz grosza przy duszy nie mam!

— No, a posagi córek to nie przy duszy chowacie?

— E, i posagi te to bajka, panie! Za panów nie powychodzą, a chłopom grosza nie dam. Nie na to ja całe życie w biedzie pracował, żeby teraz chłopskie kieszenie napychać! Powiem panom, tak jak przed sąsiadem i już przed wielmożnym urzędnikiem (skłonił głowę przede mną), że niéma gorszéj bestyi na świecie, jak bogaty chłop! Był ja piętnaście lat „starszyną,” to już znam ich, a i teraz, nie daléj jak za moim sadem, jest wioska, pańszczyźniana dawniéj... co ja od nich cierpię, oj! Biednego chociaż procesem nastraszym, złajem jak Bóg przykazał, no i milczy; z bogatym niéma rady! zaraz od chamów, od złodziejów

człeka ochrzci, za byle co do bitwy staje, a człek tylko pięści w kieszenie chowa. Wiadomo, na sądy czasu niéma; żeby nie to, dalibóg, niejednemuby już głowę roztrzaskał.

Aż oczy mu błyszczały w sprawiedliwém oburzeniu, wychylił gorzały, zasapany spluwał na prawo, to na lewo.

— Tak, tak, panie Moczulski, siedzisz tu jak wilk między owcami, skubią was na wszystkie strony; dziwię się nawet, że was nie zjedli dotąd!

— I nie zjedzą, panie! oho! człek zasługi ma, chwała Bogu, no i rozumu jeszcze na mój wiek starczy.

— Naturalnie! A synowie swoim rozumem żyć będą!

Pokręcił głową i westchnął.

— Kiepsko z synami, oj, kiepsko! Ten jeszcze, co w turmie za złodziejstwo zgnił, był może najlepszy! Z innych pociechy żadnéj! Każden do siebie rwie, z pod rąk kradną. Bił ja ich dawniéj! teraz powyrastali, to codzień czekam, kiedy mnie bić zaczną! Rozbójniki, panie! W dzień powszedni to jeszcze pół biedy, a w niedzielę, kiedy pijani z miasteczka wrócą, to tylko słyszę: „Ojciec, pieniędzy dawaj! Nażyłeś się dosyć, my teraz pany!” No, kiedy pany, panujcie na swojém, na zapracowaném! Dokąd żyję, szczypty ziemi nie dam, tak mi Boże dopomóż. Strach znowu, żeby nie zadusili gdzie w kącie! A cóż, teraz wszystko po świecie chodzi.

Ochrypły głos drżał zlekka.

— To nie żarty, panie! Cały wiek, tak, cały wiek grosz do grosza mozolnie zbierałem; a teraz jak pomyślę, że dla tego dobra własne dziecko na moją duszę

czyha... to tak nieraz aż w serce kole z żalu. Klnę ich czasem od świtu do nocy, a żadnemu dotąd włos z głowy nie spadł. Bo to, panie, młodość dzisiejsza ani w Boga, ani w dyabła nie wierzy! „Dawaj, ojciec, pieniędzy!” i basta! Co z tego będzie... a! rodzi się to już takie zębate!

— Pożeń ich, panie Moczulski; wiadoma rzecz, że baba i z dyabłem poradzi; synowie twoi przecież nie gorsi od dyabłów!

— Z kim żenić? W chłopstwo znowu léźć? nie godzi się; zawsze oni już od zwykłych chłopów odeszli, po folwarku miéć będą! Szlachcianka żadna nie pójdzie! Próbowałem już, panie, i przez faktorów i sam rozpytywałem się różnie... Każda woli u siebie świnie paść, niż z chłopem na folwarku siedziéć, harde szelmy! Mówią, że „Moczulaki to hajdamaki,” i dobrze mówią, choć to moje dzieci, jaby sam im głowy poskręcał, żeby tylko szacunku i mądrości nauczyć!

Posmutniał; dłonie na kolanach oparł, głowę pochylił, kiwał się zwolna w prawo, to w lewo.

Nazajutrz czekały nas dwie niespodzianki: prześliczna pogoda i Maksym, który tuż za sadem mieszkał, a dowiedziawszy się o naszém przybyciu, nie czekając soboty, przyszedł, żeby nas na Czortowy ług zaprowadzić. W dzień całe otoczenie wyglądało jeszcze smutniéj: zewnątrz ściany domu odrapane, szyby w oknach połatane łuczywem. Na baryerze wkoło ganku suszyły się gładysze, skopki i szmaty różnorodne; przy kolumnie jedna z Nimf w różowéj sukni, z turniurą, w grzywce i ze złotą bransoletką, stała obrócona plecami do drzwi, gdyśmy na ganek wchodzili. Na nasze uprzejme „dzień dobry” zaśmiała się i uciekła jak

spłoszona łania; była to przelotna pokusa z rumianą twarzą, z czerwonemi rękami, w ogromnych bucikach. Trzej budrysi akurat wówczas z sieni wychodzili, po śniadaniu zapewne, gdyż każdy rękawem usta ocierał, w siermiężnych kurtkach, płóciennych spodniach, w czapkach na tył głowy zsuniętych, szli jeden za drugim wolno, leniwo, żaden nie spojrzał w naszą stronę. Moczulski zato obydwiema rękami uścisnął nasze dłonie, a gdyśmy po kilka srebrników ofiarowali mu za gościnność, popatrzył niby zakłopotany.

— Za cóż to, dalibóg — mówił, podrzucając pieniądze na dłoni,—za co tu zapłata?...

Pokręcił głową, a widząc, że odchodzimy, wsunął srebrniki do kieszeni i szedł za nami aż do samych wrót bez czapki.

Maksym, idąc naprzód, mruczał coś pod nosem; dopiero gdy Moczulski, pożegnawszy się raz jeszcze, wrócił do domu, Maksym stanął, obejrzał się za odchodzącym.

— A to bestya, cham!—syknął, pokazując zęby—końca na niego niéma! a!...

Wzruszył ramionami pogardliwie. Przez sześć lat już procesowali się z sobą o łąkę i kawał pola... z tego powodu o serdeczności sąsiedzkiéj mowy być nie mogło. Maksym téż idąc, wciąż się oglądał, klął przytém w imię boże i dyable. Dopiero gdyśmy z drogi na łąkę zwrócili, poszedł naprzód ścieżką wzdłuż dworskiego parkanu, a straciwszy z oczu dom i dziedziniec, uspokoił się nieco.

Zabierało się na trwałą pogodę: na niebie ani jednéj chmurki, na łąkach rzęsista rosa, w powietrzu czuć było jeszcze poranną świeżość, ani jeden listek

nie drgnął na drzewach; w taki dzień jasny ptastwo téż raźniéj żyć musi, nie kryje się po bagnach jak w słotę: miałem tedy nadzieję, że chociaż dudka zastrzelę. Maksym, idąc naprzód, oglądał się na nas z tajemniczą powagą. Poły brązowéj sukmany za pas zatknął, nogi do kolan sznurkami okręcił, fuzyę pod ramieniem trzymał z lufą naprzód wysuniętą,— chudy, na cienkich nogach, przypominał błotnego ptaka. Zostawił nas nad brzegiem Niemna przy wąwozie, zkąd zejść łatwiéj było, a sam pobiegł ku chacie po łódkę. Brzeg piaszczysty porastał gęsto paprocią i jałowcem, tu i owdzie kupkami sterczały młode sosenki, pozostałe na pamiątkę po ogromnym lesie, z którego teraz gdzieniegdzie tylko pnie olbrzymie czerniały zdaleka. Brzegiem nad urwiskami ciągnęła się wieś długa; chata Maksyma, odsunięta nieco od innych, sąsiadowała z dworem, oddzielona od sadu owym nieszczęsnym pasem spornego gruntu i kawałkiem nędznéj, suchéj łąki. Oglądaliśmy okolicę dość długo; Żakiewicz wyciągnął się wśród paproci i wzrokiem porównywał błękit nieba z błękitem Niemna, płynącego dziś z pogodną powagą; ja niecierpliwie wyglądałem Maksyma; pilno mi było po trofea, daremnie wyglądane przez cały tydzień!

Szedł wreszcie, fuzyę wyjął z pod ramienia i posługiwał się kolbą jak pałką. Zdaleka już posłyszałem, że mruczy jak niedźwiedź.

— Panoczki!—zawołał.

Z pośpiechu czy ze złości głos ugrzązł w gardle. Maksym stanął przed nami i kilkakrotnie kolbą w ziemię uderzył, mrucząc przytém niecierpliwie:

— Panoczki! a toż te hycle chamy łódkę zabrali! Bodaj ich choroba zabrała!

Zerwał czapkę z głowy i cisnął o ziemię!

Popatrzył w stronę dworu, potém na nas.

— A!... ot doczekali my czasów! a!... poganie górę wzięli! a!...—poruszał ustami i drżał ze złości, widocznie wszystkich słów dobrych odrazu wypowiedzieć nie mógł.

— Więc nie pojedziemy?

Milczał i kręcił głową i na przeciwny brzeg patrzył.

— Do Złotnik po robotników pojechali te... panicze ze dworu.

Uśmiechnął się pogardliwie.

— Może prędko wrócą?

— Wrócą, dyabeł ich nie weźmie, ale tymczasem *ostanówka!* czasu szkoda! A wszystko przez tych hajdamaków! Wioskowa łódka, oni koryta nawet własnego nie mają! cudzém żyją, jak szarańcza podła!... Ot tak duszę z człowieka wyrwaliby, żeby mogli!... Chamskie nasienie! Nie daj Boże, jak chłop wzbogacieje! Panem to on nigdy nie będzie... a świnią, z przeproszeniem, na wieki zostanie!...

Rzucił fuzyę na ziemię, usiadł nad urwiskiem, a chociaż milczał, głową kiwał groźnie, potakując własnym myślom. Złotniki leżały o jakieś parę wiorst w dół Niemna. Budrysi mogli wrócić za godzinę najprędzéj. Wydobyłem z torby flaszkę i zakąskę... Po dwóch czarkach Maksym złagodniał. Widząc, że za przykładem Żakiewicza zamierzam wyciągnąć się na brzegu, siermięgę mi swoją pod głowę chciał dać. Fuzya, obietnica wygrania sprawy, usposobiły go dla

mnie bardzo życzliwie: w gawędzie do mnie się zwracał, słuchając wciąż, głową potakiwał; tylko kiedy powiedziałem, że kawałek piasku i suchéj łąki nie zasługuje na tyloletni proces, spojrzał mi w twarz bystro, podrapał się za uchem.

— Eh, ziemia ziemi nie równa! dla kogo to nic, a dla mnie... ho, ho! Chałupę oddam, a tego nie oddam! To moja krew!

Jeszcze coś chciał dodać, machnął ręką, jakby wątpił, czy go zrozumiem.

Łódka nie nadpływała; Żakiewicz chrapał, a Maksym, powiedziawszy tragiczny frazes, od czasu do czasu rzucał na mnie znaczące spojrzenie. Nalałem mu jeszcze czarkę: wychylił, a po chwili, jak gdyby Duch święty wstąpił weń w postaci języka, chłop rozgadał się na dobre.

— Krew moja! — powtórzył — a chociaż sam jeden żyję na świecie, jak ten pień suchy, dokąd oczu nie zamknę, ziemia ta do mnie należéć musi! Dyabłu duszę sprzedam, a sprawę wygram!

— Czy tu u was dyabli jeszcze dusze kupują?— spytałem, byle podtrzymać rozmowę.

— Śmiejcie się, panie, a ja raz dyabłu o mało rodzonego syna nie sprzedał! Chłopiec był szelma, ale zawsze moja krew! Od świtu do nocy w lesie siedział, do roboty żadnéj napędzić nie mogłem. Sąsiedzi gadali: bij Maksym syna, a to zbój wyrośnie. Ja codzień las pański obchodząc, jak rózgę akuratną zobaczę gdzie przy drzewie, wytnę, bywało, i do chaty przyniosę, cały kąt nazbieram, miotłę zwiążę, a malca jak nie biję, tak nie biję! Prawdę mówiąc, nie było za co: chłopiec do bydła był nieprzydatny, wody ciągać nie

lubił, drzewa nigdy nie przerąbał, ale zato suchych gałęzi z lasu, grzybów, jagód nawlecze bywało jak bobu, nie przyrównywając! Las znał lepiéj ode mnie, a że go wilk nie zjadł do téj pory, to dlatego, że sierotą był, matka w maleństwie odumarła: nad sierotą każdy zwierz litość ma... ludzie tylko... eh, bodajby ich nie znać! W zimie łapcie plótł, sanki strugał i w chacie nie zawadzał! Szelmy głaskać nie mogłem, rogi wyrosłyby mu odrazu. Ale i nie krzywdziłem zbytecznie, a jak do zmroku nie wrócił, hukałem na niego jak na zbłąkaną żywiołkę, zawsze kij mając w pogotowiu, żeby jak z za drzew wyjdzie, rozumu nauczyć! Wiedział, że źle zrobi; jak pies pokorny sunie się, bywało, ku chacie, z ukosa na mój kij zerkając; bicie zawsze na jutro odkładałem, on tymczasem w chacie za stołem przy mnie siadał cichy jak trusiątko, czeka, żebym wieczerzę zjadł; rozumiał, że człek po jedzeniu zawsze lepszy; potém gadać zaczyna: Że drzewo zrąbane widział, że chróstu kupę ktoś sobie w lesie przygotował; a nie łgał nigdy, akurat jak powie, tak jest! Milczę z początku, bo mnie złość, że cały dzień jak szczenię głodem marł, że włóczy się sam jeden, bez kija nawet.

— Powieszę ciebie na suchéj gałęzi — powiadam na to, — włóczęgo przeklęty; zdechniesz gdzieś w wilczéj jamie, a ja skóry *dzrć* nie będę miał z kogo!

Milczy i śmieje się, bywało, a głową kręci, jakby ani jednemu słowu nie wierzył! Jak zasnę czasami za stołem, to żebym do sądnego dnia spał, on przy mnie siedziéć będzie, ledwie ślepiami mruga, a nie pójdzie na piec beze mnie.

— Z wami zawsze lepiéj — powiada, — czort za nogi nie chwyci!

I tulił się do mnie jak do matki. Żeby tam i była jaka srogość, to zmięknie przy takim urwisie!

Wyrósł też przed czasem, wyciągnął się jak młoda sosna, cherlawy był tylko, dlatego ani do brony, ani do pługa nie przyuczałem go bez pory: na posyłki we dworze służył, no i tak przy lesie mnie zawsze pomocą był: chleba darmo nie jadł. Chatę miałem własną i gruntu kawał już wówczas nadali, ale że na leśnictwie szło nieźle, służyłem tymczasem. W chacie szewc siedział; oto, panie, był człek! Tfu, zgiń mara! dziś jak wspomnę, to dreszcze przechodzą! Że pił, to już nie jego wina, każdy szewc pije, ale bezbożnik był nikczemny: w święto, bywało, w niedzielę, kiedy każdy w wiosce śpi na chwałę bożą, albo leżąc na trawie wygrzewa się na słońcu, szewc robotę robił! umyślnie na kamieniu przed chatą siędzie, dratwą macha i gwiżdże, jakby dyabłów zwoływał! Śmieje się potępieniec, kiedy mu o grzechu wspomnisz. Chłopów zawsze „dworskiém bydłem" nazywał, chociaż wówczas już pańszczyznę znieśli i każden wolność miał. Po nocach włóczył się ze złodziejami, czy z jakiém lichem, a w każdéj porze, w najgorszą słotę, przez groblę do wioski idąc, zawsze go spotkać można było; wlókł się zabłocony, konszachty miał jakieś, któż go tam wie! A do dyabła jak dwie krople był podobny: kulawy, zezowaty, z czarną, kędzierzawą czupryną. Na panów więcéj jeszcze niż na chłopów wymyślał, i żeby sam książę przez wioskę jechał, on nigdy czapki nie zdjął; stoi sobie, bywało, i gwiżdże, ręce do kieszeni włożywszy! Rzemiosło swoje znał, zarabiał dużo, a chociaż ani żonki, ani dziecka nie miał, chodził jak żebrak obdarty. A kiedy ostatni kożuch w karczmie zastawił i zimą

w letniéj kurtce, w dziurawych butach po wiosce łaził, ludzie litowali się trochę.

— Panem będę jeszcze! zobaczycie! teraz do tego idzie, że rozumni nie przepadną! Oho, żebyście wy rozum mieli...

Gadał tak nieraz mądrze, że słucham, bywało, jak uczciwego człowieka! A tu raptem „zły” szeptać jemu do ucha zacznie: na Boga, na księdza, na przenajświętsze książki, takie rzeczy wygadywał, że człek tylko plunie i odejdzie! Nieraz już chciałem go z chaty wyrzucić, plugastwo takie trzymać to obraza boża; czort już dwa razy na niego czyhał: raz w nocy strzecha zgorzała ni z tego ni z owego, drugi raz ściana wywaliła się do szczętu! i wyprawiłbym go wśród zimy, niechby szedł na potępienie, ale pan, przywoławszy mnie, powiada:

— Nie wyprawiaj, Maksymie, szewca; zły to jest człek, ale jak wypędzisz, gotów całą wioskę spalić; niech siedzi do czasu.

Dał mi słomy na strzechę i parę kłód sosnowych, zostawiłem czorta w spokoju do wiosny. On od mojéj dobroci tak rozmiękł, że codzień, jak utrapienie, zaczął mię nawiedzać. Zrana albo pod wieczór z lasu wracam, czy z chaty na dwór wyjrzę: szewc siedzi na ławce przy drzwiach, z brodą opartą na kiju, zerka zezowatemi oczyma po lesie!

— Co tu węszysz, niedowiarku?— pytam nieraz, a ciarki po skórze przechodzą, bo, panie, ze złemi oczyma człek gorszy od zarazy, ludziom i żywiołu szkodę przynieść może; ja dawniéj śmiałem się z uroku i w strachy niebardzo wierzyłem, ale jak ten do nich zagadywać zaczął, pomrukiwał coś i ciągle z pod czoła

spoglądał, pewny byłem, że biedy naniesie; w dodatku chłopca zaczepiał! To go papierosem poczęstuje, to na wódkę z sobą zaprasza, a malec, wiadomo, głupi, choć wyrósł równy ze mną; przylgnął do niego i raz po raz na gawędkę do wioski bieży, albo w lesie pod chatą z nim siedzi. Zmiarkowawszy, że do złego idzie, powiadam do malca:

— Słuchaj, jeśli raz jeszcze zobaczę ciebie z włóczęgą, jak psa zastrzelę! tak mi Boże dopomóż!

On podparł się w boki, głową kiwa i patrzy mi w oczy, ani mrugnie.

— A ojciec jakie masz prawo nade mną?—powiada? Czy to ja nie wolny człek? sam sobie pan, czy będę jak pańszczyźniane bydlę lada starego grzyba słuchać?...

A!... ot czego ja dożył! Jak stałem przy ławie, tak i siadłem z żalu wielkiego. Słowa przemówić nie mogę; on widzi, że siedzę jak martwy, kręci się po izbie, niby szuka czegoś, a wciąż ku mnie spogląda. Dobroć przemogła głupotę: jak dawniéj przy mnie na ławce usiadł, milczał ze wstydu.

— No, ojciec — powiada,— głupi ja i dosyć! ale serce do was mam, ten raz wybaczcie, zato zawsze słuchać będę; tylko kijem ani strzelbą nie straszcie, bo dalibóg, ja nie pies, a wolny człowiek; od was to i słowa dobrego posłucham!

Oh! słuchał biedaczek na swoją niedolę! Do szewca nie chodził i ten przestał jakoś włóczyć się po lesie. Raz siedzę ja sobie z Jaśkiem w chacie z wieczora, na dworze wiatr wył straszliwy, pies nawet do chaty skrył się i przy nas koło pieca usiadł; chłopiec strugał coś, a ja słucham, jak baba za piecem chrapie, to znów jak na dworze wicher szaleje. Skrzypnęło coś

w sieni... ostrożnie, niby złodziéj, szewc wsunął się do chaty. Mnie w pierwszéj złości mowę odjęło, malec splunął tylko i daléj swoje robi, a szewc wyszczerzył zęby i stoi przy drzwiach.

— To czort!—przemknęło mnie po głowie, a on jakby nic.

— Dawno nie był — powiada, — za wasze dobro podziękować przychodzę. Do miasta na majstra idę, w chacie już waszéj mieszkać nie będę; ale za dobro lepszém chcę oddać.

Usiadł przy mnie na ławie, kędzierzawe kosmyki sterczały jak rogi nad czołem, oczkami rzucał po izbie, gębę krzywił, nosem kręcił, czort a czort, tylko że ogona nie widać!

— Maksymie—powiada,—oddajcie mnie swego Jaśka! Chłopak akuratny, na szewca stworzony, ja go wyuczę co sam umiem i jeszcze więcéj. W chacie waszéj siedziałem jak zadarmo, niech za to wam choć nauką zapłacę; przy mnie rozumu się nauczy, będzie wiedział, jak na świecie żyć; w mieście bezpieczniéj, a tu...

Nie domówił, tylko głową na las wskazał. Odrazu nie zmiarkowałem, do czego zmierzał, bo na myśli miałem to tylko, że po Jaśka przyszedł.

— Ej, ej — powiadam, — waćpan własnéj duszy pilnuj, a my jak żyli, tak żyć będziemy! Niech tam włóczęgi na szewców idą; syn gospodarski, chwała Bogu, ma chleb uczciwszy, a z czasem jeszcze mu lepiéj będzie. W dobrą godzinę na świat przyszedł.

Wtenczas wszyscy gadali, że pańską ziemię chłopom dzielić będą, że już nawet rozdzieliliby, tylko że na świecie szmat téj ziemi jest, podzielić odrazu niełatwo, a choć tam bardzo mądre głowy liczą, dotąd wy-

liczyć nie mogą, czy każdemu chłopu po sto, czy po pięćdziesiąt morgów dać! Ja tam nigdy o stu nie myślałem; dość byłoby, żeby do moich piętnastu zagonów piasku i do tych pięciu, co pod lasem mam, jeszcze pięćdziesiąt dodali: miałbym chleba dosyć. Opowiedziałem to wszystko szewcowi, a on jak zwykle nauczać zaczął, że człek to tylko ma, co sam weźmie, że głupi tylko zmiłowania czeka.

— Niech tam inni biorą, a ja poczekam; krzywdy nie miałem, to i ludziom krzywdy robić nie chcę.

Zaśmiał się, panie, ale takim głosem, aż echo po izbie poszło.

— Nie warto z wami gadać—powiada;—prędzéj wasze woły rozumu się nauczą, niż wy, chłopy przeklęte! Chłopca nie dajecie, no, bodajbyście nie żałowali!

Powlókł się ku drzwiom, kulejąc. I mnie coś za nim ciągnęło! Człek już taką naturę głupią ma, że sam nie wie, gdzie słuszność. Kiepski on, to prawda, ale niegłupi: z ludźmi więcéj żył: kto wie, może i dobrze radzi... Żeby wówczas słowo akuratne przemówił... sam nie wiem. Ale on jak wyszedł przed chatę, tak i znikł w ciemnościach; pod ziemię skrył się, czy z szumem wiatru rozpłynął się po lesie! Postałem, posłuchałem. Tfu! zgiń mara! a toż ja o mało rodzonego dziecka czortu własnemi rękami nie oddał! Już miałem do chaty wracać, a tu z za drzewa akurat nad moim uchem zaryczał.

— O Jezus, Marya!—krzyknąłem, a po lesie suche gałęzie trzaskać zaczęły, tak zmykał piekielnie od słowa bożego! Jak w wodę wpadł, tyle my go w wiosce widzieli!

Powoli człek i zapomniał o bezbożniku. Chata

pustką stała, w pierwszych czasach zaglądać do niéj nie chciałem; zdaleka tylko idąc, spojrzę czasem na drzwi kołkiem zatknięte, na dziurawe okna, i serce zaboli. Własne dobro marnieje, a ja na cudzém siły tracę! Na wiosnę już odnowić ją chciałem, z łaski pańskiéj drzewo i słoma w zapasie były, groszy kilka zebrało się potrochu, a tu i służbę żal rzucić. Pan sprawiedliwy był, nieskąpy, łaskawy dla każdego: dwadzieścia lat przesłużyłem, a nigdy złego słowa nie rzekł; dobra jego strzegłem wiernie, a tak przywykłem, że nietylko las, ale każdy zagon ziemi jakby do mnie należał. Obchodząc las i łąk pilnowałem; idąc koło sadu, nieraz biczyskiem wróble spędzam, albo wywalony kołek w ziemię wbiję. Pan znał moją przychylność i sam do mnie przywykł: bywało, na dziedzińcu dziesięciu ludzi czeka; jak tylko na ganek wyjdzie i mnie zobaczy, pierwszego woła: co, jak, gdzie, dlaczego, wypyta jak należy, a wiarę taką do mnie miał, że w lesie gospodarowałem jak w domu! Ale téż i na duszy mojéj ani jednego pańskiego polanka niéma! Pod wiosnę, a tego roku zimy prawie nie było, ludzie cudzy włóczyć się po lesie zaczęli, codzień prawie ktoś do chaty zajrzy... milczę, ale w duszy złość bierze. Żyli my dotąd jak u Boga za piecem. Panu chyba tylko mleka ptasiego brakowało, ja chleba miałem podostatkiem, do śmierci tak żyć mogli. A tu, panie, zawierucha, czort wie nie co. Miałem wówczas krowę, parę wieprzów i kur kilkanaście, *cieloszka* piękna dorastała, wszelkiego dobra w chacie nie brakło, no i Jasiek był!... O chłopca więcéj jeszcze bałem się niż o dobytek. Na szczęście, chłopiec rozum miał; jak dawniéj po lesie ciągał się, tak teraz z chaty nie wyglądał prawie.

— Czy ja głupi—mawiał,—a mnie co po tém? Ot, ojciec gospodarkę mnie oddaj, w chacie osiądę i lasu znać nie chcę. Wy siedźcie tu, jeśli wam tak pańskie dobro miłe.

Przystałem odrazu; tymczasem w chacie nie było co robić, więc chłopiec siedział i niewód wiązał, codzień tylko do wioski szedł, kołki ciosał, deski piłował, na wiosnę materyał przygotowując. A tu po lesie jak po swojéj własności ludziska plądrują. Idę tedy do pana i mówię: tak i tak, panoczku, do naszych barci niedźwiedzie zaglądają! co pan każe robić: czy im wolę zostawić, czy jak?... któż wie, może i legowisko jest!— Pan, słuchając, w oczy mnie patrzał uważnie; zawczasu wiedziałem, co powie. Dobry był, ale niemrawy taki! Na jego miejscu każden wory złota miałby, żarty to na takim majątku! a on... grosza nikomu nie był winien, ale i o swoje nie dbał, a nieraz takie słowo rzucił, że człek tylko ramionami ściskał; uczyć pana nie wypadało, od tego on pan, żeby własny rozum miał! Pochodził, pochodził, ręce w tył założywszy.

— Nie bój się—powiada,— ja za wszystko odpowiem; siedź w chacie, jak siedziałeś.

— Toż mnie pańskiego dobra żal, ja tam o swoją skórę nie drżę.

Poklepał po ramieniu i pocałował w głowę. Wtedy mnie prawdziwy żal wziął; gadałem tak z całéj duszy prawdę świętą jak bratu. Posłuchał, czy nie posłuchał, a jam swoje zrobił. Śmiał się niby i gadał tam coś po swojemu, a w końcu kazał do chaty wracać. Od tego dnia jakby mnie kamień na sercu legł; życie obrzydło, a jak dzień przeszedł szczęśliwie, to i dziękowałem Bogu. Do lasu nie zaglądałem prawie,

a chyba pan gdzieś posłał, no, to i wlokłem się jak na śmierć, siekierę za pas założywszy. Dni szły coraz piękniejsze; chociaż zima była na niebie, w lesie już śniegu ani widać, ptaki gwiżdżą, a tak raźno na dworze jak w samą wiosnę.

— Synku, sochę obejrz, po niedzieli w pole pójdziem—mówię do Jaśka, a on aż podrósł z radości; przez zimę tę ja zmarniałem, jemu zdrowia przybyło, tak cieszył się, że już na swój chleb pójdzie.

W południe jakoś wracam sobie do chaty, spokojniejszy, bo przez kilka dni w lesie cisza była, zające nawet smygały między krzakami, na znak, że ludzi ani słychać. Stanąłem i patrzę, jak przez zielone sosny jasne niebo widać; słyszę, za mną biegnie ktoś, suche gałęzie poruszając. Przystanie na chwilę i znowu biegnie! ludzkie kroki wyróżnić! Przyczaiłem się za drzewem, widzę: pan idzie, zadyszany, ogląda się i prosto do chaty dąży. Spostrzegł mnie, przystanął, ale zrazu przemówić nie mógł, pakiet tylko jakiś z za surduta wyjął, a kiedy mu głos wrócił, powiada:

— Maksymie, Jaśka w téj chwili do Uroczyska poślij, niech biegnie, on najkrótsze drogi po manowcach zna... rozumiesz?

List mi za siermięgę wsunął, a widząc, że milczę, zawahał się, ręką jakby po list sięgnął.

— Nie chcecie, to trudno — zamajaczył, widać było, że mu strasznie pilno.

— Kto nie chce?—mruknąłem—tylko że na biedę nikomu lecieć nie pilno!

Drugi raz po list sięgnął, a widziałem, że ręka drży jak u chorego.

— Idźcie, panie—rzekłem już łaskawiéj,—wszystko będzie jak trzeba.

Eh, pożałowałem słowa, ale już nie czas było. Setny raz może powiedział, że na wieki nie zapomni.

Chłopiec do drogi ochoty nie miał, odrazu nawet ofuknął, że nie pójdzie, do Uroczyska przez błota i przez zarośla trzy opętane mile!

— Do dyabła, to ja sam pójdę! majaczyć niéma czasu!

Już buty nakładać chciałem, kiedy list z rąk moich wziął.

— Dróg tych nie znacie, ja prędzéj wrócę, a i skryję się prędzéj.

Wychodząc z izby, obejrzał się, jakby raz jeszcze wrócić chciał.

— Idź, synku, z Bogiem, toż niedaleko; wracając, przenocujesz w Janowie—rzekłem.

Słowa nie wymówił, czapkę na uszy nasunął i wyszedł.

Stałem przed chatą, patrząc za nim, dokąd siermięga między drzewami migała, zawołać chciałem: ej, Jaśku, a wróć się!—tak mię głupi niepokój za duszę ściskał, że aż kijem o ziemię stukałem, żeby nie krzyknąć bez potrzeby. Znikł, no i niech idzie szczęśliwie! Czy to on mały? czy jemu pierwszyzna wilcze ślady tropić? Tak sobie powtarzam i do roboty iść myślę, a nogi jakby przyrosły; chłopiec może już kawał drogi przeskoczył, a ja wciąż siermięgę jego między drzewami widzę. Do wieczora przeszło jakkolwiek, w dzień zawsze człek więcéj rezonu ma. Obliczyłem, że do świtu w Uroczysku stanie, prędzéj nawet. W nocy czort nawet nie dostrzeże go między krzakami. Z powrotem

choćby gościńcem iść może; głupi byłby, żeby się przekradał, czyste sumienie mając. Pod wieczór, jak w lesie ściemniało, strach znowu odżył. Łuczywo zgasło, drzwi chaty zamknąłem i siedzę na przyzbie — w las patrzę. Noc jasna była, gwiazdy nad drzewami migają; cisza taka, jakby cały las nasłuchiwał wraz ze mną. Rozglądam się, a w głowie ciągle jedno siedzi: czy żeby on tak krzyknął teraz gdzieś za błotami, usłyszałbym, czy nie? Raz myślę, że w taką noc cichą głos musi daleko lecieć; to znowu zdaje się, że trudno... zdaleka i śmiertelny krzyk nie doleciałby do chaty!... Słucham i ślepie wytrzeszczam, Bóg wie na co! Między sosnami ktoś mignął — cień chyba, bo kroków nie słychać; patrzę — ani żywego ducha! Chwila jakaś spokojnie przejdzie, to znowu z drugiéj strony jakby kroki słychać... Tfu! omamienie i tyle! Grzbiet od siedzenia zabolał, więc sobie chodzić zacząłem wkoło chaty... Jak wstałem, zdaje się cały las ożył. Przejdę kilka kroków i oglądam się za siebie jak głupi. Boże łaskawy! ile ja nocy letnich i zimowych w lesie przespał! Jak przy *porąbce* stróżował, to całemi tygodniami do chaty nie zaglądał. Nigdy strach żaden na myśl nie przyszedł! Huknie coś, bywało, splunę raz i drugi—i znowu cicho. A téj nocy, panie, to jakby mnie śmiertelne dreszcze brały! Staję o kilkanaście kroków od chaty i zębami dzwonię, niby wśród cudzéj strony, w puszczy, między zbójami. To jego strach mnie trapi!—pomyślałem. Drży tam biedaczysko, ledwie dysze gdzieś przyczajony! przyległ może pod krzakiem, albo pełznie po błotach! Noc jasna w górze, ale w zaroślach przy cieniu człowiek sam siebie nie widzi! Krzak marny zdala jak żywy wygląda! A tu jak na złość po

ciszy długiéj gwar nastał, ten gwar leśny, co to człek daremnie uchem łowi, z któréj strony idzie! Wierzchołki sosen szumiéć zaczęły, zwolna z początku, potém coraz głośniéj, w krzakach zaszeleściało gwałtownie: to zwierz jakiś na żer idzie—wiem, zdaje się, a drżę, ząb na ząb trafić nie może... akurat jak malec tam gdzieś na wilczéj drodze. Sowa krzyknęła, pisk łasicy rozniósł się po lesie, to znowu łoskot suchych gałęzi—wilk może zająca goni—huka coś, ucichnie i znowu huczy! Sęk z drzewa spadnie—jakby z fuzyi wystrzelił, w nocy każdy szmer głośném echem idzie! Przycisnąłem się do drzewa, a żeby we mnie pioruny jasne biły, nie poruszyłbym się z miejsca. Takiego strachu to jeszcze w życiu nie doznałem! O świcie dopiero, kiedy pomiędzy pniami czerwony pas zorzy przyświecać zaczął, i we mnie duch odżył. Obejrzałem się i splunąłem na ten strach głupi. Malec pewnie idzie sobie, ani dba, bo i czego bać się? Bóg wszędzie jest! Poszedł i wróci szczęśliwie! Jak słonko weszło, rad nawet byłem, że poszedł—w dzień raźniéj wracać będzie... tylko żeby idąc drogą buty zdjął—szesnaście złotych zapłaciłem onegdaj... W lesie boso iść trudno, ale na drodze—można. Szelma pewno nie zdejmie, bo to fanaberzysta taki.

— Ojciec—powiada—może, a ja nie mogę!—i gadaj tu z nim! Ja przez całe życie ojcowskie przyszwy dodzierałem, on połowy mego wieku nie przeżył, a już drugie buty miał.

Niech go tam! Zły byłem, że moich starych na drogę nie wziął...

Do południa nie wrócił, wieczorem jeszcze go nie było! Przez cały dzień trwoga za pazuchą siedziała,

na noc znowu do duszy wlazła. O zmroku poszedłem do dworu. Pana nie było, wyjechał zrana — a kiedy wróci, nie wiedzieli. Wszystko tak szło jak na biedę! Choroba brać mię poczynała od myśli przeklętych! Wracam do chaty, a tu baba naprzeciw mnie z płaczem: krowa zaniemogła! Przyszła z lasu i legła w obórce! Idę, patrzę: wzdęta leży, ślepie przymknięte i stęka. Wtedy to, panie, strasznie coś w serce ukłuło. Dwadzieścia lat na gospodarce siedziałem, ubytku żadnego nie było! Żonka zmarła, ale to już dopuszczenie boże,— każdego śmierć czeka; jak dobytek padać zacznie, kiepsko wtedy! bieda za biedą pójdzie. Rąk nawet do niéj przykładać nie chciałem — bo wiem, że kiedy na złe idzie, to żadne lekarstwo nie pomoże! Otworzyłem tylko drzwi narozcież, sam na progu stoję — ani mnie żal, ani skrucha nie bierze, choć bydlę ludzkim głosem jęczy! Młoda była i mleczna, za dwadzieścia rubli nie oddałbym jéj, wyrosła przy mnie od ciełoszki! Do północy skostniała! A ja nic — po brzuchu pogładziłem i tyle... jutro może chata spłonie, albo piorun jasny mnie samego na drodze ubije. O chłopcu tylko w tém odrętwieniu myśléć nie chciałem, żeby zła z nim nie jednoczyć; przez noc nie przyszedł i cały następny dzień go nie było; sam jeden skóry z bydlęcia zdjąć nie mogłem, ale i to mię nie gryzło... już kiedy przepadać, to przepadać — niéma krowy, niech i skóry nie będzie. A wkoło mnie jakby złe powietrze powiało, chodzę jak opętany, z siekierą w ręku, po drodze na prawo, na lewo, gałęzie tnę, do chaty wejdę, siekiera jakby do ręki przyrosła—o chłopcu, zdaje się, nie myślę nawet, ale czy w lesie, czy w izbie, ciągle spoglądam wkoło siebie i ciągle słyszę, jak idzie.

Przez cały dzień coś na drogę ciągnęło — wyjdę, popatrzę — ludzie orać zaczęli — dworskich sześć pługów na roli widać, a na drodze pusto. Pewno lasem wraca—z któréj strony tylko nie wiadomo. Pod wieczór słonko zaszło jaskrawo, a ze wschodu chmury nadciągać zaczęły, ściemniało jakoś odrazu. Wlokę się od drogi, chatę mijam, w otwarte drzwi obórki spojrzałem tylko przechodząc: krowa jak leżała, tak leży, nogi wyciągnąwszy. Poszedłem w las, ot tak, przed siebie, bez myśli—same nogi w gąszcz na błota mnie wiodły. Nie wiem, jak długo szedłem, — w lesie szaro było jak przed świtem — wiatr trochę chmury rozpędził—zchłodło, wrony snuły się całemi stadami! Na polankę trafiłem: rzędy młodych sosen dokoła jak sadzone, za niemi gąszcz ciemna; drzewa różne rosły w téj stronie, dęby stare, leszczyna, zaraz za tém trzęsawiska szły aż pod Uroczysko, i daléj, do cudzych lasów, bez końca. Stoję sobie, rozglądam się, aż tu wron stado ogromne obłoki zasłoniło. Zaszumiały nad głową i raptem, jak podstrzelone, ku ziemi spadać zaczęły w krzaki tuż za mną, aż łoskot od nich poszedł po lesie.

— Bestye, żer czują!—Zwróciłem z polanki w leszczynę, a jak tylko poruszyłem gałęzie, z krzykiem zerwały się do lotu, skrzydłami prawie po głowie mojéj uderzając! Umyślnie świsnąłem kijem w powietrzu, żeby te szelmy spłoszyć! Złość jakaś dzika mnie ogarnęła: krzyczałem jak na wilków, a podjąwszy z ziemi grudek kilka, ciskałem naoślep. One tylko z niższych gałęzi na wyższe przesiadły, ku mnie ślepie i głowy zwróciwszy, a każda kręciła się, poruszała skrzydłami, czyhając tylko, kiedy odejdę; jak która zrywała się do

lotu, kijem nad leszczyną machałem. Sam nie wiem, zkąd we mnie ten upór wziął się; żebym miał fuzyę, postrzelałbym co do jednéj te bestye podłe! Już z dziobów widziałem, że ku leszczynie zmierzają. Rozchyliłem gałęzie. Na mokrych liściach, tak o krok przede mną... czapka leżała! pod krzakiem... zwrócony twarzą do ziemi—mój chłopiec! Głowę tylko i sukmanę spostrzegłem, a już wiedziałem, że on — tak coś w piersiach odrazu stuknęło. Nie żył. Siadłem przy nim, a raptem rozum i siły jakby wskróś ziemi poszły! Patrzałem tylko i patrzałem, to na głowę, to na nogi... leżał wyciągnięty, głowę na bok przechylił, twarz jak żywa, oczy tylko zczerniały, na szyi niżéj ucha miał czarną plamę krwi zaschłéj! Przywlókł się tu... zmarł, nim do chaty doszedł! Żalu nie czułem z początku—głaskałem go po głowie, po plecach i znowu po głowie. On! On sam!—gadało coś koło mnie, bo ja sam nawet przypatrzyć się dobrze nie mogłem. Chcę głowę jego podnieść... jak wziąłem w obie ręce, tak i resztę sił straciłem—pod palcami tylko twarz jego czuję—do dłoni moich przyrosła!

Kiedy wyjrzałem z zarośli na polankę, jasno było jak we dnie—na niebie gwiazdy błyszczały — chłodny wiatr szumiał zcicha po drzewach. Za polanką, w dół trochę, znałem urwisko piaszczyste; korzenie sosen sterczały po brzegach, na dno rzeka kamieni naniosła: rów akuratny—jak kopany!

Wróciłem pod leszczynę.

— No, synku! chodź!—przemówiłem, żeby ostatni raz głos ojcowski usłyszał—dawno ja ciebie na rękach nosił! Niechże tobie ziemia będzie lekka!

Zaniosłem jak dziecko; kiedy martwą głową do szyi dotknął, to jakby chuchnął na mnie... może wówczas resztka duszy wyszła! Kopałem nad urwiskiem do świtu, naprzemian piasek i suche liście sypiąc; czerwona zorza jaśniała już na niebie, kiedy skończyłem chróstem rów przykrywać... gdy słonko weszło, w urwisku nowa górka sterczała — i tyle! Robota zmogła mnie w końcu; przywlókłszy się do chaty, w odrynce na mchu padłem—dzień cały i noc całą przespałem jak martwy. Targali mię, baba coś o krowie majaczyła... w głowie szum jakiś czułem, ale dopóki sen nie przeszedł, ślepie były jak sklejone. Po śnie ból w kości wlazł stokrotny, ledwo pełzać mogłem; okrywszy się kożuchem, na przyzbie przed chatą siadłem, a z wioski ludzie przechodząc śmieją się, że mnie wódka rozebrała do reszty! Milczę, bo mi głos na razie odebrało i pamięć jakby nie dawniejsza. Po słońcu dzień znałem dobrze, a tu sam poznać nie mogę, czy to ranek, czy wieczór! Baba misę barszczu i chleba kawał na ławie przy mnie postawiła. Widzę, jak burek skrada się, ogonem kiwa, głowę przechylił i ostrożnie językiem po brzegu próbuje—ja go nawet nogą nie kopnąłem—zjadł i poszedł; a baba, wyszedłszy z izby, popatrzała na mnie.

— Na śmierć wam idzie—powiada, — przez dwa dni przepadliście z kretesem!

Mogła sobie mówić, że umarłem, i tak jeszcze nie obejrzałbym się na nią. Dopiero nazajutrz niemoc przeszła—cały dzień drwa rąbałem, z potem krwawym i choroba wyszła. Tylko co wiatr z lasu powieje—to mnie jakby dreszczem obejmie i ten rów jak żywy przed oczami stoi. Na trzeci dzień do dworu posze-

dłem. Pan wrócił. Stał na ganku i z wójtem gadał— koń osiodłany czekał przy słupie. Jak tylko mnie ujrzał, zdala już ręką kiwać zaczął — stanąłem przy schodach, nawet ręki do czapki podnieść nie mogłem.

— Chłopiec zuch! — zawołał, ot tak nad samém moim uchem—już ja o nim pamiętać będę.

Zatarł ręce i biegał po ganku, jakby go radość nosiła. Mnie nogi osłabły, głowa opadła, chciałem spojrzéć na niego, a nie mogłem.

— Wrócił już? To przyślij go do mnie, Maksymku! Dzielny chłopiec! jednego Bóg dał, ale tęgiego! dziś jeszcze przyślij go do dworu, jutro może wyjadę.

Przyparłem się do słupa i słowa wymówić nie mogę—a pan daléj chłopca wychwala.

— Cóż tak zmarkotniałeś?—powiada—krowa ci zdechła, no, niewielka bieda; mówiłem już, żeby ryżą do was odprowadzili! Nie bieduj! dokąd ja żyję, i ty i syn twój kłopotu wielkiego nie zaznacie! Bywaj zdrów, Maksymku!

Wskoczył na konia i pojechał! A ja nawet przekląć go po ludzku nie mogłem. Ten żal, co dotąd martwy w duszy leżał, schwycił mnie nagle! Padłem przy ganku i ryczałem! Ot, panie, jak ja ryczałem. Żeby tak w lesie—wilcy zbiegliby się do mnie całą gromadą! Do chaty wracać trudno; jak omamienie przeszło, poznałem, jaki ja biedny sierota, jak mnie teraz pusto na świecie, choć chatę kołkiem zatknąć i na żebraninę iść! Włóczyłem się po lesie, na noc dopiero do odrynki wróciłem; na mchu leżę i słyszę koło mnie za ścianą jakby coś sapie; siadam, myślę, że znów omamienie głowę objęło, spluwam raz, drugi—sapie! Już

chciałem wstać i zajrzéć... aż zaryczało nagle—krowę ze dworu przywiedli! Złe jakieś w nią wstąpiło, czy może nowém miejscem gardziła: jak zaczęła ryczéć, to aż po lesie echo szło! A mnie głupiemu w duszy zgryzota jakaś powstała... Za syna krowę tę mam—za krew jego, za życie młode! Krowa milkła czasami, ogonem machając, w ścianę koło mnie uderzała, a złe szeptać nie przestawało. Więc chociaż zdechłego bydlęcia żal było, do téj ochota nie brała.

— Odprowadzę ją! — pomyślałem—co mnie po niéj! Może ona tak ciągle ryczéć będzie... różne bywają! Niech ją wilk zje!

I odprowadziłem! Bialutka rosa stała jeszcze na łące, kiedy ją z lasu wywiodłem. We dworze płot grodzili, a że bydlę rwało się, poczuwszy oborę, tak ja i poszedł prosto przez łąkę ku ogrodowi, byle bliżéj! Patrzę, naprzeciw mnie pan z sadu przez zagrodzony płot idzie, ręce w kieszeni kubraka trzyma i patrzy, jakby pierwszy raz człowieka z bydlęciem ujrzał. Zacisnąłem zęby i sobie tak w stronę patrzę. Żeby tak teraz ziemia rozstąpiła się pod nim, możeby mnie na sercu ulżyło! Stanął, a mnie jakoś przejść z bydlęciem koło niego nie wypada, tak i ja stanąłem, głowy tylko i oczu podnieść nie mogę; a krowa, poczuwszy znajome miejsce, skubie trawę, ogonem macha radośnie.

Czy w nim dusza przemówiła, czy moja bieda tak już widniała odrazu, dość, że stał jak martwy, słowa nie przemówił,—a kiedy ja w końcu oczy podniosłem—oh, trudno wygadać wszystko. I jemu ciężko było na duszy, patrzał na mnie i głową kiwał żałośnie. Mnie żal przeszedł jakoś.

— Bieda, panoczku!—rzekłem—krowę zabierzcie, ot jakby ludzkim głosem gada!—Daléj mówić nie mogłem, bo mnie znowu za gardło żal złapał.

Wówczas pan przemówił słów kilka, mądrze pewno, ale ja, czy z żalu, czy z głupoty, niebardzo zrozumiałem! Chłopca nie było, to choćby gadał, że sam Bóg do chwały go wziął—niewielka pociecha. Sądzono mu było zmarniéć za młodu... chociaż żebym go wówczas oddał—kto wie, możeby i lepiéj było! Na starość nie marniałbym tak sam jeden. Kiedy orka nastała, łąkę tę i pola kawał, co do mojéj chaty przyległy, pan mnie dał. W dobre lato kop siedem żyta nażynam, albo i więcéj nawet, wozów ze trzy siana mam z łąki—ot i wszystko, co za moje trudy, za krew moją zostało! Czyż ja temu bestyi Moczulskiemu mogę tę schedę oddać? Powiedzcież sami.

Miał racyę; jednak widziałem, że, pomimo adwokackiéj wprawy, z Moczulskim nieprędko załatwimy interes!

NOWA ŁODŹ.

URYWEK Z POWIEŚCI.

Odpływali nareszcie! Karnicki wskoczył do łódki, zdjął kubrak i schwycił za wiosło. Wysoki, barczysty, w skórzanéj kurtce, długich butach, z rewolwerem za pasem, wyglądał na bandytę; łagodna twarz, przygasłe, znużone oczy zdradzały w nim raczéj ściganego, niż ścigającego. Całą noc przekradał się przez zarośla nadbrzeżne, jak gdyby zamiast ciężkich myśli przenosił kosztowną kontrabandę. Osłabły, wycieńczony, o świcie zaledwo stanął u przewozu. Bazylak czekał; z wieczora jeszcze przygotował łódkę, dwa nowe wiosła na zapas, a żonce kazał napiec kartofli. Przygotowałby może coś lepszego, ale w chacie prócz psa, żonki i syna, innych zapasów nie miał; ryby nawet nie poławiały się w tym czasie, gdyż lód zaledwo onegdaj ruszył, na rzece kra pędzi, a w małéj łódce czart nawet nie narażałby życia dla rybiego ogona.

Czekał tedy z kartoflami tylko i przez całą noc smolił łódź nową, ogromną, z dębowych desek, wykończoną akuratnie przed kilkoma dniami. Przez lat

dwadzieścia, od kiedy jest rybakiem i przewoźnikiem, takiéj nie miał jeszcze, chociaż myślał o podobnéj na trzeźwo i po pijanemu! Dopiero téj zimy Karnicki dąb mu podarował, dobry pan! Ślamazarny tylko... oto żeby przy pańskiéj duszy rozum miał, nie zginąłby marnie, oh, nie!

Bazylak, smoląc łódź nową, o smole, o deskach i o nim myślał naprzemian; kręcił przytém głową i pomrukiwał pod nosem. Czasami przychodziło mu téż na myśl, że teraz będzie mógł po kilkoro ludzi i tyleż bydląt przewozić naraz; wówczas zapalał lulkę i obliczał przypuszczalnie, ile zarobi w dzień kiermaszu, a ile w powszedni. Rachunek wypadał pomyślnie! Jeśli nawet czart nie weźmie cherlawego Piotra rybaka, co tam z drugiego brzegu pod jedlinami siedzi; jeśli nawet kulawego Michała syn téj wiosny z wojska wróci, jak gadają, to i tak Bazylak z dorosłym synem w nowéj łodzi więcéj zarobić potrafi, niż oni wszyscy razem ze ślamazarnemi czółnami! Gawęd, zazdrości będzie coniemiara! Wprawdzie dotąd poniewierać sobą nie pozwalał, ale że na cudzéj ziemi siedział, w nędznéj chałupie z dziurawą strzechą, poważania miał tyle wśród rybaków, ile cudzy pies w wiosce; krzywdy mu wprawdzie wielkiéj nie czynili, ale i do zysków zbytecznie nie dopuszczali, zerkając zwykle z ukosa na jego łódkę łataną!

Z podróżnych chyba tylko pijana baba, albo ten, co nigdy nie płaci, jechał z nim bez obawy; inni woleli na prom czekać chociażby dwie godziny, albo wołali drugich rybaków. Przeklinał on ich téż z duszą i ciałem. A jeśli tam bogatego Piotra choroba dręczy — kto wie; może Bóg łaskaw jego życzeń wysłuchał!

Teraz zato... zobaczy. Wyschną łotry z zazdrości jak suszone ryby. No, ale każdy ma swój czas. Panowali oni, z kolei Bazylak panować zacznie! Smoląc, dostrzegł tu i owdzie szparę malutką. Głupstwo, naprawi! Suchych desek zostało jeszcze parę kawałków! Byleby tylko słonko wiosenne suszyć zaczęło, łódź na brzeg wyrzuci na parę tygodni, osmoli raz jeszcze, pomaluje z większego! a wówczas—choć na morze! Syn jego przyglądał się robocie, dopomagał trochę, ale ponury, milczący, radości wielkiéj nie okazywał. Bazylak tylko ramionami na niego wzruszał, pluł w ślad za nim, ile razy od roboty odchodził; przecież i on pary z gęby darmo puszczać nie lubił, o łodzi jednak gadał nawet sam z sobą; ten zaś zawsze jak niemy: w królestwie niebieskiém nawet na chwałę bożą dobrego słowa nie znajdzie! A jednak tego wieczora, spostrzegłszy na brzegu przygotowaną łódkę i kilka nowych wioseł, popatrzał na rzekę, bryłami lodu pokrytą, potém na ojca:

— Pojedziem?—spytał—a toż woda przybiera, chatę poniesie... a wy... dokąd?

— Do czarta na wesele!—mruknął Bazylak.

— Szczęśliwéj drogi!

Powlókł się obojętnie do chaty, Wycieczka ojca zaciekawiła go trochę. O świcie, kiedy wraz z Karnickim wsiadali do łódki, przed chatą stała Bazylakowa bosa, drżąca od zimna, z rękami skrzyżowanemi na piersiach, ponad jéj ramieniem wyglądał Maksym zaspany, z najeżoną czupryną, skurczył się, ręce schował za koszulę i dzwonił zębami.

— Maksym!— zawołał Bazylak, oglądając się na chatę—za próg nie wychodź, a jeśli woda podpływać

zacznie, łódź na wzgórek pod las wyciągnij, rozumiesz?

Chłopiec skinął głową.

— Pamiętaj, synku! — krzyczał Bazylak już na rzece. W téj chwili rad byłby do niego boskim głosem przemówić, tak bardzo mu o tę łódź chodziło.

Płynęli daléj. Rozlana rzeka szumiała głucho; ciemne fale, poprzerzynane pianą, pędziły jedna za drugą, unosząc płachty lodu, czerniejące zdala niby kawały poszarpanéj roli. Po brzegach wierzchołki drzew wyglądały jak krzaki porozrzucane kupkami; poza niemi, na wzgórkach, piętrzył się las czarny, sięgający ołowianych obłoków. Szum głuchy napełniał powietrze, rozpływał się we mgle ponad wodą, ginął gdzieś wśród drzew nadbrzeżnych; chwilami bryły lodu ścierały się z łoskotem, rozerwane falą znikały pokryte pianą.

Łódki nie widać prawie na spienionym obszarze. Sylwetki wiosłujących majaczyły we mgle porannéj; ponad nimi stado kawek przelatywało zwolna, poruszając leniwo skrzydłami.

Z początku Karnicki wiosłował zawzięcie—pilno mu było oddalić się od brzegu, znaléźć się wśród głuszy wodnéj, chociażby z narażeniem życia. W miarę jak brzeg znikał mgłą zasłonięty, energia słabła, poruszał wiosłem coraz wolniéj, usiadł na ławie. Chłód wilgotny przenikał do kości, członki drętwiały; znużenie, zwyciężane dotąd gorączkowym niepokojem, przemieniło się powoli w senną bezwładność.

Łódka, przemykająca wśród kry po szumiących falach, bujała niby łupina orzecha, przechylała się, drgała uderzona o bryłę lodu płynącą pod wodą; tylko

rybacki spryt Bazylaka ratował ich dotąd od zatonięcia. Karnicki zdawał się nie widziéć niebezpieczeństwa; patrzył na rzekę; odurzała go potężna siła niepokonanego żywiołu! Zapomniał na chwilę o swojéj doli; przymknął oczy, szum wody przemienił się nagle w gwar tłumów potężnych i upartych jak fala. Daremnie słuch natężał—w rozległym gwarze drgały znajome nuty; całéj harmonii pochwycić nie mógł, czy nie umiał; był jakby z innego świata,—a jak plusk wioseł, pędzących łódź naprzód, ginął wśród łoskotu wiedzy, tak słowa jego znikłyby bez echa wśród rozgwarzonych tłumów! W przygnębionéj piersi poruszyła się najfałszywsza struna egoizmu.

— Czy warto?—mruknął jak przez sen.

Ocknął się; Bazylak, wiosłujący z całych sił, bryzgnął mu w twarz srebrzystą strugą wody. Przez dwadzieścia lat, jak był przewoźnikiem, ani razu jeszcze nie płynął w taki czas przeklęty! Spotniał ze zmęczenia, a trochę i ze strachu. Spoglądał ku brzegom: pasma czarnych lasów ciągnęły się po obu stronach; woda wciąż łódkę w dół niosła. Daj Boże, żeby koło południa pod Suchą Górą stanęli!—myślał o tém z apatyą, właściwą przewoźnikom. Pana tylko żałował, a ile razy wypłynęli na spokojniejsze miejsce, spoglądał na niego z ukosa. Swego chłopskiego rozumu nie oddałby za jego mądrość, eh, gdzietam! Nieraz już, myśląc o nim, spluwał i wzruszał ramionami jak na opętanego! Czasami żałował go trochę, gdyż pan był dobry, w sąsiedztwie żyć umiał; dla innego może nie pojechałby w taką psią pogodę, z nim popłynąłby i w gorszą jeszcze. Człek, jak przywyknie do człeka, to i słucha go jakoś, choćby sam nie chciał—tak już Pan Bóg dał

widocznie! Dziś zato, jak do chaty wróci, odrazu na piec wlezie, kożuchem się okryje i chrapnie! Wódki ma trochę w zapasie, sam siebie poczęstuje przed zaśnięciem. Aniołowie pozazdroszczą mu tego spoczynku, a czart ślinę łykać będzie z zazdrości! Myśląc o tém, Bazylak raźniéj czapkę na głowie poprawił. Życie ma wcale niezłe! a teraz, jak łódź nową sporządził, ho, ho! dwa razy lepiéj żyć zacznie! Byleby tylko woda chaty nie zabrała. Zeszłéj wiosny urwała mu kawał ogrodu i płot uniosła, dziś może po resztę chudoby przyjdzie. Spojrzał przez ramię ku chacie... natężył wzrok, usta otwierały się zwolna, przestał wiosłować... Łódka pochyliła się gwałtownie, Karnicki schwycił drugie wiosło, spojrzał za Bazylakiem i ocknął się z zadumy ostatecznie. Mgła pierzchła, chmury się przerzedzały tu i owdzie, ukazały się białawe obłoczki; szary horyzont rozjaśniał się stopniowo.

Bazylak rękę do czoła przyłożył i patrzył, własnym oczom nie dowierzając. Środkiem rzeki, tąż samą drogą, którą z mozołem sobie utorowali, płynęła łódź. Przywidzenie chyba! Piotr rybak dogorywał, kulawy Michał wczoraj z furmankami do miasteczka pojechał. Maksym chyba... i może... Bazylakowi oddech w piersiach ugrzązł na samo przypuszczenie! Zapomniał, że w mgnieniu oka może się znaléźć na dnie rzeki! Przysiadł w łódce, brodę oparł na krawędzi. Przestał sapać; zmrużywszy oczy, wpatrzył się na powierzchnię wody. Tak, łódź pędziła! Dotąd tylko nie mógł dostrzedz jéj wielkości, ale przeczucie mówiło, że to jego łódź świeżutko osmolona, z dwiema naprędce załatanemi szparami. Oh, czuł, że mu dusza z piersi wyskoczy z żalu! Szczeliny rozmokną wkrótce, a chociaż łódź nie zatonie

fala rozniesie ją po desce i szukaj potém wiatru w polu! To Maksym... poganin! Tak, Maksym! w spodniach i w koszuli tylko, bez czapki nawet stoi na przodzie, wiosłem wodę podrzuca... a za nim czterech, pięciu... O! żeby ich wszystkich święta rzeka pożarła! Nie widać tylko, czy nową łodzią jadą! Bazylak jeszcze więcéj przysiadł, już tylko czoło i oczy widać nad krawędzią!... Wtém świsnęło coś w powietrzu, huk głuchy rozległ się długiém echem po lesie. Bazylak drgnął, gdyż w téjże chwili łódź się obróciła i wyraźnie spostrzegł biały, nowiutki bok. Oh, poganie, bezbożniki!— mruczał, porywając wiosło drżącemi z gniewu rękami. Chciał płynąć ku nim, czego—sam nie wiedział. Potrzebował zobaczyć, dotknąć się, no i Maksymowi łeb wiosłem roztrzaskać. Karnicki pędził na przód, on w tył kierował—stanęli. Spienione fale wskakiwały do łódki, kubrak i kożuch na dnie były już zalane.

— Bodaj was wszystkich... bodaj mię!—klął Bazylak i jak raniony niedźwiedź borykał się z falami. Już ruszył... wtém krzyk przeraźliwy doleciał z lasu, z obłoków, czy z łodzi, w ogólnym szumie odrazu nie można było zrozumiéć. Bazylak obejrzał się i przysiadł znowu ogłupiały, wiosło do wody opuścił. Duża łódź trzepotała się na wodzie na prawo, na lewo, na przód się przechyliła... stanęła. Wreszcie widział kilka rąk wyciągniętych, kilka pochylonych figur—oddalały się z szybkością strzały. To Karnicki pędził— łódź znikła.

Przybili do brzegu. Bazylak, obrócony twarzą do rzeki, patrzył z otwartemi ustami, osowiały, jak martwy. Czapka zsunęła się na tył głowy, kosmyki rudych włosów spływały na czoło, na skronie, kiwał głową.

A!... a...—powtarzał, jak echo żalu i zdumienia. A kiedy napatrzył się dowoli, odwrócił głowę—w łódce nie było nikogo. Karnicki znikł jak sen, na dnie pozostał mokry kubrak, na ławce świeże ślady krwi.

Bazylak i kubrak z wody wyjął i, trzymając go w ręku, znowu po rzece rozglądać się zaczął.

— Może to jeszcze nieprawda — szeptało mu w duszy. Odrazu zniedołężniał, jakby mu sto lat przybyło.

Na rzece ktoś płynął, rozpychając wodę obiema rękami. Innym razem Bazylak pewnoby głową pokręcił na śmiałka, co gwałtem śmierci szuka, teraz nie widział go nawet; dopiero gdy nad wodą ukazała się czarna głowa Maksyma, brwi ściągnął i zaczął patrzéć w stronę.

Maksym, nic nie mówiąc, wsiadł do łódki na tém miejscu, gdzie przedtém siedział Karnicki. Drżał z chłodu, kubrak wyżął z większego i zarzucił na ramiona, wpiąwszy pod szyję.

— Jedziem, ojciec!—mruknął—łódź i zarobek dyabli wzięli!

Bazylak milczał; spojrzał z pod oka na syna.

— Oho, tego i fala nie weźmie!

Westchnął—trochę za łodzią, a trochę za panem.

KONIEC.

SPIS RZECZY.